

ALEKSANDER KUPRIN

SULAMITKA

Nocleg

W ostatnich dniach sierpnia n-ski pułk piechoty podczas wielkich manewrów odbył wielki, czterdziestowiorstowy przemarsz od wsi Wielkie Zimowce do wsi Nagórna. Dzień był upalny, pełen żaru, nużący. Na horyzoncie, srebrnym od wąskiego pasma dalekiego kurzu, drżały przezroczyste, falujące strumyki nagrzanego powietrza. Po obu stronach drogi, gdzie tylko sięgał wzrok, ciągnął się wciąż ten sam obszar zżętych pól ze sterczącymi żółtymi, kłującymi resztkami słomy.

Siad oddziału z daleka znaczył się długą, falistą i wąską wstęgą żółtawego kurzu. Żołnierze szli cali w ten kurz okutani. Pył skrzypiał w ustach, osiadał na spotniałych twarzach i czynił je czarnymi. Tylko zęby i białka oczu błyskały białością na znużonych, wychudłych, pozornie surowych twarzach. Zgięci pod ciężarem tornistrów i nałożonych na nie zrolowanych płaszczów, żołnierze szli w milczeniu, bezładnie, ledwo powłócząc zmordowanymi nogami. Tylko od czasu do czasu, kiedy czyjś bagnet z chrzęstem zaczepiał o bagnet sąsiedni, z szeregów dawało się słyszeć ordynarne, pełne złości przekleństwo. Ludzie byli niewyspani i znużeni skwarem, męczącą drogą i pragnieniem. Niektórzy ospale, bez apetytu, aby tylko czymkolwiek skrócić czas długiego i nudnego marszu, pojadali po drodze rozdany z rana chleb.

Oficerowie szli nie w szeregach — przywilej, na który wyższe dowództwo patrzyło w czasie marszu przez palce — lecz poboczem z prawej strony drogi. Białe ich kitle pociemniały od potu na plecach i na ramionach. Dowódcy kompanii — adiutanci, zgarbiwszy się i puściwszy wodze, drzemali na swych chudych, wy-

|

brakowanych koniach. Każdy chciał tylko za wszelką cenę jak najszybciej dotrzeć do popasu i lec w cieniu.

Porucznik Awiłow, schorowany, milczący i nerwowy młodzieniec, szedł obok pierwszego rzędu jedenastej kompanii. Nowe buty mocno uwierały go w nogi, pas koalicyjny uciskał ramię, w głowie miękko d ciężko tętniła krew. Ale najbardziej przygniatała Awiłowa zawsze ogarniająca go w czasie marszu tępa nuda, której starał się pozbyć jakimkolwiek przelotnym zainteresowaniem. To zrywał z przydrożnej wierzby giętki bicz i oczyszczał go zębami i paznokciami z kory, to starannie ścinał szablą pąsowe pąki kłującego ostu, to znów, upatrzwszy sobie z dala jakiś punkt, starał się odgadnąć, ile do niego będzie kroków, a potem sprawdzał sam siebie. Wreszcie, gdy wszystko to już mu się znudziło, zaczynał „marzyć”, jak kiedyś zdarzało mu się to jeszcze w korpusie, gdy chciał podczas nocnego nabożeństwa zabić czas. W myśli pytał sam siebie: „No, a o czym teraz?” — i zaczynał wyliczać w pamięci wszystko, co mogłoby mu sprawić zadowolenie lub też co kiedyś pobudziło jego wyobraźnię w tym, co przeczytał i usłyszał. Czasami wyobrażał sobie, że jest znanym podróżnikiem, jak na przykład Przewalski lub Jelisiejew. Organizował ekspedycję składającą się z odważnych, zahartowanych w trudach i niebezpieczeństwach podróżników, którzy drżeli pod jego spojrzeniem. Odkrywał nie zbadane jeszcze wyspy i lądy i zatykał na nich rosyjski sztandar. Nazwisko jego znane było na całym świecie. Kiedy wracał do Rosji, urządzano mu huczne powitania. Kobiety rzucały mu kwiaty i w zachwycie szeptały jedna do drugiej: „Oto on, oto ów najznakomitszy!” Czasami wyobrażał sobie, że manewry już się skończyły, a on idzie ze swoją kompanią na dobrowolne roboty do jakiegoś właściciela ziemskiego, bajecznie bogatego i oczywiście z arystokratycznym nazwiskiem. Ziemianin ma córkę — piękną, bladą, zamyśloną. Dawno już znudziła się jej bezbarwna nicość światowych kawalerów, panna od pierwszego wejrzenia zakochuje się w prostym poruczniku piechoty, biednym i dumnym, ustawicznie skrytym, „z piętnem rozczarowania na czole”. Księżycowa noc, spotkanie w starym, zapuszczonym ogrodzie, płomienne wyznanie miłosne... „Musimy się rozstać — mówi ponuro Awiłow — ty jesteś bogata, a ja żebrak, nie będziemy nigdy szczęśliwi”. Córka ziemianina płacze na jego piersi, on ją pociesza. Niespodzianie zza krzaków zjawia się sam ziemianin, wzruszony, ze łzami w oczach. „Dzieci moje — mówi — chcę, żebyście się kochali. Nie pieniądze, ale szczerą miłość przynosi ludziom szczęście”. Z tymi słowy błogosławi zakochanych, wszyscy troje ściskają się i płaczą. Po kilku dniach w rozkazie pułkowym koledzy ze zdumieniem i z zazdrością czytają, że porucznik Awiłow w raporcie za numerem takim i takim prosi o pozwolenie na zawarcie po raz pierwszy legalnego związku małżeńskiego z panną, księżniczką Zet...

Czasami fantazja tak wyraziście malowała mu te sceny, że i droga i kurz, i szare jednostajnie kroczące szeregi żołnierzy przestawały dla niego istnieć. Szedł z nisko opuszczoną głową, z nieokreślonym uśmiechem na wargach, z rozszerzonymi i pociemniałymi nieruchomymi oczami. Kilka wiorst miało niepostrzeżenie i gdy Awiłow budził się ze swoich marzeń, rozpościerała się już przed nim zupełnie nowa okolica.

Wieczne cienie wydłużyły się. Słońce stało nad samą linią widnokregu, zabarwiając kurz jaskrawą purpurą. Droga zaczęła prowadzić w dół. Daleko na horyzoncie ukazały się niewyraźne zarysy lasu i budynków.

Naprzeciw oddziału ciągnął nieskończony chłopski tabor. Gdy żołnierze się zbliżali, chochły powoli, jeden za drugim sprowadzali z drogi swoje ogromne, szare, ostrorogie, leniwe woły i zdejmowali czapki. Wszyscy bez wyjątku szli boso, ubrani w niesłychanie szerokie płócienne spodnie i w płócienne koszule. Z rozchylonych kołnierzy u koszul wyglądały obnażone szyje, ciemnobrązowe od opalenizny i pokryte niezliczonymi drobnymi zmarszczkami.

W miarę jak żołnierze przechodzili mimo taboru, z szeregów sypały się niecierpliwe zapytania:

— Dziadku, czy daleko jeszcze do Nagórnej?

— Kumie, ile jeszcze wiorst do Nagórnej?

— Jak tam, braciszku, czy to już Nagórna widać?

Chochły leniwie, z namysłem odpowiadali, że do Nagórnej może będzie ze trzy wiorsty albo cztery z hakiem. Żołnierze nabrali otuchy, podnosili wyżej głowy i mimo woli przyśpieszali kroku.

Po kwadransie w dole, w głębokim wąwozie zabłysła szeroka granatowa wstęga rzeki. Słońce zapadło. Zachód płonął ogromnym

pożarem jaskr awopurpuro wy ch i ognistozłoty ch barw; nieco powyżej te gorące tony przechodziły w dymnoczerwone, żółte i pomarańczowe odcienie i tylko faliste brzegi kapryśnych obłoków odbijały roztopionym srebrem, jaszczcze wyżej smagłoróżowe niebo nieznacznie nabierało koloru delikatnie zielonawego, prawie turkusowego. Cienki sierp młodego miesiąca, blady, ledwo dostrzegalny, tkwił pośrodku nieba; pierwsze gwiazdy zaczynały nieśmiało pobłyskiwać na wysokości.

— Panowie oficerowie, na miejsca! Dobosze, werbel marszowy! — rozległ się na czele oddziału donośny głos dowódcy.

Jeden za drugim, w różnych miejscach długiej kolumny głucho zawarkotały bębny. Żołnierze biegiem włączali się w szeregi, w marszu poprawiając ruchem pleców i ramion tornistry i podskakując, aby utrafić w nogę. Oficerowie, obnażywszy w marszu szable, pospiesznie szukali swoich miejsc.

Spadek drogi stał się bardziej stromy. Od rzeki naraz powiało wilgotnym chłodem. Wkrótce stary, pełen dziur, drewniany most zadrżał i zaczął się chwiać pod ciężkim, gęstym tupotem nóg. Pierwszy batalion przeszedł już most, wspiął się na wysoki, stromy brzeg i z muzyką wchodził do wsi. Gwar rozmów rozlegał się wśród ożywionych, wyrównanych szeregów.

— Fedorczyk, nie kurz, podnoś nogi, diabli synu.

— A co, Szapowałow, sprawna miałaś w Zimowcach gospodynię? Co? Jak ona go, bracia kochani, miotła!...

— Nie pchaj się!

— Całkiem po prostu. Bo on to zaraz z rękami.

— To już musowo, chłopcy: jak wieczorem niebo jest czerwone, to nazajutrz wiatr.

— Hej, trzeci pluton, kto pójdzie po chleb! Uważajcie, diabły, bo znów przegapicie!

— Potrzyj mi, bracie, karabin, to szynel sobie poprawię. A dobra to rzecz te, wiesz, maniebry! Lepsze to sto razy niż na przykład szkoła kompanijna.

— Nie zatrzymywać się tam, czwarty pluton! Zdechłaki!

Ze wzgórza widać było całą wieś. Białe, gliną oblepione chatynki, tonące w wiśniowych ogródkach, rozrzucone były szeroko po ogromnej dolinie i po jej brzegach. Przed skrajne chaty wysypał się barwny tłum, przeważnie bab i dzieciaków, aby popatrzeć na „moskali”. Zapiewało pierwszego plutonu, frajter Noga, mający najdonioślejszy głos w całym pułku, wyskoczył naprzód, uchwycił takt, obejrzał się na idących za nim, zepchnął czapkę na tył głowy i robiąc niedbałą a ponurą minę, przesadnie szeroko wymachując prawą ręką, zaśpiewał:

Mija zi-i~ma, mija sroga I nasta-a-je krasna wiosna, I nastaje kra-a-asna wiosna, Żołnierzowi serce ścisza się.

Sto mocnych głosów ogłuszająco podejmuje przyśpiew i każdy żołnierz, przechodząc z fałszywie obojętną miną przed oczami zdumionego tłumu, czuł się w tej chwili bohaterem. „To wszystko chamy, czy oni co potrafią zrozumieć? Dla nich służba wojskowa straszniejsza od samego diabła: i biją tam ponoć, i na ćwiczeniach zadręczają, i z karabinu strzelają, i na wyprawę przeciw Turkom prowadzą. A ja właśnie niczego takiego się nie boję, ja na wszystko gwizdę, ni krzty uwagi na was, chamiszcza, nie zwracam, bo nie mam czasu, jestem zajęty swoimi żołnierskimi sprawami, bo to jest najważniejsza i najpoważniejsza rzecz na świecie”. Tę myśl Awilow widział wypisaną na wszystkich twarzach, począwszy od zapiewających, a kończąc na ostatnim, stale karanym Tatarzynie, i jego samego pomimo woli zaczęło przenikać przecucie jakiegoś surowego junactwa, i szedł lekkim, płynnym krokiem, wysoko podniósłszy głowę i wypinając pierś.

Na świszczeniach męczą nas, Dla nas wojsko to w sam raz!

— śpiewał Noga, z wielkiego junactwa przekręcając słowa i poddając chórowi melodię okrutnym falsetem. Nikt już nie myślał o poobcieranych nogach i o tornistrach, które uciskały plecy. Chłopcy dawno już z daleka spostrzegali czterech „swoich” kwatermistrzów, którzy szli im naprzeciw, aby natychmiast rozprowadzić kompanię po wyznaczonych zagrodach. Jeszcze kilka kroków i plutony rozeszły się, jak gdyby stajały, po wszystkich zaułkach wsi, idąc z rozgłośnym śmiechem i z nie milknącymi dowcipami każdy za swoim kwatermistrzem.

Awilow niechętnie, leniwym krokiem dowlókł się do wrót, na

których kredą wypisane było dużymi literami: „Kwatyra Porucznika awelowa”. Dom przeznaczony dla Awiłowa wyraźnie wyróżniał się spośród otaczających go chatynek i wielkością i białością ścian, i blaszanym dachem. Połowa podwórka zarośnięta była gęstą, wyższą ponad wzrost człowieka kukurydzą i ogromnymi słonecznikami, uginającymi się pod ciężarem swoich żółtych czap. Pod oknami, prawie przesłaniając odstępów pomiędzy nimi, wznosiły się długie, wysmukłe malwy z bladoróżowymi i czerwonymi kwiatami.

Ordynans Awiłowa, Nikifor Czurbanow — zręczny, wesoły i brzydki jak mała żołnierz — rozdmuchiwał już na ganka ogień w samowarze zdjętym z nogi butem. Ujrawszy swego pana rzucił but na ziemię i stanął na baczność.

— Ile razy powtarzałem ci, żebyś nie rozdmuchiwał butem — powiedział z obrzydzeniem Awiłow. — Pokaż, gdzie tu wejście.

Ordynans otworzył drzwi na prawo z sieni. Pokój był przestronny i jasny; na oknach czerwone perkalowe firaneczki, kanapa i krzesła obite tym samym tanim perkalem, na czysto wybielonych ścianach mnóstwo fotografii w drewnianych ażurowych ramkach oraz dwie oleodrukowe „premie”, mała pękata komódka z wiszącym nad nią kwadratowym mętnym lustrem i wreszcie w rogu niezmiernie wysokie podwójne łóżko z całą piramidą poduszek — od ogromnej na całą szerokość łoża aż do małego jaśka. Pachniało miętą, lubystkiem i tymiankiem. W Małorosji pęczki tych ziół zawsze zatyka się „dla powietrza” za święte obrazy.

Awiłow ściągnął buty opierając się o brzeg łóżka i położył się założywszy ręce pod głowę. Teraz zrobiło mu się jeszcze bardziej smulno niż w czasie marszu. „No i przyszliśmy, no i coś z tego? — myślał patrząc w jeden punkt na suficie. — Czytać nie ma co, rozmawiać nie ma z kim, rozrywki żadnej. Przyszedłem, wyciągnąłem się jak zmęczone zwierzę, wyśpię się, a jutro znów idź, człowieku, a potem znów trzeba spać, a potem znów iść, i znowu, i znowu... Zachorować chyba i pójść do szpitala?”

Mroczyło. Gdzieś w pobliżu za ścianą pośpiesznie tykało wahadło zegara. Z podwórza słychać było, jak Nikifor całą pierśią, długo nie tracąc tchu, rozżarzał węgle w samowarze. Nagle Awiłowowi wpadło na myśl, aby się wykapać.

— Nikifor! — zawołał głośno.

Nikifor wszedł z pośpiechem, trzaskając drzwiami, tupiąc nałożonymi już butami i zatrzymał się na progu.

— Rzeka tu jest? — zapytał Awiłow.

— Wedle rozkazu.

. — A gdyby się tak wykapać? Jak myślisz?

— Wedle rozkazu, można, wasza wielkomożność — zgodził się natychmiast ordynans.

— Mów jak jest. Może tam błoto?

— Wedle rozkazu, straszne błoto, wasza wielkomożność. Po prostu bagno. Niedawno kawaleria konie poila, to konie pić nie chcą.

— Aleś ty głupi! A powiedz mi, wiesz...

Awiłow zaciął się. Sam nie wiedział, o co ma zapytać. Po prostu nie chciało mu się zostać samemu.

— Powiedz mi... A gospodyni ładna?

Ordynans roześmiał się, otarł rękawem usta i ze zmieszanym odwrócił głowę do ściany.

— No? — niecierpliwie ponaglił go Awiłow.

— Ze niby... Bo ja wiem... Niczego sobie, waszmożność, ła- dniutka... na podobieństwo mniszki.

— A mąż stary? Młody?

— Nie bardzo stary, waszmożność. Wedle rozkazu, młody. Za pisarza tu jest ten jej mąż.

— Za pisarza? A dlaczego jak mniszka? Rozmawiałaś z nią?

— Wedle rozkazu, rozmawiałem. Powiadam jej, żeby uważała, bo zaraz przyjdzie mój pan, to żeby tu wszystko było w porządku.

— No, a ona?

— Ona cóż? Odwróciła się i poszła sobie. Zła.

— A mąż jej jest w domu?

— W domu. Tylko że teraz go nie ma — wyszedł gdzieś.

— No dobrze. Podaj samowar i idź, powiedz gospodyni, że zapraszam ją na filiżankę herbaty. Rozumiesz?

— Po kilku minutach Nikifor przyniósł samowar i zapalił świece. Zaparzając herbatę odezwał się:

— Byłem właśnie... u gospodyni...

— No i cóż?

— Mówiłem.

— No?

— Ona powiada: zostawcie mnie, proszę, w spokoju. Nijakiej waszej herbaty, powiada, mi nie potrzeba.

— No to niech ją diabli! — zdecydował Awiłow ziewając. — Nalewaj herbatę!

W milczeniu zjadł na kolację zimną wołowinę, jajka i napił się herbaty. Podobnie w milczeniu Nikifor mu usługiwał. Gdy oficer skończył pić herbatę, ordynans zabrał samowar i resztki kolacji do szopy, gdzie miał nocleg.

Awiłow rozebrał się i położył do łóżka. Jak zwykle po silnym zmęczeniu nie mógł zasnąć. Zza ściany jak uprzednio dochodziło jednostajne tykanie zegara i jakieś dziwne odgłosy, jak gdyby dwie osoby rozmawiały zdyszonym i gniewnym szeptem. Za oknem, tuż przed oczami Awiłowa, na granatowym niebie wyraziście rysowała się rosnąca w pobliżu topola piramidalna, smukła, cienka i ciemna, a obok niej z boku stał jaskrawożółty miesiąc. Jak tylko, Awiłow zwiierał powieki, natychmiast natrętnie stawał przed nim nudny obraz marszu: szare, gruźlaste pola, żółty kurz, zgięte pod tornistrami postaci żołnierzy. Na krótką chwilę zapadał w drzemkę, a kiedy znowu otwierał oczy, wydawało mu się, że przed chwilą spał, ale jak długo to trwało, minutę czy godzinę — nie wiedział. Wreszcie udało mu się naprawdę zasnąć lekkim, niespokojnym snem, lecz nawet przez sen słyszał spieszne tykanie wahadła za ścianą i widział nudną, odbytą za dnia drogę.

Po jakiejś półtorej godzinie Awiłow nagle znów uświadomił sobie, że leży z otwartymi oczami i znów sam siebie zapytywał: czy spał, czy też była to tylko jedna sekunda pełnej niepamięci, braku myśli? Miesiąc, już nie żółty, ale srebrny, wzniosł się do samego wierzchołka topoli. Niebo stało się jeszcze bardziej granatowe i zimne. Czasami na księżyc napływał biały, lekki jak pajęczyna obłoczek i nagle cały rozświetlał się pomarańczowym jaśnieniem. Zdyszany, gniewny szept, który Awiłow słyszał uprzednio za ścianą, zmienił się w opanowaną, lecz dość głośną rozmowę, podobną do kłótni, która lada chwila gotowa jest wybuchnąć okrzykami złości. Awiłow zaczął, się przysłuchiwać. Sprzeczały się z sobą dwa głosy: męski — niski, to dźwięczny, to znów głuchy, jak z beczki, taki głos miewają jedynie chorzy na suchoty pijacy, i kobiecy — bardzo delikatny, młody i smutny. Głos ten na jedną chwilę wywołał z pamięci Awiłowa jakieś niejasne, dalekie wspomnienie, ale tak niejasne, że nawet się nad tym nie zastanowił.

— Nie daję ci spać? — pytał mężczyzna ze zgryźliwą ironią. — Spać ci się chce? A może to ty mnie na całe życie snu pozbawiła? To ciebie nic nie obchodzi? Co? Ech, ty podła! Spać chcesz? A ty, łajdaczko jedna, śmiesz jeszcze oddychać na bożym świecie? Ty... ;

Mężczyzna nagle zaniósł się głuchym, duszącym kaszlem. Awiłow przez długą chwilę słyszał, jak tamten spluwał, ehry- piał i przewracał się na łóżku. Wreszcie udało mu się pokonać kaszel.

— Tobie się chce spać, a ja z twojej łaski kaszlę jak owca. Zaczekaj, ty mnie i do grobu wkrótce zapędzisz... Wtedy się wyśpisz, zmij.

— Przestalibyście, Iwanie Sidoryczu, wódkę pić — odparł smutny i delikatny głos kobiecy. — Gdybyście nie pili, toby i piersi was nie bolały.

— Nie pić? Nie pić, powiadasz? A cóżeś ty? Twoje pieniądze, czy co, przepuszczam w karczmie? Co? Odpowiadaj, twoje?

— Swoje, Iwanie Sidoryczu — pokornie i cicho odpowiedziała kobieta.

— A czyś ty wniosła do tego domu choć jeden grosz, kiedy cię brałem? Choćby złamaną dziesiątkę?

— Sami przecież wiedzieliście, Iwanie Sidoryczu, że byłem biedną dziewczyną i nie miałam skąd wziąć. Gdybym miała bogatych rodziców...

Mężczyzna naraz roześmiał się pełnym złości, pogardliwym, przeciągłym śmiechem i znów zakaszał.

J— Bie-edną? — zapytał jadowitym szeptem, ledwo chwytając oddech. — Biedną? To dla mnie obojętne, że byłaś biedna. A czy ty wiesz, co jest dla dziewczyny bogactwem? Wiesz o tym?

Kobieta milczała.

— Jeżeli się szanowała — to jest jej bogactwo. Cno-o-ta! Takie słowo słyszałaś? Co? Pytam cię, czy słyszałaś o takim słowie, czy nie? No?

— Słyszałam, Iwanie Sidoryczu.

— Kłamiesz, nie słyszałaś. Jeślibyś słyszała, to sama byłabyś cnotliwa! A czy ja cię cnotliwą wziąłem? Co? — No cóż, Iwanie. Sidoryczu, jak przed Bogiem... Moja wina... Piąty rok proszę was o przebaczenie. .V.--, .■

Zaniosła się cichym, piskliwym i żalonym płaczem. Ale jej łzy jeszcze bardziej rozdrażniły męża. Wprawiły go, w wściekłość.

— Choćbyś dziesięć lat prosiła, to nie wybaczę. Nigdy ci, rozpustnico, nie wybaczę. Słyszysz, nigdy! Czemuś mi się nie przyznała? Po co mnie oszukiwałaś? Aha! Myślałaś, że będę cudze grzechy pokrywał? Że niby, dzięki Bogu, znalazł się taki głupi, co to będzie uważał, sobie za zaszczyt korzystać z cudzych odpadków. A czy ty :wiesz, nędzne stworzenie,, że gdyby nie ty, to mógłbym się ożenić z córką kupca? Karierę bym sobie urządził. Ja bym... .. . ■•• > i^yj^t

^- Przecież ja nie sama, Iwanie Sidoryczu — odrzekła pochlipując kobieta -% nie z własnej ochoty wyszłam za was. Sami wiecie, jak mnie mamunia biła wtedy.

To usprawiedliwienie doprowadziło mężczyznę do szału. :Znów strasznie się zakaszłał i w przerwach między atakami kaszlu Awiłow usłyszał cały potok ciskanych ze złością przekleństw. Potem nagle, w sąsiednim pokoju rozległ się ostry i suchy odgłos policzka, za nian drugi, trzeci,, czwarty i w nocnej ciszy posypały się bezlitosne, odmierzone, wściekle uderzenia. A potem wszystko jakoś od razu umilkło. Zrobiło się tak cicho, że można było dosłyszeć chrobotanie toczącego drzewo kornika. Awiłow leżał z szeroko otwartymi oczami: jakieś trwożne, smutne uczucie złości sprawiało, że serce biło mu coraz mocniej. Potem usłyszał cichy głos kobiety, przygłuszony przez hamowany płacz. ...

— Mój Boże i Panie — lamentowała zgrzytaiac zębami i zachłystując się od łez — dlaczego nie ześlesz mi śmierci w męczarniach? Przez pięć lat... przez pięć lat ani jedna noc nie obejdzie się bez wymawiania. Niechby mnie od razu zabił, dręczyciel! Za co ty mnie szarpiesz? Za co? Czyż nie jestem twoją sługą? Czy nie jestem twoją niewolnicą? Choćbyś przez jedną, noc mnie nie udręczał. Jedną tylko noc! Co ty myślisz, że kochałam tamtego przekleśnika? Niech go Bóg pokara za mnie haniebną śmiercią. Gdybym go spotkała, tobym go zadusiła,, o tak, tymi własnymi palcami bym go zadusiła!... Życie mi zniszczył, łajdak! Mam dwadzieścia pięć lat, a już zrobiłam się stara... Sił już nie mam...

Długo Awiłow słuchał tych namiętnych, rozpaczliwych skarg, wciąż usiłując przypomnieć sobie, gdzie słyszał już kiedyś podobny głos i niespodzianie, od razu zasnął mocnym, zdrowym snem bez żadnych zwidzeń. / ; m vtv:ć« -i&^i^sagt

Nad ranem znów się obudził. Miesiąca już nie było widać. Niebo z granatowego zrobiło się jasnoszare. Awiłow ze zdziwieniem na nowo usłyszał za ścianą te same głosy.

— Droga moja, kochana mówił mężczyzną wzruszonym* osłabłym głosem — jakżebym cię kochał, gdyby nie to! Chuchnąć bym na ciebie nie pozwolił. Panią, byś była u mnie) wiesz...

— ' Ach, Iwanie Sidoryczu, no, wybaczcie mi wreszcie. No, bądźmy jak ludzie, jak wszyscy... I tak już jestem wam posłuszna, ale gdybyście mi wybaczyli, tobym chyba wasze myśli odgadywała...

Nastąpiło milczenie i Awiłow usłyszał zza ściany odgłosy przeciągłych pocałunków..

— No dobrze, ńo dobrze zaczął czule uspokajać ją mężczyzna. — No, dosyć już, dosyć... Czy ty myślisz, że mnie to przyjemność sprawia? Serce mi się krwią zalewa, a nie.,. Ptaszynko' moja.

I znowu do uszu Awiłowa dobiegł odgłos przeciągłego. pocałunku.

-T— Teraz to wy mówicie: dobrze — szepnęła kobieta wstrzymując oddech — a jutro znowu... Już tyle razy obiecywaliście, że nie będziecie mi wymawiać, a sami... Ileż to razy zaklinaliście się przed świętymi obrazami...

— No, dosyć, no, przestań... Powiedz mi tylko, ty tamtego, dawnego, nie kochasz? Prawda?

— Ach, Iwanie Sidoryczu, o cóż to wy pytacie? Toć ja bym go zarznęła własnymi rękami, jeślibym go tylko gdzie spotkała!...

Rozmowa za ścianą ucichła, zniżyła się do szeptu, coraz częściej słychać było odgłos pocałunków i szczęśliwy śmiech Iwana Sidorowicza.

Sen znów zaczął ogarniać Awilowa, który jednak usiłował go pokonać, wciąż starając się przypomnieć Sobie, gdzie słyszał już

taki głos? Czasami już-jż gotów był sobie przypomnieć, ale myśli rozpraszały mu się i mąciły, jak zawsze gdy się zasypia... Wreszcie, kiedy już całkiem zapadł w sen, przypomniał sobie.

Było to sześć lat temu... Dopiero co promowany na oficera, przyjechał na lato do majątku swego stryja w tulskiej guberni. Nudy na wsi były okropne i Awiłow stale i usilnie szukał sobie jakiejś rozrywki. Polowanie i łowienie ryb dawno mu już obrzydło, a na koniną jazdę było zbyt gorąco.

Zapewne z nudów pewnego razu zwrócił uwagę na pokojówkę stryja, Charytynę, dziewczynę wysoką, silną, a cichą i poważną, z dużymi niebieskimi, stale nieco smutnymi oczami. Któregoś wieczoru spotkawszy Charytynę w sieni, Awiłow schwycił ją w objęcia. Dziewczyna w milczeniu odtrąciła jego ręce od swojej piersi i również w milczeniu odeszła. Oficer się zmieszał i rozglądając się, na palcach, zarumieniony, z bijącym sercem poszedł do swego pokoju.

Jakieś dwa tygodnie potem w upalne, nużące lipcowe południe Awiłow leżał na sianie na skraju wielkiego, gęstego ogrodu i czytał. Wtem usłyszał tuż obok za swymi plecami lekkie kroki. Obejrzał się i zobaczył Charytynę, która prawdopodobnie nie dostrzegła go.

— Dokąd się wybierasz, Charytyno? — zawołał na nią Awiłow. • W pierwszej chwili przestraszyła się, ale potem się zmieszła.

— Ja tu... właśnie... kąpałam się...

Awiłow podszedł do niej, rozejrzał się dokoła niespokojnie i wziął ją w objęcia. W milczeniu, spuściwszy oczy i zarumieniony, wparła się rękami w jego pierś i usiłowała go odepchnąć. Oficer coraz mocniej przyciskał dziewczynę do siebie i ciężko dysząc, gwałtownie całował jej włosy i policzki...

Charytyna opierała się długo z milczącym uporem i ze złością. Była bardzo silna. Awiłow zaczął tracić siły i już miał puścić dziewczynę, gdy naraz straszliwie' pobladła, ręce jej opadły bezsilnie, oczy się zamknęły.

Gdy się ocknęła, zaczęła histerycznie płakać. Próżne były wszystkie pocieszenia i obietnice. Awiłowa. Wyszedł z ogrodu, pozostawiwszy wstrząsaną szlochem Charytynę na trawie.

Nikomuni ani słowa nie powiedziała o tym wydarzeniu i tylko starannie unikała spotkań z Awiłowem.

A zresztą i sam Awiłow w cztery dni potem wyjechał ze wsi* wezwany depezą przez matkę, która niespodzianie zachorowała;

Od tego czasu nie widział Charytyny i dopiero teraz głos kobiety zza ściany jakoś mu ją przypomniał, niedokładnie zresztą, gdyż Awiłow nie zdążył zdać sobie sprawy ze swoich wspomnień i na nowo zasnął mocnym porannym snem.

— Waszmożność wstanie! Proszę wstać, waszmożność. Już dowódca kompanii poszedł do oddziału! — budził Nikifor rozspanego Awiłowa potrząsając go, oczywiście z należnym szacunkiem, za ramię.

Hmm... a samowar? ;— zamruczał Awiłow z trudem otwierając oczy.

— ^ Bynajmniej! Wszystkie rzeczy odesłane: feldfebel nakazał. Ja tu już waszmożność chyba od godziny budzę. Waszmożność wymyślał mi i powiedział, że herbaty pić nie będzie.

Awiłow wreszcie się opanował, szybko wyskoczył z łóżka i zaczął ubierać się z pośpiechem. Obawiał się, że może się spóźnić. Prędko kilka razy chlusnął sobie na twarz wodą i ledwie za- piąwszy mundur, pobiegł na punkt zborny, w biegu zakładając pas z kaburą i szablę.

Bataliony stały już wzdłuż szerokiej ulicy w prawidłowych, czarnych prostokątach jeden obok drugiego. Awiłow szybko stanął na swoim miejscu, starając się nie spotkać z pełnym wyrzutem wzrokiem dowódcy.

Niebo było jasne, czyste, lekko błękitne. Powiewne białe obłoczki, rozświetlone z jednej strony różowym blaskiem, leniwie płynęły w przejrzystej wyży. Wschód purpurowiał i płomieniał mieniać się w niektórych miejscach perłową macicą i srebrem. Spoza widnokregu, niby olbrzymie rozcapierzone palce, wysterczały do góry w niebie złote pasy promieni od słońca, które jeszcze nie wzeszło.

W dziesięć minut potem zza prawej flanki wyjechał na swym ogromnym, siwym wałachu dowódca pułku. Głos jego rozległ się w porannym powietrzu dźwięcznie i donośnie:

— Czołem, pierwszy ba-ta-li-on!

— Człem-wa-wielko-mo!... — wesolo i rzeško zakrzyknęło czterysta młodych głosów. Pułkownik objechał w ten sposób Wszystkie bataliony, potem

wyjechał przed środek pułku na odległość jakichś pięćdziesięciu kroków, przechylił się całym ciałem do tyłu i zadarłszy do góry głowę, junackim, radosnym głosem wykrzyknął komendę:

— Pod sztandary! Ma-arsz! Ba-a-ość! • Bataliony szczęknęły karabinami i zamarły w bezruchu. Przejrzyście i ostro płynąc w powietrzu, rozległy się dźwięki powitalnego marsza. Owinięty od góry w skórzany futerał, ukazał się nad szeregami sztandar, miarowo kołysząc się pod dźwięki muzyki. Tego, kto go niósł, nie było widać. Potem sztandar zatrzymał się i muzyka zamilkła.

. Pułk wyciągnął się w długą, wąską kolumnę i pomaszerował. Żołnierze szli zwawo, ciesząc się ze świeżego, wesołego poranka, wypoczęci i syci. Wszystkim chciało się śpiewać i gdy Noga swym dźwięcznym, donośnym głosem zaczął:

Hejże spoza górki, hejże spoza stromej Jechał sobie major młody

— żołnierze podchwycili przyśpiew w sposób wyjątkowo jednolity i zgodny.

Wijąc się długą wstęgą pułk przechodził ulicami dużego siola. Awiłow z daleka poznał dom, w którym spędził noc. Przy furtce stała jakaś kobieta z nosidłem do wody na ramionach, w ciemnej sukni, w białej chustce na głowie. „To zapewne moja gospodyni — pomyślał Awiłow —: warto byłoby się jej przyjrzeć”.

Gdy znalazł się obok niej, kobieta szybko, jak gdyby pod wpływem jakiegoś impulsu, odwróciła się i spotkała się wzrokiem z Awiłowem. Poznał ją od razu. Była to niewątpliwie Charytyna: to samo głębokie, łagodne spojrzenie, ta sama poważna i smutna twarz.

I ona też go natychmiast poznała. W oczach jej -na zmianę odbiło się to zdumienie, to gniew, to strach, to pogarda... pobladła, wiadra jej upadły wraz z nosidłem na ziemię i potoczyły się i brzękiem.

Awiłow odwrócił się, ogarnął go nagle ciężki, ostry żal, jak gdyby ktoś brutalną ręką ściągnął mu serce. Jednocześnie nie wiadomo dlaczego pomyślał sam o sobie, że jest takim małym, małym, takim nędznym tchórzem. I czując z tyłu na sobie spojrzenie Charytyny, skulił się i uniósł do góry ramiona, jak gdyby czekał na uderzenie.

A obok niego — z prawa, z lewa, przed nim i za nim — mocne głosy wrzeszczały z pokrzykiwaniem, z pohukiwaniem i z przenikliwym świstem:

Bywaj, Sasza, bywaj, Masza, Bywaj, moja ukochana...

Przełożył Seweryn Pollak

Panna
Natalia

Przez szesnaście lat była damą klasową na pensji dla szlachetnie urodzonych panienek w N. i cieszyła się wyjątkowym szacunkiem zarówno przełożonej, jak i wyższych władz. Szanowano jej surowość pedagogiczną, ofiarność i wieloletnie doświadczenie. Wśród innych dam klasowych krążyły pogłoski, że korzysta u przełożonej z przywileju udzielania poufnych raportów po kolacji. Dlatego nie lubiano jej, stroniono od niej i obawiano się nieco.

Pensjonarki drżały przed nią i jej klasa była zawsze wzorowa pod względem zachowania i postępów, osiągała to jednak bez krzyków, bez kar, a nawet bez skarg wobec rodziców i władz. Było coś władczego w jej zimnym, czujnym spojrzeniu, odczuwało się pewność siebie i siłę w spokojnym tonie jej głosu. Rezolutna szkolna gromada tylko dla niej nie potrafiła znaleźć trafnego, ciętego przezwiska.

Ukończywszy pensję ze złotym medalem, pozostała w niej w charakterze damy klasowej. Nie miała dzieciństwa ani przeszłości, ani czegokolwiek w rodzaju najniewinniejszego pensjo- narskiego romansu — tak jakby przyszła na świat po to tylko, żeby zostać damą klasową.

A przecież była bardzo ładna. Twarz miała o delikatnych rysach, smagłą, żółtawą, usianą uroczymi pdeprzykami. Takie twarze, nieco suchotnicze w typie, podobają się zwykle mężczyznom. I Cała pensja zazdrościła jej talii. A jednak nikt nie próbował za- 9 lecać się do niej. Każdemu się wydawało, że nawet lekkomyślną^ próbą obrazi tę dziewczynę, która poświęciła się całkowicie wy-^g chowaniu dzieci.

Któryś z możliwych opiekunów pensji przezwiał ją „stałym wartownikiem”. Rzeczywiście poświęcała pracy dwadzieścia godzin na dobę — tylko pozostałe cztery godziny zabierał jej sen. Niekiedy zresztą, obudziwszy się w nocy, cichymi krokami obchodziła dormitoria, jak zawsze mocno ściśnięta gorsetem, zapięta na wszystkie guziczki mundurowej sukni. Nie ukrył się przed nią żaden szczegół szarego życia tej ptaszarni, jakby miała zdolność •czytania wszystkich myśli w zarodku.

Przez cały czas swojej długoletniej pracy panna Natalia tylko jeden raz pozwoliła sobie na dłuższy urlop — wtedy, kiedy na zalecenie lekarzy była zmuszona wyjechać na cztery miesiące na kąpiele w odeskich limanach dla poprawy zdrowia nadszarpniętego pracą. Oprócz tego jednego wypadku prawie nie opuszczała murów pensji. Tylko od czasu do czasu, najwyżej raz na parę miesięcy, pozwalała sobie spędzić noc z soboty na niedzielę u chorej ciotki mieszkającej gdzieś na skraju miasta i cierpiącej od lat na jakąś chroniczną chorobę, która zmuszała ją do siedzenia bez przerwy w fotelu.

Ale spędziwszy męczącą noc u chorej, cierpiącej na straszną bezsenność, w dodatku kapryśnej i nerwowej, panna Natalia zaraz nazajutrz wracała na pensję, aby razem ze swoją klasą zdążyć na mszę. Po nabożeństwie, kiedy przełożona ucałowała krucyfiks stawiała na poczesnym miejscu obok chóru, a wszystkie damy klasowe, wracając od krucyfiksu, dygały przed nią, skinieniem wzywała do siebie pannę Natalię:

* — A więc, jak się czuje pani ciotka?

** — Ach, księżno, tylko Bóg ją może uratować. Bardzo cierpi. *** — Dlaczego nie została pani przy niej? **** — Wróciłam do swoich obowiązków, księżno.

Ale ty, moje dziecko, też nie wyglądasz zdrowo.

— Ma tante n'a pas fermé l'oeil pendant tout la nuit.*

-r- Pauvre enfant! Vous perdez votre sante. Allez vite vous re- poser, ma chérie**. Zaraz wydam polecenie, żeby przyniesiono pani bulionu i wina.

W takie niedziele panna Natalia wyglądała nad wyraz mizernie. Zdawało się, że dopiero co wstała po ciężkiej chorobie lub ocknęła się po szaleńczej orgii: tak blada i zmęczona była jej twarz o zapadniętych, podkrążonych oczach, tak wyschnięte pokąsane wargi.

Rzecz w tym, że panna Natalia w ogóle nie miała ciotki. A co najdziwniejsze — przez całe szesnaście lat nikomu to nie przyszło do głowy.

Raz na parę miesięcy, w soboty, po niesporach, panna Natalia skromnie pytała przelożoną:

— Me permettez-vous, princesse, d'aller voir ma tante?***

— Mais certainement, mon enfant. Seulement ne vous fatiguez pas trop.****

I panna Natalia, upewniwszy się swoim zwyczajem, że jej pta- szarnia śpi mocnym snem młodości, wychodziła powoli z bramy pensji, mijając kłaniających się jej z szacunkiem pedli i portierów.

Oddaliwszy się spory kawałek od pensji, wyjmowała z kieszeni gęstą czarną woalkę, otulała nią twarz i zmieniała się błyskawicznie. Była to już kokota, poszukiwaczka przygód, szwaczka z magazynu mód — wszystko na świecie, tylko nie pedantyczna, wymagająca dama klasowa. Szła swobodnym, rozluźnionym krokiem rozpustnej kobiety, przywykłej należeć do setek mężczyzn. Odprowadzała spojrzeniem przechodniów, śmiała się wyzywająco, kiedy ją zaczepiano, a jednocześnie ostrożna i czujna, bacznie uważała, żeby nie zwrócić na siebie uwagi tych, którzy ją znali.

Jej piękna figura nęciła mężczyzn, ale na wszystkie propozycje odmownie kręciła głową, pozbywając się największych natrętów zuchwałym, niekiedy cynicznym okrzykiem i ratując się ucieczką

przed pijakami. Szukała. Długotrwałe doświadczenie i nieomylny instynkt potajemnej rozpustnicy wskazywały jej pośród setek twarzy zwróconych ku niej z pożądaniem tę, która jej była potrzebna. Ze spojrzenia, z drapieżnego profilu, z zarysu dolnej szczęki, ze zmysłowego uśmiechu, białych drobnych zębów, z kroku ta Mesalina odczytywała oznaki namiętnego, nienasyconego, nieznużonego samca i wybierała go. Uroda, wiek, ubiór były jej zupełnie obojętne: czasami bywał to stary człowiek, czasami garbus, czasem nieopierzony kadecik. Wybrana przez nią ofiara nigdy jej nie umykała. Przypadkowe dotknięcie jej łokcia, przelotne spojrzenie, nawet ton, którym wymawiała szablonowe zdanie, zmuszały do szukania jej bliskości. Niewątpliwie istnieją jakieś ukryte, niewidzialne nici, którymi myśli jednego człowieka mogą błyskawicznie łączyć się z myślami drugiego, bodaj dopiero co spotkanego na ulicy.

Wiozła swego wybrańca gdzieś na skraj miasta do brudnego hotelu z najgorszą reputacją i przez całą noc oddawała się wszelkim uciechom, jakie tylko mogła wynaleźć jej nieposkromiona wyobraźnia. Rano, kiedy jej przygodny partner zmęczony potworną orgią pograżał się w ciężkim śnie i wzdrygał się raz po raz, panna Natalia wymykała się z łóżka, ubierała się i zapłaciwszy za wszystkie nocne wydatki, śpieszyła dorożką na pensję. Ani razu nie zgodziła się na drugie spotkanie, chociaż wszyscy w odstępnie między jednym zbliżeniem a drugim błagali ją o to.

Pewnego razu jej partnerem był żołnierz, niemłody, bardzo korpulentny człowiek, chyba pisarz sztabowy. Stało się to w grudniu. Nad ranem, kiedy zaczynało świtać i na zbiegających oknach zarysowały się firanki, żołnierz podniecony jej pieszczotami objął ją, złożył głowę na jej piersi, lecz nagle zaczął rzeźzić i znieruchomiał. W ciągu paru chwil, kiedy panna Natalia niespokojnie pytała, co mu jest, mężczyzna zaczął stygnąć. Domyśliła się wszystkiego, i

przeżona zaczęła krzyżeć tak strasznym głosem, że przybiegła służba hotelowa i wyłamała drzwi.

W pół godziny później zjawila się policja i sędzia śledczy. Ten ostatni, człowiek niemłody, mądry, od razu poznał pannę Natalię, którą widywał co czwartek w pokoju przyjęć na pensji, kiedy przychodził w odwiedziny do córki. Chciał zatuszować tę sprawę, ale zafrapował go jej bezwstyd. Uspokoiwszy się po wstrząsie,

którego doznała na widok nieboszczyka wtulonego w jej nagą pierś, i widząc, że tak czy inaczej jej pozycja na pensji jest stracona — stała się cynicznie szczerą. Stała przed sędzią śledczym w samej halce, zwiłała długie włosy, zarzuciwszy do tyłu nagie ręce i nie wypuszczając z ust szpilek mówiła do niego:

— Dziwi pana, że przez szesnaście lat nikt niczego, absolutnie niczego się nie domyślał? Ach, to właśnie sprawiało mi największą przyjemność. Czy wie pan — niekiedy, zostawszy sama w swoim pokoju, zanosila się od śmiechu na myśl o tym! To było upojne! Uchodzić niemal za świętą — a po nocach uprawiać rozpustę. Ale co będę panu mówiła! Wy, żonaci mężczyźni, nie gorzej ode «nnie rozumiecie te potajemne rozkosze. Czy wierzy mi pan: nikomu do głowy nie przyszło, że pojechałam do Odessy wcale nie dla limanów, lecz po prostu dlatego, że byłam w ciąży.

Sędzia śledczy patrzył na nią z mieszaniną ciekawości i lęku.

— Ale czy pani ani razu nie zetknęła się z jakimś znajomym? — zapytał ze zdumieniem.

Wybuchnęła śmiechem.

— Nie, na szczęście się nie spotkałam. Ale i tak nic nie ryzykowałam, gdybym się nawet spotkała. Zaproponowałabym mu, żeby poszedł ze mną — i tyle. No, niech pan powie sam — pan, człowiek czcigodny i ojciec rodziny... Czy taka propozycja choćby przez swoją oryginalność nie kazałaby panu pójść ze mną? Pan zapewne już od swej córki dość się nasłuchał o moich cnotach!

Po czym, wetknawszy grzebyki we włosy i usiadłszy na krześle, dodała spokojnie:

— Niech pan będzie uprzejmy wezwać posłańca. Chcę go posłać na pensję po moje rzeczy i dokumenty.

I proszę polecić, żeby mi przyniesiono śniadanie.

Przełożyła Henryka Pikulska

Na

głuszce

Nie wiem, czy jakiegokolwiek wrażenia na świecie mogą się równać z tymi, jakich doznaje człowiek podczas polowania na głuszcę. Mieści ono w sobie coś tak niespodziewanego, podniecającego, tajemniczego, trudnego i rozkosznego zarazem, że wrażeń tych nie da się zapomnieć nigdy w życiu.

Budzi się człowiek wśród ciemnej, bezksiężycowej nocy marcowej i początkowo w żaden sposób nie może pojąć, gdzie się znajduje. Leży na polepie obok stosu jarzących się drzazg, po których raz po raz pierzchliwie przebiegają ostatnie jęczyczki ognia. Ściany z bali i niski belkowany pułap pokryte są grubiej niż na palec czarną sadzą zwisającą niby frędzle. Od ściany do ściany będzie z pół sążnia. Zamiast drzwi — wąski otwór, przez który zagląda noc, jeszcze ciemniejsza niż okopcone ściany.

Jednakże potężne chrapanie człowieka leżącego po drugiej stronie ogniska przywraca powoli władze świadomości, która nie zdążyła się jeszcze zupełnie ocknąć. Znajdujemy się w starej, opuszczonej smolarni, w samym sercu Polesia, o czterdzieści wiorst od najbliższej siedziby ludzkiej nie licząc samotnych gajówek, zagubionych w nieprzebytym gąszczu. Ze wszystkich stron otacza nas zwarty, odwieczny bór, równy obszarem solidnemu księstwu niemieckiemu.

Przypomina się cały dzień wczorajszy: wczesny, spieszny wyjazd i wąska drożyna leśna, wijąca się zgoła niespodziewanymi wykrętami wśród drzew — drożyna, którą przebyć potrafią tylko zwyczajone, niepokazne, ale czupurne i zawaięte koniki poleskie. Cały dzień albośmy się przekopywali przez zwały rao-

Jkrego, brudnego śniegu, albo grzęźliśmy w gęstym błocie, albo trzęśliśmy się i podskakiwali razem z wózkiem po wężlastych korzeniskach przecinających drogę, albo też na piaszczystych, ledwie obeschniętych pagórkach schodziliśmy na ziemię i zachęcali okrzykami zmęczone, pociemniałe od potu konie, lub obok mostków zniesionych powodzią przeprawialiśmy się przez nie- głębokie, ale szerokie i rwące, brunatne od błota strumienie leśne. Wreszcie obok jakiejś gajówki droga urwała się całkiem i do smołami dotarliśmy pieszo, wśród zmierzchu, szybko ogarniającego ziemię, po ledwo dostrzegalnych ścieżkach, źli, głodni, co chwila gubiąc drogę i nie dowierzając sobie nawzajem...

Nieruchomy wzrok utkwiony we mnie zmusza, bym się odwrócił. Mój towarzysz już nie śpi. Patrzy spokojnie sennymi, nic nie wyrażającymi oczyma i zawzięcie ssie zagasłą krótką fajkę. Spozstrzegłszy, że już nie śpię, przesuwa językiem fajkę w kącik ust i odzywa się stłumionym głosem:

— Ehe!... Nie śpicie, panyczu? A ja całą noc nie śpię. Wciąż was pilnuję.

— A kto to tak chrapał?

— No, no!... Ja jednym uchem śpię, a drugim wszystko słyszę. Ja chytry jestem... No cóż, panyczu, która godzina teraz będzie?

Patrzę na zegarek.

— Za kwadrans pierwsza... Chyba się zbieramy?

Trofim uporczywie spogląda na dogasające węgle, z namysłem drapie się w potylicę nasunawszy czapę niemal zupełnie na oczy, potem drapie się w plecy.

— No to już — woła nagle z niespodziewanym przyplływem energii. — Zbierać się, to zbierać. Lepiej pójdziemy sobie powolutku, nie będziemy się śpieszyć...

Przygotowania do drogi nie zajmują nam zbyt wiele czasu. Zaciskam mocniej rzemień ładownicy wokół pasa i podciągam do góry poły świtki, żeby dać więcej luzu rękom; mocno wstrząsam się całym ciałem, żeby przekonać się, iż nic na mnie nie brzęczy i nie telepie się, naciągam skórzane „bachyły” * i mocno zawiązuję je na nogach powyżej kolan, a tymczasem Trofim daje mi ostatnie wskazówki i chociaż słyszałem je przynajmniej dziesięć razy, słucham ich raz jeszcze z uwagą i nowym zaciekawieniem.

Trofim Szczerbaty jest rządowym gajowym, którego uwadze i przychylności polecił mnie leśniczy — mój krewniak, a jego bezpośredni zwierzchnik. Trofim jest beztroski, prostacki, trochę samochwał i leń, tudzież w najgłębszej tajemnicy handluje skarbową zwierzyną. To są jego strony ujemne. Za to jest śmiały, zna las nie gorzej niż jego prawdziwi mieszkańcy, strzelec z niego świetny i myśliwy niezmordowany. Do mnie odnosi się protekcyjnie.

— Z początku głuszec ma się na baczności — mówi Trofim pouczająco. — Czok! — i zamilkł. Siedzi sobie na sęku i na wszystkie strony nasłuchuje. Potem znów: czok, czok! — i znowu cicho. Już wtedy niech was Bóg ustrzeże, panyczu, wstrząchnąć się czy sęczeniem chrupnąć, tylko usłyszycie, jak on skrzydłami na cały las załopocze. Chociaż go tam nazywają głuszcem, nie ma na całym świecie takiego czujnego ptaszyska jak on... Potem nagle jak za- syczy! Wtedy to już ile w was pary, sadźcie naprzód... Ile sił... Skoczyłeś z pięć razy — i stać! I — ni mru-mru. Nawet nie pięć, ale choćby ze cztery albo trzy na początek. I już stój... znów czekaj na pieśń. Wtedy on niezabawem zagra znowu: czok-czok... czok-czok... i znowu zasyczy. A wy znowu naprzód i znowu stać, czekać na pieśń. Bywa, że głuszec, jak raz się zapamięta, to bez wytchnienia trzydzieści pieśni zagra, a wy tylko miarkujcie, skaczcie naprzód i tyle. A potem naraz umilknie i a-ni-ni, jakby nożem uciął. Pół godziny, gałgan, będzie się przysłuchiwał. Ano, na to nie ma rady: jakeś został, tak i stój. Nogi się uginają, plecy ciężą, ręce rozbolą, a ty czekaj... A skoro tylko zaczął grać od nowa, to mu, panyczu, jedną pieśń darujcie. Zdarzają się wśród nich takie niecnoty, że strzelca wystrychną na dudka. Takie nazywają się charkuny. Czoknie raz, dwa... ty w skok, a on już

umilkł. Poczeka ociupinkę i dalej charczeć: chrr... chrr!... On tak innym głuszcom podaje wiadomość: uwaga — mówi — strzelec idzie. Już jak gdzieś się taki charkun przyplącze — całe tokowisko psu na buty się nie zda. Tyle umie, cholera, co siedzieć na sęku i pilnować, czy kto nde idzie.

Dostajemy się na górę po trzech ziemnych schodkach, wyłazimy przez wąski otwór i od razu gubimy się w tak głębokiej oćmie, że

•wydaje się nam, jakby nas znienacka wrzucono do jakiegoś olbrzymiego kałamarza. Przystanąłem z niezdecydowaniem, niemal z lękiem. Żeby ulec złudzeniu, umyślnie na kilka sekund przymknąłem oczy, potem otwieram je szybko. Nie! — noc po dawnemu ■czarna, nieprzenikniona, aż zgroza bierze. Podnoszę głowę do góry. Ale na niebie nie widać ani jednej gwiazdy i nagle przenika mnie mistyczna, trwożna myśl: czyżby wszystko, co żyje, było skazane po śmierci na pogażenie się w takim samym przemożnym, wiecznym, przerażającym mroku?

— Co tam z wami, panyczu? Idźcie za mną — słyszę gdzieś przed sobą stłumiony głos Szczerbatego.

Idę więc wsłuchując się w jego kroki, bojaźliwie wyciągając ręce przed siebie i ostrożnie badając nogami grunt. Nawet na mgnienie oka nie opuszcza mnie przeświadczenie, że już-już mam się nadziać twarzą na ostry sęk i od tego oczekiwania odczuwam dziwny, tępy ból w oczach, jakby ktoś naciskał je z zewnątrz •z całej siły.

Idziemy na przełaj, prościutko. Nogi wchodzą po kolana w rzadka jak rozgotowana kasza, ziarnisty, zimny śnieg, pod którym za każdym krokiem głośno chlupie woda. Idziemy to po gęstym błocie, z trudem wyciągając zeń nogi, to znów wydostajemy się na suche i twarde wzgórki, niekiedy zaś stąpamy po omszonych kępkach, miękko i sprężyste zapadających się w dół, kiedy na nie stanąć. Ale gdzie się znajdujemy, dokąd idziemy? — nie wiem. Po pierwszych krokach przestałem się orientować i teraz nasza droga wydaje mi się czymś bezsensownym, uciążliwym i fantastycznym jak nocna zmora. Czasami gałązki jakichś drzew biją mnie po twarzy i czepiają się moich ramion jak długie, niewidzialne ręce. Czasem na wprost przede mną, na jakiś łokieć od mojej twarzy wyrasta nagle czarny, gruby pień drzewa. Przystaję, cofam się z trwożą i wyciągam ręce do przodu... ale palce moje napotykają wciąż to samo nieprzeniknione dla oczu, przesycone ■ciemnością powietrze.

— Idźcie, idźcie, panyczu — zachęca mnie Szczerbaty. — To -niedaleko... będzie z półtorej wiorsty... Można by było... Ó, do diabła!...

Słyszę, jak pada gdzieś w dół łamiąc suchy chrust, i jak później ciało jego z rozmachem wali się w wodę. Opanowuje mnie dziki, egoistyczny lęk i jakaś niepewna, bezradna, mdląca złość. Zdaje mi się, że jeżeli zrobię jeszcze choć jeden krok naprzód, polecę także w głębokie, zimne i maziste oparzelisko.

— W jamę trafiłem! — mówi skądś z dołu Szczerbaty i słyszę, jak wylaząc prycha i człapie nogami po błocie. — Miarkujcie bardziej na lewo, panyczu, na lewo. Idźcie na mnie... o tak... I jak to ja w nią tak zgrabnie wycelowalem? Przecie, zdaje się, dobrze wiem. W tę samą jamę w zaprzyszłym roku łoś utrafił wiosną. Ano i zdechl w niej, nie mógł się wydrapać...

Jego spokój udziela się i mnie i znowu błędę macając rękoma powietrze jak ślepiec i przysłuchując się krokom gajowego.

— Czy dużo jeszcze zostało, Trofim?

— Zostało? Chyba jeszcze z wiorsta będzie. E, nie, nie będzie wiorsty. Mniej... Będzie jeszcze ze trzy ćwierci.

Żeby oszukać swoją niecierpliwość, zaczynam liczyć kroki. „Odliczę chociaż pięćset kroków... myślę sobie — wtedy już reszta to głupstwo”. Udaje mi się już naliczyć więcej niż dwieście, gdy nagle natykam się na plec Szczerbatego, który się zatrzymał.

— Czemu stanąłeś, Trofim?

- "tali Tutaj delikatniej trzeba, panyczu. Będziemy przechodzić rzeczulkę.

Słyszę, jak bystro płynąca woda bulgoce i rozpluskuje się wokół Trofimowych butów, i w tym samym czasie czuję, że ja sam stor pniowo wchodzę do wody, która sprężyste i zaciekle obija się o moje nogi. Rozlana rzeczulka nie jest głęboka, ale tak gwałtownie wali w dół po stromym zbocz, że jestem zmuszony suwać nogami po dnie z obawy, aby prąd mnie nie

zniósł. Niekiedy trafiam na głębię i za każdym razem, znienacka pograżając się w niej, czuję, jak oddech mój przerywają krótkie i pośpieszne westchnienia strachu. Trochę mi straszno, dlatego, że w ciemności nie widzę samej wody, za to ze wszystkich stron, daleko dokoła mnie słyszę jej nagłący pomruk, tajemnicze pluśnięcia i gniewne szemranie...

Wychodzimy wreszcie na piaszczysty brzeg gł twardy i sprężysty. Dopiero teraz spostrzegam, że noc trochę się przejaśniła — spostrzegam, ponieważ widzę niewyraźnie plecy krocącego na przedzie Trofima i niewyraźne zarysy sosen. Trofim idąc zwraca ku mnie głowę i szepcze:

— No, panyczu, idźcie cichuteńko, nie hałasujcie. Zaraz będzie? my na tokowisku. „On” jeszcze pod wieczór usiadł na miejscu, a teraz obudził się i słucha...

— A rychło zaczniesz? — pytam również szeptem.

— Tsss! cichuteńko... Naprzód żurawie zagrają.

Teraz posuwamy się powoli, krok za krokiem. Pod nogami naszymi wije się wążutka ścieżyna leśna, oblodzona i śliska. Trofim idzie zupełnie bezgłośnie w swoich lekkich łykowych postołach, ale ja raz po raz następuję na jakieś gałązka i sęczki i zdaje mi się, że ich trzask rozlega się ogłuszająco po całym lesie.

Trofim przystaje i nie odwracając się przyzywa mnie ku sobie ruchem ręki. Podchodzę. Nachyla się do mojego ucha i szepcze tak cicho, że z trudem rozróżniam słowa:

— Tu staniemy. Cicho, panyczu.

Noc jeszcze bardziej pobladła. Od ziemi podniosła się gęsta mgła. Czuję jej włilgotne dotknięcie na swojej twarzy, czuję jej prząsny zapach. Na jej szarym tle jednostajnie, płasko i mglisto zarysowują się prostymi, gołymi pniami pobliskie sosny. W ich nieruchomości wśród tej głębokiej ciszy, wśród tej mokrej, zimnej mgły wyczuwa się coś surowego — świadomie smutnego i pokornego.

Nie wiem, ile czasu upłynęło, może pięć minut, może pół godziny. Znienacka o uszy moje obijają się takie dziwne dźwięki, że mimo woli wzdrygam się, zaskoczony. Są to jakieś wysokie, niezwykle dźwięczne i harmonijne jęki, wydawane przez całe dziesiątki głosów. W żaden sposób nie mogę się zorientować, skąd one dochodzą: z prawa, z lewa, z przodu czy z tyłu? Biegają na wypródki, wtórują sobie nawzajem, prześcigają się, splatają i znowu rozchodzą tworząc swoisty rytm i oryginalną melodię, a rozbudzony las odpowiada jej dźwięcznym i czystym echem.

— Żurawie — ledwie dostrzegalnie porusza ustami Trofim.

— Uur-rły, urły-rły, urły-rły —| jęczy na cały las niewidzialny chór i ledwie zamilknie, jakby w odpowiedzi mu, skądś z przeciwległego krańca lasu rozlegają się takie same harmonijne jęki drugiego stada zbudzonych ze snu żurawi, potem odzywa się trzecie stado, za nim czwarte... Ten apel poranny jest sygnałem dla całego lasu. Zając zaczyna krzyczeć swym drżącym, piskliwym i urywającym się sopranem, gdzieś w pobliżu nas zafurkotał zardziornie i ostro cietrzew, sowa rozchichotała się na czubie wysokiego drzewa... i znowu wszystko ścicha, pogrąża się w dotychczasowej czujnej drzemce, i znowu stoimy miłoząc, bez ruchu; tając dech i tracąc rachubę czasu podслуujemy leśne tajemnice.

Nagle Trofim otrząsnął się, wyciągnął szyję, podał się naprzód całym ciałem i tak zamarł w napiętej, wyczekującej pozie. Widocznie jego wyostrzony słuch uchwycił jakieś oddalone, słabe dźwięki, jednakże ja, mimo że przysłuchiwałem się i wyęczałem uwagę, jak tylko mogłem — nic nie zdołałem rozróżnić oprócz nieustannego głuchego szumu, jaki rozlegał się w moich uszach.

— Gra! — szepnął Trofim. — Słyszycie?

— Nie.

— Nie szkodzi, idźcie za mną. Jak skoczę, to i wy. Noga w nogę... A jak już usłyszycie całkiem dobrze, wtedy mówcie... Ja wtedy was zostawię... O! Słyszycie? Znowu zagrał.

Jednakże nic nie słyszałem, tak jak przedtem. Nagle Trofim, jak podrzucony mocną sprężyną, poderwał się z miejsca, dał trzy ogromne susy przez głęboki śnieg i zatrzymał się jak skamieniały. Nie mogłem nadażyć za nim i przepuściłem krok niepotrzebnie.

Trofim milcząc obrócił się ku mnie i pokazując twarz wykrzywioną z gniewu i oburzenia, pogroził mi palcem.

Za minutę sprężyna znowu wyrzuciła go naprzód. Teraz już nabrałem wprawy i trafiając nogami w te same miejsca, które dopiero co opuściły nogi Trofima, zdażyłem zatrzymać się razem z nim. Trofim kiwnął głową z uznaniem.

W ten sposób przebiegliśmy chyba ze dwadzieścia razy, zanim wreszcie usłyszałem tokującego głuszca. Były to suche, urywane dźwięki o metalicznym odcieniu, jakby ktoś stukał palcem w pustą blaszankę. Następowały po sobie parami, z początku bardzo rzadko, w paTOsekundowych odstępach, ale później powtarzały się coraz częściej, dopóki nie przeszły w drobny, zlewający się w jedno werbel. W tej chwili Trofim i ja rzuciliśmy się na oślep naprzód, wysoko podzrucając nogi i rozpryskując dokoła rzadki śnieg.

— Trofim — szepnąłem targając za rękaw gajowego. — Teraz ja...

Ale on szorstko wyrwał mi rękę i potrząsnął głową z wyrzutem. Dopiero kiedy głuszec znowu zaterkotał i przeszedł w werbel, Trofim gwałtownie obrócił się ku mnie i zawołał:

— Można mówić tylko w czasie pieśni. Stójcie!

Doczekawszy się jeszcze jednego werbla dodał głośno i pośpiesznie:

— Pamiętajcie: celować w czasie pieśni, ładować pod pieśń i strzelać pod pieśń...

Nareszcie podczas trzeciego werbla powiedział już spokojniej:

— Jeśli chcecie kaszleć — czekajcie na pieśń. No... idźcie.

Głuszczał natychmiast zatokował po raz czwarty. Ruszyłem naprzód. W tym samym czasie pobiegł Trofim, jednak nie za mną, tylko w przeciwną stronę. W ten sposób w ciągu pięciu przebiegów zgubiliśmy się nawzajem i zostałem sam.

Serce mi biło tak głośno i tak drżały nogi pode mną, że postanowiłem przeczekać kilka pieśni, zanim przyjdę do siebie. Wtedy rozróżniłem słuchem zupełnie wyraźnie drugi motyw. Czysty werbel niepostrzeżenie i szybko przechodzi w jednostajny, twarde i ostry dźwięk, podobny raczej do zgrzytu niż do syku i przypominający dźwięk, jaki powstaje przy tarcu dwu metalowych powierzchni. Ów zgrzyt nie trwa długo —około czterech sekund — za to przez te sekundy głuszczał absolutnie nic nie widzi i nie słyszy, jako że ściśle zamyka oczy, a uszy jego korkują się hermetycznie za pomocą kłapek. Przez te cztery sekundy można wystrzelić z armaty o ćwierć łokcia od jego głowy; nie zwróci na strzał najmniejszej uwagi i dociągnie swą pieśń do końca. O wiele później dowiedziałem się, że wszystkie te dźwięki głuszczał wydaje swym krzywym i twardym dziobem. Głuszczał to jedyny ptak, który nie ma języka, za to wielka jama jego dzioba jest wspaniałym rezonatorem. Rozpoczynając pieśń uderza górną częścią dzioba o dolną. Uderzy i przysłucha się, potem jeszcze uderzy i znowu się przysłucha, później tak coraz częściej, dopóki nie przejdzie w werbel. Wtedy głuszczał już nie jest w stanie się zatrzymać. W dzikiej ekstazie miłosnej trze górną część dzioba o dolną, zgrzyta nimi zajadle i zapomina w tym czasie o niebezpieczeństwie, o licznych wrogach, o mądrej rozwadze i w ogóle o całym świecie.

W czasie mojego odpoczynku głuszczał nagle przestał grać i milczał może jakieś dziesięć minut. Potem bąknął raz, ale cicho, ostrożnie, jak gdyby niechętnie, i znowu zamilkł na kilka chwil, potem bąknął drugi raz, już mocniej i głośniej, przeczekawszy jeszcze trochę bąknął dwa razy, potem znowu dwa, zaterkotał,

H

zapędził się i nie mogąc się już zatrzymać przeszedł na drugi motyw. Zgodnie ze wskazówką Szczerbatego przepuściłem pierwszą pieśń. Głuszczał natychmiast, prawie bez przerwy zagrał drugą, i pobiegłem naprzód.

Równa pochyłość, po jakiej biegłem dotąd, przeszła w jednostajne, rozmokłe bagno, porośnięte rzadkim sosnowym lasem. Niekiedy trafiała się mizerna olcha czy osika albo płożące się krzaki jałowca. Samotne kępki, pokryte mchem i brusznicą, sterczały tu i ówdzie spod cienkiego i kruchego zamrozu, który ściał bagno w nocy. Nie zawsze udawało mi się utrafić nogą w taką kępkę i zapadałem się po pas w bagno. Moje „bacbiły” przesiąkły wodą i zrobiły się strasznie ciężkie. W pewnej chwili, wyciągając nogi z cparzeliy nie zdołałem utrzymać równowagi i przebiwszy swym ciężarem cienki lód upadłem na wznak, prosto w grząską i zimną maź. Jednakże starczyło mi męstwa na leżenie w tak niewygodnej pozycji, ażeby nie spłoszyć głuszcza. Leżałem i słyszałem, jak nade mną bulgocą pęcherzyki podnoszące się z trzęsawiska, czułem, jak cuchnąca wilgoć powoli przesącza się za kołnierz i w rękawy mojej świtki... Na szczęście głuszczał niedługo wystawiał moją cierpliwość na próbę. Gdy zagrał, podskoczyłem szybko i umocniłem się na kępce. Z następną pieśnią pobiegłem dalej.

Z każdym przebiegnięciem pieśń stawała się coraz wyraźniejsza teraz już nie tylko dobrze słyszałem oba motywy, ale nawet rozróżniałem między nimi jakiś nowy dziwny dźwięk, jakieś głucho i szybkie furczenie. W końcu zatrzymałem się. Wiedziałem, że głuszczał gra gdzieś zupełnie blisko, tuż nad moją głową, na jednej z sześciu czy siedmiu sosen

otaczających prawie regularnym kołem kępkę, na której stałem. W czasie pieśni podniosłem głowę do góry i zacząłem chciwie wpatrywać się w gęste czapy sosen. Ale czy noc była jeszcze zbyt ciemna, czy mój wzrok nie dość bystry — nie rozróżniałem nic w tych czarnych masach splątanych gałęzi.

A głuszcak grał zapamiętane pieśń po pieśni. Rozpalił się tak, że całkowicie zapomniał o ostrożności; już nie bąkał, ale zaczął prosto od werbla i zaledwie ukończył jedną pieśń, natychmiast podejmował drugą. Nigdy w życiu, ani przedtem, ani potem, nie słyszałem nic dziwniejszego, bardziej zagadkowego i podniecającego niż te metaliczne, twarde dźwięki. Wyczuwa się

w nich coś przedpotopowego, ooś, co należy do dawno zagiń io-, nych formacji, kiedy to ptaki i zwierzęta o potwornym wyglądzie! nawoływały się strasznymi głosami w tajemniczych praWiecznych borach...

Wydało mi się, że w gałęziach najbliższego drzewa poruszyło;: się coś czarnego. To „coś” mogło być i sęckiem, i ptakiem, ale wyobraźnia przekonała mnie, że to głuszec. Przeczekawszy pieśń, drżącymi rękoma odwiodłem kurek i wycelowałem... Nogi dygotały mi z podniecenia, a serce tłukło się w piersi tak, że jego stuk, jak mi się zdawało, rozlegał się po całym lesie.

Głuszec zagrał znowu. Pociągnąłem spust. Zagrzmiął, zagrzechotał las obudzony strzałem ze snu. Na całym jego ogromnym obszarze rozlegało się echo obijając się o drzewa tysiącem z wolna cichnących dźwięków i jeszcze, długo, długo głucho huczało i rozbrzmiewało gdzieś daleko na krańcach... Z drzewa posypał się deszcz otrząśniętego strzałem igliwia. Możliwe, że obsypał również i głuszca, ponieważ na parę sekund przerwał pieśń, ale potem, jak gdyby roześlony na nagłą przeszkodę, zagrał z nową zawziętością.

Natychmiast po swoim wystrzale usłyszałem z tyłu, w bardzo dalekiej odległości, strzał Trofimowej jednorurki — charakterystyczny, długi strzał podobny do armatniego. „Ten to już na pewno nie chybił” — pomyślałem i poczułem, że w serca moim obudziła się zazdrość myśliwska.

Zbliżał się świt. Powietrze stało się chłodniejsze i bardziej wilgotne. Znowu zakrzyczały żurawie i znowu odezwali się na ich wołanie mieszkańcy lasu; donośnie zaskrzypiała żoła, dziki gołąb zajęczał melancholijnie, gdzieś dało się słyszeć nieśmiałe i łagodne bełkotanie cietrzewia, drobne ptaszki z cichym piskiem zatrzepotały w krzakach.

A ja wciąż stałem nie mogąc się zdecydować na ponowny strzał i już mnie zaczynała opanowywać nuda i zmęczenie. Wtem od strony Trofima rozległ się drugi strzał. Coś sę poruszyło w górze nad moją głową. Podniosłem oczy i prawie w tym samym miejsca, gdzie dopiero co strzelałem, całkiem wyraźnie zobaczyłem głuszca.

Ode mnie do niego (było nde więcej niż dziesięć — pdętnaście

34

kroków w linii prostej, ale wydał mi się wielkości gołębia domowego. Zagrywając pieśń, to wyciągał szyję naprzód, to na ipowrót ją wciągał, zupełnie tak samo, jak to czyni gulgoczący indyk, a przechodząc na drugi motyw, obraeał się cały na gałęzi, opuszczał skrzydła w dół i z szumem rozsuwał ogon wachlarzowatp. (Właśnie ten szum, podobny do furczenia, usłyszałem wcześniej, nie wiedząc, co to ma znaczyć). We wszystkich ruchach jego było coś napuszonego, wysoce pompatycznego i zabawnego.

Tym razem nie chybiłem. Głuszec jak kamień zwałił się w dół uderzając głucho i twardo o ziemię. Podbiegłem do niego. Żył i konwulsyjnie tłukł się i podrywał z ziemi, zajadle bijąc potężnymi skrzydłami. Jednakże cierpienia jego nie trwały długo. Upadł grzbietem w płytką kałużę i już nie mógł się podnieść. Szyja jego parokrotnie uniosła się ponad wodę i opadła, potem po nogach przebiegło drobne, częste drżenie i już było po wszystkim.

Podniosłem go. Ważył około piętnastu funtów i był wielkości średniego indyka. Szyję i brzuch miał czarne, grzbiet jasnobru- natny z siwawymi plamami, brwi czerwone o aksamitnym odcieniu, łapy w szarych nogawricach, a pazury ich pokryte kościstymi frędzlami, oko okrągłe, brązowe z wielką, okrągłą i czarną źrenicą.

Rychło usłyszałem nawoływanie Trofima i zesliśmy się razem na poprzedniej ścieżynce. Zza pleców zwiślały mu dwa głuszce, które zwiiązał razem, przewłókszy postronek przez ich dzioby.

— Ja chytry jestem — mówił z przechwałką. — Jak podszedłem do swojego koguta, tak słyszę, że na ten raz i drugi przyleciał, ale tak bliżutko, wszystkiego jakiegoś trzydzieści kroków... i jak zaczęły oba grać! No, myślę sobie, jak swojego zabiję, tak drugi posłyszysz i

uleci. Ot co ja zrobiłem! Przymierzyłem się do swojego i czekam, kiedy drugi zagra. Tamten jak zagrał, ja zaraz j!l bach! — i jest. I zaraz do drugiego — rraz! i gotowe. Ot, jak u nas, panyczu.

Potem zważył mojego głuszca w rękę i pochwalił:

— Kogut piękny... Dobry kogut... No, wieszuję łupu, panyczu!

W powrotnej drodze las się obudził do reszty, ożył i cały na

JS

pełnił się radosnym zgiełkiem ptactwa. Pachniało wiosną, roz- marzniętą ziemią i zeszlorocznym zbutwiałym listowiem. Błękitne niebo było takie chłodne, czyste i wesołe, a wierzchołki sosen, jakby osypane złotym pyłem, już się wygrzewały w pierwszych promieniach wiosennego słońca.

Przełożył Jerzy Lilwiniuk

Z ulicy

Tak jest, całkiem słusznie. Całkiem słusznie pan to określił panie... Wybacz pan, nie mam wielkiego zaszczytu znać pańskiego imienia i imienia pańskiego ojca... Główna przyczyna — dlaczego upadłem i teraz tak nędznie wegetuję — to słabość mojego charakteru. Tak to też określił obrońca podczas rozprawy. „Macie przed sobą, panowie przysięgali, jaskrawy przykład fizycznej i moralnej degeneracji, wykwitły na gruncie dziedzicznego alkoholizmu, złego odżywiania i wstydliwych chorób”. Przedtem oglądało mnie trzech profesorów i jednogłośnie orzekli to samo. Natychmiast zapisałem to sobie w notatniku. Dlatego, że muszę to przyznać, jakkolwiek utraciłem już obraz i podobieństwo człowieka inteligentnego, lubię jednak ludzi wykształconych i cenię naukę.

Patrząc na mnie z pewnością nie powiedziałyby pan, że ten oto siedzący tu przed panem osobnik też w swoim czasie kroczył prostą drogą, mógł zyskać dobre imię i zrobić karierę. Naprawdę tak było. Wyrażę to symbolicznie. Jest tu na Peresypie knajpka pod nazwą „Jagódka” z prawem wyszynku mocnych napojów, istna .— wybacz pan — spelunka. I w tej knajpie wiszą nad szynkwa- sem dwa obrazki, coś jakby wskazówka lub przestroga, gdy ktoś jest jeszcze trzeźwy. Jeden przedstawia oberwańca, coś jakby mnie; śpi w błocie pod płotem, tuż obok pochrząkuje świnia. I podpis: „Mógłby być człowiekiem”, i wykrzyknik. Na drugim obrazku napis: „Kupował za gotówkę — kupował na kredyt”, i narysowane dwa indywidua. Jeden chudy, obdarty, nogawki ma obszarpane przez psy, trzyma się za głowę, oczy wychodzą mu na wtoerzch — to ten, co na kredyt. A drugi siedzi do niego tyłem, taki, wie pan, tłusty burżuj z bokobrodami, rozwalił się z cyga

rem i śmieje się, a przed nim kasa nabita słupkami złotych monet. Jarmarczne to obrazki, tandeta, nawet ja nigdy czymś takim nie handlowałem, ale zasługują na uwagę dlatego, że to jakby aluzja do mojego własnego życia. Cha cha! Bufetowym był tam Wukół Naumycz. Twardy staruszek. Mówię mu raiz tak: „Zamówiłbyś, Wukole, jeszcze jeden obrazek, jak ten obszarpany schwycił tego bankiera jedną ręką za gors, a drugą sięga do kasy ogniotrwałej. A pod spodem napis: „I co z tego wyszło”. Ale, ma się rozumieć, bufetowy nie znał się na żartach. Powiedziałem mu to po prostu jako alegorię, a on chciał wołać stójkowego, że niby to ja jemu samemu groziłem w ten sposób. Wiadomo — cham.

A o trzecim obrazie, to jest o mojej fantazji, wspomniałem panu-, mój wielmożny panie, nie przypadkiem. Ponieważ sam kiedyś próbowałem zająć sędę taką praktyką i przez to wykreślony jestem z listy żyjących. Chwała Bogu i tak, że sąd z udziałem ławników uznał mnie za. niepoczytalnego i wypuścił na wolność, bo przyszłoby mi iść wydobywać „miedź i złoto” w najbardziej odległych stronach.

Jeśli już doszliśmy do tego, to pozwoli pan, zacznę lepiej od początku. Wybacz mi pan, szanowny panie, ale z pańskiej powierzchowności i z mowy domyślam się, że jest pan pewno dziennikarzem. No cóż, może moja autobiografia przyda się panu do niedzielnego felietonu lub artykułu popularnonaukowego. Ja bardzo chętnie. Na przykład niech pan zatytułuje: „O tym, jak niektóre jednostki bezsensownie urządzają sobie życie”. Lub, jeszcze lepiej, po prostu: „Spowiedź przestępcy”. Czy można, a propos, zrujnować pana jeszcze jedną kolejką? Tylko niech pan pozwoli aamówić to co zawsze, po osiem kopiejek. Przynajmniej jest bez gliceryny. Ej, psst, czyżyku, dwa piwa. Co się gapisz, dumniu, jak wół na malowane wrota? To pan stawia. Nie widzisz, komu usłu* gujesz, bałwanie?

Nie wierzy, fagas jeden. Co prawda, ja tu kiedyś, tak jakoś, narobiłem wielkiego bum tarara. No i, oprócz tego, mój ekwipunek. Wie pan, jak w „Grand Hotelu” śpiewa pewna szanso- nistka:

Orr-gi-nalny ubiór mój Podziw budzi strój Tara-rara, tiri-tara...

Tak jest, panie bufetowy. Jestem winien, sam rozumiem, w takim miejscu i nagle — kuplety. Więcej nie będą, milczę. Tak. No właśnie. Pan mi łaskawie wybacz, panie szanowny. Jeżeli dobrze się zastanowić, nie jestem godzien przebywać z panem w tej samej sali. Kim pan jest — a kim ja jestem! Ale pan współczuje człowiekowi pokaranemu przez los i nawet nie brzydził się posadzić go obok siebie. Niech pan pozwoli, w rączkę pana za to pocałuję. No, nie, nie, nie, nie będę... Niech się pan nie gniewa, przepraszam.

Tak. No właśnie. Przedtem powiedziałem panu, że jestem byłym studentem, ale to wszystko nieprawda. Po prostu zobaczyłem, że inteligentny z pana człowiek i pomyślałem, że takiego najlepiej złapać na studenta. I strzeliłem. Ale pan potraktował mnie łaskawie, więc będę z panem całkiem szczerzy... Na uni- wersyteoie byłem tylko raz w życiu, a i to na zjeździe archeologicznym, kiedy pracowałem jako reporter w gazecie. Byłem, nie ukrywam, zalany, i co tam takiego mamrotali, nic nie rozumiałem. O jakichś kamiennych babach z jakiegoś okresu...

Jednak, pozwoli pan zauważyć, że mimo wszystko mam jakie takie wykształcenie. Dzięki Bogu do dziś pamiętam: Alcybiades był bogaty i- znakomitego rodu, natura szczodrze obdarzyła go zdolnościami... było tam jeszcze o psie, któremu obciął ogon... wyjątki na is i inne takie...

Ojciec mój był tapicerem i dekoratorem, miał własny warsztat w Kudrunie, w Moskwie. A matkę słabo pamiętam. Pamiętam tylko, że była tęgą kobietą z jednym okiem, a drugim jakby ciągle do kogoś mrugała. Pamiętam jeszcze, ale to już zupełnie jak przez sen, jak ją przy mnie obejmował nasz starszy majster Szykunow i mówił: „To nic, Andiiuszka jest mały, on nic nie rozumie, damy mu kopiejkę”... Pili oni, tatuś z mamusią ma się rozumieć, na okrągło, wciąż od nich zalatywało winem, i walili mnie czym popadło, jak to się mówi pałką,

wałkiem, trzepaczką. Wychowanie moje negliżowali,* i rosłem jak chwast, na ulicy i na podwórku. Prawdziwym moim wychowawcą był pomocnik majstra; na imię miał Juszka* Muszę panu powiedzieć, że widziałem w moim życiu mnóstwo

najróżniejszych figur. Wystarczy już to jedno, że siedziałem w więzieniu. No, ale takiego świntucha i bezwstydnika jak on nie spotkałem ani razu. Czego on nas, małych chłopców, uczył, do czego nas zmuszał, tam za wozownią między drzewami, nie odważyć się nawet panu powiedzieć — wstyd. Przysięgam. A przecież sam był prawie dzieckiem*..

To jeszcze głupstwo, że paliliśmy, piliśmy wódkę, graliśmy w orła i reszkę i w karty, że po cichutku wyciągałem ojcu pieniądze. Sam ojciec przy święcie, kiedy mieliśmy gości, zabawiał się w ten sposób, że pompował we mnie wódkę aż się spałem i kazał tańczyć... Z Juską bywało gorzej. Mając jedenaście lat poznałem kobietę; cobyło się to znów na tyłach zabudowań, pod kierownictwem tegoż Juski. Dziwne doprawdy? Ten człowiek całkiem zniknął z mojego horyzontu i nie wiem, gdzie jest: na katordze, czy zabili go gdzieś jak psa... Ale nikt nigdy nie miał na mnie takiego piekielnego wpływu. Bałem się go nadzwyczajnie. Gzy pan uwierzy: nawet teraz czasami widuję go we śnie, że niby mnie okłada pięściami — i budzę się ze strachu... Pańskie zdrowie! A pan? Nie? Jak pan sobie życzy. Dobrze! Zimne.

Tymczasem jednak podrosłem. Nie wiem już, jaki cudotwórca przepchnął mnie do gimnazjum, do klasy przygotowawczej. Myślę, że nie obeszło się tu bez zwitka papierków — wsunęli pewnie komu trzeba. I tu właśnie zaczęła się droga przez mękę mojej grzesznej duszy.

W trzy lata przeszedłem przez wszystkie chyba zakłady naukowe, kl-asyczne i realne. A to wsunąłem nauczycielowi do kieszeni przeżuty papier, a to znalazłem się pijany na ulicy. W jednym miesiącu ukradłem koledze komplet piórek... e cetera, ece- tera,* w tym stylu.

Zdarzało się, przyjdę do domu — ojciec od razu widzi po o- czach. „Wywalili!” Ja milczę. Ach ty s...synu! Poczekaj tylko, oddam cię do szewca, to dopiero bekniesz. No już, przynieś rzemień.

. W końcu nie było już dokąd się przenosić. Zostało tylko jedno prywatne gimnazjum Chacimowskiego. Może pan słyszał? Cu-

dow-ne było, donoszę panu, przedsiębiorstwo, jednym słowem — zamek cudów i czarów. Jakiś kupiecki nicpoń co to do piętnastu lat biegał za gołębiami, tata-mama nie napisze, bez błędu i prozę, po pięciu latach wychodzi od Chacimowskiego ze świadectwem dojrzałości.

Co prawda, w ostatnich klasach siedziały tam już bardzo dojrzałe chłopcy, do lat dwudziestu pięciu — brodaci, szacowni ludzie. O jednym takim dzikusie opowiadali, że chodził do szkoły razem z synem. Syn do klasy przygotowawczej, a on do siódmej. I obu im w domu robili kanapki na śniadanie;

Trafiali tam wyłącznie kupieccy synowie i szlachetki — wszyscy bez wyjątku tacy, których już zewsząd wyrzucono. Pieniądze za naukę brali solidne. I była ta szkoła czymś w rodzaju zwierzyńca: zabijaki, skandaliści, tępaka, sami wybierani — najbardziej rozpuszczeni chłopcy.

Na nauczycielach jeździliśmy wierzchem. Ale co też mieliśmy za nauczycieli. Ta-akie gęsi!...

Ostatni szlif otrzymałem u Chacimowskiego. Ale i stamtąd mnie w krótkim czasie — fit! Za co? Za to i owo. Zaczęło się od tego, że wychowawca odebrał mi album z takimi, wie pan, karteczkami, z wierszowanymi objaśnieniami do mojej własnej muzy, no i tak dalej... Szkoda wspominać! Pasoń*, jak mówią Francuzi.

Przyszedłem do domu. Ojciec znów za rzemień, ale zobaczył, że już jestem silniejszy od niego i pękł — stop! Bardzo się rozgniewał.

— Jedna — mówi — droga ci została, chwaście ty nięobyczaj- ny. Jazda w żołdacy!

Wstąpiłem na ochotnika. Cztery lata z rzędu zdawałem egzaminy do szkoły junkrów i nijak nie mogłem pokonać otchłani niewiedzy. W końcu uprzykrzyła się, widocznie, moja fizjonomia egzaminatorom — przepuścili. Jeszcze ze szkoły odsyłali mnie trzy razy do pułku za różne sztuki. Ze szkoły wyszedłem jako podchorąży; z tym tytułem przetrąbiłem dwa lata i

zostałem mianowany oficerem.

No, nad tym, co wyprawiałem jako oficer nie będę się rozwodzić. Szczegóły na piśmie. Powiem krótko: piłem, rozrabiałem, pisałem weksle, tańczyłem kadryla w domach publicznych, biłem Żydów, siedziałem w areszcie. Ale powiem jedno, daję panu moje najświętsze słowo honoru — w kartach zawsze byłem akuraty. A wywalili mnie jednak właśnie za karty. Chociaż prawdziwy powód był, niestety, jeszcze gorszy. No, ale wszystko jedno — opowiem.

Miałem w pułku kochankę, żonę pewnego oficera. Wie pan: odludzie, nędzna południowa miścina, chandra, brud —■ tylko takie mieliśmy rozrywki: służba — walenie żołnierzy po mordach i wódka, i karty. No i jeszcze właśnie te romanse. I tak zajadle romansowaliśmy, że wszyscy, jak leci, mogliśmy uWażać się za krewnych. I nikt w tym nie widział nic szczególnego. Bo i wszyscy wiedzieli: ktoś tam żyje z jakąś tam, jej męża zastali z tą a tą, a z nią żyje porucznik Iwanow, a wcześniej porucznik Iwanow żył... słowem — przekładaniec;

Zwała się Maria Nikołajewna, szczuplutka była, twarz jak u upadłego anioła — chudziutka, delikatniutka, usteczka malutkie, różowe, blondynka, oczy ogromniaste, jasne, niebieskie. Wykształcona. Instytut ukończyła z medalem, grała z pamięci pana Szopena, z dobrej szlacheckiej rodziny była i zamożna. Wielu się wokół niej kręciło, jak tokujące cietrzewie, ale nic z tego. A ja, wie pan, poszedłem i wziąłem ją na bezczelnego, a jeszcze tak niespodziewanie to wyszło, że nawet ja sam tego nie oczekiwałem. Dzieci miała dwoje, dwie córeczki.

Składałem wizyty wielkanocne. Prawdę mówiąc te wizyty to był po prostu pretekst do wyjątkowego pijaństwa. Wynajmowało się na cały dzień faeton i rznąło się od jednego domu do drugiego. Gdziekolwiek się przyjechało — cały stół napitków i zakąsek: maślane baranki, mazurki, baby z rodzynkami, szynka w pergaminie, tamiówka, żubrówka, śliwowica. Trach trach, rąbnąłeś pięć-sześć kieliszków pogadałeś, pogadałeś i jazda do następnych znajomych. „Ach, co też pan, «ny się z nikim nie całujemy!” — „Nie, to proszę wybaczyć, jakie z pań chrześcijanki? Niece. Nawet w psalmach śpiewa się: Obejmujemy, ucałujemy”... i tak dalej. Znany program.

Do Marii Nikołajewny przyjechałem już pod wieczór. Siedzę i nawet nie bardzo wiem co jem, co piję, co plotę. Jej mąż, podpułkownik, chrapie Obok w sypialni, też z wizyt wrócił. Godzina była taka szaruteńka, ni to dzień, ni to wieczór, na dworze deszczyk, smutno, zegar tyka, rozmowa się nie klei. Jakaś tęsknota mnie naszła. Zacząłem opowiadać Marii Nikołajewnie o moim dzieciństwie, o Jusce, ojcu, o rzemieniu, o tym, jak mnie wyrzucali z gimnazjum. I rozplakałem się. I niech pan posłucha, jaki człowiek potrafi być podły. Sam płacząc, łzy mi kapią i z oczu, i z nosa, trzęsę się cały, opowiadam pięknej, wykształconej damie najpotworniejsze obrzydliwstwa — już, zdawałoby się, duszę wywróciłem na nice! A jednak nie — przedstawiłem siebie mimo wszystko w zachęcającym świetle, coś jakby Eugeniusz Oniegin; ciężkie dzieciństwo, zapiekła w bólu dusza, nigdy żadnej pieśczoży — czego ja tam nie naplotłem. Patrzę, a ona też płacze. Pochyliła, wie pan, głowę na bok, oczy jej zогromniały, a łzy po policzkach płyną szybko, szybko, szybko. I to mnie wzięło. Słyszę, że mąż obok chrapie, pochylilem się ku niej i zupełnie jak pierwszy amant w teatrze: „O! Czyżbyś mogła płakać? Przez ko-ogo? Przeze mnie? O, te święte łzy! Czym je okupię?” I już ją miętoszę rękami. Nie sprzeciwiała się, nie powiedziała ani jednego słowa — oddała mi się jak owieczka. A twarz miała całą mokrą od łez.

Dowiedziałem się wtedy, jaka to sztuka — władza nad człowiekiem. Od tego wieczoru Maria Nikołajewna została moją niewolnicą. Dosłownie. Robiłem z nią, co tylko chciałem. I ona sama potem często mi o tym mówiła: „Tak, wiem, że jesteś łajdakiem, niegodziwy z ciebie człowiek, rozpustnik, a ponadto jesteś malutkim, podlutkim człowieczkiem, jesteś alkoholikiem, zdradzasz mnie z najnędźniejszym? wywłokami; w każdej choć jako tako

szanującej się kobiecie powinieneś być budzić wstręt fizyczny i moralny... a mimo wszystko ja ciebie Kocham. Jestem twoją niewolnicą, twoją własnością, twoją rzeczą. Jeśli kogoś zabijesz, obrabujesz, zgwałcisz dziecko — po tobie przecież można się wszystkiego spodziewać — to ja będę cię kochać przez całe życie. Jesteś moją chorobą".

Podobne peany nie jeden raz mi wygłaszała, a także pisała w listach i dobrze zapamiętałem te słowa... I skąd to się bierze, niech mi pan powie — przecież jest pan, jak widać, człowiekiem « wykształconym i odcytanym — dlaczego tak często mądre, miłe, piękne kobiety kochają różnych bydlaków? Może dla przeciwnie — I stwa? A ile, ile widziałem takich, przypadków w moim życiu. I myśli pan, że ona była jakaś szczególnie namiętna, ta Maria Nikołajewna. Ani trochę. Zawsze tylko ustępowała moim nalega- niom, a traktowała mnie jak matka. Nie tak, jak moja rodzona mamuśka, co mnie na świat wydała, ale naprawdę: łagodnie, troskliwie, czule.

Tak. Mówiłem teraz o władzy, i czy może pan sobie to wyobra- j I zię, stała mi się Maria Nikołajewna tak wstrętna, że i mówić I szkoda. Znęcałem się nad nią jak zwierzę: wyganiałem ją od I siebie, kiedy przychodziła; wyznaczałem spotkania i raz na pięć I razy zjawiałem się; jej listy — miłe, czule, dobre listy — na kanapie, na podłodze tygodniami walały się nie rozpieczętowane. Pieniądze ciągnąłem od niej bez przerwy, na hulanki, na grę, brałem i na kobiety. I wie pan, co panu powiem? To filozoficzna myśl. Żadne zło na tym świecie nie przepada, nie ginie. Jeśli będąc jeszcze dzieckiem oberwałeś żukowi skrzydełka, to i to będzie ci policzone i zważone. Pan Bóg, u siebie na górze, prowadzi dla nas wszystkich podwójną włoską buchalterię: przychód i rozchód — wszystko pozapisywał w odpowiednich rubrykach. Zresztą, według Darwina Boga nie ma. A więc, los — wszystko I jedno. I mocno wierzę, że kiedy mi później, uch, jak zdrowo ło- I motało we łbie, to za nią to było, za Marię Nikołajewnę. Ober- I wałem jej skrzydełka, zgubiłem ją, wdeptałem w ziemię, zbru- I kałem duszę, i wszystko to robiłem bez litości, jej samej niena- I widz ilem do dreszczy, do szaleństwa!...

Raz zebrała się u mnie kawalerska kompania. Piliśmy, gra- I liśmy, śpiewaliśmy, potem znów piliśmy i znów graliśmy. Spłu- I kałem się do nitki. Dwa razy posyłałem ordynansa do Marii Ni- I kołajewny po posiłki i znów plajtowałem. Pamiętam, że za dru- I gim razem przysłała mi karteczkę: „Mój drogi, niech pan się I postara powstrzymać od postępów, za które jutro sam pan będzie I przepraszać. I cokolwiek by się stało, niech pan pamięta, że ma I pan przyjaciela, który gotów jest zrobić dla pana wszystko". I Kiedy w sieni odbierałem od ordynansa pieniądze, porwałem ten list na drobne kawałeczki i cisnąłem na podłogę.

Porucznik Parfienienko zgarnął wszystkie pieniądze, jakie w ogóle mieliśmy i nagle rozboleł go brzuch; uciekł do domu, bo nie chciał grać na krechę. A my znów do picia. Była to już druga doba bez spania. Wtem rozgadaliśmy się o naszych damach. Ta ma długie nogi, to dobrze, ale za to bardzo chude: w sukni to ładnie, a rozbierzesz — jak szydło. Tamta ma pieprzyk na pośladku. Inna ma takie specjalne, ulubione słóweczka w sekretnych chwilach. Trzecia tak oto całuje. Jednym słowem rozebraliśmy wszystkie do ostatniej haftki. Po co się krepować w rodzinnym gronie. Wal śmiało!

Zaczęli pytać o moją. A ja w pijackim zapale jak nie chlapanę: jeśli chcecie, to tylko gwizdnę, a ona tu jak piesek przybiegaie i wszystko wam sama pokaże. Zwątpili. A ja zaraz, momentalnie, karteczkę przez ordynansa: „Tak i tak, droga Mario, proszę przyjść niezwłocznie, inaczej nigdy mnie już pani nie zobaczy. A żeby pani nie myślała, że to żart lub próżna groźba, to kiedy tylko przyjedzie pani mąż, tego samego dnia, wszystko mu wyja- wię"... a słowo „wszystko" podkreśliłem trzy razy.

I co pan myśli? Przybiegła. Błada, zdyszana, ledwo się trzymała na nogach. Weszła i stanęła w drzwiach, oparła się o futrynę, wargi sine jak u trupa, zęby szczękają. „Dzień dobry, Andrie- ju Michajłowiczu! Przechodziłam obok, patrzę, światło, myślę, a może mąż jest u pana? Bałam się, że go pan usadzi do kart. Przecież taki z pana deprawator". Słowem, nie wie, co plecie, zupełnie jak w malignie; przecież cały pułk wie, że jej mąż pojechał do okręgu pobierać ostrą amunicję. Patrzy i stara się uśmiechać, fe oczy — ogromne, niebieskie

— patrzą na mnie ze strachem. Uch, nienawiść mnie wzięła na nią. „Rozbieraj się” — mówię. Zdejma narzutkę — a ręce tak jej chodzą, całkiem jak u pijaka. Zrozumiała przecież, zrozumiała od pierwszej chwili, czego od niej chcę. Zdejma narzutkę. A ja krzyczę: „Rozbieraj się dalej, ściągaj stanik, spódnice precz!” A ona nawet nie mrugnęła, oczu tode mnie oderwać nie mogła. Złapała górny guzik — rozpięła, zaczęła namacywać drugi, ale od razu go nie znalazła, palce latały. I ani słowa, ani dźwięku. No, ale tu koledzy się wmieszali. Wszyscy byli pijani, zezwierzęceni, czerwoni i obrzmiali, ale ich

uraziła ta pantomima. Uraziła do tego stopnia, że kiedy ona wyszła — patrzmy, a podporucznik Bakanow leży zemdlny. Był to całkiem jeszcze zielony chłopaczek, "nieśmiały, taki uprzejmy, przyzwoity, chociaż pił ostro. Przyrzekli oni — i jej i mnie -- wszystko zachować w tajemnicy, ale gdzie tam. Historia stała się znana w całym pułku i czara moich występów, wyrażając się górnolotnie, przepelniła się. Wszyscy zaczęli patrzeć na mnie z ukosa, widzę — unikają podawania ręki, a kiedy ktoś już podał, to tak szmyrgał oczami po bokach, jakby coś przeszkrobał. Otwarcie nic mi nie powiedzieli dlatego, że żal im było Marii Nakoła- jewnny. Jakoś od razu wtedy domyślili się, że to nie romansik, nie banalny związek z nudów, a coś dziwnego, ogromnego, chorego:! — jakaś ni to psychologia, ni to psychiatria. I męża jej żalowali. Był to zasłużony podpułkownik, obrońca Szipki i pozostawał, a wydaje się, do dziś dnia pozostaje, w stanie słodkiej niewiedzy.

I wszyscy czekali na okazję.

Kiedyś grali w kasynie w landsknechta, grę oficjalnie niedo- I zwoloną w klubie oficerskim, ale patrzyli na to — o tak. Pod- I -szedłem i ja. Karta szła mi okrutnie tego Wieczora, aż głupio, I tak szła, ale serce moje było jakieś strwożone, niewesołe. I jesz- I cze co było dziwne: w westebulu "napotkałem podporucznika Ba- I kanowa, nie przywitaliśmy się nawet, tylko tak przelotnie popa- I trzyliśmy na siebie, nie wiadomo czemu zrobiło mi się nagle jakoś I smutno i obrzydliwie. Kółko obeszło siedem czy osiem razy M I nadeszła znów moja kolejka trzymać bank. Położyłem, jak dziś I pamiętam, po prawej dwójkę karo, po lewej króla pik i wykładam I środek, raz, dwa, trzy, pięć, dziewięć; widzę — zmieszała się karta, I ale mówię sobie: „Zamieszała się na korzyść bankiera — znany I karciany zabobon. Na koniec — hop — wyrzucam dwójkę. Moja! I Ale co za los! — pogubiłem się, wypadły od razu dwie karty. I I nagle słyszę z tyłu: „Pan "podpiorucznik prócz tego, że łajdak tc I jeszcze i oszust!" Obróciłem się, a Bakanow jak nie trzaśnie mnie I całą talią w twarz. I jeszcze ktoś 'obok uderzył mnie w policzek, I i jeszcze, i jeszcze — ze wszystkich stron! Krzyczę: „Ależ pano-1 wie! Co się stało! Wybaczcie, to nieporozumienie!" A oni na mnie I krzyczą: „Precz z kasyna! Wygnąć go! Przez okno go wyrzucić! I Szuler! Jutro won z pułku!"

Pan rozumie — nie chcieli urządzić Marii Nitoolajewnne skan-J dalu wobec całego towarzystwa, no i przyczepili się do głupiego przypadku. W dwa dni potem oficerski sąd honorowy zaproponował mi złożenie prośby o przeniesienie do rezerwy. W ten sposób przegnali mnie z pułku, zupełnie jak parszywego psa... I słusznie. Cóż... jestem sprawiedliwy, sam wiem, że zasłużyłem. Ale zresztą... pason! Jeszcze piwa? Bardzo dziękuję, nie odmówię. Wu zet tre zemabl.* Tylko jakoś mi niezręcznie ciągle samemu i samemu...',

III

Kim byłem potem? Niech pan lepiej spyta, kim nie byłem. Taaka karuzela mną zakręciła! Byłem dziesiętnikiem przy zakładaniu kanalizacji, byłem palaczem w Żegludze Azowskiej, kreślarzem, komiwojażerem, pomocnikiem dentysty. Tachałem bagaże na przystani tutaj, w tym samym mieście, pracowałem jako zecer w drukarni. Poza tym w czasie, kiedy byłem zecerem ożeniłem się. Jakoś tak to głupio wyszło. Ale i tak, po półtora roku, odszedłem i rzuciłem żonę i synka. Zabawny był dzieciaczek, a jaki śliczny! A w ogóle to ja dzieci kocham do szaleństwa! — dzieci i zwierzęta. I nie było przy rozstaniu niczego: ani kłótni, ani awantury, ani zdrady. Po prostu pewnego pięknego majowego poranika pociągnęło mnie w świat. Miałem oprócz tego jeszcze jedną myśl, że beze mnie żona jakoś się urządzi, a ze mną, tak czy owak czeka ją zguba. I dlatego „nie mówiąc nikomu ni słowa, płaszczęm okrywszy pół lica", wsunąłem paszport do bocznej kieszeni i fru, fru do innego miasta.

Byłem potem śpiewakiem, pracowałem w operetce w chórze, występowałem także w trupie dramatycznej; moje emploi — prostak i drugi komik ze śpiewkami. Około roku odbywałem nowicjat w klasztorze. Boże, wszystkiego się nie spamięta!

Z klasztoru sprytnie mnie szurnęli — W jednej chwili. Byłem wyznaczony do służby w klasztornym hotelu. I owszem, wesoło się żyło. Ze zbiórki do puszek należało się dziesięć rubli miesięcznie, a były jeszcze jakieś tam poboczne dochodziki. Popijaliśmy niezgorzej, a jeśli chodzi o to... W ogóle — ciekawie. Zły zawsze

wokół miejsc świętych krąży... Pokusa! Latem do nas, do ołtarza, i tysiąc bab się złąziło, bogate chłopki, mieszczańeczki, kupcowe, drobniejsze ziemianki, różne — młode i stare! I co jest uderzające, nie ma dla kobiety wleńkszej rozkoszy niż grzeszyć i kajać się, kajać się i grzeszyć. A już tym bardziej, kiedy wokół taki modlitewny nastrój, spokój, wzdychanie, rozczulenie... A oto dlaczego wyproszono mnie ze świętego miejsca. Wisiały tam na ścianach takie jakieś zadrukowane arkusze: nie modlitwy, ale takie... wierszowane ćwiczenia niejakiego ojca Paschalisa. Zatytułowane były tak: „Duchowa walka z niewidzialnym wrogiem”. Nawet teraz przypominam sobie kawałki: „Bracie, z modlitwą zamykaj drzwi, by zwierz nieczysty nie wdarł się ci... Rozewrze on paszczę grzechu ognifistą, a ty nie zwlekaj do żegnania przystap... On chce cię użądlić lenistwa ogonem, a ty go odganiaj i skruczą, i postem... Przeciw baterii złych namiętności wznos szybko szaniec wstrzeźliwości... Będzie on puszczał zazdrości kartacze, mowa zbawienia posłuży za tarczę...” I tak dalej z granatami, i z bombami, z pcciskami i kulami... A ja któregoś dnia razem z jednym hotelowym zakonikiem Prochorem, załaziłem się i powyżej napisałem ołówkiem moje własne rymowanki w rodzaju tych, jakie, pan wybaczy, można znaleźć na ścianach w znanych miejscach publicznych, i -zupełnie zapomniałem o tej okoliczności.

A tu nagle wyznaczili nam nowego przewielebnego. Przyjechał do klasztoru biskup, wszystko obejrzał, wszystko pobłogosławił, bardzo był zadowolony z porządku. Na koniec wkroczył do naszego hotelu, postawny taki pasterz, rosły, brodaty — nie archijereja a cukierek. Za nim ojciec ihumen, ojciec skarbnik, ojcowie zakcenni, cała brać katedralna. A my, służki hotelowe, przyciskamy się dto ścian, jak nieme cienie drząc z uwielbienia.

Nagle biskup pyta: „A to co takiego na ścianach?” — „A to, mówi ekonom — rozwieszono dla pouczenia ciemnego ludu... tak jakby wierszem”. Podszedł przewielebny, popatrzył chwilę, polem obręcił się do braci cały czerwony z gniewu: „Czyj brudny ołówek napisał te paskudztwa?” Powiódł po wszystkich wzrokiem- Przenikliwy był arcypasterz, zobaczył, że Prochor zbladł jak chusta i natychmiast na niego palcem. „Ty!” Prochor bęc mu do nóg! „Wybacz, przewielebny władko byłem tylko tego świadkiem i ze słabości nie powstrzymałem. Pisał postulant Andriej”.

Wtedy biskup do minie. „Jeśli, powiada, w jabłku zagnieździ się robak, wycina się środek i odrzuca go, by cały owoc nie zmarniał. Już jutro przegnać mi tego pisarza z klasztoru. Niech ćwiczy swoją wstrętną wyobraźnię w ulicznych gazetkach”.

I — jak pan myśli — prawdziwym jasnowidzem okazał się biskup. Nie minęły nawet trzy miesiące, kiedy zrzędzeniem losu wkręciłem się do pewnej gazetki — z początku jako korektor, później reporter.

Atmosfera tam była lekka i wesoła ani wykształcenia, ani talentu nie wymagano, sprawy załatwiano się w knajpeczkach, w kawiarniach. Ludzie dookoła — lichota, cwaniaczki, Rozkosznie! Ale i tu się potknąłem. Taki już mój los.

Żywiliśmy się wszyscy bez mała imając się różnych pomocniczych sposobów. Na przykład w ogródkach podmiejskich, w kafeszantach przy bufecie. Wspomni się w dziesięciu wierszach, że oto, na przykład wczoraj, widzieliśmy znów zaangażowaną przez niestrudzonego gospodarza „Swadalkiwiru” meksykańską etual * Puzę-Laparuzę, niezrównaną wykonawczynię... no i kredyt. Felietoniści reklamowali jakby mimochodem sklepy spożywcze, powieściopisarze prowadzili swoich bohaterów do znanych restauracji i tak dalej. Dało się wyżyć także przy sędziach pokoju. Sądzą piekarza za to, że jego czeladnicy śpią na kadziach, knajpiarza za brud, kupca kolonialnego za sacharynę, ale przede wszystkim piekarzy i cukierników. A ja siedzę na sali na widocznym miejscu i raz po raz coś skrobię w notatniku. No, a komu miłb trafić do kroniki w gazecie? A okiem mimo wszystko strzygę i widzę, że mój piekarz nie odchodzi, chociaż jego sprawa dawno już skończona, ale on ciągle na mnie spogląda z niepokojem. Poczekam z dziesięć minut i zupełnie negligę **,

jak u siebie w domu, wychodzę z sali. On za mną. Na ulicy takim słodziutkim głosikiem pyta: „Pan może reporter, czy można wiedzieć?” A ja na niego warczę: „Reporter. A panu co do tego?” — „No tak już... he, he, he!... No właśnie teraz była moja spraweńka rozpatrywana, słyszał pan? — „Słyszałem”. — „I zapisał pan?” — „Zapisałem” — „Ech, tak to już jest. A przecież zupełnie bez powodu mnie za-

protokołowali... Widzi pan, nasz cyrkulowym. Ale pozwoli pan, czemu stoimy na ulicy? Nie mógłby pan wstąpić ze mną na chwileczkę... Jest tutaj obok restauracyjka... wszystko bym panu po kV>lei... Wae pan, i pogoda teraz taka, że do kieliszka ciągnie. A tam znakomicie przyrządzają flaki po polsku. Doprawdy, nie Wpadniemy?" Momentalnie przybieram surowy wyraz twarzy. ;— „Tak, być... może, i ja sam nie byłbym, prawdę mówiąc, przeciw, ale najpierw umowa: płacimy po połowie. U nas w redakcji, ■co się tyczy takich różnych zaproszeń to ani-ani!" No i oczywiście wychodzisz z knajpki i syty, i pijany z dwudziestopięcio^ rublowym banknotem w kieszeni.:

Ale, powtarzam, potknąłem się; przepadłem dlatego, że połknąłem za duży dla mnie kęs. Był u nas w gazecie jeden gagatek, •prowadził kronikę miejską i pisał niedzielny felieton. Wprost panu powiem ■— to był lew nie człowiek! Niech pan sam osądzi :jak dużo się natłucze z rady miejskiej i z dwóch tysięcy linijek felietonu? Pcwiedzmy dwieście, trzysta rubli rocznie. A on miał na stałe wynajęty powóz, stołował się w „Bellevue" i u Bianki, miał utrzymankę Francuzeczkę, a ubierał się jak król Salomon •w całej swojej krasie. Pił tylko szampana — już do zupy podawali mu butelkę. Słowem cwaniak był.

; Pewnego razu w redakcji odciągnął mnie w ką. Dyskretnie. -T- „Niech pan słucha, mówi, jest sprawa. Możemy we dwóch zarobić tysiąc. Chce pan?" — „Dlaczego mam nie chcieć". — „Dobrze, ma tu pan gotowe liczby. Pojedzie pan do Diechtiarenki. Zna pan?" — „Znam". — „Za dwa tygodnie ogłosi niewypłacalność, ale teraz to dla niego bardzo ważne, żeby nikt nie wiedział, w jakim stanie są jego interesy. A mnie z pewnych powodów samemu niezręcznie. Rozumie pan?" I dał mi najszczegółowszą instrukcję.

r Przyjechałem do Diechtiarenki. — „Pan przyjmuje?" — „Przyjmuje". —• „Proszę przekazać wizytówkę"* A na mojej wizytówce: pracownik takiego oto organu, korespondent jakiejś stołecznej gazetki, literat, a na górze jeszcze, na postrach wrogom, szlachecka korona! Wychodzi. — „Mam zaszczyt z panem Diechtiarenką?" — „Eche, ja sam, szczo treba?" — „Otóż widzi pan, zamierzam napisać szereg artykułów popularnoekonomicznych o problemach przemysłu na południu. Oczywiście jedno, z najważniejszych miejsc zarezerwowane będzie dla pańskiej firmy, która w szerokim zakresie...!' słowem-r-fura komplementów. A on nie, słucha, milczy, zdrowiutki taki chochoł, siwy, węsaty, oczka, małutłgie, złodziejskie. — „To wszystko prawda, mówi, ale co ja mam do tego?" — „Otóż, mówię, zebrałem pewne dane liczbowe, o tu W tym notatniku, i przyjechałem dla sprawdzenia, na wszelki wypadek, być może pan, wielce; szanowny Tarasie Kiryłyęzu, coś do-da?" Zaśmiał się chochoł, wziął notatnik i wyszedł. Zjawia się za chwilę, — „Nie, mówi, zręcznie to sklecone. Coś tam, zresztą, do-da-łem... Ale z -drukiem niech pan mimo wszystko troszki poczeka. Być może za tydzień podam wam inne. liczby. Do wir dzenia".

Wyszedłem na podjazd,; popatrzyłem -r- pięć tęczowych *. Mało. X tu, wie pan, ten sam klasztorny " nieczysty zwierz wystrzelił we mnie bombą chciwości. Przyjechałem do redakcji — mag i wróżbita czeka na mnie. — „No i co?" — „Całkiem nic, mówię, wysłuchał mnie, popatrzył w notatnik i oddał z powortem: „To, mówi, mnie nie dotyczy". — „Słuchaj pan, krokodylu, nie kłamie pan?" — „Na Boga, ja jako uczciwy człowiek..." „Aha, mówi, jeśli tak... też dobrze. Już ja go urządzę". Na drugi dzień nasmarował artykułisko. A tak to, szelma, sprytnie zrobił, nie wymienił ani nazwiska, ani imienia, a każde niemowlę wie, że Diechtia- renkę szlag trafił. Ale tu kiepska sprawa wyszła. Diechtiarenko, jak przeczytał numer, zapienił się i zaraz do gubernatora; gubernator wezwał do siebie redaktora i tegoż wieczora mnie,, słuę pańskiego, z redakcji — a kysz na ulicę, w diabły.

IV

Następne dwa lata żyłem, ale z czego? —j przysięgam, do tej pory nie wiem. Nie płaciłem za mieszkanie || to samo przez się — przesiadywałem w knajpach, biegałem do lombardów, a głównie żyłem z pożyczek. Znajomych miałem w mieście zatrzęsienie, jeszcze

z pracy w gazecie. Wtedy dokładnie pojąłem sens powiedzenia, że żartować i pożyczać pieniądze, trzeba zniecka. Spotka się kogoś-na bulwarze* pogada,: ax, pitem nagle

z niewinną miną: „Ach, a propos, nie ma pan do jutra rubla albo dwóch?” Rubel to taki pieniądz, że wstyd byłoby odmówić. I tak, nic nie robiąc, udawało mi się nie tylko nie umrzeć z głodu, ale jeszcze codziennie pod wieczór bywałem lekko podпиты.

Z rzadka wypadła mi jakaś robótka. Jeden profesor jakoś mnie pożałował, powierzył mi uporządkowanie swojej biblioteki i zestawienie katalogu. Zacności był starowina, cały srebrny, piękny taki i nieopisanej dobtroci. Przez około siedem miesięcy; urządziłem mu bibliotekę, a kiedy pewnego razu przyszło mu do głowy skontrolować ją, to biedaczek aż westchnął. Zapłakał nawet. „Niech mi pan chociaż powie, na Boga, komu pan sprzedawał? Trzykrotnie, czterokrotnie drożej zapłacę, przecież to wszystko unikaty, jedyne egzemplarze”. Zrobiło mi się go straszliwie żal, i mnie też łzy pociekły, tylko jak to było spamiętać. Sprzedawałem najwięcej na tandecie, z ręki do ręki. Albo na wagę.

Kobiety też mi pomagały. I taki już mój przeklęty los: wciąż trafiały mi się baby uduchowione i najłagodniejsze — nawet wśród kucharek, handlarek, pokojówek, nawet wśród zwykłych ulicznych panienek. Dlaczego tak wychodziło — diabli ich wiedzą. Ja nie wiem...

Ale mimo wszystko mieszkać przychodziło z różnymi. Znalazłem drogę do domów noclegowych. Raz nocowałem w Klasztorze Floriańskim (w ogóle zdarzało mi się dosyć sporo obracać koło różnych miejsc). Choć klasztor był żeński, ale są tam miejsca do spania dla osób obu płci, oddzielnie. Oddział szlachecki kosztuje dziesiątkę. Nazywaliśmy ten przytułek od nazwy klasztoru hotel Floryda albo inaczej Florencja. Przyszedłem późno, solidnie urżnięty. Tam, wie pan, jest taka długa szklana galeria, a po prawej stronie same komórki na czterech ludzi każda. Wskazali mi wolną prycę, położyłem się.

Wcześniej rano dozorca wszystkich budzi, według przepisów. Nie wyspałem się, głowa trzeszczy od przepicia, zły jak sto diabłów. Patrząc, na przeciwko mnie kręci się młody człowiek ostrzyżony na jeża, bródka a la Henri IV, ale bielizna na nim, za przeproszeniem, znoszona do ostatniego stopnia. Patrząc ja z niezadowoleniem, co będzie dalej? Zaczyna młody człowiek czyścić buty. Czyści, czyści, pluje, pluje, wreszcie skończył: przejrzyć się w bu

52

tach można; potem zaczyna równie skrzętnie czyścić marynary- reczkę i kamizelkę, potem nagle wyjmując spod materaca spodnie, okazuje się, że spał na nich całą noc. — „Cóż pan tak, młody człowieku, dla bezpieczeństwa? Żeby nie ukradli?” Ón się śmieje.

— „Nie, to dlatego, żeby nie traciły fasonu, lepiej będą leżeć”. Ja mówię: „Czy to nie wszystko jedno w naszej sytuacji, jak spodnie leżą? Żeby tylko mieć czyste sumienie i kieliszek wódki”. A on śmieje się i pyta: „Co to takiego sumienie? Czy to się je?” Spodobał mi się, widzę, że to człowiek wesoły, proponuję mu skoczyć razem do knajpki. — „Ja, mówię, używam i to nawet chętnie, ale rano się, boję, będzie chuch, a ja muszę iść do pracy”.

— „Ech, głupstwo, weźmie pan herbaty, pożuje i wszystko przejdzie”. Zaczął się wahać: „Więc, powiada pan, herbaty?” A sam tymczasem ubrał się, zdjął z gwoździa papierowy gors, czyściutki kołnierzyk, krawat czarny w niebieskie gwiazdki — patrząc, niech to diabli — ■ istny członek paryskiego Jockey Clubu z żurnaia mód i nawet na spodniach z przodu kanty. — „Co za przeobrażenie”, — mówię. A on się tylko uśmiecha: „Nam inaczej nie wolno”.

Od słowa do słowa, zajrzeliśmy do jednej knajpy, do drugiej, do bilardu... Wreszcie widzę — nasze fundusze rozplynęły się całkowicie i płacić nnie mamy czym. Wtedy on pyta, która godzina. „Czwarta? Niech pan na mnie poczeka z kwadrans”. Czapkę ze szlacheckim otokiem na głowę i do drzwi. Zwiesiłem nos na kwintę i mówię sobie: „No, stary przyjacielu, teraz środek ciężkości spoczywa na tob&e. Wygląda na to, że nie obejdzie się bez komisariatu. Nie ma co, sprytnie się młodzieniec urządził”. Mimo wszystko jednak czekam.

Poprosiłem o gazetę. Mija kwadrans i dwadzieścia minut, i pół godziny, i więcej... Zdążyłem już nawet przeczytać wszystkie ogłoszenia: zginął czarny pudel, potrzebny korepetytor... Muszę przyznać upadłem na duchu. Kelner chodzi koło mnie z bezczelną miną. Podchodzi do stołu i dalejże serwetką obmachiwać mi obrus pod nosem i bez przerwy przestawiać zastawę. Co robić? Nabrałem już powietrza, żeby poprosić o rachunek, kiedy nagle wbiega mój młody człowiek. — „Co? Dłżyło się panu?” — „No... tak, przyznaję...” — „To głups-two. Kelner, ile się należy?” — „Dwa dwadzieścia”. „Daj jeszcze butelkę czerwonego wina i bierz”. Brzęk — złoty rubel na stół. Zaprzyjaźniliśmy się tego dnia, a wieczorem wszystko mi wy
gg

jawił.' — „Zajęcie moje, mówi, jest bardzo proste, chociaż nie takie łatwe, jak się na pozór wydaje. Ja naciagam"/— „To znaczy jak, wybaczy pan, na biedę?" — „N-nie, to zupełnie nie tak. Na biedę proszą na ulicy jednostki nieogolone z sinymi nosami i w lachmanach: dla takich dwudziestka to skarb Szecherśzady. A niech pan sam osądzi, kto zaryzykuje zaproponować mi dwudziestkę, kiedy mam Uniformową czapkę, czyściutkie ubranko i w dodatku dobre szlacheckie nazwisko? Przychodzę prosto do domu, każę się zaanonsować, przedstawiam się jak równy z równym z uściskiem ręki. »Proszę wybaczyć, że niepokoję, czasowo znajduję się w przykrych okolicznościach, z dnia na dzień oczekuję posady...* i tak dalej, i tak dalej. I jak ośmieli się taki, dać mi mniej niż rubla. W życiu się nie ośmieli!"'

Spodobało mi się wszystko, co on opowiadał. Spróbowałem i ja na drugi dzień tej taktyki. Strach było na początku, ale nic, oszlifowałem się po trochu, przywykłem i zacząłem naciągać bez zastanowienia. Jeśli bym nie zachorował, nie porzuciłbym takiego życia. Poniżające to i niebezpieczne, ale zajmujące i zawsze są pieniądze w kieszeni — duże, łatwe pieniądze.

" Zawsze liczy się na* psychologię. Przychodzę na przykład do inżyniera,'wtedy rżnę technika budowlanego: wysokie buty, z kieszeni sterczy składana, drewniana miara; u kupca jestem byłym subiektem; u miłośnika sztuki ~ aktorem; u wydawcy — literatem, wśród oficerów dla mnie, jako dla byłego oficera, urządzają składkę. Encyklopedia!... Trzeba lawirować i pełzać jak żmija, w każdej chwili w pogotowiu, ciągle uważać: nie wpaść, nie przesadzić, nie uderzyć w nędzarski ton. Cały czas trzeba patrzeć mu w oczy, nie; nie w oczy, w nasadę nosa — tak przynajmniej i sam nie czuje się człowiek niezręcznie, i jemu się wydaje, że masz takie proste i uczciwe spojrzenie biednego pracownika, pokrzywdzonego przez los. Najważniejsze to czekać, póki on się nie skonfunduje: będzie mu wstyd za ciebie albo za siebie, albo za jego luksusowy gabinet. Najtwardszego człowieka można koniec końców tak zawstydzić, że oczy zaczną mu biegać, a ręka w kieszeni zacznie macać portmonetkę. Tu natychmiast naciskaj pedał, tu nte bój się przedbrzyć. Tak czy owak w duszy on ci nie wierzy i wstrętny mu jesteś do ostatńLch granic, ale nic nie dać już się-nie ośmieli, nie zdecyduje się. I w tym jest psychologia.

Co prawda, zdarzają się odwrotne przypadki. Naciągałem kiedyś człenka jakiegoś ni to Słowińskiego, ni to Bałkańskiego Towarzystwa w Odessie. Nie, za pozwoleniem, nie Towarzystwa Słowińskiego, ale — jak się potem dowiedziałem — on sam jakieś towarzystwo rozkręcał. Był on, zdaje się, Czechem albo Chorwatem, czy coś w tym rodzaju. A działalność jego towarzystwa polegała na tym, żeby zbierać się w Określone dni, w święta, dzieci i dorośli — przeważnie z prostego ludu — w wielkim pomieszczeniu, i oprócz tego, żeby nikomu nie bronić wstępu: może pizyjść i student, i oficer, i gimnazjalistka. Trzeba także zainteresować wyższe zwierzchnictwo — dobrze jeśli gubernator od- wieczi, archijerej, policmajster: słowem idylla w cieniu drzew. I żeby wszyscy w tym towarzystwie, pod kierownictwem tegoż Dalmatyńczyka śpiewali pieśni — wyłącznie patriotyczne i podniosłe. Och, mocno podejrzewam, że całe to duchowo-śpiewacze towarzystwo nie było niczym innym, jak takim samym naciąganiem, tylko na o wiele szerszą skalę. Przynajmniej tyle wiem na pewno, że ptisywał on ciągle listy do różnych wysoko postawionych osób i ciągle skamlał o zapomogi na podtrzymanie idei patriotycznej.

Porwałem się na niego. Wie-elki, rosły był jegomość, broda po pas, twarz taka otwarta, życzliwa, od czoła łusy. — „Czy to pan jest przewodniczącym tego sympatycznego towarzystwa?" — „A jakże, to ja, ja, ja! Cały na pańskie usługi". I obiema rękami ściska moją rękę. Zacząłem mu śpiewać, śpiewałem-śpiewałem, a on coraz uprzejmiejszy się staje i głową kiwa do taktu, całkiem jak porcelanowy słoń. Na koniec mówi: „Wszystko to pięknie, ja oczywiście gotów jestem, czym mogę, ale, wybaczy pan, muszę się upewnić, czy istotnie jest pan osobą, za którą się pan podaje. Pozwoli pan, że obejrzę pański paszport. Ukłuło mnie

coś w sercu, ale z braku doświadczenia i z lekkomyślności wyciągam go z bocznej kieszeni — uprawiając zawód naciągacza należy zawsze nosić paszport przy sobie — podaję mu. On momentalnie paszport do szuflady, szufladę na klucz i palcem na dzwonek elektryczny. — „Dasza! Idź wezwij natychmiast policję!” Zacząłem go błagać,

padłem na kolana, ręce jego włochate całowałem — gdzieś tam! Zagadałem do niego twardziej, a on najspokojniej z drugiej szuflady wyciągnął rewolwer i położył przed sobą — „Niech pan spróbuje” — mówi. Energiczny mężczyzna. Przyszło mi wtedy odsiedzieć dwa miesiące za zawodowe błaganie o litość.

Ale to był wypadek wyjątkowy. O innych podobnych nftgdy nawet nie słyszałem. Dlatego że — mówię to jak przed Bogiem, z ręką na sercu, dlatego, że ludzie, jeśli ich tylko brać nie hurtem,; lecz pojedynczo, w większości są dobrzy, szczerzy, uprzejmi, wrażliwi na biedę. Co prawda, (częściej pomagają oni nie tym, którym należy. Ale co zrobić: bezczelność zawsze wygląda prawdopodobniej niż nędza. Z czego pan się śmieje? Pańskie zdrowie!...

. I jeszcze, dlaczego takie życie było przyjemne — z powodu wolności. Obrzydło ci w jednym mieście — dalej w drogę, czasem nawet bilet drugiej klasy wyciągniesz — i hajda do drugiego, trzeciego, do stolicy, do powiatowego miasteczka, do właścicieli ziemskich, na Krym, nad Wołgę, na Kaukaz. Pieniądzy ciągle masa — zdarzało się zarabiać do dwudziestu pięciu rubli dziennie — pijesz, zmieniasz kobiety ile chcesz — pełna swoboda!

To prawda, że zdarzało się czasem zaciskać pasa. Bywało, przyjedziesz do miasta, gdzie wszystkie adresy spalone: albo za (dużo naciągaczy się zjechało, albo -niektórzy przychodzili pijani, albo ktoś wpakował się na policję i trafił do gazety — ii stop, nie idzie nikomu. Zaciskasz pasa i zaciskasz, z hotelu przeprowadzasz się do domu noclegowego, spuścisz zbędną odzież, bieliznę. Wtedy już pozostawało tylko nie brzydzić się i naciągać na ulicy. Działać trzeba szybko, żeby nie obrzydnąć, nie przetrzymywać, a zresztą boi się człowiek nawet własnego cienia, dlatego starasz się •połączyć wszystko naraz: potulność i dar perswazji, i kwiaty wymowy. Uderzasz na przykład do aktora: „Miłościwy panie, chwilę uwagi! Aktor dramatyczny — w roli nędzarza! Kontrast zaiiste straszliwy! Okrutna ironia losu! Nie pożyczylby pan paru centymów na obiad?” Studentowi mówię tak: „Kolego! Pomóż byłemu robotnikowi, administracyjnie pozbawionemu stolicy. Od trzech dni kruszynM chleba w ustach nie miałem!” Jeśli idzie wesoło, podpite towarzystwo Wal na oryginalność: „Panowie, wy zrywacie róże życia, mnie dostają się ciernie. Wy syci jesteście, a jam głodny. Wy pijecie lafite i sauterne, a moja dusza pożąda monopolowej wódki. Pomóżcie w stworzeniu półosobldwości byłemu profesorowi białej i czarnej "magii, a obecnie kawalerowi zielonego smoka!” I nic,., zaśmieją się i dadzą. Często więcej niż się spodziewasz.

A jakie figury trafiały się wśród nas. Jeden na przykład nazwiskiem Zabłoński: wysokiego wzrostu, przystojniak, golił wąsy i brodę, twarz pełna, nos orli — kubek w kubek pierwszy amant w stołecznym teatrze. Ten wyciągał cztery tysiące rocznie. I nie pił, z kobietami* się nie włóczył. Miał jedną słabość — szykownie się ubierać. Surdut miał zawsze najmodniejszy, frak—| na wszelki "wypadek, brązowe rękawic2flri, garniturek koloru takiego elektrik *, laska ze srebrną galką, sezonowe palto. Chwalił się: „Od piętnastego roku życia rodzina nie wydała na mnie ani kopiejki”. Zdziwiał, jak on znał geografie Rosji! Podasz mu czasem dla żartu nazwę jakiegoś paskudnego miasteczka powiatowego, a cn momentalnie: „Położone nad rzeką Wichład, młyn parowy, młynarz — jasna postać, przewodniczący fcarządu ziemskiego — taki sobie, daje, ale skapo, naczelnik policji okrutny, marszałek szlachty, kiedy trzeźwy — goni, pijany da, ile chcesz,” I tak ze szczegółami.

Przedziwny ludek! Byli wśród nas tacy, którzy sami nie naciągali, tylko wskazywali adresy, służyli za książki adresowe. Taki zawsze wychodził z tobą na robotę, szedł ulicą i nagle zaczynał tajemniczo mamrotać pod nosem: „Na prawo kamienny dom, Schpecht Arnold Karłowicz, architekt; koniecznie osobiście, najpierw będzie wymyślał najgorszymi wyrazami, nie zrażaj się, przekonuj go jak wielbłąda, piątka. Albo: „Aristrachow Paweł Pawłowicz; w domu nie daje, trzeba łapać w banku ziemskim, od trzech do pięciu; nie znosi

długich rozmów". „Girczytz, właściciel parowca, obok; miejsce wyeksploatowane, ani pensa". „Margarita Francowna Pauli, piękna kobieta; z nią trzeba na piśmie, ładnym charakterem i książkowym językiem; lubi dobrą literaturę". I tak dalej. Rozumie się, takiemu przewodnikowi należy się połowa lub jedna trzecia, zależnie od umowy.

Byli i tacy, którzy tylko pisali listy słabszym w piśmie. I tu znów szablon: „Niezmiernie przez wszystkich szanowana wielmożna pani! Pani wielkoduszne 'fcerce i współczucie dla bliźnich pokrzywdzonych przez los ośmielają mnie" i temu podobne, i temu podobne. Takich listów noszą ze sobą pięć lub sześć, bez nazwiska, zależy komu się trafi. Inni' do listu wkładają swój paszport i potem przychodzą po niego.

Byli starszankowie, którzy w dwóch trzech miejscach pobierali co mfiesiąc emeryturę i z tego żyli. Dla takiego starca najważniejsze to szlachetna powierzchowność ozdobiona siwizną. Ale jakie tam oni mają potrzeby! Herbata, tytoń, kieliszek wódki, gazeta — i więcej nic.

Był jeszcze, pamiętam, niejaki Bogojawleński, były seminarzysta, niezwykle mądra, złota głowa, ale z wyglądu —| iótny szewc, a przy tym zezowaty. Ten, bywało, cały dzień siedział sobie w pokoju w samej bieliźnie i pił, i pisał listy. A koło niego zawsze plątało się kilku ludzi na posyłki. Ach, jak on pisał! Przede wszystkim samo pismo — okrągłe czarne — pisał tuszem — nieopisanej piękności, a wyraźne jak największy druk. Potem styl-. Cudów dokazywał listami. Wiadomo na przykład, że nie ma żadnej możliwości wzruszenia osoby duchownej — to już fakt. Twarda jak krzemień. Zawsze ich unikaliliśmy. A on nasmaruje do jakiegoś arcy-pasterza osiem stron, i z cytatai różnymi, a teksty to wybierał nie takie, że „ręka dającego nie zubożeje", a, na przykład, z „Mądrości syna Syrachowego", z proroka Barucha, i jeszcze zaznaczył w nawiasie: rozdział taki a taki, wiersz taki a taki. Wspaniale listy pisał i nigdy nie zaznał odmowy.

Nie, pieniędzy nikt nie dusił, wszystko się rozchodziło. Kobiety — te niekiedy odkładały na książeczki oszczędnościowe, ale i to tylko do pierwszego upojenia miłosnego. Kobiety stosują znany chwyt — naciągają na maszynę do szycia. Dostają nieraz znaczne wsparcie, ale jeśli ładniutki — rzadko za darmo.

Jeśli się chce, jest to owszem, interesujące. Ale tylko z początku, a potem... Zbyt już wielkie to ścierva, ci naciągacze, gorsi od aresztantów. U tamtych ostatecznie jest choć jakie takie koleżeństwo, jest śmiałość, brawura. U tych — nic. Za rubla sprzedadzą i wydadzą jeden drugiego, nadonoszą, naplącą. Zawistnicy, łgarze, tchórze, chciwcy, skąpcy. I w ogóle, powiem panu, na tyłu

Włóczęgów, ilu ja spotkałem, nie ma gorszych niż ci, co się z wykształconych 8tcc2yli, zwicnęli: wszyscy ci dymisjonowani kor- neci, przepici studenci, czy właśnie choćby — aktorzy. Zgnilizna! Do tłustego kaska chętna, a pracy nienawidzą z całej duszy. Cóż, ja przecież i o sobde tti mówię, prawdę mówię. Ech, nie to, co prawdziwi włóczędzy z powołania. Leży taki na słońcu bańdzio- chem do góry i niczego mu nie potrzeba. Wcina ryby i czarny chleb z arbuzem. Wyleży się, pójdzie poharować do portu. I co mu tam, niczego się nie boi, nikogo nie szanuje, nikomu się nie kłania. I, trzeba przyznać, patrzyli oni na nas, zawodowych naciągaczy, jak na gady. Mało tego! Drobne złodziejaski, kieszonkowcy i ci nami pogardzali. Przecież także i z niani zdarzało się spotykać w domach noclegowych.

V

No i trafiłem takim sposobem na Krym. Krym, wie pan, i w ogóle południe — tó prawdziwe gniazdo wszystkich włóczęgów i aferzystów; kto raz tam był, z całą pewnością znów tam pociągnie. Ciepło, morze, góry, piękno, dookoła szalone pieniądze. Stąd tam zawsze roi się od ludzi bez zajęcia.

Utknąłem i ja. Z jednej strony związałem się z babą, a oprócz tego zaczęła mi krew isć ustami. I tak zapuściłem tam korzenie.

Na początku dobrze mi się wiodło, aż nagle się urwało. Przyszła zima, chłody, a ja całkiem osłabłem, nocą pocę się, a we dnie mnie trzęsie; jak zacznę kaszleć, to ledwo trzymam się na nogach. Nieszczęście! A najważniejsze — sezon się skończył, złote owieczka

odjechały do Moskwy, do Petersburga, została tylko jedna wielka golizna. Stałym mieszkańcom, aborygenom, jeśli tak można powiedzieć, moja osoba opatrzyła się do mdłości. Witają zimno: „Doprawdy, to znowu pan? Czwarty raz? Pan wybaczy, nie jestem Vanderbilt, żeby wszystkich subsydiować. Do widzenia". Lub coś innego w tym stylu.

Kobieta mnie rzuciła. Piękna była bestia, gorąca, zła, niecierpliwa, chciwa — jedna taka trafiła mi się przez całe życie. Życ lubiła na szerokiej stopie. Polka. Na imię miała Zosia. Na ostatek zrobiła mi skandal na ulicy — rozgniewała się; że nic nie dosta-

3em. „Ty — krzyczała — naciągaczu nieszczęsny, gadzino więzienna, zdechły padałcze!” Odeszła i nie wróciła do domu.

Straciłem głowę. Dzięki łasce pewnego kapitana ledwo przedostałem się jakoś z Krymu tutaj. Tu poszło jeszcze gorzej, po prostu koniec i kropka. Zima była surowa, chodziłem w letnim paletku, buty dziurawe, kaszel mnie zginał we dwoje. A wiatr od morza chłostał — uch! i tylko chwiał mną na wszystkie strony. Jak ja wtedy przeżyłem — sam się dziwię! A najgorzej, że straciłem wszelką śmiałość. Proszę — i głos się rwie, łyżę aż duszą. Wtedy zrozumiałem, że dla prawdziwej, dotkliwej biedy trudno znaleźć współczucie. Prawdaiwe nieszczęście zawsze wygląda jakoś nienaturalnie. „Pijany jesteś łajdaku, leci od ciebie jak z szynku, idź prześpij się”. A ja nie tylko wie piłem, ale nie jadłem od wczorajszego dnia.

Poszedłem do doktora. Naumyślnie ze złości wybrałem najdroższego. I co pan myśli?... okazał się najporządniejszym człowiekiem. Nie mówię już, że leczył za darmo. Trzeba przyznać, że na lekarzy nigdy się nie skarżyliśmy. Jeśli już był bardzo ważny to, zdarzało się, że powiedział: „Ech, nie mam czasu się z tym bawić, masz pan tu karteczkę, idź pan do mojego asystenta”. I jeszcze z drogi zawrócił: „Chwileczkę, a dokąd to? Pieniądze przecież potrzebne. Bierz pan i zmiataj jak najszybciej”. A ten po prostu duSza człowiek był, chociaż Żyd. Leczył za darmo, pieniądze dawał na lekarstwo, w ubrania zaopatrzył, wie pan, trochę znoszone. Palto podarował ciepłe, na watinie.

Zacząłem po trochu przychodzić do siebie. Pewnego razu mówił mi mój doktor: „Niech pan posłucha, sir, czy nie dosyć już obija się pan bez zajęcia; mam na uwadze miejsce dla pana. Chce pan zostać buchalterem w „Gwieździe Południa?” — „Na litość boską, duszą i ciałem!” — „No to niech pan tam idzie jutro o jedenastej, zapyta o właściciela i powie, że ja pana przysłałem. On już wie”.

Poszedłem do hotelu i nieco odetchnąłem. Praca lekika — wypisywanie rachunków odjeżdżającym. Dwadzieścia pięć rubli zarobku, do tego wyżywienie i herbata, pokój, co prawda pod schodami jak u Chlestakowa, ale jednak pokój, własny barłóg. Jak się rozejrzałem, to jeszcze trochę wyciągałem z rachunków. Robiło się to bardzo prosto: gościowi pisze się rachunek zawyżony* a do księgi nanosi prawidłowy — różnica dla siebie. Nieporozu

mienia zdarzały się bardzo rzadko. Bywało, że wpadnie jakiś olchopolski obszarnik w brezentowym kitlu i zaczyna robić har- mider, a ty do niego momentalnie z przymilnym uśmiechem: „Ach, czyżby? Takiemu szanowanemu gościowi? O, natychmiast to sprawdzimy... Wie pan, sto dwadzieścia pokoi, pomieszanie z poplątaniem...” Zagada się go i zmięknie.

Ale mimo to sytuacja była dość nędzna. Zacząłem się po trochu rozglądać dookoła i nagle widzę, że kelnerzy żyją sto razy lepiej niż ja. Najmarniej cztery pięć rubli dziennie zarabiają, albo i sześć siedem — nawet dziesięć, jak się uda. I trzeba oddać sprawiedliwość, odnicsili się do mnie nawet dość bezceremonialnie.

Pomyślałem, pomyślałem i któregoś razu, kiedy zwolniła się jedna kelnerska posada poszedłem do właściciela i poprosiłem o nią. Ten z początku zamrugał oczami. „Niech pan się zlituje, pan — były oficer, przecież będą do pana mówić „ty”; nawet 1 mnie, wie pan, będzie niezręcznie zwracać się do pana jak do kelnera, a robić różnicy — sam pan rozumie — nie wypada”. Ale uspokoilem go w ten sposób, że odsłoniłem mu część mojego życia — oczywiście nie najciemniejsze karty, ale opowiedziałem mu jednak o pewnych przypadkach. Zgodził się. Mądry był chłop.

Na początku mocno mi kelnerzy dokuczali, że niby to jakiś wlielmożny, oficerem był, niedawno jak pan siedział w kantorze. Ale niedługo. Po pierwsze i ja sam ostre miałem zęby, a po drugie mam cenną zdolność przystosowywania się do różnych okoliczności. I czym

jeszcze wymusiłem ich szacunek — znajomością spraw sądowych. Kelnerzy ciągle mają do czynienia z sędzią pokoju i ze śledczym. Najwięcej z powodu awantur i niezapłaconych rachunków.

Trudno także było przywyknąć do pracy. Zajęcie kelnera tylko na pozór wydaje się takie łatwe. Przede wszystkim cały dzień, sterczysz na nogach ■— bywają dni, że nie ma kiedy przysiąść. Starsi kelnerzy uczyli mnie zresztą od samego początku, że lepiej w ogóle nie siadać, bo zmiękniesz i wybijesz się z rytmu. Z początku, kiedy przychodziłem do domu to tak mnie ciągnęły plecy i nogi, że aż chciało się krzyżeć.

Poza tym niezbędna jest specjalna pamięć: na który stół podać to, co zamówione z kuchni, ile trzeba oddać w bufecie, a kiedy

poproszą o rachunek, trzeba sobie od razu wszystko przypomnieć. Popłęże człowiek — będą się gniewać. •

Ale i tutaj szybko się oswoilem i zacząłem pracować nie gorzej, a nawet lepiej niż inni. Strasznie mnie polubili stali goście, zwłaszcza ci, którzy przyjeżdżali do gabinetów z porządnymi paniami. Pewnie dlatego, że miałem jednak w życiu więcej doświadczenia niż inni. Znam swoją robotę: nie wlepiam oczu w damę, bez powodu do gabinetu nie leżę, nie sterczę u drzwi, zachowuję się skromnie i swobodnie. A inny, choć stary kelner i zęby na tym zjadł, jednak nie wie, jak należy obsługiwać w takich wypadkach, zachowuje się jak jakiś spiskowiec, mało że znaków nie daje. Bierze się nie proszony, żeby opuszczać firanki w oknach. „My, powiada, rozumiemy, po co pan przyjechał. Rozumiemy, ale milczymy”. No a ja całą tę politykę szybko przejrzałem. Lubili mnie i w tych towarzystwach, w których ostro hulali. Bywało, nawiozą śpiewaczek, czy tych tam, szamsonistek. Takie wyprawiają świąstwa, że inny tylko by splunął, a ja nic — usługuję, zupełnie jakby wokół mnie nie było ludzi, lecz martwe przedmioty. I moi goście tak zwykle mówili kelnerom: „Nie, gołąbeczku, masz tu lepiej na herbatę i biegnij zawołać nam Andrieja, myśmy do niego przywykli”.

Kiedy u nas w hotelu przestawano wydawać kolacje, to przy bufecie zostawał tylko jeden dyżurny kelner, na wypadek, gdyby z pokoiów coś zamówili. A my po większej części fraki do torby i do restauracyjki „Wenecja” posiedzieć godzinkę, dwie, pograć w karty i w bilard.

Jak myśmy slię tam odnosili do obsługi, Boże mój! Rozsiadaliśmy się na krzesłach, a nogi omal na stół kładliśmy. „Ej ty, łachudra, gioszcwiec!” Inaczej ich nie nazywaliśmy. „Nie widzisz, s...synu komu służysz? Jaki likier przyniosłeś? W mordę was bić, chamów”. Ten rzecz jasna, widzi, że wyżywa się na nim jego brat, hołysz nieszczęsny, ale z obowiązku milczy. I napiwki przy tym dawaliśmy skąpe.

Uch, jak myśmy tam między sobą opluwali panów, co przychodzili do nas do restauracji. Bo i też, prawdę mówiąc, panowie myślą, że my to tak jak manekiny, -niczego nie widzimy, nie słyszymy i nie rozumiemy. A przed nami nic się nie ukryje. I kto lubi wypić na cudzy koszt i kto w tajemnicy przed innymi za-

6Z

wiąauje pieniądze w węzełku chusteczki albo po cichu chowa w bucie, i to, co pod nieobecność mówią jeden o drugim. A już jeśli dama przyszła do gabinetu najpierw z jednym mężczyzną, a potem z drugim, to niech pan będzie spokojny, doskonale wyczuwamy, który z nich mąż, a który gach. I nie mieliśmy dla nich innych słów jak ściervo, szantrapa i wywłoka. ! I jeszcze ulubionym naszym tematem byli właściciele hoteli: jak który z nich poszedł w górę. Wtedy poznałem prawdziwe „Tajemnice dworu madryckiego”! Co nazwisko to przestępstwo: rabunek, mordeistwo albo jeszcze gorzej.

Nie pasuje panu — oto kolekcja. Iszczenko: hotel „Berlin”, pierwsza klasa, wieczorami w restauracji Rumuni grają, dwadzieścia tysięcy czystego dochodu. A oto rys historyczny: służył jako szwajcar w domu pubMcznym, po trzech latach otworzył obskurny szynczek, a po pięciu — „Berlin”, teTaz trzyma konie na wyścigach. Godne uwagi jest to, że właśnie w tym domu, w którym on był szwajcarem, widziano po raz ostatni właściciela ziemskiego Onoprijenkę, który — może pan pamięta? — zniknął .bez śladu. Z tego powodu trzymali Iszczenkę przez sześć miesięcy w więzieniu, ale wypuścili z braku dowodów.

Cypieniuk i Leszczenieckii. Jeden ma bufety na statkach, drugi r— hotel „Warszawa”. Obaj mają własne domy. Cypieniuk jest radnym. Leszczeniecki ma utrzymankę — wiedeńską etual. A wcześniej obaj służyli jako korytarzowi w „Kijowie”. Kiedy mieli służbę pewien kupiec z Moskwy zmarł nagle w swoim pokoju i to jakby nie z własnej woli. Cypienduka posadzili — miał zaćspania na iękach i na czole —• marynowali go w lochu półtora i oku, ale nic nie mogli z nim zrobić: uparł się jak byk. Także wypuścili.

Teraz |g| Kazimierz Chrzanowski. Ogródek „Uwali” z kafe- szan tanem. Jeździ automobilem. Zajmował się stręczycielstwem; trzy siostry puścił w obroty, każdą od piętnastego roku życia, w ten sposób stworzył podstawy dalszej kariery. Nagórski był na utrzymaniu sześćdziesięcioletniej staruszki. Milijewicz — umeblowany dom na Wielkiej Szlacheckiej, trzysta numerów — to samo, tylko jeszcze gorzej, wstyd mówić. I tak dalej. Słowam cały kodeks karny wypisany na twarzach. Zresztą w ogóle chciałbym zauważyć, że ja w te opowiadania o chłopkach-roztropkach,

którzy przychodzą do stolicy z łapciami za pasem, a umierają z tysiącami milionami — ja w te opowiadania niezbyt wierzę. U podstaw takiego nagłego bogactwa leży zawsze oszustwo, jeśli nie krew.

Myśli pan, że ich potępialiśmy? O, przeciwnie. Słyszało się tylko: „Ech, to zuch, tak sprytnie go urządził! Co się gapisz? Daj mi do ręki taką możliwość, sam bym stuknął po głowie!” Rozpalaliśmy się wszyscy, kiedy mówiliśmy o tych rzeczach.

VI

Szczególnie jeden. Był u nas taki kelner, Michajło, chochoł... Moja wina, panie bufetowy, już kończymy. Bardzo pana proszę, on mnie nie posłucha, pan naech zamówi u niego jeszcze jedną buteleczkę, ostatnią. Niech pan powie, że tak niby jednym duszkiem. Zaraz będzie koniec" mojej Historii...

Otóż to, mersi.* Czegoś ty, bałwanie, oczy wybałuszył na zegarek? Słyszałeś — gospodarz pozwolił. No właśnie! Ire gesund- hajt!** Był ten Michajło człowiekiem cherlawej postury, z charakteru melancholik, „a rodem z Mazepów. Uwielbiał do szaleństwa obrzędy cerkiewne; ciągle mamrotał: „Iz-ra-e-lowi pielgrzymującemu”. Mówić dużo nie lubił, ale od takich rozmów siłą go nie można było odeiwać. Jak to, jak tamto, a gdzie pieniądze schowali — czasem aż do obrzydzenia. I oczy robiły mu się takie czarne, maślane. Służył jako lokaj na pierwszym piętrze.

Nie potrafię powiedzieć, dlaczego tak mu się spodobałem. Pewnie dlatego, że połączył nas podobny los, dlatego ciągnęło nas do siebie. Zaczęliśmy się obaj jakby izolować od innych kolegów. A rozmawialiśmy ciągle o tym samym, ciągle o tym samym. I wreszcie straciliśmy w tych rozmowach resztkę wstydu. Jakbyśmy nadzy chodzili jeden przed drugim. Ostatnie słowo jeszcze nie padło, ale już czuliśmy, że nie rozstaniemy się tak po prostu.

W tym czasie zacząłem znowu niedomagać. Walczyłem z sobą ze wszystkich sił. Zdarzyło się — podawałem do stołu, a tu jak mną kaszel nie szarpnie. Na początku starałem się go powstrzymać, a potem, kiedy już zupełnie nie mogłem, rzucałem sztucę na stół i biegiem na korytarz. Kaszlałem, kaszlałem, aż ciemno mi się robiło przed oczami. Takich rzeczy w dobrych restauracjach nie lubią. Albo obsługuje, powiadają, albo jazda do szpitala. Tu nie przytułek. Nasza publiczność jest zdrowa.

Tak też czułem, że mi lada chwila dadzą po łbie. I myślałem: znów ulica, zimno, pluskwy w domach noclegowych, końska kiełbasa, brud, ohyda. Zresztą i moja Zośka tamtą porą wróciła do minie — przewąchała gadzina, że znów można ze ranie pieniądze ciągnąć. Są pieniądze — spokojna, czuła, nawet zanadto czuła, tak że nie do wytrzymania to było, a nie ma — krzyczy na mnie przy sąsiadach: „Sługus śmierdzący! Cham! Groszowie! Sprzedaj mnie bydłę!” Tyle tylko wtedy miała słów dla mnie.

Najtrudniejsze to były czasy w całym moim życiu, chociaż już, wydawało się, przez wszelki ogień przeszedłem. Zdarzyło się, że w wolny dzień włóczyłem się po ulicach i marzyłem: gdyby nagle ktoś zgubił portfel, a ja bym znalazł, a w nim trzy tysiące... Albo nagle podeszedł do mnie dobrotliwy staruszek milioner i zapytał ze współczuciem: „Dlaczego ma pan taką smutną minę, sympatyczny młody człowieku? Niech pan powie szczerze, co pana martwi? Może będę mógł pomóc?”

W tym czasie przyjechał więc do nas do hotelu ten człowiek, daj mu Boże Królestwo niebieskie. Co? Dziwi pana, że się zegniam? Nie, niech pan tak nie myśli: gdy noc się zbliża ja w Pana Boga bardzo wierzę. W dzień, co prawda, w pośpiechu i pijaństwie zapominam o nim, moim dobroczyńcy.

Czy opowiadać dalej? Nieprzyjemnie panu będzie, ciężko... No, jeśli tak, opowiem po kolej.

Była to wielka szyszka. Zarządzał jakimiś majątkami na Krymie i na Kaukazie; nad Wołgą pod jego nadzorem znajdowało się przeszło dwadzieścia tysięcy dziesięcin, oprócz tego coś tam kombinował z naftą i żelazem. Widywałem go codziennie. Rano, zdarzało się, wyjdzie na śniadanie — o pierwszej albo o drugiej — po prostu strach na niego patrzeć. Ogromny, opuchły, twarz ziemista, pod oczyma czarne worki, a oczy ołowiane, bezmyślne mało nie wyskoczą z orbit. Oddychać było mu bardzo ciężko, coś mu się takiego robiło z płucami albo z sercem — pewnie dusznica. Położy się piersią na stole rozpostarłszy łokcie i dyszy, nie żeby

gardłem, ale plecami, i brzuchem, i głową. Nabiera powietrza głowę i pierś podniesie do góry, otworzy usta, a jak wypuści powietrze, to cały wali się znów na stół. I tak się trzepocze, biedny, z pół godziny. Ale nic: walnie przed śniadaniem co nieco wódki, butelkę grzanego czerwonego wina, patrzysz — i poprawiło mu się, i poweselał.

Grube on, ma się rozumieć, robił interesy, a wszystko z żarcikami, wesołymi powiedzonkami, przy obiedzie i przy szampanie. Ale i w karty mocno grał, rozpustę czynił szeroko. Hojny był. Niemało całej służbie wpadało od niego.

Zatrzymał się on w numerze czwartym, u Michajły, na wysokim parterze, i dziwna rzecz, od tej pory naszą przyjaźń z Michajłą — ciach! — jakby nożem uciął. Ochłodziśmy dla siebie nawzajem i kwita. Tylko raz, pamiętam, skończyłem służbę i idę w dół schodami, a on mnie woła z góry: „Andriej!” Patrzę, a on przewiesił się przez poręcz i kiwa na mnie palcem. A cała twarz krzywi się jak u diabła: ni to się śmieje, ni to celowo miny stroi. Podeszedłem do niego i pytam: „Co?” A on mówi: „Wczoraj Nikołaj Jakowlewicz (tak nazywał się numer czwarty) wczoraj Nikołaj Jakowlewicz wrócił pijany i kiedy się położył, zaraz zachrapał i nie zdążył drzwi zamknąć. Szturchałem go i szturchałem: «Nie wygodniej to, niby, rozebrać się?» A skąd!” Zrozumiałem, popatrzyłem na Michajłę, a on na mnie. — „Więc co?” — pytam szeptem. A on tak przeciągając: „A n-nic.” — „Żegnaj, mówię, Michajło”. A on znowu, tak leniwie: „Żegnaj, Andriej!”

. A potem zdarzyło się to samo. Podałem wieczorem do czerwonego gabinetu ostrygi, matelote z miętusa i jakieś białe wino, i stoję na korytarzu koło zegara. Było kwadrans po dwunastej. Nagle jakby mnie ktoś z tyłu szturchnął, w plecy. Odwróciłem się, patrzę — w końcu korytarza stoi Michajło. Twarz blada — taka blada, że nie odróżnia się od gorsu. Stoi — i żadnego dźwięku. I, wie pan, dziwne, od razu zrozumiałem, o co chodzi. X ani on nic do mnie nie powiedział, ani ja do niego. Ale zauważyłem na jego rękach białe rękawiczki.

. On szedł przodem, ja z tyłu. Podeszliśmy do numeru czwartego. Na korytarzu żywego ducha i lampy już pogaszone. Szepczę do niego: „Ciszej!” A on naumyślnie z całym rozmachem jak §f

szarpnie za drzwi! I zaraz popchnął mnie naprzód i zamknął drzwi na klucz.

Ciemno tam było — tak ciemno, że Michajłę od razu straciłem z oczu, a i sam nie mogłem zrozumieć, gdzie trafiłem, gdzie drzwi, w którą stronę iść? Zabłądziłem. Nagle słyszę — ktoś potarł za- ■ palkę, ogień. Patrzę, Michajło w pokoju koło lustra zapala świeczkę, myślę: „A cóż on, bałwan, takiego robi?” A on ze świeczką momentalnie za przepierzenie do sypialni: „Wielmożny panie, wielmożny panie, Nikołaju Jakowlewiczu, niech pan pozwoli, że „pana rozbiore, tak panu będzie niewygodnie. Niech pan pozwoli, ułożę pana w łóżeczku”. Pomilczał chwilę i nagle znowu: „Ej, ty, buhaju czerkaski, wstawaj! Bo jak dam obcasem w brzuch!” I znowu cicho, tylko słyhać, jak pan dyszy, ciężko tak, z wysiłkiem. Nagle Michajło woła mnie: „Andriej, chodź tutaj”. I

Wszedłem za przepierzenie. Leży- Nikołaj Jakowlewicz na plecach; brzuch wielki jak góra, usta otwarte, po brodzie cieknie ślina, jedna noga na łóżku, druga zwisa w dół. Och, jakże on dyszał! Widział pan rybę wyciągniętą na brzeg? Kropka w kropkę. Widać dochodziła mu do płuc tylko jedna łyżeczka do herbaty powietrza, więc on ją ustami, i nosem, i gardłem... jęczy, stęka, dusi się, twarz cała wykrzywiona, a obudzić się nie może...

A Michajło znów: „Obudź się, co jest, nieczysta duszo! Przyszliśmy tu we dwóch rozbierać ciebie!” I mówiąc te słowa momentalnie cap mu jedną poduszkę spod głowy. A ten nic, tylko głową kiwnął jak cielak, zaszlochał i dalej chwyta powietrze. Obrócił, się do mnie Michajło straszny taki jak zwierzę: „Siadaj, mów, na nogach i trzymaj”. A sam poduszkę mu na twarz i wali się na niego. • , ;, • ^y^ wjjl^ilM

Co robił Michajło, nie widziałem, nie wiem, był do mnie obrocony plecami. Pamiętam, wierzgnął pan nogami raz, drugi, trzeci, ale całkiem słabo, potem jakby czknął jeden raz — i

wszystkp. Pewnie sam nie zauważył, że umiera. Byłem zupełnie otepiały. Czuję, ciągnie mnie Michajło z łóżka: „Złaż!” Wstałem, niczego nie rozumiem. Widzę, Michajło myszkuje po komodach, po szufladach, po stołach, po ubraniach; widzę, że Nikołaj Jakowlewicz leży już na dwóch poduszkach, nogi razem, zupełnie jakby spał, a ja jak idiota nic nie rozumiem. Pamiętam tylko, że w drugim

pokoju ciągle pobrzękiwała jakaś szklanka, pewnie furmanka jechała ulicą.

Potem znów zrobiło się ciemno... Michajło mi szepcze: „Chodźmy... skończone...” I ani strachu, ani żalu — byłem cały jak z drewna. Podeszliśmy do drzwi, posłuchaliśmy — cicho, wyszliśmy na korytarz — nikogo! Popatrzył na mnie Michajło i mówi: „Ech, durniu, jak ty wyglądasz! Idź do mnie do bufetu, napij się wódki”. Ja odszedłem, a on jeszcze został na korytarzu.

Wie pan, ile czasu to wszystko zajęło? Osiem minut! W żadnym gabinecie nie zdążyli nawet zauważyć mojej nieobecności. Naumyślnie pobiegłem do obu i zapytałem: „Czy to nie państwo byli łaskawi dzwonić?” ^ „Nie, mówią, myśmy nie dzwonili”. I wszst- ko ułożyło się tak, że ani jeden kelner nie zauważył, że wycho-. dziłem. Przez cały ten wieczór obsługiwałem jak automat, nawet nie pomyliłem się ani razu, nawet nie kaszlałem.

Niech pan się nie gniewa, panie gospodarzu. Już wychodzimy. Niech pan sobie gasi lampy, a my zaraz.

Tak czy owak zostały mi jeszcze dwa słowa. Przyszedłem do domu. Zośka z przyzwyczajenia naskoczyła na mnie z awanturą, ale mnie — może pan sobie wyobrazić — wszystko jedno, jak maszynie! I ona nagle przycichła. Rozebrała się w milczeniu i położyła koło mnie i przycisnęła się do mnie. I długi czas czułem> jak jej rzęsy łaskotały moją twarz.

Spałem tej nocy cudownie. Nawet nie przebudziłem się ani razu. To już później, w więzieniu, ciągle mi się majaczyło, jak jego nogi wierzgały pod moimi rękami i jak obok pobrzękiwała szklanka... Za to kiedy obudziłem się rano, w jednej chwili oszalałem ze strachu. „Boże, myślę sobie, czyżby to nie było we śnie. Przecież człowieka, człowieka zabiliśmy z Michajłą!” Ubrałem się.

Wychodzimy, wychodzimy, niech się pan nie denerwuje. Do widzenia, gospodarzu. Dziękuję panu...

Uch, co za wietrzyisko! Brr!... I co, nie obrzydły panu jeszcze moje przygody? No, już kończę.

Ubrałem się, wyszedłem na ulicę. Był wczesny ranek, godzina Bzosta-siódma. Na ulicach nie było nikogo. Pchnąłem się do Mi- chajły — mówią, że w domu nie nocował, pewnie został w hotelu. Za wcześniej iść do restauracji, zresztą nie mogę tam iść — wstret bierze. Chodziłem, chodziłem po mieście. Otworzyli tureckie kawiarnie. Tam posiedziałem, wypilem filiżankę czarnej kawy. Patrząc na ludzi i myślę: „Wszyscy, wszyscy jesteście szczęśliwi, każdy ma swoje sprawy, każdy ma czyste ręce... a ja!”

Potem poszedłem na bulwar. Wzeszło słońce. Chodniki wilgotne. Gimnazjalistki idą do gimnazjum — małe trajkotki, twarzyczki świeżutkie, dopiero co wymyte... Usiadłem na ławce i zdrzemnąłem się. Nagle widzę idzie stójkowy i tak z boku na mnie popatruje. I natychmiast myśl: „Podejrzewa...” Podeszedł do mnie. — „Siedzieć, proszę pana, na bulwarze wolno każdemu przechodniowi, tego my nie zabraniamy, ale żeby spać — nie wolno. Nasz policmajster surowy”.

I coś się takiego ze mną stało — do tej pory nie mogę zrozumieć. Wstałem z ławki i mówię mu: „Posterunkowy, prowadź mnie pan na komisariat, tej nocy zabiłem człowieka”.

Z początku nie uwierzył. — „Idź się wyśpij. Wczorajsze wino w tabie się burzy”. Pomyślałem wtedy przez sekundę: „Może to sam los mi sprzyja? Gdyby tak odejść?” Ale jakoś nie mogłem odejść. Zaprowadził mnie.

I to wszystko. Michajło wypierał się z początku, ale pod koniec nie wytrzymał, załamał się. Nie było przeciw niemu żadnych dowodów — oprócz mnie. Och, jakim on był twardym człowiekiem! Niech pan sobie wyobrazi co on zrobił, kiedy ja poszedłem pić wódkę. Chociaż nasz hotel był pierwszej klasy, ale zbudowany dawno i na drzwiach zostały jeszcze wewnętrzne haczyki. Więc on zanim wyszedł postawił haczyk pionowo i tak trzasnął drzwiami, że haczyk sam z siebie wpadł do dziurki. Ręce mu oglądali — ani jednego zadrażnienia,

nie na darmo nałożył wtedy rękawiczki.. Słowem, gdybym ja się nie przyznał nigdy by na nas nawet podejrzenie nie padło.

Obrońcę miałem znakomitego, z Petersburga. Mówił on tak: „We wszystkich poczynaniach oskarżonego widać bezmyślność, słabość woli i rozumu. Jednakowo można go wciągnąć i w rzeczy dobre, i w złe". Doskonale mnie przejrzał — na wylot. I o ojcu wspominał, i o Juszcze, i o różnych moich chorobach, i o Zośce. Zostałem uniewinniony, a Michajłę jako prowodyra, a także za jego upór, zapakowali na sześć lat. Trzymali mnie potem pół roku

Sztabskapitan Rybników

W dniu, kiedy straszliwy pogrom rosyjskiej floty u brzegów Cusimy zbliżał się ku końcowi i kiedy o tym krwawym triumfie Japończyków krążyły w Europie dopiero pierwsze niepokojące, niewyraźne pogłoski — w tym samym dniu sztabskapitan Rybników, który mieszkał na Piaskach w zaułku bez nazwy, otrzymał następującą depezę z Irkucka:

„Wysłać bezzwłocznie kartę choroby uważać na chorego uregulować rachunki”. . =

Sztabskapitan Rybników natychmiast oświadczył swojej gospodyni, że musi w interesach opuścić Petersburg na dzień lub dwa i żeby się nie denerwowała jego nieobecnością. Następnie ubrał się, wyszedł z domu i nigdy już nie powrócił.

I dopiero po pięciu dniach wezwano gospodynię na policję dla złożenia zeznań o jej zaginionym lokatorze. Uczciwa, gruba czterdziestopięcioletnia kobieta, wdowa po urzędniku konsystorialnym, szczerze opowiedziała wszystko, co jej było wiadomo: lokator jej był człowiekiem spokojnym, ubogim, głupawym, umiarkowanym w jedzeniu i grzecznym; nie pił, nie palił, rzadko wychodził z domu i nikogo u siebie nie przyjmował.

Nic więcej nie mogła powiedzieć mimo swego respektu i strachu przed rotmistrzem żandarmerii, który wściekle poruszał bujnymi wąsami i nie szczędził mocnych słów.

Właśnie w ciągu tych pięciu dni sztabskapitan Rybników obiegił i objechał cały Petersburg. Wszędzie: na ulicach, w restauracjach, w wagonach konnych tramwajów, na dworcach zjawiał się ten w domu wariatów, ale orzekli, że chociaż ja owszem nie tego... psychicznie... ale jestem nieszkodliwy — i wypuścili na wolność. I to'wszystko.

Wiem, proszę pana, że takich rzeczy w ogóle się nie opowiada i dlatego teraz tak pójdziemy: jeśli pan na lewo, to ja na prawo, i odwrotnie. Niechże się pan nie gniewa, ale jeszcze raz nadużyję pańskiego humanitaryzmu. Wie pan: dom noclegowy, jutro kieliszek wódki, coś do przegryzienia... O, gdzież dla mnie tak dużo!... No a zresztą, merci bien.

Dokąd pójdę? Tak, póki co, na ulicę. Jestem człowiekiem z ulicy: Nie będę ukrywał przed panem, >że dzięki pańskiej szczodrobliwości zawinę dzisiaj do jakiejś wesołej chatki. Mówi pan — podnieść się? Ech, co tam! Mój cykl wypełnił się ostatecznie i nie mam już dokąd iść — tylko na ulicę.

Wie pan... Pozwoli pan, jeszcze krótka przypowieść... Wszyscy jesteśmy lokatorami u Pana Boga naszego. Ale jedni zajmują wysoki parter i płacą za dziesięć lat z góry, a starszy dozorca sam już nie wie jakiego na ich widok kozła fiknąć. Inni mieszkają na poddaszu, ale płacą uczciwie, akuratnie i opóźnienie uważają za niezmywalną hańbę. Są i tacy, którzy samowolnie zrywają kontrakt, to już wprost awanturnicy... A są i tacy, wśród nich i ja, którzy i pieniędzy nie płacą, i obrzydli wszystkim jak diabli, a wyrugować ich z mieszkania żadną siłą nie sposób...

No tak... Tylko dlaczego trzymam pana na tym zimnie. Niech pan wielkodusznie wybaczy...

O rezerwar mesje, jak mówią Francuzi, i głębokie panu merci.

Czuje, w ciemności czuję, jak się pan waha: „Wyciągnąć do niego rękę czy nie?” Proszę, niech pan się nie przejmuje głupstwami. Co za przesady? No, życzę panu... Uch, co za diabelski wiatr!..;

Przełożył Jerzy Stankiewicz

mały, czarniawy, kulawy oficer, dziwnie gadatliwy, rozczochrany i niezbyt trzeźwy, ubrany w komiśny mundur piechoty z czerwono-żółtym kołnierzem — typowy okaz szczerą szpitalnego, wojskowo-kancelaryjnego lub intendenckiego. Pojawiał się także po kilka razy w sztabie głównym, w komitecie do spraw rannych, w cyrkułach policji, w komendanturze, w zarządzie wojsk kozackich i w dziesiątkach innych urzędów i zarządów, drażniąc pracowników swymi idiotycznymi skargami i pretensjami, swą poniżającą żądaniem, żołnierską ordynarnością i krzykliwym patriotyzmem. Wszyscy już wiedzieli na pamięć, że służył w taborze korpusu, został kontuzjowany w głowę pod Lao-Janem, a w czasie odwrotu spod Mukdena był ranny w nogę. Dlaczego, niech to diabli wezmą, wciąż jeszcze nie otrzymuje zasiłku? Dlaczego mu ciągle jeszcze nie wypłacają diet i kosztów podróży? A pensja za dwa ubiegłe miesiące? Jest absolutnie gotów przelać ostatnią, niech ją diabli wezmą, kroplę krwi za cara, tron i ojczyznę i natychmiast wrócić na Daleki Wschód, jak tylko zagoi się rana na nodze. Ale — do stu diabłów! — ta przeklęta noga nie chce się goić... Wyobraźcie sobie — ropniak! Zresztą zobaczcie sami. I stawiając chorą nogę na krześle skwapliwie podciągał nogawkę, ale za każdym razem powstrzymywano go z pełnym obrzydzenia i współczucia zażenowaniem. Jego gorączkowa, nerwowa nonszalancja, jego lekliwość, dziwnie granicząca z zuchwalstwem, jego głupota i zaczepna, ciekawość doprowadzały do pasji ludzi zajętych ważną i niezwykle odpowiedzialną papierkową robotą.

Na próżno tłumaczono mu możliwie najłagodniej, że się zwraca nie tam gdzie trzeba, że powinien się udać tam a tam, że należy przedłożyć takie a takie papiery, że go zawiadomią o rezultacie — absolutnie nic nie rozumiał. Ale też nie można się było na niego zbyt gniewać: był taki bezbronny, lekliwy i naiwny! Jeżeli mu przerywano z irytacją, uśmiechał się tylko z idiotyczną miną, ukazując dziąsła, kłaniał się raz po raz i z zakłopotaniem pocierał ręce. Lub też nagle odzywał się prosząco, ochryplym głosem:

— Przepraszam... nie mógłbym prosić o papierosa? Potwornie chce mi się palić, a nie mam za co kupić papierosów. Błogosławieni ubodzy... Ubóstwo, jak się to mówi, nie hańba, ale wielkie świństwo.

I tym rozbrajał najbardziej drażliwych i ponurych urzędników. Dawano mu papierosa i pozwalano przysiąść się w rogu biurka. Odpowiadano mu nawet od niechcienia i oczywiście niedbale na jego natarczywe pytania o przebieg wydarzeń wojennych. Było zresztą coś wzruszającego, dziecinnie szczerego w chorobliwej ciekawości z jaką ten nieszczęsny, zaszargany, wynędzniały oficer interesuje się wojną. Miało się ochotę zwyczajnie, po ludzku, uspokoić go, poinformować, pocieszyć, i dlatego mówiono z nim szczerzej niż z innymi.

Jego zainteresowanie wszystkim, co dotyczyło wydarzeń rosyjsko-japońskich było tak wielkie, że podczas gdy zdobywano dlań jakąś zawiłą informację, on szwendał się z pokoju do pokoju, od biurka do biurka i gdy posłyszał coś o wojnie, natychmiast podchodził i przysłuchiwał się ze swym zwykłym wymuszonym i głupawym uśmiechem.

Kiedy wreszcie wychodził, zostawiał po sobie wraz z uczuciem ulgi jakąś mglistą, niespokojną i trwożną litość. Nierzadko czyściutcy, wypiełgnowani oficerowie sztabowi mówili o nim ze szlachetną goryczą:

— I to ma być rosyjski oficer! Popatrzcie na niego. No, czy nie jest jasne, dlaczego przegrywamy bitwę po bitwie? Tępota, bezmyślność, zupełny brak poczucia godności osobistej... Nieszczęsna Rosja!

W te niespokojne dni sztabskapitan Rybników wynajął sobie pokój w brudnym hotelu w pobliżu dworca. Chociaż miał przy sobie własne dokumenty oficera rezerwy, mimo to uważał za potrzebne oświadczyć, że jego papiery znajdują się tymczasem w komendanturze. Do hotelu przywiózł swoje rzeczy: koc z poduszką w trokach, podróżny neseser i tanią nową walizkę, w której miał bieliznę i cywilny garnitur.

Potem służba hotelowa zeznała, że przychodził do hotelu późno i chyba podchmielony, ale zawsze dawał portierowi dziesięć kopiejek napiwku. Sypiał najwyżej po trzy-cztery godziny, niekiedy w ogóle się nie rozbierając. Wstawał wcześnie i długo, godzinami chodził tam i z powrotem po pokoju. W południe wychodził.

Od czasu do czasu z różnych oddziałów pocztowych wysyłał depesze do Irkucka, a wszystkie wyrażały głębokie zaniepokojenie jakimś rannym, ciężko chorym człowiekiem, zapewne bardzo bliskim sercu sztabskapitana.

Otóż tego niespokojnego, śmiesznego i dziwaczego człowieka spotkał kiedyś felietonista wielkiego petersburskiego dziennika, Włodzimierz Szczawiński.

II

Przed udaniem się na wyścigi Szczawiński wstąpił do małej mrocznej restauracyjki „Sława Piotrogradu”, gdzie zazwyczaj około drugiej po południu zbierali się reporterzy dla wymiany myśli i informacji. Była to trochę bezceremonialna, wesoła, cyniczna, wszechwiedząca i głodna kompania, i Szczawiński, w pewnym sensie arystokrata światka dziennikarskiego, oczywiście do niej nie należał. Jego niedzielne felietony, skrzące się dowcipem* ale niegłębokie, miały spore powodzenie u czytelników. Dużo zarabiał, świetnie się ubierał i miał rozległe znajomości. Ale i w „Sławie Piotrogradu” był mile widziany za swój ostry, swobodny język i za bezinteresowną hojność, z jaką wspomagał pisarską brać rubelkami. Dziś reporterzy obiecali postarać się dla niego o program wyścigów z tajemniczymi znakami ze stajni.

Portier Bazyli, uśmiechając się przyjaźnie, z szacunkiem zdjął palto ze Szczawińskiego.
:— Prosimy, panie redaktorze. Wszyscy w komplecie. W dużym gabinecie u Prochora.

Gruby, krótko ostrzyżony, rudo wąsy Prochor też się uśmiechał z poufałą życzliwością, swoim zwyczajem patrząc czcigodnemu gościowi nie w oczy, lecz powyżej czoła.

— Dawno pan nie zaglądał, panie redaktorze. Prosimy. Sami swoi.

Brać pisarska jak zawsze siedziała wokół długiego stołu i pośpiesznie maczając pióra w jednym kałamarzu prędko pisała na długich arkuszach papieru. Jednocześnie udawało im się, nie przerywając tego zajęcia, pochłaniać pierożki i smażoną kiełbasę¹ z kartoflami puree, pić wódkę i piwo, palić i wymieniać ostatnie nowiny z miasta i redakcyjne plotki nie nadające się do druku. Ktoś spał na kanapie jak kamień, podścielwszy pod głowę chustkę do nosa. Powietrze w gabinecie było sitoe, gęste i wielowarstwowe od dymu tytoniowego.

Witając się z reporterami, Szczawiński zauważył wśród nich sztabskapitana w przydziałowym mundurze. Siedział z rozstawiającymi nogami, oparty rękami i brodą na gardzie ogromnej szabli. Jego widok nie zdziwił Szczawińskiego, ponieważ jako reporter od dawna nie dziwił się już niczemu. Bywał świadkiem, jak w tej mieszanej, beztroskiej kompanii zawieruszali się na całe tygodnie obywatele ziemscy, jubilerzy, muzykanci, tancmistrzowie, aktorzy; właściciele zwierzyńców, handlarze ryb, kierownicy tancbud, gracze klubowi i inne osoby najdziwniejszych zawodów.

Kiedy przyszła kolej na oficera, ten wstał, wyprężył się odchylając łokcie i przedstawił się ochryplym, iście żołnierskim, przepitym głosem:

— Hmm! Sztabskapitan Rybników. Bardzo mi miło. Pan także jest pisarzem? Bardzo mi miło. Szanuję panów pisarzy. Prasa to szóste wielkie mocarstwo. Co? Nieprawdaż?

Mówiąc to szczyrzył zęby, stukał obcasami, mocno potrząsał ręką Szczawińskiego i przez cały czas jakoś niezwykle zabawnie się kłaniał, szybko zginając i prostując górną część tułowia.

„Gdzie ja go widziałem? — przemknęła Szczawińskiemu niespokojna myśl. — Niezwykle mi kogoś przypomina. Ale kogo?”

Tu w gabinecie były wszystkie sławy petersburskiego reportażu. Trzej muszkietierowie: Kodłubcew, Riażkin i Popow. Widywano ich wyłącznie razem, nawet ich nazwiska wymówione jednym tchem jakoś zręcznie się układały w czterostopowy jamb. Nie przeszkadzało im to wiecznie się kłócić i zmyślać o sobie nawzajem historie o niewiarygodnych szantażach, fałszerstwach kryminalnych, oszczerstwach i wyludzeniach. Obecny był tu też Sergiusz Kondraszew, który z powodu niepomysłowej lubieżności określany był jako „nie człowiek, lecz przypadek patologiczny”. Był ktoś, czyje nazwisko zatarło się z czasem jak jedna strona lichej monety i zostało tylko przezwisko „Matania”, pod którym znał go cały Petersburg. O ponurym Swiszczewie, piszącym felietoniki „U sędziów

przysięgłych", mówiono żartobliwie: „Swi-
szczew to wielki szantażysta, mniej niż trzy ruble
nie bierze." Zaś śpiący na kanapie długowłosy poeta
Piestruchin podtrzymywał swoją wątłą
pijacką egzystencję tym, że opiewał w lirycznych
wierszach wielkie święta państwowe i
kościelne. Były tam też inne, nie mniej wybitne
nazwiska: specjaliści od spraw miejskich,

od pożarów, trupów, od otwierania i zamykania ogrodów publicznych.

Długi, kudłaty, wągrowaty Matania powiedział:

— Zaraz panu przyniosę program, panie Włodzimierzu. A tymczasem polecam pańskiej uwadze odważnego sztabskapitana. Właśnie wrócił z Dalekiego Wschodu, gdzie, że tak powiem, dniami i nocami ścierał na proch żółtolicygo, skośnookiego i przewrotnego wroga. No, generale, jedź pan dalej.

Oficer odchrząknął i splunął na bok na podłogę.

„Cham” — pomyślał Szczawiński krzywiąc się.

Żołnierz rosyjski, bracie, to nie funt kłaków — zawołał ochryple Rybników, szcękając szablą. — Mocarze nad podziw, j jak mawiał nieśmiertelny Suworow. Co, może nieprawda? Jednym słowem... Ale powiem wam szczerze: nasze władze na Wschodzie; są do niczego! Znacie nasze porzekadło: jaki pan, taki kram. Co, nie mam racji? Kradną, grają w karty, zafundowali sobie kochan-; ki... A przecież wiadomo: gdzie diabeł nie może, tam babę pośle.

— Pan, generale, zaczął coś mówić o zdjęciach — przypomniał Matania.

— Aha, o zdjęciach. Merci. Co za głowa. Gołnałem sobie dzisiaj. Rybników rzucił szybkie, przenikliwe spojrzenie na Szczawińskiego. — No więc... Polecono pewnemu pułkownikowi sztabu generalnego przeprowadzić rozpoznanie terenu. Bierze ze sobą pluton kozaków — dziarskie wojsko, niech to diabli. Co, nieprawda? Bierze tłumacza i jedzie. Trafia do wsi. — „Jak się nazywa ta wieś?” Tłumacz milczy. — „A no chłopcy!” Kozacy go zaraz na- hajkami. Tłumacz mówi: „Butundu”. A „butundu” znaczy po chińsku „nie rozumiem”. — ■ „Aiha, przemówił, sukinsyn!” I pułkownik zapisuje sobie: „Wieś Butundu”. Znow jada — znow wieś. — „Nazwa?” — „Butundu” — „Co, znow Butundu?” — „Butundu”. Tak nazwał dziesięć wsi „Butundu” i wyszedł na tym jak | Czechowa: „Chociaż jesteś, powiada, Iwanow siódmy, a jednak dureń z ciebie!”

— O, zna pan Czechowa? — zapytał Szczawiński.

— Kogo? Czechowa? Antosia? Ja myślę, tam do licha! Przyjaciel ! Tęgo piliśmy razem. Chociaż jesteś, powiada, siódmy a jednak dureń z ciebie...

— Pan się z nim spotkał na Wschodzie? — spytał szybko Szczawiński.

— A jakże, naturalnie, że na Wschodzie. My, bracie, bywało z Antonim... Chociaż jesteś siódmy, a...

Kiedy mówił, Szczawiński obserwował go uważnie. Wszystko było w nim zwyczajne, iście żołnierskie: głos, sposób bycia, znoszony mundur, ubogi, prostacki język. Szczawiński miał okazję widywać setki takich zapijaczonych kapitanów, jak on. Tak samo szczerzyli zęby i kłęli, przyglądali wąsy w lewo i w prawo dziarskimi ruchami, tak samo przeżyli się, odginali łokcie, malowniczo wspierali się na szablach i brzęczeli urojonymi ostrogami. Ale miał w sobie również coś szczególnego, utajonego, czego Szczawiński nigdy nie widział i nie umiał określić — jakąś wewnętrzną napiętą, niespokojną siłę. Szczawiński wcale by się nie zdziwił, gdyby ten zachrypnięty, pijany bufon zaczął nagle mówić o subtelnych i mądrych rzeczach, niewymuszenie i jasno, wytwornym językiem, ale nie zdziwiłby go także jakiś nagły, szalony, nieobliczalny, nawet krwawy wyczyn ze strony sztabskapitana.

W jego twarzy zdumiewało Szczawińskiego odmienne wrażenie, jakie wywierała ona en face i z profilu. Z boku była to pospolita rosyjska, odrobinę kałmucka twarz: niskie wypukłe czoło pod ostro ściętą czaszką, rosyjski nieforemny nos w kształcie śliwki, rzadkie, szorstkie, czarne włosy w wąsach i w bródce, głowa krótko ostrzyżona, mocno szpakowata, cera ciemnożółta od opalenizny... Lecz gdy obracał się twarzą do Szczawińskiego, od razu zaczynał mu kogoś przypominać. Coś niezwykle znajomego, lecz czego ani rusz nie można było uchwycić, wyczuwało się w tych wąziutkich, czujnych, ciemnobrązowych oczkach o skośnym wykroju, w niespokojnym łuku czarnych brwi biegnących od nasady nosa w górę, w suchości skóry mocno napiętej na wydatnych kościach policzkowych, a przede wszystkim

w ogólnym wyrazie tej twarzy — złośliwej, ironicznej, mądrej, może nawet wyniosłej, ale nie ludzkiej, raczej zwierzęcej, a jeszcze bardziej — twarzy należącej do istoty z innej planety. „Jakbym go widział we śnie” — pomyślał Szczawiński. Przypatrując mu się zmrużył bezwiednie oczy i przechylił głowę na bok.

Rybników natychmiast, obrócił się do mego i wybuchnął głośnym, nerwowym śmiechem: — Dlaczego mnie pan podziwia, panie pisarzu? Interesuję pana? Jestem — podniósł głos i ze śmieszną dumą uderzył się pięścią w pierś. — Jestem sztabkapitan Rybników. Rybników. Prawosławny rosyjski wojak bije wrogów nie rachując. Jest taka rosyjska piosenka żołnierska. Co, nie mam racji?

Kodłubcew, suwając piórem po papierze i nie patrząc na Rybnikowa, rzucił niedbale: • I nie rachując poddaje się.

Rybników rzucił szybkie spojrzenie na Kodłubcewa i Szczawiński zauważył, że w jego brązowych oczach zabłysły dziwne żółtozielone płomyki. Ale to trwało tylko moment. Od razu wybuchnął śmiechem, rozłożył ręce i dźwięcznie klepnął się w łydki.

— Trudno, wola boska. Nie na darmo powiada przysłowie: trafiła kosa na kamień. Co, nie mam racji? — Zwrócił się nagle do Szczawińskiego, poklepał go lekko po kolanie i cmoknął z żalem. — My wszyscy żyjemy na zasadzie „jakoś to będzie”, a nuż się uda, ciach mach. Do terenu nie umiemy się przystosować, pociski nie pasują do kalibru dział, ludzie na pozycjach po cztery doby nie jedzą. A Japończycy, niech ich licho porwie, pracują jak maszyny. To małpy, a jednak cywilizacja jest po ich stronie, żeby ich licho wzięło! Co, nie mam racji?

— A więc pańskim zdaniem oni mogą nas pobić? — zapytał Szczawiński.

Rybnikowowi znów zadrżały wargi. Szczawiński zdążył już dostrzec ten jego tik. Przez cały czas rozmowy* zwłaszcza kiedy kapitan zadawał pytanie i z naciskiem czekał na odpowiedź lub odwracał się nerwowo czując na sobie czyjeś uważne spojrzenie, wargi drgały mu szybko to w jedną, to w drugą stronę w dziwnych grymasach podobnych do kurczowych, złośliwych uśmiechów. A jednocześnie szybko oblizywał popękane suche wargi, cienkie, sinawe, jakieś małpie czy kozle.

— Kto wie! — zawołał sztabkapitan. — Jeden Bóg wie. Bez Boga ahi do proga, jak się to mówi. Co, nie mam racji? Kampania jeszcze się nie skończyła. Wszystko przed nami. Żołnierz rosyjski jest przyzwyczajony do zwycięstw. Przypomnijmy Połtawę, niezapomnianego Suworowa. A Sewastopol! A \$||

dwunastym roku .przepędziliśmy największego na świecie wodza Napoleona! Wielki jest Bóg ziemi rosyjskiej! Co?

Mówił, a kąciki jego warg drgały w dziwnych, złośliwych, ironicznych, nieludzkich uśmiechach i złowieszcy żółty błysk igrał w jego oczach pod czarnymi surowymi brwiami. Szczawińskiemu przyniesiono w tym czasie kawę.

— Może wypije pan kieliszek koniaku? — zaproponował sztabkapitanowi.

Rybników znów poklepał go lekko po kolanie.

— Nie, dziękuję, drogi panie. Diabli wiedzą, ile ja dziś wypilem. Łeb mi pęka. Od samego rana chleję, niech to diabli. Rosjanie lubią się napić. Co, nieprawda? — zawołał nagle z dziarską miną i nieoczekiwanie pijanym głosem.

„Udaje” •— pomyślał Szczawiński.

Mimo to nie chciał dać za wygraną i dalej częstował sztabkapitana.

— To może piwa? Czerwonego wina?

— Nie, dziękuję bardzo. I tak już jestem pijany. Grand merci.

—■ A wody sodowej?

Sztabkapitan ożywił się.

— O tak! Właśnie... właśnie sodowej... nie odmówię szklaneczki.

Przyniesiono syfon. Rybników wypił szklanekę wielkimi, chciwymi łykami. Nawet ręce mu drżały z chciwości. I od razu nalał sobie drugą szklanekę. Widać było, że już od dawna męczyło go pragnienie.

„Udaje —' znów pomyślał Szczawiński. — Co za dziwaczny człowiek! Jest niezadowolony, znużony, ale ani trochę pijany.”

— Upał, niech to diabli — powiedział Rybników ochryple. — Ale ja panom, zdaje się, przeszkadzam w pracy.

— Nie, skąd. Jesteśmy przyzwyczajeni — mruknął Riazkin.

— A czy nie macie panowie jakichś świeżych wiadomości o wojnie? — zapytał Rybników. — Ech, panowie! — zawołał nagle i szcęknął szablą. — Ile ja bym mógł wam dać interesującego materiału o wojnie! Chcecie, to będę wam dyktował, a wy tylko piszcie. Wy tylko piszcie. A zatytułujcie tak: „Wspomnienia sztabskapitana Rybnikowa po powrocie z wojny”. Nie, nie, ja nie chcę pieniędzy, zrobię to za darmo. Co o tym sądzicie, panowie pisarze?

— Cóż, można to zrobić — odezwał się apatycznie Matania. — Kiedyś zrobimy z panem wywiadzik. Słuchaj pan, panie Włodzimierzu, czy wie pan coś o naszej flocie?

— Nie, nic, a czy jest coś nowego?

— Opowiadają coś nieprawdopodobnego. Kondraszew słyszał I od znajomego ze sztabu morskiego. Hej, patologiczny przypadek! Opowiedz Szczawińskiemu!

„Patologiczny przypadek”, człowiek o czarnej tragicznej brodzie i wymiętoszonej twarzy, powiedział przez nos:

— Nie mogę ręczyć, panie Włodzimierzu. Ale źródło jest raczej pewne. W sztabie krążą niejasne pogłoski, że większa część naszej eskadry poddała się bez walki, że jakoby majtkowie powiązali oficerów i wywiesili białą flagę. Bodajże ze dwadzieścia okrętów.

— To rzeczywiście okropne — powiedział cicho Szczawiński. — Ale może to nieprawda? Zresztą teraz są takie czasy, że nawet niemożliwe stało się możliwe. A propos, czy wiecie, co się dzieje w morskich portach? Wśród wszystkich załóg powstał straszny, głuchy ferment. Oficerowie marynarki boją się spotykać na lądzie z ludźmi ze swojej załogi.

Rozmowa stała się ogólna. Ta wścibska, wszędobylska, cyniczna kompania była swego rodzaju czułym odbiornikiem wszelkich miejskich pogłosek i komentarzy, które często wcześniej docierały do gabinetu „Sławy Piotrogradu” niż do gabinetów ministerialnych. Każdy miał swoje własne nowiny. Było to tak interesujące, że nawet trzej muszkietierowie, dla których, jak się wydawało, nie było na świecie nic świętego i ważnego, zaczęli mówić z niezwykłym przejęciem:

— Krążą pogłoski, że na tyłach armii rezerwowi odmawiają posłuszeństwa. Że podobno żołnierze strzelają do oficerów z ich własnych rewolwerów.

— Ja słyszałem, że naczelny wódz powiesił pięćdziesiąt siostr miłosierdzia. Oczywiście nie były to żadne siostry.

Szczawiński obejrzał się na Rybnikowa. Teraz gadatliwy sztabkapitan milczał. Ze zwięzonymi oczami, oparłszy pierś o gardę szabli, obserwował w napięciu każdego z mówiących, i na policzkach Pod napiętą skórą szybko drgały ścięgna, a wargi poruszały się, jakby powtarzał sobie każde słowo.

„Boże, kogóż mi on naprawdę przypomina?” — po raz dziesiąty niecierpliwie pomyślał felietonista.

Tak go to męczyło, że próbował zastosować starą znaną metodę; udać przed samym sobą, że zupełnie zapomniał o sztabkapitanie, a potem nagle, niespodziewanie spojrzeć na niego. Zazwyczaj taki sposób dość szybko pomagał mu przypomnieć sobie nazwisko lub miejsce spotkania, ale teraz okazał się całkiem nieskuteczny.

Pod jego uporczywym spojrzeniem Rybników znów się odwrócił, westchnął głęboko i ze smutkiem pokręcił głową.

— Okropna wiadomość. Panowie wierzą? Jeżeli to nawet prawda, nie trzeba rozpaczać. Wiecie, jak to my, Rosjanie powiadamy: Jak Bóg nie da — świnia nie zje. To jest mam na myśli, że świnia to oczywiście Japończycy.

Teraz uparciś wytrzymał baczne spojrzenie Szczawińskiego i w jego rudych, zwierzęcych oczach felietonista zobaczył płomień nieprzejednanej, nieludzkiej nienawiści.

W tej chwili śpiący na kanapie poeta Piestruchin uniósł się nagle, cmoknął i wbił mętne spojrzenie w oficera:

A, japońska mordo, ty jeszcze tu? — powiedział pijanym głosem, ledwo ruszając wargami. — Jeszcze śmiesz gadać!

I znów opadł na kanapę, obróciwszy się na drugi bok.

„Japończyk — pomyślał z zaciekawieniem Szczawiński. — Oto do kogo jest podobny.” I powiedział przeciągle i dobitnie:

— Ale z pana ananas, kapitanie!

— Ja? — krzyknął tamten. Oczy mu zgasły, ale wargi krzywiły się jeszcze nerwowo. — Jestem sztabskapitan Rybników! — znów ze śmieszną dumą walnął się pięścią w pierś. — Moje rosyjskie serce boli. Pozwoli pan, że uścisknę mu prawicę. Zostałem pod Lao-Janem kontuzjowany w głowę, a pod Mukdenem raniony w nogę. Co? Nie wierzy pan? Zaraz panu pokażę.

Postawił nogę na krześle i zaczął podciągać nogawkę.

— Dajże pan spokój, kapitanie. Wierzimy panu — powiedział krzywiąc się Szczawiński. Ale tym niemniej z zawodowej ciekawości zdążył rzucić okiem na nogę Rybnikowa i zauważył, że ten sztabskapitan piechoty nosi spodnią bieliznę z doskonałego jedwabnego trykotu.

W tej chwili do gabinetu wszedł posłaniec z listem do Matania.

— To dla pana, panie Włodzimierzu — powiedział Matania

rozdarłszy kopertę. — Program ze stajni. Niech pan będzie łaskaw postawić za mnie na Zenita jeden bilet w podwójnej. Oddam panu we wtorek.

— Pojedzie pan ze mną na wyścigi, kapitanie? — zaproponował Szczawiński.

j- Dokąd? Na wyścigi? Z przyjemnością. — Rybników hałaśliwie wstał, przewróciwszy krzesło. — To tam, gdzie konie biegają? Sztabskapitan Rybników pojedzie gdzie bądź. W bój, w szeregi, do wszystkich diabłów! Cha-cha-cha! Taki już jestem! Co, nieprawda?

Kiedy już siedzieli w dorożce i jechali ulicą Gabinetową, Szczawiński wsunął rękę pod ramię oficera, nachylił się do samego ucha i powiedział ledwo dosłyszalnie:

— Nie bój się pan, nie zdradzę pana. Pan jest taki sam Rybników jak ja Vanderbilt. Pan jest oficerem japońskiego sztabu generalnego, chyba nie niższym rangą od pułkownika, a teraz agentem wywiadu w Rosji.

Ale Rybników nie dosłyszał go poprzez turkot kół albo nie zrozumiał. Kiwając się nieco z boku na bok mówił ochryple z nowym, pijackim zachwytem:

— No to sobie pohulamy! To lubię, do licha! Jestem sztabkapitan Rybników, żołnierz rosyjski — lubię rosyjskich pisarzy! Fajne chłopcy! Tęgo piją i znają życie na wskroś. Ruski człowiek lubi popić. A ja, bracie, zdrowo kropnąłem sobie z rana.

III

Szczawiński — zarówno ze względu na swój zawód, jak i na zamiłowanie — był zbieraczem dokumentów ludzkich, kolekcjonerem rzadkich i dziwnych przejawów ludzkiego ducha. Nierzadko całymi tygodniami a nawet miesiącami obserwował interesujący go obiekt, śledząc go z uporem namiętnego myśliwego lub dobrowolnego szpicla. Zdarzało się, że taką zdobyczą okazywał się, zgodnie z jego własnym określeniem, jakiś „rycerz spod cie* mnej gwiazdy” — szuler, plagiator, kupler, alfons, grafoman — postrach wszystkich redakcji, kasjer-defraudant lub przemysłowiec wydający po restauracjach, wyścigach i salach gier państwo* .we pieniądze z pasją człowieka lecącego w przepaść. Ale obiektami jego sportowej pasji bywały także sławy sezonu — pianiści.

śpiewacy, literaci, szczęśliwi gracze, dżokeje, atleci, zdobywające Tozgłos kokoty. Zawarłszy — nieraz kosztem wielu wysiłków — znajomość, Szczawiński łagodnie i starannie, jakimś pajęczko-osnu- wającym sposobem, zdobywał zaufanie swojej ofiary. Wtedy szedł na całego: spędzał bezsenne noce z pospolitymi, ograniczonymi ludźmi, których cały bagaż umysłowy, jak u Buszmenów, stanowiło kilkadziesiąt pojęć zoologicznych i szablonowych frazesów; poił w restauracjach stuprocentowych durniów i łobuzów, wyczekując cierpliwie, aż pod wpływem alkoholu rozwinie się "bujnym, jaskrawym kwieciami ich szpetota; pochlebiał ludziom t>ez zastanowienia, z niewinnym wyrazem twarzy, bez umiaru, niezłomnie wierząc w to, że pochlebstwo otwiera wszystkie bramy; hojnie pożyczał pieniądze byle komu, z góry wiedząc, że ich nigdy nie odzyska. Na usprawiedliwienie tego śliskiego sportu mógłby powiedzieć, że wewnętrzna, psychologiczna ciekawość znacznie przeważała u niego nad zyskami, jakie zdobywał potem jako pisarz obyczajowy. Sprawiało mu dziwną, niejasną dla niego samego rozkosz wnikanie w tajniki ludzkiej duszy, dostrzeganie ukrytych, niekiedy błahych, niekiedy haniebnych, częściej śmiesznych niż wzruszających sprężyn ludzkich postępów — coś jakby trzymanie przez chwilę w rękach żywego, gorącego serca człowieka, odczuwanie jego bicia. Często w trakcie tej dociekliwej pracy wydawało mu się, że zupełnie zatracą swoje „ja”, do takiego stopnia zaczynał myśleć i czuć duszą innego człowieka, nawet mówić jego językiem i charakterystycznymi zwrotami, wreszcie łąpał się nawet na tym, że używa cudzych gestów i cudzych intonacji. Lecz nasyciwszy się człowiekiem porzuczał go. Co prawda niekiedy za chwilę namiętności trzeba było długo i słono płacić.

Ale już dawno nikt tak głęboko aż do wzburzenia nie interesował go, jak ten sztabkapitan — obdarty, ochryply i podchmielony. Nie rozstawał się z nim przez cały dzień.

Chwilami siedząc tuż obok niego w dorożce i obserwując go niepostrzeżenie, Szczawiński myślał z przekonaniem:

„Nie, to niemożliwe, żebym się mylił — ta żółta, skośnooka twarz o wystających kościach policzkowych, te ciągle, krótkie ukłony i zacieranie rąk, a jednocześnie pełna napięcia, nerwowa, niesamowita swoboda w obejściu... Ale jeżeli to wszystko prawda

i sztabkapitan jest rzeczywiście szpiegiem japońskim, to jak niesłychaną przytomnością ducha musi się odznaczać ten człowiek, z tak wspaniałym zuchwalstwem w biały dzień, w stolicy wrogiego narodu odgrywający tak złośliwą i trafną karykaturę rosyjskiego hulaszczego oficera piechoty! Jak strasznych musi doświadczać uczuć, balansując przez cały dzień, w każdej chwili na krawędzi prawie nieuchronnej śmierci."

Była w tym zupełnie już niepojęta dla Szczawińskiego urzekająca, szalona, a zarazem zimna odwaga, była może najwyższa ze wszystkich postać patriotycznego bohaterstwa. I paląca ciekawość, połączona z jakimś pełnym szacunku przerażeniem, coraz mocniej przykuwała Umysł felietonisty do duszy tego przedziwnego sztabkapitana.

Ale niekiedy przywoływał się w myślach do porządku:

„A jeśli się okaże, że sam sobie wmówiłem śmieszne podejrzenie? Jeżeli ją, wnikliwy znawca serc, sam sobie zawróciłem głowę gogolowskim hulaszczym kapitanem Kopiejkinem? Przecież i na Uralu, i wśród orenburskich Kozaków dużo jest takich mongolskich szafranowych twarzy." I wtedy jeszcze uważniej wpatrywał się w każdy gest i wyraz twarzy sztabkapitana, czujnie wsłuchiwał się w brzmienie jego głosu.

Rybników nie pomijał ani jednego salutującego mu żołnierza i sam też przykładął rękę do daszka czapki w szczególnie afektowany, staranny sposób. Kiedy przejeżdżali obok cerkwi, niezmiennie zdejmował czapkę i zęgnął się zamasyście i-pedantycznie, patrząc przy tym z ukosa na swego sąsiada -#*czy ten widział, czy nie?

Zą którymś razem Szczawiński nie wytrzymał i powiedział:

— Ależ pan jest pobożny, kapitanie.

Rybników rozłożył ręce, komicznie wciągnął głowę w uniesione ramiona i zachrypiął:

— Trudno i darmo, łaskawco. Przywykłem w bojach. Kto nie był na wojnie, nie wie, co to modlitwa. Zna pan? Piękne rosyjskie porzekadło. Tam, kochany, mimo woli nauczy się człowiek modlić. Bywało idziesz na pozycję — kule świszczą, szrapnele, granaty- te przekłete szimozy... ale trudno, nie ma rady — obowiązek, przysięga — idziesz! I powtarzasz po cichu: „Ojcze nasz,, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja jako w niebie...

I wyrecytował cały pacierz do końca, starannie, dobitnie wymawiając każdy dźwięk. 4 „Szpieg" — zadecydował Szczawiński.

Ale chciał upewnić się co do swojego podejrzenia. Przez kilka godzin z rzędu wystawiał na próbę i dręczył kapitana. W gabinecie w czasie obiadu, przy kieliszku wina, pochylając się przez stół mówił patrząc Rybnikowowi prosto w oczy: ' — Posłuchaj pan, teraz nikt nas nie słyszy, i... nie wiem, jak mam się panu zaklinać, że nikt na świecie nie dowie się o naszej rozmowie. Jestem głęboko, niezbitnie przekonany, że jest pan Japończykiem.

Rybników znów walnął się pięścią w pierś.

-rr Jestem sztab...

— Nie, nie, dajmy temu spokój. Twarzy pan nie ukryje mimo swojej mądrości. Zarys kości policzkowych, wykrój oczu, ta charakterystyczna czaszka, cera, rządki i szorstki zarost — wszystko niewątpliwie wskazuje na pańską przynależność do żółtej rasy. Ale jest pan bezpieczny. Nie doniosę na pana, cokolwiek by mi za to obiecywano, czymkolwiek by mi nie grożono za milczenie. Już choćby dlatego nie zrobię panu nic złego, że serce mam pełne nieskończonego szacunku dla pańskiej zdumiewającej odwagi, nawet więcej — pełne nabożnej czci, może nawet przerażenia, jeśli pan woli. Nie potrafię — a jestem przecież pisarzem, więc człowiekiem z wyobraźnią i fantazją — nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak można się zdecydować na coś takiego: o dziesiątki tysięcy wiorst od swej ojczyzny, w mieście pełnym nienawidzących wrogów, bez przerwy narażając życie — przecież pana powieszają bez sądu, jeżeli pan wpadnie, nieprawdaż — i jak gdyby nigdy nic spacerować w

mundurze oficera, wkręcać się na chybił •trafił w przeróżne kompanie, prowadzić najryzykowniejsze rozmowy! Przecież najmniejszy błąd, przejęzyczenie zgubi pana w jednej chwili. Na przykład pół godziny temu powiedział pan zamiast rękopis — manuskrypt. Niby głupstwo, a jakże charakterystyczne. Sztabskapitan piechoty nigdy by nie użył tego słowa w zastosowaniu do współczesnego rękopisu, tylko do archiwalne

go czy o szczególnie uroczystym charakterze. On nawet nie powieł „rękopis”, lecz „dzieło”. Ale to głupstwo. Przede wszystkim nie mogę zrozumieć tego stałego napięcia umysłu i woli, tego szatańskiego nakładu sił duchowych. Oduczyć się myślenia po ja- pońsku, całkiem zapomnieć swego imienia, utożsamić się z inną osobą. Nie, nie, to o wiele wznioślejsze od wszelkiego heroizmu o którym mówiono nam w szkołach. Mój drogi, niech pan mnie nie zwodzi. Przysięgam panu, że nie jestem pańskim wrogiem, -i

Mówił to zupełnie szczerze, rozplómienny i wzruszony heroiczną postacią, jaką malowała mu wyobraźnia. Ale sztabkapitan nie poddawał się pochlebstwu. Słuchał go, patrząc przymrużonymi oczami w kielich, przesuając go powoli po obrusie, a kąciki sinych warg drgały mu nerwowo, i Szczawiński czytał na jego twarzy wciąż tę samą ukrytą kpinę, tę samą upartą, głęboką, nietajoną nienawiść, osobliwą, być może niepojętą dla Europejczyka, nienawiść mądrego, uczłowiczonego, kulturalnego, uprzejmego zwierzęcia do istoty innej rasy.

— Ech, daj pan spokój, łaska, wco — odparł niedbale Rybników. — Do diabła z tym! Mnie i w pułku wymyślano od Japończyków. Co tam! Jestem sztabkapitan Rybników. Wie pan, jest takie rosyjskie porzekadło: gęba owcza, a dusza człowiecza. A ja panu opowiem, jaki był u nas w pułku kiedyś wypadek...

■ — A w jakim pułku pan służył? — spytał zniecierpliwiony Szczawiński.

Ale sztabkapitan jakby nie dosłyszał. Zaczął opowiadać te stare, oklepane, sprośne kawały, które opowiada się w koszarach, na manewrach, w obozach. I Szczawiński mimo woli poczuł się jdotknięty.

Kiedyś pod wieczór, siedząc w dorożce, Szczawiński objął Rybnikowa w pół przyciągając do siebie i powiedział półgłosem:

— Kapitanie... nie, nie kapitanie, lecz na pewno pułkowniku, bo inaczej nie zlecono by panu tak poważnej sprawy. A więc, powiedzmy, pułkowniku: podziwiam... pańską odwagę, to znaczy mam na myśli bezgraniczne męstwo japońskiego narodu. Czasem kiedy czytam lub myślę o różnych przypadkach waszej szatańskiej odwagi i pogardy dla śmierci, przesywa mnie dreszcz ||| chwyty. Cóż na przykład za nieśmiertelne piękno i boskie zuchwalstwo w postępkach tego kapitana ostrzelanego statku, który

na propozycję peddania się milcząc zapalił papierosa i z papierosem w zębach poszedł na dno. Cóż za bezgraniczna siła i jaka zachwycająca pogarda dla wrogów! A kadeci morscy, którzy na branderach poszli na pewną śmierć z taką radością, jakby szli na bal? A pamięta pan, jak jakiś porucznik — sam jeden, sam jeden — przyholował na łódce torpedę aż na koniec moła w Port-

- Arthur? Oświetlono go reflektorami i została po nim i jego torpedzie tylko wielka krwawa plama na betonowym murze, ale już nazajutrz wszyscy miczmani i lejtnanci japońskiej floty zasypali admirała Togo prośbami, w których podejmowali się powtórzenia tego szaleńczego czynu. Co za bohaterowie! Ale jeszcze wspanialszy jest rozkaz Togo, żeby jego oficerowie nie wazyli się tak narażać swego życia, które należy nie do nich, lecz do ojczyzny. Ale, do licha, to piękne!

— Jaką ulicą jedziemy? — przerwał mu Rybników i ziewnął.

— Po mandżurskich wzgórzach straciłem orientację w mieście. U nas w Charbinie...

Ale Szczawiński w uniesieniu, nie słuchając go, mówił dalej: A pamięta pan ten wypadek, kiedy oficer wzięty do niewoli rozwalil sobie głowę o kamień? Ale co jest najbardziej zdumiewające — to pieczęcie samurajów. Pan oczywiście nie słyszał o tym, sztabkapitanie Rybników? — zapytał Szczawiński ironicznie, z naciskiem. — No, tak, naturalnie nie słyszał pan... Widzi pan, generał Nogi wezwał ochotników do pójścia w pierwszej kolumnie na nocny szturm fortyfikacji w Port-Arthur. Prawie cały oddział podjął się tej wyprawy, tej zaszczytnej śmierci. A ponieważ było ich wielu i ponieważ spieszyli się,

żeby pójść przed innymi na śmierć, ubiegali się o to na piśmie i niektórzy z nich starodawnym zwyczajem odcinali sobie wskazujący palec lewej ręki i przykładali go obok podpisu jako krwawą pieczęć. Tego dokonywali samuraje! — Samuraje! — powtórzył głucho Rybników. W krtani coś mu jakby pękło i zadławiło. Szczawiński szybko spojrzał na jego profil. Niespodziewany, nie widziany dotychczas wyraz czulej łagodności pojawił się wokół ust i na drgającym podbródku sztabkapitana, a oczy zaśniły mu ciepłym, drżącym blaskiem, jakby świecącym poprzez nagłe, nie wylewające się łzy. Ale od razu zapanował nad sobą, na moment zmrużył oczy, potem

zwrócił do Szczawińskiego prostoduszną, bezmyślną, twarz i nagle teaklą szpetnie.

—: Kapitanie, kapitanie, co panu jest? — zawołał Szczawiński niemal ze strachem. —«— To wszystko nałgali w gazetach -m powiedział Rybników niedbale — nasz rosyjski żołnierz nie jest wcale gorszy. Ale ■naturalnie jest różnica. Oni walczą o swoje życie, o sławę, o samodzielność, a my, po cożeśmy się wpakowali? Nikt tego nie wie! Diabli wiedzą czemu! Nie miała baba kłopotu — jak mówi przysłowie. Co, nie mam racji? Cha-cha-cha! - Na wyścigach Szczawiński zajął się trochę, za wodami i nie mógł •cały czas obserwować sztabskapitana. Ale w przerwach między •biegami widywał go od czasu do czasu to na jednej, to na drugiej trybunie, w górze, w dole, w bufecie i koło kas. Tego dnia słowo „Cusima" było na ustach wszystkich: graczy, dżokejów, bukmacherów, nawet tajemniczych obszarpanych osobników, nieodzownych zazwyczaj na wyścigach. Słowo to wymawiano zarówno -kpiąc z wyczerpanego konia, jak i z irytacji z powodu przegranej, i z obojętnym śmiechem i goryczą. Gdzieniegdzie wymawiano je z pasją. I Szczawiński widział z daleka, jak sztabskapitan w charakterystyczny dla siebie, pełen ufności, swobodny i pijacki sposób wszczywał z kimś spór, łośkał czyjeś ręce, klepał kogoś po •ramieniu. Jego mała kulejąca sylwetką przewijała się wszędzie.

Z wyścigów pojechali do-restauracji, a stamtąd do mieszkania Szczawińskiego. Felietonista trochę się wstydził swej roli dobrowolnego szpicla, ale czuł, że nie potrafi się jej wyrzec, chociaż ta ukrywana, pełna napięcia walka z cudzą duszą zaczynała go już przyprawiać o zmęczenie i ból głowy. Przekona.wszy się, że pochlebstwem nic nie wskóra, próbował teraz zmusić sztabskapitana do szczerości, drażniąc i pobudzając jego Uczucia patriotyczne.

— Tak, ąle mimo wszystko żal mi biednych makaków! ||| mówił z ironicznym współczuciem.!,^'- Niech tam opowiadają co chcą, >ale Japonia w tej wojnie wyczerpała cały swój narodowy geniusz. Moim zdaniem przypomina chudego, wątłego człowieka, który w ekstazie i upojeniu lub z pychy zarzucił na plecy i podniósł dwadzieścia pudów, nadwyrężył się i oto zaczyna powoli konać. Rosja, widzi pan, to całkiem osobliwy kraj — to kolos. Dla niej klęska mandzurska jest tym, czym odciągające krew bańki, dla pełnokrwistego człowieka. Zobacz pan, jak wydobrzeje.i zakwitnie po wojnie. A Japonia podupadnie i umrze. Niech nie mówią, że tam jest kultura, powszechna umiejętność czytania i pisania, europejska technika. Mimo wszystko Japończyk to Azjata, pół- człowiek-półmałpa. Nawet fizycznie zbliżony jest do małpy, tak samo jak Buszmen, Tuareg i Botokuda. Wystarczy zwrócić uwagę na kamperowski zarys jego twarzy. Słowem — makaki. I zwyciężyła nas nie wasza kultura czy młodość polityczna, lecz po prostu jakiś szalony wybuch, atak epileptyczny. Wie pan, co to jest raptus, atak szału? Słaba kobieta zrywa łańcuchy i rozrzuca potężnych chłopów jak szczapy. Nazajutrz nie jest w stanie podnieść ręki. Tak samo z Japonią. Niech mi pan wierzy, po jej bohaterskim ataku nadejdzie bezsilność, marazm. Lecz naturalnie przedtem przyjdzie okries narodowej chełpliwości, bezczelnej buty żołnierskiej i szalonego szowinizmu.

— Słusznie! ~ wołał na to sztabskapitan Rybników w głupkowanym zachwycie. — Co słuszne, to słuszne. Daj pan rękę, panie pisarzu! Zaraz poznać mądrego człowieka.

Śmiał się ochryple, spluwał, klepał Szczawińskiego po kolanie, potrząsał jego ręką. I Szczawiński nagle poczuł wstyd za siebie i swoje tajemne chwytły przenikliwego znawcy serc.

„A jeżeli się mylę i ten Rybników jest najprawdziwszym sztabowym opojem? Niech to diabli! Ale nie, to niemożliwe. A jeżeli możliwe', to, mój Boże, jakiegoż ja strugam wariata!"

W swoim mieszkaniu pokazywał sztabkapitanowi bibliotekę, kolekcję starej porcelany, cenne sztychy i dwa rasowe syberyjskie psy. Jego żony — aktoreczki operowej — nie było w mieście.

Rybników oglądał wszystko z uprzejmym, lecz umiarkowanym zainteresowaniem, w którym gospodarz dojrzał nawet coś na kształt nudy, nawet chłodnej pogardy. W pewnym momencie Rybników otworzył jakieś czasopismo i przeczytał z niego na głos kilka wierszy.

„E, tu popełnił błąd!” — pomyślał Szczawiński, słysząc jego sposób czytania, nadzwyczaj poprawny, ale drewniany, z przesadnie dokładnym wymawianiem każdej litery, jakim się popisują prymusi, uczący się obcego języka. Widocznie Rybników też to spostrzegł, gdyż zaraz zamknął czasopismo i zapytał:

— Pan też jest pisarzem?

— Tak... trochę.

— A do jakich gazet pan pisze?

Szczawiński wymienił tytuły. Pytanie to Rybników zadał mu dzisiaj po raz szósty.

— Ach, tak, tak. Zapomniałem, już pytałem. Wie pan co, panie pisarzu?

— Słucham?

— Zróbmy tak: pan niech pisze, a ja będę dyktować... To znaczy nie dyktować... O nie, nie śmiałybym. — Rybników zatarł ręce i zaczął klaniać się raz po raz. — Pan oczywiście sam to będzie opisywać, a ja będę tylko podawał panu myśli i pewne... jakby się tu wyrazić... wspomnienia o wojnie. Ach ile ja mam ciekawych materiałów.

Szczawiński przysiadł na biurku i spojrzał na sztabskapitana, przymrużywszy chytrze jedno oko.

— I oczywiście wymienić pańskie nazwisko?

•— Cóż, można. Nie mam nic przeciwko temu. Proszę zaznaczyć: informacje te podał mi uprzejmie sztabskapitan Rybników, który właśnie wrócił z teatru działań wojennych.

— Ta-ak, świetnie. A na co to panu?

— Co?

— No to, żeby koniecznie figurowało pańskie nazwisko? Czy to będzie panu z czasem potrzebne do sprawozdania? Że niby inspirował pan rosyjską prasę? Ale ze mnie sprytny chłop, nie?

Ale sztabskapitan swoim zwyczajem unikał bezpośredniej odpowiedzi.

— A może nie ma pan czasu? Może jest pan zajęty czymś innym? W takim razie — niech diabli wezmą te wspomnienia. Nie da się opisać wszystkiego, co było. Jak to się mówi: całej wódki nie wypijesz, wszystkich kobiet nie przekochasz. Co, nieprawda? Cha-cha-cha!

W tym momencie Szczawińskiemu wpadł do głowy ciekawy pomysł. W gabinecie stał duży biały stół z niemalowanego jesionu. Na jego czystym, delikatnym blacie wszyscy znajomi zostawiali swoje autografy w postaci aforyzmów, wierszy, rysunków, a nawet nut. Rzekł do Rybnikowa:

sałby mi pan czegoś na pamiątkę naszej miłej (tu skłonił się uprzejmie) i, ośmielam się mieć nadzieję, nie przelotnej znajomości?

— Dlaczego nie, z przyjemnością — chętnie zgodził się Rybników. — Coś z Puszkina czy Gogola?

— Nie... może lepiej niech pan coś sam...

— Sam? Doskonale.

Wziął pióro — zamaczał, zastanowił się i przygotował do pisania. Ale Szczawiński powstrzymał go nagle:

— Może raczej zróbmy tak: oto ćwiartka papieru, a tu w pudełeczku są pluskiewki.

Zechce pan napisać coś szczególnie interesującego, a potem przykryć papierem i przypiąć w rogach pluskiewkami. Daję panu słowo honoru pisarza, że przez dwa miesiące nie tknę tej kartki i nie zaglądnę, co pan tam napisał. Zgoda? No to pisz pan. Wyjdę z pokoju, żeby panu nie przeszkadzać.

Po pięciu minutach Rybników zawołał:

— Proszę wejść!

— Gotowe? — zapytał Szczawiński wchodząc.

Rybników wyprężył się, przyłożył rękę do czoła, jakby salutując, i wrzasnął po żołniersku: I

— Tak jest, wasza wielmożność.

— Dziękuję. No, a teraz pojedziemy do Buffo lub jeszcze gdzie indziej — powiedział Szczawiński. — Potem zobaczymy. Nie odstąpię pana przez cały dzisiejszy dzień, kapitanie.

— Z największą przyjemnością — odparł ochryłym basem Rybników trzaskając obcasami.

I uniósłszy ramiona, dziarsko rozprostował obydwie wąsy.

Ale Szczawiński mimo woli oszukał sztabkapitana i nie dotrzymał słowa. W ostatniej chwili przed wyjściem z domu przypomniał sobie, że zostawił w gabinecie papierośnicę i poszedł po nią, zostawiając Rybnikowa w przedpokoju. Biały arkusz papieru, dokładnie przypięty pluskiewkami, wzbudził jego ciekawość. Nie oparł się pokusie, obejrzał się ukradkiem i odgiąwszy papier szybko przeczytał słowa napisane subtelnym, wyraźnym i niezwykle wytwornym pismem:

„Chociaż jesteś siódmy Iwanow, a jednak dureń z ciebie...”

Dobrze po północy wychodzili z podmiejskiego kabaretu w towarzystwie znanego komika operowego Żenina-Lirskiego, młodego wiceprokuratora Saszki Sztralmana, który był znany w całym Petersburgu z niezrównanego talentu do opowiadania zabawnych, nowych kawałów oraz mecenasa sztuki — kupieckiego syna Kariukowa.

Było ani jasno, ani ciemno. Trwała ciepła, biała, przejrzysta noc ze swymi delikatnymi, mieniającymi się kolorami, z perłową, wodą w cichych kanałach, wyraźnie odbijających szary kamień nadbrzeża i nieruchomą zieleń drzew, z bladym, jakby znużonym bezsennością niebem i śpiącymi obłokami, długimi, cienkimi i puszystymi jak kłaki roztrzepanej waty.

— Gdzie jedziemy? — zapytał Szczawiński, stając przed bramą ogrodu. — Marszałku Ojama! Pańskie oświecone zdanie?

Cała piątka zatrzymała się na trotuarze. Ogarnęło ich, jak to zwykle zdarza się nad ranem, niezdecydowanie typowe dla ludzi wyczerpanych hulanką, u których fizyczne zmęczenie walczy z neodpartą, drażniącą potrzebą nowych, silnych wrażeń. Z ogrodu bezustannie wychodzili goście, śmiejąc się, nucąc, głośno szurając nogami po suchych białych płytach. Pospiesznym krokiem, śmiało szeleszcząc jedwabiem halek wybiegały szansonistki w ogromnych kapeluszach, z lśniącymi w uszach brylantami, w towarzystwie eleganckich mężczyzn w jasnych garniturach ozdobionych butonierkami. Damy te, z szacunkiem podtrzymywane przez portierów, wskakiwały do powozów i sapiących automobilów, wprawnymi ruchami wygładzały suknie wokół swych nóg, i szybko mknęły naprzód, przytrzymując ręką kapelusze. Chórzystki i ogródkowe panienki wyższej kategorii rozjeżdżały się zwykłymi dorożkami, siedząc po jednej lub dwie z mężczyzną. Inne —• zwykłe ulicznice —• kręciły się koło drewnianego płotu, zaczepiając tych mężczyzn, którzy rozchodzili się pieszo, a zwłaszcza pijanych. Ich twarze, w jasnym, białym mroku majowej nocy wyglądające jak prostackie maski niebieskie od pudru, płonęły paśowym rumieńcem i zdumiewały oko czernią, grubością i niezwykłą okrągłością brwi, ale tym żałośniej wyglądała spod tych naiwnie jaskrawych barw żółtość pomarszczonych skroni, chudość żyłastych szyj i otłuszczenie zwiędłych podbródków. Dwaj konni posterunkowi klnąc nieprzystojnie nacierali na nie raz po raz spienionymi pyskami swoich koni, a panienki piszczwały, rozbiegały się i chwyciły przechodniów za ręce. Przy kracie ogradzającej kanał tłoczyło się ze dwadzieścia osób — odbywała się tam zwykła poranna burda. Pijany do nieprzytomności bezwasy oficerek awanturował się i udawał, że chce dobyć szabli, a posterunkowy perswadował mu coś falsetem, przykładając rękę do serca. Jakiś zwinnie, podejrzany, nietrzeźwy osobnik w kaszkiecie z obszarpanym daszkiem mówił słodziutko i przypochlebnie: — Wasza wielmożność, proszę pluć na nich, nie warto na nich zwracać uwagi. Proszę lepiej dać mi w mordę, pozwoli wasza wielmożność, że jego rączkę ucałuję. — A w tylnych rzędach wychudły i surowy dżentelmen, któremu spod nasuniętego na nos melonika widać było tylko grube, czarne wasy — huczał niewyraźnie basem: — Nie cackać się z nim! Do wody go, i basta!

-T- W samej' rzeczy, majorze Fukuszima powiedział aktor. — Trzeba przecież godnie zakończyć dzień naszej miłej znajomości. Jedźmy do dziewczynek. Saszka, gdzie?

— Do Berty? — odpowiedział pytaniem Sztralman.

Rybników zachichotał i z gorączkową wesołością zatarł ręce.

— Na dziewczynki? Cóż, dla towarzystwa — powiada rosyjskie przysłowie — Cygan się powiesił. Gdzie inni, tam i my. Co, nieprawda? Jak jechać — to jechać, powiedziała papuga. Co? Cha-cha-cha?

Tych młodych ludzi poznał przez Szczawińskiego i wszyscy razem jedli kolację w kabarecie, słuchali Rumunów, pili szampana i likier. Przez jakiś czas bawiło ich nadawanie Rybnikowowi nazwisk różnych japońskich dowódców, tym bardziej, że dobroduszość sztabkapitana zdawała się nie mieć granic. Tę prymitywną i poufałą zabawę rozpoczął

Szczawiński. Wprawdzie czuł od czasu do czasu, że postępuje wobec Rybnikowa nieładnie, a nawet może nielojalnie, ale uspokajał swoje sumienie tym, że ani razu nie wypowiedział na głos swych podejrzeń, a jego znajomym wcale nie przychodziły one na myśl.

Tego wieczoru początkowo obserwował Rybnikowa. Sztabskapitan; był najhałaśliwszy i najbardziej gadatliwy ze wszystkich: co chwila trącał się z kompanami, siadał, zrywał się, wylewał

wino na obrus, zapalał papierosa od niewłaściwego końca. Szczawiński zauważył jednak, że bardzo mało pije.

Rybników znów miał jechać dorożką razem z felietonistą. Szczawiński prawie nie był pijany sifw ogóle był bardzo odporny na hulanki — ale głowę miał lekką i szumiącą, jakby pełną piany z szampana. Spojrzał z boku na sztabskapitana. W niepewnym, półsensnym świetle białej nocy twarz Rybnikowa przybrała ciemny, gliniasty odcień. Wszystkie jej załomy stały się ostre i czarne, zmarszczki na skroniach i fałdy wokół nosa i ust pogłębiły się. A sam sztabskapitan siedział zgarbiony, pochylony, schowawszy ręce do kieszeni szynelu, ciężko dysząc otwartymi ustami. Wszystko to w sumie nadawało mu umęczony, cierpiętniczy wygląd. Szczawiński czuł nawet jego oddech i pomyślał, że właśnie taki nieświeży, kwaśny oddech mają gracze po kilku nocach hazardu, ludzie wymęczeni bezsennością lub intensywną pracą umysłową. Fala dobrodusznego rozczulenia i litości załaza serce Szczawińskiego. Rybników wydał mu się nagle mały, zaszczuty, wzruszająco żalorny. Objął go, przyciągnął do siebie i powiedział serdecznie:

— No już dobrze, kapitanie. Poddaję się. Nie mogę sobie z panem poradzić i przepraszam, jeżeli miał pan przeze mnie kilka przykrych chwil. Daj pan rękę na zgodę.

Odpiął od swej klapy różę, którą mu wcisnęła w ogrodzie kwiaciarka, i włożył ją do butonierki płaszcza kapitana.

— To na znak zgody, kapitanie. Nie dręczmy się więcej.

Dorożka stanęła przed piętrową willą z przyzwoitym podjazdem, o oknach szczelnie zamkniętych okiennicami. Reszta przyjechała wcześniej i już na nich czekała. Nie od razu ich wpuszczono. Najpierw w ciężkiej bramie otworzyło się od wewnątrz czworokątne okienko wielkości dłoni, a w nim na parę sekund ukazało się czyjeś zimne, uważne, szare oko. Potem drzwi się otworzyły.

Zakład ten był czymś pośrednim między drogim domem publicznym a luksusowym klubem: wspaniały hol, w przedpokoju wypchany niedźwiedź, kobierce, jedwabne rolety, żyrandole, lokaje we frakach i rękawiczkach. Mężczyźni przyjeżdżali tu, aby zakończyć noc po zamknięciu restauracji. Grano tu także w karty, można było dostać drogie wina i zawsze było w rezerwie dużo ładnych, świeżych kobiet, które często się zmieniały.

Trzeba było wejść na piętro. Tam na górze był szeroki podest z roślinami w doniczkach i z kanapką, oddzielony od schodów poręczą. Szczawiński wchodził z Rybnikowem pod rękę. Chociaż dał sobie słowo, że nie będzie z nim się więcej droczyć, nie mógł się powstrzymać i rzekł:

— Wejdzmy na szafot, kapitanie!

— Ja się nie boję — odparł tamten leniwie. — Ja i tak co dzień idę na śmierć.

Machnął ospale ręką i uśmiechnął się z przymusem. Uśmiech ten sprawił, że jego twarz stała się nagle zmęczona, jakby szara i starcza.

Szczawiński milczał, patrząc na niego ze zdziwieniem. Zawstydził się swojej natarczywości. Ale Rybników wykręcił się natychmiast.

— No tak, na śmierć. Żołnierz zawsze musi być na to przygotowany. Trudno. Śmierć — to drobna niedogodność naszego zawodu.

Szczawiński i mecenas Kariukow byli stałymi bywalcami i honorowymi gośćmi w tym domu. Witano ich wesołym uśmiechem i głębokim ukłonem.

Wyznaczono dla nich duży, ciepły gabinet, czerwono-złoty, z grubym jasnozielonym dywanem na podłodze oraz kandelabrami w rogach i na stole. Podano szampana, owoce i cukierki. Przyszły kobiety — potem cały czas jedne z nich przychodziły, inne odchodziły, a wszystkie bez wyjątku były ładne, mocno upudrowane, z obnażonymi białymi ramionami, szyją i piersiami, ubrane w błyszczące, jaskrawe suknie, niektóre w spódniczkach do kolan, jedna w brązowym mundurku gimnazjalistki, inna w obcisłych rajtuzach i czapce dżokeja.

Przyszła także niemłoda, tęga dama w czerni, wyglądająca na gospodynię lub zarządzającą domu — bardzo przyzwoita na pozór, o twarzy cytrynowo-żółtej i zwiędłej; przez cały czas starczo, przymilnie śmiała się, co chwila kaszłała i paliła bez przerwy.

Do Szczawińskiego, aktora i mecenasa zwracała się z miłą, niewymuszoną kokieterią damy, która mogłaby być dla nich matką, trzepała ich chustką po rękach, a Sztralmana — widocznie ulubieńca — nazywała Saszką.

— No, generale Kuroki, wypijmy za wspaniałe sukcesy sławnej

mandżurskiej armii. Bo pan wciąż siedzi skwaśniały >— rzekł Kariukow.

Szczawiński przerwał mu ziewając:

— Wystarczy, panowie. Jeszcze się wam nie znudziło? Naduży* wacie dobroduszości kapitana.

— Nie, ja się nie gniewam — odparł Rybników. — Wypijmy, panowie, za zdrowie naszych miłych dam.

— Lirski, zaśpiewaj coś — poprosił Szczawiński.

Aktor ochoczo zasiadł do pianina i zaśpiewał romans cygański. Właściwie nie tyle śpiewał, co opowiadał, nie wypuszczając z ust cygara, patrząc w sufit, wyginając się z afektacją. Kobiety wtórowały mu głośno i fałszywie, śpiewając jedna przez drugą. Potem Sasza Sztralman świetnie imitował fonograf, odtwarzał postacie włoskiej opery i naśladował zwierzęta. Kariukow tańczył fan- dango i ciągle żądał nowych butelek.

Pierwszy też zniknął z pokoju z rudą milczącą Polką, za mm poszli Sztralman i aktor. Został tylko Szczawiński, na którego kolanach siedziała smagła, białozęba Węgierka, i Rybników obok pulchnej blondynki w granatowej atłasowej bluzce z kwadratowym wycięciem do połowy biustu.

Cóż, kapitanie, pożegnamy się na chwilkę — powiedział Szczawiński wstając i przeciągając się. — Już późno, a raczej wcześniej. Proszę przyjechać do mnie o pierwszej na śniadanie. Mamciu, wino proszę zapisać na Kariukowa. Skoro kocha świętą sztukę, niech płaci za zaszczyt spożywania kolacji z jej adeptami. Moje uszanowanie.

Blondynka objęła kapitana nagim ramieniem za szyję i powiedziała z prostotą:

— My też chodźmy, kochasiu. Faktycznie już późno.

V

Miała nieduży, wesoły pokoik z niebieską tapetą i bladoniebieską wiszącą lampą w kształcie latarni, toaletkę z okrągłym lustrem w niebieskiej muślinowej ramie, na jednej ścianie oleodruki, na drugiej makatkę, a pod nią metalowe łóżko.

Kobieta rozebrała się i z uczuciem ulgi i zadowolenia rozmasowała sobie boki, na których góra gorsetu odcisnęła fałdy. Potem przykręciła knot lampy i usiadłszy na łóżku zaczęła spokojnie rozsznurowywać buciki. Rybników siedział przy stole rozstawiwszy łokcie i oparłszy na nich głowę. Nie odrywał oczu od jej dużych, ale ładnych nóg o pełnych łydkach, zgrabnie opiętych czarnymi ażurowymi pończochami.

— Czemuż się pan oficer nie rozbiera? — zapytała kobieta. — Powiedz, kochasiu, czemu nazywają cię japońskim generałem?

Rybników zaśmiał się nie spuszczać z niej oczu.

— Ach, to nic, głupstwo. Po prostu żartują. Znasz taki wierszyk: zdrowy śmiech — to żaden grzech.

— Kochasiu, postawisz mi pan szampana? No, jeżeli pan taki skąpy, to poproszę przynajmniej o pomarańcze. Pan na godziny czy na całą noc?

■ Na całą noc. Chodź do mnie.

Położyła się obok niego, pospiesznie rzuciła przez ramię na podłogę papierosa i zaczęła barszkować pod kołdrą.

— Gdzie ty wolisz, przy ścianie? — spytała. — Dobrze, leż, leż. Och, jakie masz zimne nogi! Wiesz, ja uwielbiam wojskowych. Jak się nazywałeś?

— Ja? — odchrząknął i odrzekł niepewnym głosem: — Jestem sztabkapitan Rybników. Wasilij Rybników.

— A, Wasia! Mam znajomego licealistę, jemu też Wasia, śliczny z niego chłopczyk! Zaśpiewała kuląc się pod kołdrą, śmiejąc się i mrużąc oczy:

^^U} Wąsiu, Wasineczku, Opowiadasz mi bajeczki.

— A wiesz, jak Boga Kocham, jesteś podobny do Japończyka. I wiesz do kogo? Do Mikady. Mamy jego portret. Szkoda, że jest tak późno, bo bym ci go pokazała. Słowo daję, jak dwie krople wody.

— No cóż, bardzo mi miło powiedział RybnikóW i objął łagodnie jej gładkie okrągłe ramię.

— A może jesteś naprawdę Japończykiem? Oni mówią, że byłeś na wojnie — to prawda? Oj, Kochasiu, ja się boję łaskotek. I co, strasznie jest na wojnie?

— Strasznie... Nie, niespecjalnie. Dajmy temu spokój — powiedział niechętnie. — Jak ci na imię.

— Kloty Ida. Nie, powiem ci w sekrecie, że mi na imię Nastka. To tylko tu mi dali imię Klotylda, bo mam takie brzydkie imię[^]i Nastka, Nastazja, jak kucharka.

— Nastka? ||| powtórzył w zamyśleniu i delikatnie pocałował- ją w pierś. — Nie, to ładne. Na-stka ■— powtórzył wolno.

— Też coś, co w tym ładnego? Ładne imiona to na przykład Malwina, Wanda, Żenią, albo może Irma... Och, kochasiu![^]— Przyłgnęła do niego, ps A pan jest sympatyczny... Taki brunet,. Lubię brunetów. Pan na pewno żonaty?

— Nie, nie jestem żonaty.

— Opowiadasz pan. Wszyscy tutaj udają kawalerów. Pewnie ma pan ze sześcioro dzieci, co?

Okiennice były zasunięte, a lampa ledwo się paliła, więc w pokoju było ciemno. Jej twarz, leżąca zupełnie blisko jego głowy; dziwnie jakoś odcinała się od mglistej bieli poduszki. Nie była już podobna do poprzedniej twarzy, zwyczajnej i ładnej, okrągłej[^] rosyjskiej, szarookiej twarzy — teraz stała się jakby szczuplejsza i, raz po raz dziwnie zmieniając wyraz, wydawała się delikatna; miła, zagadkowa i przypominała Rybnikowowi czyjąś nieskończenie znajomą, od dawna ukochaną, urzekająco piękną twarz.

— Jakaś ty ładna! — szeptał. — Kocham cię... ja cię kocham... — Nagle wymówił jakiś niezrozumiały wyraz, o brzmieniu zupełnie jej nieznanym.

— Coś ty powiedział? — spytała zdziwiona.

— Nie, nic... nic. Ot, tak sobie. Kochana! Kobieta! Jesteś kobietą... Kocham cię.

Całował jej ręce, szyję, włosy, drżąc z niecierpliwości, której powstrzymywanie sprawiało mu cudowną rozkosz. Ogarnęła go burzliwa i czuła namiętność do tej dobrze odżywionej, bezdziejnej samicy, do jej dużego, młodego, wypielegnowanego ciała. Pociąg do kobiety, tłumiony dotychczas surowym, ascetycznym życiem, stałym fizycznym zmęczeniem, wyteżoną pracą umysłu i woli, raptem zapłonął w nim nieodpartym, upajającym płomieniem.

— Ręce też masz zimne — powiedziała z nieśmiałym zażenowaniem. W tym człowieku było coś nieoczekiwanego, budzącego

lęk, zupełnie dla niej niezrozumiałego. — Ręce zimne — serce gorące. •

— Tak, tak, tak... Serce — powtarzał jak szaleniec, drżąc i nie mogąc złapać tchu. — Serce gorące... serce...

Ona już dawno przywykła do zewnętrznych obrządków i haniebnych szczegółów miłości i spełniała je co dzień po kilka razy — mechanicznie, obojętnie, często z niemą odrazą. Setki mężczyzn, poczynając od zmurszałych starców, wkładających na noc zęby do szklanki z wodą, a kończąc na smarkaczach, w których głosie bas mieszał się z dyszkantem, cywile, wojskowi, łysi i obrośnięci sierścią jak małpy od stóp do głów, zdenerwowani i bezsilni, morfieniści nie kryjący przed nią swego nałogu, przystojniacy, kaleki, rozpustnicy, od których ją niekiedy mdliło, młodzieńcy płaczący z rozpaczy po pierwszym upadku — wszyscy ją obejmowali z bezwstydnymi słowami, z przeciągłymi pocałunkami, dyszeli jej w twarz, jęczeli w paroksyzmie namiętności, która — wiedziała już z góry — za chwilę ustąpi nieukrywanej, nieodpartej odrazie. I od dawna już wszystkie męskie twarze utraciły w jej oczach wszelkie indywidualne rysy — i jakby się zlały w jedną obmierzłą, lecz nieuniknioną, wiecznie się ku niej pochylającą, lubieżną, koźłą męską twarz o kłujących, zaślinionych ustach, zamglonych oczach, mętnych jak mika, wykrzywioną, zeszeconą grymasem rozkoszy, która była jej wstrętna, bo nigdy jej nie podzielała.

W dodatku wszyscy oni byli szorstcy, wymagający i wyzuci z najelementarniejszego wstydu, przeważnie pokracznie śmieszni, jak tylko może być pokraczny i śmieszny

współczesny mężczyzna w bieliźnie. Ale ten mały, niemłody oficer sprawiał jakieś zupełnie nowe, pociągające wrażenie. Wszystkie jego ruchy cechowała łagodna, przymilna ostrożność. Jego pieszczoty, pocałunki, dotknięcia były niesłychanie delikatne i czułe. A jednocześnie otaczał ją niepostrzeżenie nerwową atmosferą prawdziwej, napiętej, zwierzęcej namiętności, która nawet na odległość, nawet wbrew woli roznieca zmysłowość kobiety, czyni ją posłuszną, podporządkowuje życzeniom samca. Ale jej biedny mózdzek, nie wykraczający poza wąskie ramy obyczajów domu publicznego, nie umiał pojąć tego dziwnego, przejmującego urzeczenia. Mogła

tylko szeptać zawstydzona, szczęśliwa i zdumiona zwykle, trywialne słowa:

— Jaki z pana interesujący mężczyzna! Jesteś moją laleczką! tak?

Wstała, zgasiła lampę i znów położyła się przy nim. Przez szpary między okiennicami i ścianą cienkimi smugami białął ranek, wypełniając pokój niebieskawym, mglistym półświatłem. Gdzieś za przepierzeniem pospiesznie tykał budzik. Ktoś w oddal śpiewał tęsknie.

— Kiedy znów przyjdiesz? — spytała kobieta.

— Co? — zapytał sennie Rybników otwierając oczy. — Kiedy przyjdę? Wkrótce...

Jutro...

— E... zwodzisz. Nie, powiedz prawdę — kiedy? Będę tęsknić za tobą.

— Mm... Przyjdziemy tęsknić... My do nich napiszemy... Zatrzymają się w górach... — mamrotał bez sensu.

Ciężka senność skuwała i dręczyła jego ciało. Ale, jak to zawsze bywa z ludźmi od dawna cierpiącymi na bezsenność, nie mógł zasnąć od razu. Ledwo jego świadomość zaczynał zasnuwać ciemny, miękki, rozkoszny całun zapomnienia, a już straszny wewnętrzny wstrząs nagle podrzucał jego ciało. Z jękiem drgał, szeroko otwierał oczy w dzikim przestachu i natychmiast znów pogrążał się w denerwującym przejściowym stanie między snem a czuwaniem, stanie podobnym do maligny, pełnym groźnych, splątanych widziadeł.

Kobieta nie była senna. Siedziała na łóżku w samej koszuli, objawszy nagimi ramionami zgięte kolana, i z trwożną ciekawością patrzyła na Rybnikowa. W niebieskawym półmroku jego twarz jeszcze bardziej pożółkła, zaostrzyła się i sprawiała wrażenie martwej. Usta nadal były otwarte, ale nie słyhać było oddechu. I na całej twarzy, zwłaszcza wokół oczu i ust — malował się wyraz takiego zmęczenia, tak głębokiego ludzkiego cierpienia, jakiego nie widziała jeszcze nigdy w swoim życiu. Lekko pogładziła ręką jego szorstkie włosy i czoło. Skóra była zimna i cała pokryta lepkiem potem. Od tego dotknięcia Rybników drgnął, krzyknął trwożnie i szybkim ruchem zerwał się z poduszek.

— Och!... Kto to? Kto? — zapytał załamującym się głosem, wycierając twarz rękawem koszuli.

— Co ci jest, kotuś? — zapytała kobieta ze współczuciem. — Żle się czujesz? Może chcesz wody?

Ale Rybników opanował się i znów się położył.

— Nie, dziękuję! Teraz już dobrze... Coś mi się przyśniło... Połóż się spać, moja dziewczynko, proszę cię.

— Kiedy cię zbudzić, kochasiu? — spytała.

— Zbudzić... Rano... Wczesnie wszędzie słońce i przyjdą dragoni... Popłyniemy... Wicie? Popłyniemy przez rzekę.

Umilkł i kilka minut leżał cicho. Lecz raptem jego nieruchomą, martwą twarz wykrzywił wyraz okropnego bólu. Obrócił się z jękiem na plecy i dziwne, dziko dźwięczące, tajemnicze wyrazy obcej mowy popłynęły szybko z jego ust.

Kobieta słuchała wstrzymując oddech, ogarnięta zabobonnym lękiem, jaki zawsze wzbudza maligna śpiącego. Jego twarz była tuż obok i kobieta nie spuszczała z niej oczu. Milczał chwilę, potem znów zaczął mówić długo i niezrozumiale. Znów leżał cicho, jakby się przysłuchując czyimś słowom. I nagle kobieta usłyszała wypowiedziane głośno, wyraźnie, stanowczym głosem jedyne znane jej z gazet japońskie słowo:

— Banzaj!

Serce biło jej tak mocno, że od jego uderzeń szybko i równomiernie drgała atlasowa kołdra. Przypomniała sobie, jak dzisiaj w czerwonym gabinecie nazywano Rybnikowa imionami japońskich generałów, i słabe, odległe podejrzenie już zaczynało się rodzić w jej prostackim umyśle.

Ktoś cichutko poskrobał w drzwi. Wstała i otworzyła.

— Klotyldziu, to ty? — zabrzmiał cichy kobiecy szept. — Nie śpisz? Wpadnij do mnie na chwilkę. Jest u mnie Lońka, stawia morelówkę. Wpadnij, duszko!

Była to Henrieta — sąsiadka Klotyldy, związana z nią węzłem histerycznej i ckliwej miłości, jaki zawsze łączy w pary kobiety w tego typu zakładach.

— Dobrze, zaraz przyjdę. Ach, powiem ci coś ciekawego. Poczekaj, ubiorę się.

— Po co, nie trzeba. Kogo się wstydzisz, Lońki?

Zaczęła wkładać spódnicę.

Rybników zbudził się.

— Gdzie idziesz? — spytał sennie.

— Zaraz wróćę, muszę wyjść — odpowiedziała zawiązując pospiesznie tasiemkę nad biodrami. — Spij sobie. Już wracam.

Ale on już nie słyszał jej ostatnich słów, bo gęsty czarny sen od razu przytępił jego świadomość.

VI

Lońka był bożyszczem całego domu, poczynając od mamy, a kończąc na ostatniej pokojówce. W tych zakładach, gdzie nuda, beczynność i jarmarczna literatura rodzą nadmiernie romantyczne upodobania, największe uwielbienie budzą złodzieje i szpicle, dzięki ich bohaterskiej egzystencji, obfitującej w porywające przygody, niebezpieczeństwa i ryzyko. Lońka zjawiał się tutaj w najrozmaitszych przebraniach, omal że nie ucharakteryzowany, bywał czasami wieloznacznie i tajemniczo milczący, a przede wszystkim — dobrze o tym pamiętano niejednokrotnie dowiedział, że miejscy posterunkowi czują do niego bezgraniczny szacunek i ślepo spełniają jego rozkazy. Zdarzyło się kiedyś, że kilkoma słowami, wypowiedzianymi w zagadkowym żargonie, w jednej chwili przerwał straszną awanturę wszczętą przez pijanych złodziei i zmusił ich do pokornego opuszczenia zakładu. Poza tym miewał czasami duże sumy pieniędzy. Nic zatem dziwnego, że Henriętę, lub jak ją nazywał, Heńkę, z którą „kręcił”, traktowano tu z zawistnym szacunkiem.

Był to młody człowiek o smągłej, piegowanej twarzy, z czarnym, sterczącym do góry aż do oczu wąsikiem, z twardym, cofniętym, szerokim podbródkiem i ciemnymi, ładnymi, bezczelnymi oczami. Siedział teraz na kanapie bez surduta, w rozpiętej kamizelce i rozwiązanym krawacie. Był smukły i niewysoki, ale wypukła pierś i mocne mięśnie rozpięte rękawy koszuli znamionowały wielką siłę. Obok niego, z nogami na kanapie, siedziała Heńka, naprzeciw — Klotylda. Powoli sącząc likier czerwonymi wargami, opowiadał niedbale, minoderyjnym tonem:

— Przeprowadzili go do cyrkułu. Paszport miał przy sobie: Kornel Sapietow, zamieszkały w Kołpinie, czy jak go tam... No, oczywiście musowo pijany, kanalia. „Wsadzić go do ciupy dla wytrzeźwienia”. Jak zwykle. Ale w tej samej chwili wchodzę przypadkiem do kancelarii przystawa. Patrzę — ba! Stary zna jomy, Sańka Rzeźnik, Potrójne morderstwo i włamanie do świętego przybytku. Od razu dałem z daleka znak oczami dyżurnemu cyrkułowemu i jakby nigdy nic wyszedłem na korytarz. Podchodzi do mnie cyrkułowy. — „Co tam, panie Leonie?” — „A no przyślij pan tego gagatka na chwilę do izby śledczej”. Przeprowadzili go. Ani jeden mięsień na twarzy nie drgnął łobuzowi. Popatrzyłem mu w oczy, ot tak, i mówię... — Lońka znacząco postukał kłykcami po stole. — „Czy dawno, Sanieczka, raczył pan przybyć do nas z Odessy?” On oczywiście zachowuje się obojętnie, struga durnia. Jakby nigdy nic. Dobry ananas! — „Nie mam pojęcia, kto zacytował Sańka Rzeźnik. Jestem taki a taki...” No to ja podchodzę do niego, cap go za brodę! — trach! Broda została mi w rękach. Przyprawiona! — „Przyznajesz się, sukin* synu?” — „Nie mam pojęcia”. No to ja go, łobuza, wałnąłem w nasadę nosa prawym sierpowym — r-raz, potem — dwa! Do krwi! — „Przyznajesz się?” — „Nie wiem”. — „A toś ty taki? Ja cię dotychczas oszczędzałem miłosierdzie. A teraz miej żal do siebie. Wezwać tu Arseniusza Pchłę”. Był u nas taki aresztant, nienawidził Sańki do szaleństwa. Ja, bracie, znam te ich wzajemne figle-migle. Przeprowadzili Pchłę. — „No, tak a tak, Pchła. Kto to jest, ten osobnik?” Pchła się śmieje: „Któż by inny, jak nie Sańka Rzeźnik? Jak pańskie zdrowie, Sanieczka? Dawno pan do nas zawitał? Miałaś pan fart w Odestach?” Teraz już się Rzeźnik poddał. „Bierz mnie pan, powiada, panie Leonie, pańskie na wierzchu, przed panem nikt się nie ukryje. Pożycz pan papierosa”. No oczywiście papierosa mu dałem. Nigdy im tego nie odmawiam z altruizmu. Zabrali sługę bożego. A na Pchłę tylko spojrzeli. I pomyślałem sobie: „No, temu Pchle na pewno nie ujdzie to na sucho. Na pewno go Rzeźnik wykończy”.

— Wykończy? — szeptem, z przerażeniem, bałwochwalczo i z przekonaniem spytała Heńka.

— Absolutnie wykończy. Na sto dwa. Taki już jest.

Z zadowoloną miną pociągnął z kieliszka. Heńka, która patrzyła na niego osłupiałymi, przerażonymi oczami z taką uwagą, że aż rozchyliły się i zwilgotniały jej usta, klepnęła się w uda.

— Ach, mój Boże! Co za okropność! No, pomyśl tylko, Klo- tyldziu! I ty się nie bałeś, Lońka?

Też coś! Mam się bać byle jakiej hołoty?

Pełne zachwyty zasłuchanie kobiet podochociło go i zaczął łąć, że gdzieś na wyspie Wasylewskiej studenci szykowali bomby i że naczelnik magistratu polecił mu aresztować tych złoczyńców. A bomb tam było — jak się później okazało — dwanaście tysięcy. Gdyby to wszystko wybuchło, to nie tylko z tego domu nic by nie zostało, ale może i z połowy Petersburga.

Potem następowała pasjonująca opowieść o niezwykłym bohaterstwie Lońki, który się przebrał za studenta, dostał się do „piekielnego laboratorium”, dał komuś z okna znak i w jednej chwili rozbroił złoczyńców. Jednego nawet schwycił za rękaw w tej samej chwili, kiedy ten miał wysadzić furę bomb;

Heńka wydawała jęki przerażenia, klepała się po nogach i raz po raz zwracała się do Klotyldy z okrzykami:

— Ach, Boże drogi, coś podobnego! Pomyśl tylko, Klotyl- dziu, co za łobuzy z tych studentów. O, ja ich nigdy nie szanowałam.

Wreszcie, do głębi wzruszona, oczarowana swoim kochankiem, zawisła mu na szyi i zaczęła go głośno całować. ^ Lońka, kochasiu! Aż strach słuchać! Ty się niczego nie boisz?

Lońka z zadowoleniem zawinął lewy wąs do góry i rzucił niedbale:

— A czegoż się bać? Raz kozie śmierć. Za to mi płacą.

Klotyldę cały czas dręczyła zazdrość wobec koleżanki, posiadającej tak wspaniałego kochanka. Podejrzewała mgliście, że w opowieściach Lońki było dużo blagi, a jednocześnie miała teraz w rękach coś naprawdę, nadzwyczajnego, czego jeszcze nikt nie miał, i co by od razu zaćmiło wrażenie wywołane wyczynami Lońki. Przez kilka minut wahała się. Jakieś echo czulej litości dla Rybnikowa powstrzymywało ją jeszcze. Ale histeryczna chęć zabłyśnię- cia romantycznym zdarzeniem przeważyła, i rzekła cicho, stłumionym głosem.

— A wiesz, Lońka, co ci chciałam powiedzieć? Mam dziś takiego dziwnego gościa.

— Hm? Myślisz, że żulik? — zapytał pobłaźliwie Lońka.

Heńka się obraziła.

— Co? Twoim zdaniem to żulik? Też coś! To jakiś pijany ofi- ceryna!

— Zdarza się, że i żuliki przebierają się za oficerów. No, co chciałaś powiedzieć, Klotyldo?

Wtedy opowiedziała szczegółowo, ujawniając drobiazgowy, czysto kobiecy zmysł obserwacyjny, wszystko, co dotyczyło Rybnikowa: o tym, że go nazywano generałem Kuroki, o jego japońskiej twarzy, malignie, a wreszcie o tym, jak powiedział wyraz „ban- zaj”.

^Sp Słuchaj, ty nie łżesz? spytał szybko Lońka, a w jego ciemnych oczach zapaliły się ostre iskry.

—1 Jak Boga kocham! Bodajbym skoła! Popatrz tylko przez dziurkę od klucza — otworzę okiennice. Słowo daję — wykapany Japoniec!

Lońka wstał, bez pośpiechu, z poważną miną włożył surdut i troskliwie obmacał lewą wewnętrzną kieszeń.

— Chodźmy — powiedział stanowczo. — Z kimże on przyjechał? :

Z całej nocnej kompanii zostali tylko Kuriakow i Sztralman. Ale Kuriakowa nie można się było dobudzić, a Sztralman z za- puchniętymi, czerwonymi oczami, jeszcze na wpół pijany, mrucał niewyraźnie:

— Jaki oficer? Niech go diabli... Przysiadł się do nas w Buffie, nikt nie wie, skąd się wziął.

Zaczął się od razu ubierać, sapiąc gniewnie. Lońka przeprosił i wyszedł. Zdążył się już przyrzeć przez szparę w drzwiach twarzy Rybnikowa, i chociaż miał jeszcze pewne wątpliwości, ale był •dobrym patriotą, odznaczał się bezczelnością i nie był pozbawiony wyobraźni. Postanowił działać na własną odpowiedzialność. Po chwili był już na ganku i gwizdał na alarm.

VII

Rybników zbudził się nagle, jakby czyjś władczy głos krzyknął w jego wnętrzu „wstań”. Półtorej godziny snu zupełnie go odświeżyło. Przed wszystkim wpatrywał się podejrzliwie w drzwi: wydawało mu się, że ktoś śledzi go stamtąd uważnym spojrzeniem. Potem rozejrzał się wokoło. Okiennice były półotwarte, więc w pokoju można było dokładnie widzieć wszystkie szczegóły. Kobieta

siedziała naprzeciw łóżka przy stole, niema i blada, patrząc na niego ogromnymi, jasnymi oczami.

— Co się stało? — zapytał Rybników zaniepokojony. — Słuchaj, co tu się stało?

Nie odrzekła nic, ale broda jej drgnęła, a zęby zaczęły dzwonić.

Podejrzliwy, okrutny błysk załśnił w oczach oficera. Wychylił się z łóżka do przodu w kierunku drzwi i nasłuchiwał. Czyjeś zwielokrotnione kroki, widać przyzwyczajone do ostrożności, zbliżały się korytarzem i raptem ucichły pod drzwiami.

Rybników miękkim, bezdźwięcznym ruchem zeskoczył z łóżka i dwukrotnie przekręcił klucz. Natychmiast zapukano do drzwi. Kobieta z krzykiem padła głową na stół, ukrywając twarz w dłoniach.

Po kilku minutach sztabkapitan był ubrany. Do drzwi znów zapukano. Miał przy sobie tylko czapkę: szablę i płaszcz zostawił na dole. Był blady, ale zupełnie spokojny, nawet ręce mu nie drżały, kiedy się ubierał, i wszystkie jego ruchy były niespieszne, precyzyjne i zręczne. Zapinając ostatni guzik surduta podszedł do kobiety i z tak straszną siłą ścisnął jej rękę w nadgarstku, że jej twarz momentalnie spurpurowiała od krwi uderzającej do głowy. — Ty! — rzekł cicho gniewnym szeptem, przez zaciśnięte zęby.

— Jeżeli się poruszysz, krzykniesz, to cię zabiję!

Do drzwi znów zapukano. I głuchy głos powiedział:

— Panie, zechce pan otworzyć.

Teraz sztabkapitan już nie kulał. Szybko, bezgłośnie podbiegł do okna, miękkim, kocim ruchem wskoczył na parapet, otworzył okiennice i jednym pchnięciem rozwarł ramy. W dole pod nim białło wybrukowane podwórko z wątlą trawą między kamieniami i sterczały gałęzie rzadkich drzew. Nie wahał się ani sekundy, ale w tym samym momencie, kiedy siedząc bokiem na żelaznym obramowaniu parapetu, opierając się o nie lewą ręką i zwiesiwszy już w dół jedną nogę, przygotowywał się do skoku

— kobieta z przenikliwym krzykiem rzuciła się ku niemu i chwyciła go za lewą rękę. Wyrывая się zrobił niezręczny ruch i nagle ze słabym, jakby zdumionym okrzykiem, niezgrabnie, bezsensownie, poleciał w dół na kamienie.

Niemal jednocześnie zmurszałe drzwi wpadły do wnętrza po koju. Pierwszy wbiegł zdyszany, z wyszczerzonymi zębami i płonącymi oczami Lońka. Za nim wchodzili ogromni posterunkowi tupocząc i przytrzymując lewą ręką szablę. Ujrawszy otwarte okno i kobietę, która wczepiwszy się w ramę pischczała bez przerwy, Lońka w lot zrozumiał, co tutaj zaszło. Był niewątpliwie odważnym człowiekiem, toteż bez zastanowienia, bez jednego słowa, jakby to zawczasu wchodziło w jego plan działania, z rozbiegu wyskoczył przez okno.

Upadł o dwa kroki od Rybnikowa, który leżał nieruchomo na boku. Mimo że od upadku huczało Lońce w głowie, mimo strasznego bólu, który czuł w brzuchu i w piętach, nie stracił przytomności i w mig ciężko, całym ciałem zwałił się na sztabkapitana. — Ha! Mam cię! — zachrypiał szarpiąc z wściekłością swą ofiarę.

Sztabkapitan nie stawiał oporu. Oczy płonęły mu bezgraniczną nienawiścią, ale był śmiertelnie blady i w kącikach ust ukazały się pęcherzyki różowej piany.

— Nie przyduszaj — powiedział szeptem — złamałem nogę.

Przełożyła Henryka Pikulska

Byłem aktorem

Tę smutną i śmieszoną historię — bardziej smutną niż śmieszoną — opowiedział mi kiedyś jeden z moich przyjaciół, człowiek, który przeżył wyjątkowo barwne życie, który bywał, jak to się mówi, na wozie i pod wozem, a przecież pod ciosami losu bynajmniej nie zatracił ani dobroci serca, ani pogodnego usposobienia. Jedynie ta właśnie historia odbiła się na nim w sposób nieco dziwny : po tym wydarzeniu raz na zawsze przestał chodzić do teatru i choćby nie wiem jak go namawiano, po dziś dzień nie chodzi.

Postaram się powtórzyć opowiadanie mojego przyjaciela, choć obawiam się, że nie uda mi się tego uczynić z tak łagodnym i smutnym szyderstwem, w tak prostej formie, jak ja to usłyszałem.

I

No więc... Czy wyobraza pan sobie paskudną powiatową miścinę na południu? Pośrodku jest taka ogromna wyrwa, w której okoliczne chochły, stojąc po pas w błocie, sprzedają z wozów ogórki i kartofle. To targowisko. Z jednej strony sobór i oczy* wiście ulica Soborowa, z drugiej — miejski skwer, z trzeciej — murowana miejska hala targowa, z której obleciał tynk, a na dachu i na gzymsach siedzą gołębie, i wreszcie z czwartej strony wychodzi na plac główna ulica z oddziałem jakiegoś tam banku, z pocztą, z notariuszem i z fryzjerem Teodorem z Moskwy. W o- kolicach miasta, po różnych tam Zasiólkach, Zamościach, Zarzeczach, stoi na kwaterach pułk piechoty, a w śródmieściu — pułk

dragonów. Pośrodku skweru wznosi się teatr letni. I to wszystko.

Zresztą trzeba tu dodać, że samo miasto z jego radą miejską i szkołą realną, a także i skwer, i teatr, i jezdnia na głównej ulicy — wszystko to istnieje dzięki szczodrobliwości miejscowego milionera i właściciela cukrowni Charitonienki.

II

Jak tam trafiłem — to długa historia. Powiem pokrótce. Miałem spotkać się w tym miasteczku z pewnym moim przyjacielem, z prawdziwym, świeć Panie nad jego duszą, rzeczywistym przyjacielem, który jednakże miał żonę, a żona ta, zwyczajem wszystkich żon naszych prawdziwych przyjaciół, nie znosiła mnie. I on, i ja mieliśmy po kilka tysięcy uciulanych w ciężkim trudzie: on, widzi pan, pracował przez wiele lat jako pedagog, a jednocześnie był inspektorem ubezpieczeniowym, a mnie przez cały rok dopisywało szczęście w kartach. Pewnego razu trafiła nam się bardzo korzystna transakcja z baranami skórkami z południa i postanowiliśmy zaryzykować. Pojechałem naprzód, on miał przyjechać w dwa lub trzy dni później. Ponieważ moje gapiostwo było już od dawna znane, więc wspólne pieniądze on przechowywał, oczywiście w oddzielnych paczkach, albowiem przyjaciel mój był człowiekiem o isticie niemieckiej pedanterii.

I tu zaczyna się lawina nieszczęść. Na stacji w Charkowie, gdy jadłem jesiotra na zimno w sosie prowansalskim, wyciągnięto mi z kieszeni portfel. Przyjeżdżam do S. (właśnie do tej miściny,

0 której mowa) z drobnymi, jakie mi zostały w portmonetce,

1 z chudą, lecz ładną złotoczerwoną angielską walizką. Zatrzymuję się w hotelu — oczywiście „Petersburskim” — ■ i zaczynam słać depeszę za depeszą. Grobowe milczenie. Tak, tak, właśnie grobowe, ponieważ w tej samej godzinie, gdy złodziej wyciągnął mi portfel — proszę sobie wyobrazić jakie kawały urzędza losl — w tej samej godzinie mój przyjaciel i wspólnik, jadąc dorożką, zmarł na udar serca. Wszystkie jego rzeczy i pieniądze zostały opieczętowane i z jakichś idiotycznych powodów to ciągnięcie się po sądach trwało półtora miesiąca. Nie wiem, czy złamana bólem wdowa wiedziała, czy też nie wiedziała o moich pieniądzech. W każdym razie wszystkie moje depesze co do jednej otrzymała,

ale milczała uporczywie, milczała przez małostkową, zazdrosną i głupią kobiecą zemstę. Zresztą depesze te w rezultacie przyniosły mi wielką korzyść. Już po zdjęciu pieczęci adwokat przysięgły, człowiek zupełnie mi obcy, który prowadził sprawę spadkową, przypadkiem zwrócił na nie uwagę, zawstydził wdowę i na własną odpowiedzialność przesłał mi wprost do teatru pięćset rubli. A trzeba przy tym powiedzieć, że były to nie depesze, lecz tragiczne jęki mego serca po dwadzieścia i trzydzieści słów każdy.

HI

Tak więc siedzę w „Hotelu Petersburskim” już dziesiąty dzień. Jęki serca całkowicie wyczerpały moją portmonetkę. Właściciel hotelu — ponury, zaspany, rozczochrany chochoł z twarzą mordercy — od dawna już nie wierzy ani jednemu mojemu słowu. Pokazuję mu niektóre listy i papiery, z których mógłby itd., ale on lekceważąco odwraca głowę i sapie. Wreszcie przynoszą mi obiad jak Iwanowi Aleksandrowiczowi Chlestakowowi. „Gospodarz powiedział, że więcej obiadów nie będzie wydawał *...”

I oto przyszedł dzień, gdy w kieszeni pozostała mi jedna sieroca pozieleniała dwudziestokopiejkówka. Tego ranka gospodarz brutalnie oświadczył mi, że ani mnie żywić, ani trzymać w hotelu więcej nie będzie i że pójdzie do pana prystawa i złoży skargę. Z tonu jego zrozumiałem, że ten człowiek zdecydował się na wszystko.

Wyszedłem z hotelu i przez cały dzień błąkałem się po mieście. Pamiętam, że wstąpiłem do jakiegoś biura transportowego i jeszcze gdzieś i prosiłem o posadę. Oczywiście odmówiono mi z punktu. Niekiedy siadałem na jednej z zielonych ławek, które stały wzdłuż chodnika na głównej ulicy, pomiędzy wysokimi piramidalnymi topolami. Kręciło mi się w głowie, mdliło mnie z głodu. Ale ani na mgnienie myśl o samobójstwie nie przychodziła mi do głowy. Ileż to razy w moim powikłanym życiu bywałem na skraju tych myśli, ale niech pan spojrzy, mijął rok, czasami miesiąc albo po prostu nawet dziesięć minut i nagle wszystko się zmieniało, wszystko znów szło pomyślnie, wesoło, dobrze... I tego dnia również, błąkając się po upalnym, nudnym mieście, wciąż tylko powtarzałem sam sobie: „Ta-ak, kochany Pawle Andrieje- wiczu, wpadliśmy z panem w tarapaty”.

Chciało mi się jeść. Ale ulegając jakiemuś tajemnemu przeczuciu wciąż oszczędzałem moje dwadzieścia kopiejek. Zapadał już wieczór, gdy ujrzałem na płocie czerwony afisz. I tak nie miałem nic do roboty. Machinalnie podszedłem i przeczytałem, że dzisiaj w parku miejskim wystawiają tragedię Gutzkova „Uriel Akosta” z udziałem takich a takich. Dwa nazwiska wydrukowane były wielkimi czarnymi czcionkami: artystka teatrów petersburskich pani Androsowa i znany artysta z Charkowa p. Lara-Larski; inne nazwiska były drobniejsze: panie Wołogodska, Miedwiediewa, Strunina-Dolska, panowie Timofiejew-Sumskoj, Akimienko, Sa- mojlenko, Nielubow-Olgin, Duchowskoj. Wreszcie najdrobniejszymi czcionkami wydrukowane było: Pietrow, Siergiejew, Iwanow, Sidorow, Grigoriew, Nikołajew i in. Reżyser p. Samojlenko. Kierownik sceny p. Walerianów.

Olśniło mnie nagle, natchnione, rozpaczliwe postanowienie. Szybko pobiegłem naprzeciwko do fryzjera Teodora z Moskwy i za ostatnie dwadzieścia kopiejek kazałem sobie zgolić wąsy i ostrą bródkę. Boże sprawiedliwy! Co za ponura, bosa twarz spojrzała na mnie z lustra! Nie chciałem wierzyć własnym oczom. Zamiast trzydziestoletniego mężczyzny, o przywoitej bądź co bądź powierzchowności, tam w lustrze naprzeciw mnie siedział owiązany po gardło fryzjerskim prześcieradłem — stary, oblatany, zaśniedziały prowincjonalny komik, ze śladami wszelakich nałogów na twarzy i w dodatku wyraźnie nietrzeźwy.

— W naszym teatrze będzie pan pracował? — zapytał mnie czeladnik fryzjerski otrząsając prześcieradło.

— Tak! — odpowiedziałem dumnie. — Masz!

IV

Po drodze do parku miejskiego rozważałem:

„Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Od razu poznają, że jestem starym, doświadczonym wróblem. W takich małych letnich teatrzykach przyda się każdy. Na początek będę skromny... Jakies pięćdziesiąt... no, czterdzieści rubli na miesiąc. Przyszłość

Ipokaże... Poproszę o zaliczkę... Ze dwadzieścia rubli... nie, to za [dużo... jakieś dziesięć rubli... Przedem wszystkim wyślę wstrząsającą depeszę... pięć razy pięć — dwadzieścia pięć i zero — dwa pięćdziesiąt i piętnaście na opłatę — dwa ruble sześćdziesiąt pięć... Za resztę jakoś przetrzymam, póki przyjedzie Ilja... Jeśli zechcą mnie wypróbować... no cóż... Wygłoszę im coś... no, chociażby monolog Pimena".

I zacząłem mówić półgłosem, uroczystym tonem z głębi trzewi:
Jeszcze tu je-edna osta-atnia opo-owieść.

Jakiś przechodzień odskoczył ode mnie z przerażeniem. Zawstydzilem się i zacząłem chrząkać. Ale właśnie zbliżałem się już do parku miejskiego. Grała tam orkiestra wojskowa, po ścieżkach, szurając nogami chodziły miejscowe panienki cienkie w pasie, ubrane na różowo i na błękitno i bez kapeluszy, a za panienkami uwijali się śmiejąc się w sposób niewymuszony, z rękami założonymi za klapę munduru, w białych czapkach na bakier — miejscowi kanceliści, telegrafisci i akcyznicy.

Brama otwarta była na roścież. Wszedłem. Ktoś zaproponował mi, abym kupił w kasie bilet, ale ja zapytałem od niechcienia: gdzie tu dyrektor, pan Walerianów? Natychmiast wskazano mi dwóch wygolonych młodych ludzi, którzy siedzieli na ławce nie opodal wejścia. Zbliżyłem się do nich i zatrzymałem się w odległości dwóch kroków.

Zajęci rozmową, nie zauważyli mnie, ale zdążyłem im się przyjrzeć: jeden z nich był w lekkiej panamie i w jasnym flanelowym garniturze w granatowe prążki — na pozór wyglądał przyzwoicie, miał dumny profil pierwszego amanta i bawił się laseczką; drugi, w szarym ubraniu, miał niezwykle długie ręce i długie nogi; zdawało się, że nogi zaczynały mu się gdzieś od połowy piersi, a ręce prawdopodobnie zwisały poniżej kolan — skutkiem czego gdy siedział, jego ciało tworzyło dziwaczną linię łamaną, którą zresztą łatwo sobie uzmysłowić za pomocą składanego arszyna. Głowę miał bardzo małą, twarz całą w piegach i żywe czarne oczy.

Chrząknąłem nieznacznie. Obaj odwrócili się do mnie.

— Czy mogę widzieć się z panem Walerianowem? — zapytałem uprzejmie.

— To ja — odpowiedział piegowaty — czego pan sobie życzy?

— Widzi pan, chciałbym... — coś mnie zaczęło drapać w gardle — chciałbym zaproponować panu swoje usługi w rolach... w rolach, no, drugiego komika czy też... chociażby... trzeciego naiwnego... Poza tym charakterystyczne...

Pierwszy amant wstał i odszedł pogwizdując i wymachując laseczką.

— A gdzie pan przedtem pracował? — zapytał pan Walerianów.

Raz w życiu byłem na scenie, kiedy grałem Makarka w przedstawieniu amatorskim, ale konwulsyjnie wyteżyłem wyobraźnię i odpowiedziałem:

— Właściwie mówiąc w żadnej poważnej antreprzyzie, jak na przykład pańska, dotychczas nie pracowałem... Grywałem w niewielkich trupach na południo-zachodzie...

Takie trupy równie szybko rozpadały się, jak i powstawały... Na przykład Marynicz... Sokołowski... i jeszcze tam jacyś...

— A czy pan przypadkiem nie pije? — zaskoczył mnie nagle pan Walerianów.

— Nie — odparłem niezmiuszony. — Od czasu do czasu przed obiadem albo gdy jestem w towarzystwie, ale zawsze z umiarem.

Pan Walerianów, mrużąc czarne oczy, utkwiał wzrok w ziemi, pomyślał chwilę i rzekł:

— No dobrze... przyjmuję pana. Na początek dwadzieścia pięć rubli miesięcznie, a później zobaczymy. Aha, możliwe, że pan się już dzisiaj przyda. Niech pan pójdzie na scenę i zapyta o zastępcę reżysera Duchowskiego. On przedstawi pana reżyserowi.

Poszedłem na scenę myśląc po drodze: dlaczego nie zapytał mnie o mój teatralny pseudonim? Może zapomniał? A może po prostu domyślił się, że nie mam żadnego

pseudonimu? Jednakże na wszelki wypadek po drodze wymyśliłem sobie pseudonim — nie nazbyt krzykliwy, prosty i ładny — Osinin.

V

Za kulisami odnalazłem Duchowskiego — ruchliwego chłopaka z rozpijaczoną twarzą złodziejzka. Ten z kolei przedstawił mnie reżyserowi Samojlence. Reżyser grał w dzisiejszym przedstawieniu jakąś bohaterską rolę i wobec tego okryty był teatralną złotą zbroją. Jednakże poprzez tę osłonkę zdołałem dostrzec, że Samo-

lenko był gruby, twarz miał zupełnie okrągłą, a na tej twarzy dwoje maleńkich klujących oczek i usta ułożone w wieczny barani uśmiech. Przyjął mnie wyniośle i ręki mi nie podał. Miałem zamiar już odejść, gdy się odezwał:

— Zaczekaj... jak się pan nazywa?... Nie dosłyszałem nazwiska...

— Wasiliew! — odpowiedział usłużnie Duchowski.

Zmieszałem się, chciałem naprawić pomyłkę, ale było już za późno.

— Wie pan co, Wasiliew... Niech pan nie odchodzi..., Duchowski, niech pan powie krawcowi, żeby dali Wasiliewowi chałat.

W ten sposób z Osinina stałem się Wasiliewem i pozostałem nim aż do końca mej scenicznej kariery, obok Piętrowa, Iwanowa, Nikołajewa, Grigoriewa i innych. Niedoświadczony aktor — dopiero po tygodniu domyśliłem się, że pośród tych głośnych nazwisk jedynie moje reprezentowało realną postać. Zgubiło mnie przekłete spółbrzmienie!

Przyszedł krawiec ■— chudy i kulawy, ubrał mnie w czarną, perkalową, długą śmiertelną koszulę z rękawami i zafstrygował ją od góry do dołu. Potem przyszedł fryzjer. Poznałem w nim tego samego podmajstrzego od Teodora, który dopiero co mnie golił, i przyjaźnie uśmiechnęliśmy się do siebie. Fryzjer nałożył mi na głowę czarną perukę z pejsami. Duchowski wbiegł do garderoby i zawołał — „Wasiliew, niechże się pan ucharakteryzuje!” Wetknąłem palec w jakąś szminkę, ale sąsiad z lewej strony, ponury jegomość z myślącym czołem, powstrzymał mnie:

— Czy pan nie widzisz, że pchasz się pan do cudzej szuflady? Tam są wspólne szminki.

Ujrzałem dużą szufladę z podziałkami, pełno w nich było brudnych, pomieszanych ze sobą szminek. Byłem jak oczadziały. Dobrze tak Duchowskiemu krzyżeć: „Niech pan się ucharakteryzuje!” Ale jak to się robi? Mężnie przeciagnałem wzdłuż nosa białą krechę i od razu zrobiłem się podobny do kłowna. Potem namalowałem sobie okrutne brwi. Pod oczami zrobiłem sobie sińce. Potem pomyślałem: co by tu jeszcze zrobić? Zmrużyłem oczy i pomiędzy brwiami wyszykowałem dwie pionowe zmarszczki. Podobny byłem teraz do wodza Komanczów.

— Wasiliew, proszę się przygotować! — zawołał ktoś z góry.

Wyszedłem z garderoby na górę i zbliżyłem się do obitych płótnem drzwi w tylnej ścianie. Duchowski czekał na mnie.

— Za chwilę pańskie wyjście. Tfu, do diabła, co pan z siebie zrobił! Jak tylko pan usłyszy: „Nie on powróci” — proszę wyjść! Wyjdzie pan i powie... — Wymienił jakieś imię własne, którego już dziś nie pamiętam... „Taki a taki prosi o spotkanie...” — i proszę wrócić. Zrozumiał pan?

— Tak.

...Nie, on powróci! ■— słyszę i odepchnąwszy Duchowskiego pędzę na scenę. Do licha, jak się ten człowiek nazywa? Mija jedna, druga sekunda milczenia... Widownia — jak czarna poruszająca się otchłań. Tuż przede mną na scenie jaskrawo oświetlone lampą nie znane mi, mocno wymalowane twarze. Wszyscy patrzą na mnie z uwagą. Duchowski szepce coś z tyłu, ale nic nie mogę zrozumieć. I naraz wystrzelam tonem uroczystego wyrzutu:

— Tak! on powrócił!

Obok mnie jak huragan przebiega w swym złotym pancerzu Samojlenko. Dzięki Bogu! Skrywam się za kulisami.

W tym przedstawieniu posłużono się mną jeszcze dwa razy. W scenie, gdzie Akosta piorunuje na żydowską rutynę, a potem pada, miałem podchwycić go za ręce i wywlec za kulisy. Pomagał mi w tym strażak, wystrojony w taką samą czarną śmiertelną koszulę jak i ja. (Cóż można wiedzieć, możliwe, że wśród publiczności uchodził za Sidorowa?) Urielem Akostą okazał się ten sam aktor, który uprzednio siedział z Walerianowem na ławce; to on

właśnie był znanym artystą z Charkowa, Lara-Larskim. Chwyciliśmy go niezbyt zręcznie — był muskularny i ciężki —■ ale na szczęście nie upuściliśmy. Tyle tylko, że powiedział nam szeptem: „A niech was diabli wezmą, gamonie!” Tak samo pomyślnie przeciągnęliśmy go przez wąskie drzwi, choć potem długo jeszcze chwiała się i falowała cała tylna ściana starożytnej świątyni.

Po raz trzeci asystowałem bez słowa w czasie sądu nad Akostą. Tu wydarzyła mi się mała przygoda, o której nie warto nawet wspominać. Po prostu, gdy wszedł Ben Akiba i gdy wszyscy przed nim wstali, ja zgapilem się i siedziałem dalej. Jednakże ktoś boleśnie uszczypnął mnie powyżej łokcia i zasyczał:

— Zwariował pan? To Ben Akiba! Wstań pan!

Wstałem pośpiesznie. Ale słowo daję, nie wiedziałem, że to Ben Akiba. Myślałem sobie, że to taki sam starowinka.

Po przedstawieniu Samojlenko powiedział mi:

— Wasiliew, jutro o jedenastej na próbę.

Wróciłem do hotelu, ale gospodarz, gdy poznał mnie po głosie zatrzaskał przede mną drzwi. Noc spędziłem na jednej z zielonych ławeczek pomiędzy topolami. Było mi ciepło, a śniła mi się sława. Ale chłodny świt i uczucie głodu zbudziły mnie dość wcześnie.

VI

Punktualnie o wpół do jedenastej przyszedłem do teatru. Nie było jeszcze nikogo. Jedyne tu i ówdzie krążyli po ogrodzie zaspani kelnerzy z letniej restauracji w białych fartuchach. W zielonej okratowanej altance osłoniętej dzikim winem szykowali dla kogoś śniadanie czy poranną kawę.

Później dopiero dowiedziałem się, że co rano jedli tu na świeżym powietrzu śniadanie dyrektor teatru pan Walerianów i była aktorka Bułatowa-Czarnogórska, dama chyba blisko sześćdziesiąt- ciopięćioletnia, która utrzymywała zarówno teatr, jak i jego dyrektora.

Na stole rozścielona była świeża serweta, stały dwa nakrycia, a na talerzu piętrzyły się dwa stożki nakrajanego chleba — białego i sitkowego...

Tu następuje drażliwy moment. Po raz pierwszy i ostatni stałem się złodziejem. Szybko rozejrzawszy się dokoła, wśliznąłem się do altanki i rozcapierzonymi palcami chwyciłem kilka kromek chleba. Był taki miękki! Taki wspaniały! Ale gdy wybiegłem z altanki, twarzą w twarz zetknąłem się z kelnerem. Nie wiem, skąd się wziął, zapewne nie dostrzegłem go spoza altany. Niósł naczynie z musztardą, pieprzem i octem. Popatrzał surowo na mnie, na chleb w mej dłoni i rzekł cicho:

— Co to znaczy?

Przejęła mnie jakaś piekąca pogardliwa duma. Patrząc mu prosto w oczy odparłem cichym głosem:

— To znaczy... że od przedwczoraj, od czwartej godziny... absolutnie nic jeszcze nie jadłem...

Odwrócił się nagle i bez słowa szybko dokąś pobiegł. Wsadziłem chleb do kieszeni i czekałem. W jednej chwili ogarnął mnie lęk i wesołość. „Doskonale! — myślałem sobie. — Za chwilę przybiegnie tu właściciel, zbiorą się kelnerzy, zawołają policję... zaczniesz się hałas, wymyślanie, bójka... O, jak wspaniale będę roztrzaskiwał na ich głowach te talerze i naczynia! Będę ich gryzł do krwi!”

Wtem widzę, że mój kelner biegnie do mnie... i to sam. Zadyssał się nieco. Zbliża się do mnie z boku, nie patrząc. Ja też się odwracam... I naraz spod fartucha wpycha mi do ręki duży kawał. starannie posolonej wczorajszej zimnej wołowiny i szepce błagalnie:

— Proszę pana... proszę... niech pan je.

Brutalnie wziąłem od niego mięso, poszedłem z nim za kulisy. Wybrałem sobie kącik, gdzie było jak najciemniej, i tam, siedząc wśród różnych rupieci i dekoracji, chciwie szarpałem zębami mięso i serdecznie płakałem.

Później często, prawie co dzień widywałem tego człowieka. Na imię miał Sergiusz. Gdy nie było gości, spoglądał na mnie z daleka czułym, oddanym, błagalnym wzrokiem. Nie chciałem jednak psuć ani sobie, ani jemu pierwszego ciepłego wrażenia, choć przyznam, że czasami bywałem głodny jak wilk zimą.

Był taki malutki, tłuściutki, z łysinką, z czarnymi jak u karalucha wąsami i z dobrymi oczami w kształcie wąskich promienistych łuków. I zawsze się spieszył przyginając jedną nóżkę. Kiedy otrzymałem wreszcie moje pieniądze i moja teatralna niewola przeminęła jak sen, a wszyscy ci szubrawcy spijali mego szampana i przypochebiali mi się, jakżeż tęskniłem za tobą, mój kochany, śmieszny, wzruszający Sergiuszu! Nie odważyłbym się

oczywiście zaproponować mu pieniędzy — czyż można taką tkliwość i ludzkie uczucia przeliczać na pieniądze? Chciałem po prostu zostawić mu coś na pamiątkę... Jakiś drobiazg... Albo podarować coś jego żonie czy dzieciakom — miał ich całą gromadę i czasami z rana przybiegały do niego... ruchliwe i krzykliwe jak wróbleta.

Ale na tydzień przed moją cudowną metamorfozą Sergiusza zwolniono z pracy i wiedziałem nawet za co. Podał on rotmistrzowi-von Bradke befsztyk usmażony nie wedle jego smaku. Pan rotmistrz zawołał:

— Jak podajesz, łajdaku? Czy nie wiesz, że ja lubię z krwią?

Sergiusz ośmielił się zwrócić uwagę, że to nie jego wina, lecz kucharza i że natychmiast pójdzie zamienić. Dodał nawet nieśmiało:

— Pan łaskawy wybaczy.

Te przeprosiny doprowadziły oficera do kompletnego szału. Zdzielił Sergiusza po twarzy gorącym befsztykiem i, cały purpurowy, zawrzeszczał:

— Co-o? Łaskawym panem jestem dla ciebie? Łaskawym panem dla c-ciebie? Ja nie jestem dla ciebie łaskawym panem, jestem dla mojego monarchy sztabs-rotmistrzem! Gospodarz! Zawołać mi tu gospodarza! Iwanie Łukjanyczu, żeby mi tu jeszcze dziś nie było tego idioty! Natychmiast go wyrzucić! Bo inaczej noga moja w waszej knajpie nie postanie!

Sztabs-rotmistrz von Bradke hulał zapamiętale i dlatego Sergiusza tegoż dnia usunięto z pracy; Właściciel restauracji przez cały wieczór uspokajał oficera. Wychodząc w czasie antraktów do ogrodu, aby odetchnąć powietrzem, długo jeszcze słyszałem dochodzący z altany oburzony donośny głos:

— Proszę, co za bydlę! Łaskawy panie! Gdyby nie damy, tobym mu takiego łaskawego pana pokazał!

VII

Tymczasem powoli zebrali się aktorzy, a o wpół do pierwszej zaczęła się próba. Wystawiano sztukę „Nowy świat”, jakąś bzdurną jarmarczną przeróbkę powieści Sienkiewicza „Quo vadis”. Duchowski dał mi litografowaną kartkę z moimi replikami. Była to rola centuriona z oddziału Marka Wspaniałego. Były tam znakomite, mocne zdania w rodzaju: „Twoje rozkazy, o Marku Wspaniały, wykonane zostały najskrupulatniej!” albo też: „Będzie czekała na ciebie u podnóża posągu Pompejusza, o Marku Wspaniały”. Hola spodobała mi się i już po cichu ustawiałem sobie mężny głos tego starego żołnierza, surowego i wiernego.

Ale w miarę jak szła próba, zaczęły się ze mną dziać dziwne rzeczy: niespodziewanie dla samego siebie zacząłem się dzielić i mnożyć. Na przykład: matrona Weronika kończy swoją replikę. Samojlenko, który sprawdzał sztukę z tekstem, klaska w dłonie i woła:

Wchodzi niewolnik! Nikt nie wchodzi.

— Panowie, kto jest niewolnikiem? Duchowski, niech pan sprawdzi — kto jest niewolnikiem?

Duchowski śpiesznie przebiera jakieś papierki. Niewolnika nie ma.

— Co tam, wykreślić! — doradza leniwie Bojew, ten sam rezo- ner z myślącym czołem, w którego szminki wsadziłem wczoraj palce.

Ale Marek Wspaniały (Lara-Larski) naraz obraża się:

— Co to, to nie, przepraszam... Ja tu mam efektowne wyjście... Bez niewolnika tej sceny nie gram.

Samojlenko ciska wzrokiem po scenie i natrafia na mnie.

— No, proszę... pan pozwoli... pan pozwoli... Wasiliew, czy pan zajęty jest w tym akcie? Spoglądam w zeszyt. - — Tak, pod koniec...

— No to weźmie pan jeszcze jedną rolę — niewolnika Weroniki. Niech pan czyta z książki — klaszcze w dłonie. — Panowie, proszę ciszej! Wchodzi niewolnik... „Szlachetna pani...” Głośniej, głośniej, nie słycać pana w pierwszym rzędzie.

W kilka minut później nie mogą znaleźć niewolnika dla boskiej Mercji (u Sienkiewicza nazywa się ona Ligią) i tę rolę też zapychają mną. Potem brak jakiegoś zarządcy domu. Znowu ja. W ten sposób pod koniec próby miałem, nie licząc roli centuriona, jeszcze pięć ról dodatkowych. Z początku nie szło mi. Wychodzę i mówię pierwsze słowa:

— O Marku Wspaniały...

Tu Samojlenko rozstawia nogi, pochyla się naprzód i przytyka dłonie do uszu.

— Co, co? Co pan tam mruczy? Nic nie rozumiem.

— O Marku Wspaniały...

— Przepraszam. Nic nie słyszę... Głośniej! — Podchodzi tuż do mnie... — i gardłowym koźlim głosem wykrzykuje na" cały ogród:

— „O Marku Wspaniały, twój rozkaz...” O, tak trzeba mówić. Niech pan zapamięta sobie, młody człowieku, nieśmiertelne zdanie jednego z wielkich rosyjskich artystów: „Na scenie nie mówi

się, lecz recytuje, nie chodzi się, lecz stapa". Dumnie rozejrzał się dokoła. — Proszę powtórzyć.

, Powtórzyłem, ale wypadło jeszcze gorzej. A wówczas zaczęli mnie uczyć wszyscy po kolei i uczyli, dosłownie wszyscy, do samego końca próby: i wyniosły Lara-Larski z pogardliwą i lekceważącą miną, i stary, nalany ojciec Gonczarow, któremu przywiedle policzki z czerwonymi żyłkami zwisały poniżej podbródka, i rezoner Bojew, i naiwny prostak Akimienko z nienaturalną miną głupiego Jasia... Przypominałem zajeżdżoną, dymiącą szkapę, wokoło której zebrał się na ulicy tłum doradców, a także słabego pierwszorocznika, który wprost z rodzinnego ciepła wszedł w towarzystwo doświadczonych, kutych na cztery nogi i nielitościwych sztubaków.

Na tejsze próbie zyskałem sobie małostkowego, ale bezlitosnego wroga, który potem zatruwał mi każdą chwilę życia. Stało się to w ten sposób:

Wypowiadałem jedną z moich nieskończonych replik: „O Marku Wspaniały”, gdy naraz podbiegł do mnie szybko Samojlenko.

— Pan pozwoli, aniołeczku, pan pozwoli, pan pozwoli. Nie tak, nie tak. Do kogo pan się zwraca? Do samego Marka Wspaniałego? No, to znaczy, że pan nawet pojęcia nie ma, jak w starożytnym Rzymie podwładni mówili z naczelnym dowódcą. Spójrz pan, to ma być taki, o, taki gest!

Wysunął na pół kroku prawą nogę, przegiął w pół tułów pod kątem prostym, a prawą rękę zwiesił w dół, stuliwszy dłoń w kształt czółenka.

— Widzi pan, co za gest? Zrozumiał pan? Proszę powtórzyć.

Powtórzyłem, ale gest wypadł mi tak głupio i nieładnie, że zdecydowałem się na nieśmiałą uwagę:

— Bardzo przepraszam... ale wydaje mi się, że postawa wojskowa... w ogóle jakoś unika garbienia się... A poza tym widzi pan tę uwagę?... Wychodzi w pancerzu... Pan się zgodzi, że w pancerzu...

— Zechce pan milczeć! — zawołał gniewnie Samojlenko i zrobił się purpurowy. — Jeżeli panu reżyser każe stać na jednej nodze i wysunąć język, to pan jest obowiązany wykonać to bez gadania. Proszę powtórzyć.

Powtórzyłem. Wyszło jeszcze szkaradniej. Ale tu ujął się za mnie Lara-Larski.

— Zostaw, Borysie — rzekł od niechcienia do Samojlenki — widzisz, że mu to w żaden sposób nie wychodzi. A poza tym, jak sam wiesz, historia nie daje nam tych bezpośrednich wskazówek... To sprawa... hm... sporna...

Samojlenko dał mi spokój ze swoim klasycznym gestem. Ale od tej pory nie pominął ani jednej okazji, żeby mi nie dokuczyć, dogryźć i obrazić. Gorliwie śledził każde moje uchybienie. Tak mnie nienawidził, że, jak sędzę, śniłem mu się każdej nocy. A co do mnie... Widzi pan, od tego czasu minęło już dziesięć lat, ale po dziś dzień jak tylko przypomnę sobie tego człowieka, pierś moją przepelnia złość i dławi mnie w gardle. Co prawda przed odjazdem... zresztą o tym opowiem później, bo musiałbym rozbić jednolitość opowiadania.

Przed samym zakończeniem próby ukazał się nagle na scenie wysoki, długonosy, chudy pan w meloniku i z wąsami. Chwiał się, potrzącał o kulisy, a oczy miał całkiem jak dwa ołowiane guziczki. Wszyscy patrzyli na niego ze wstrętem, ale nikt mu nie zrobił żadnej uwagi.

— Kto to taki? — zapytałem szeptem Duchowskiego.

— Et! Pijanica — odparł z lekceważeniem. — Nielubow-Olgin, nasz dekorator. To człowiek utalentowany — czasami nawet gra, kiedy jest trzeźwy, a w ogóle to z niego zatracony szmirus. Ale nikt nie potrafi go zastąpić, bo tanio bierze i bardzo szybko maluje dekoracje.

Próba skończyła się. Wszyscy się rozchodzili. Aktorzy robili sobie dowcipy z gry słów Mercja-Komercja. Lara-Larski dwuznacznie zapraszał Bojewa „tam”. Dogoniłem w jednej z alei Walerianowa i ledwo dorównując jego długim krokom odezwałem się:

— Wiktorze Wiktorowiczu... chciałbym pana bardzo prosić o trochę pieniędzy... choćby trochę...

Zatrzymał się i spojrzał na mnie ze zdumieniem.

— Co? O jakie pieniądze panu chodzi? Po co pieniądze? Komu?

Zacząłem mu wyjaśniać moją sytuację, ale on, nie dosłu-

cha wszy, niecierpliwie odwrócił się ode mnie i poszedł dalej. Po chwili zatrzymał się nagle i przywołał mnie.

— Wie pan co... panie, jak tam panu... Wasiliew... Niech pan idzie do tego... do swego gospodarza i powie mu, żeby przyszedł tu do mnie. Będę tu siedział w kasie jeszcze z pół godziny. Pogadam z nim.

Nie poszedłem, ale poleciałem do hotelu! Chochoł wysłuchał mnie z ponurą nieufnością, ale mimo to założył brązową marynarkę i powlókł się do teatru. Zostałem i czekałem na niego. Wrócił po kwadransie. Twarz miał jak deszczowa chmura, w prawej dłoni tkwił mu zwitek czerwonych teatralnych wejściówek. Pchnął mi je pod nos i rzekł głuchym basem:

— Baczcie! Ot! Myślałem, że da mi hrosze, a on mi jakieś papiórki. Na szczo woni mini?

Stałem zmieszany. Mimo to papierki przyniosły mi pewien pożytek. Po długich molestowaniach gospodarz zgodził się na podział: on zostawił sobie jako zastaw moją piękną nową angielską walizę z żółtej skóry, a ja wziąłem bieliznę, paszport i to, co było dla mnie najcenniejsze, moje notatki. Na pożegnanie chochoł zapytał mnie;

— A szczo, i ty tam będziesz wariata odstawał?

— Tak, i ja — potwierdziłem z godnością.

— Oho! Uwważaj. Ja jak tebe zobaczę, zaraz skriczu: a hde moi dwadzieścia karbowanciw!

Przez trzy następne dni nie ośmieliłem się niepokoić Walerianowa i nocowałem na zielonej ławeczce, podkładając sobie pod głowę węzełek z bielizną. Dwie noce, dzięki Bogu, były ciepłe; leżąc na ławce, czułem nawet* jak od nagranych w ciągu dnia kamiennych płyt chodnika bucha suchy żar. Ale na trzecią noc nieustannie siąpił drobny deszczyk i chroniąc się przed nim pod daszkami podjazdów, nie mogłem zasnąć do rana. O ósmej rano otworzono park miejski. Przedostałem się za kulisy i na starej kurtynie przespałem mocnym snem dwie godziny. I oczywiście wypatrzył mnie Samojlenko, który długo i zjadliwie tłumaczył mi, że teatr to świątynia sztuki, a nie dortuar, nie buduar i nie dom noclegowy. Wówczas znowu postanowiłem dogonić w alei dyrektora i poprosić go o niewielką chociażby sumkę, ponieważ nie mam gdzie nocować.

— Wybaczy pan — rozłożył ręce — a cóż mnie to obchodzi? Zdaje się, że pan nie jest małoletni, a ja nie jestem pańską niańką.

Przemilczałem. Popatrzał zmrużonymi oczami na zalany słońcem piasek ścieżki i odezwał się z namysłem:

— Chyba że... wie pan co... Jak pan chce, to niech pan nocuje w teatrze. Mówiłem już o tym ze stróżem, ale ten głupiec boi się.

Podziękowałem mu.

— Tylko pod jednym warunkiem: w teatrze nie wolno panu palić. Jak pan zechce palić, to proszę wyjść do ogrodu.

Od tej pory miałem zabezpieczony nocleg pod dachem. Niekiedy chodziłem w dzień trzy wiorsty nad rzeczka, prałem tam w ukrytym zakątku swoją bieliznę i suszyłem ją na gałęziach nadbrzeżnych wierzb. Bielizna ta stanowiła dla mnie wielką pomoc. Od czasu do czasu chodziłem na targ i sprzedawałem koszulę albo coś innego. Za otrzymane dwadzieścia czy trzydzieści kopiejek przez dwa dni mogłem być syty. Okoliczności wyraźnie zaczynały mi sprzyjać. Pewnego razu udało mi się nawet w stosownej chwili wyblagać u Walerianowa rubla i natychmiast wysiałem depeszę do Ilji:

„Umieram głodu prześlij telegraficznie S teatr dla Leontowi- cza”

IX

Druga próba była jednocześnie próbą generalną. Tu przy sposobności podrzucano mi jeszcze dwie role: zgrzybiałego starca chrześcijanina oraz Tygellina. Wziąłem je bez słowa.

Na tę próbę przybył również nasz tragik Timofiejew-Sumskoj. Był to barczysty mężczyzna, wzrostu bodaj że czternaście werszków, już niemłody, kędzierzawy, rudy, z wywróconymi białkami oczu, dziobaty od ospy — prawdziwy rzeźnik, a raczej kat. Głos miał niepomierny, a grał starym wyjącem stylem:

1 niby dzikie zwierzę wył Szeroki w barach tragik.

Roli swojej nie znał ani w ząb (grał w tej sztuce Nerona), a i z zeszytu czytał ją z wysiłkiem, posługując się mocnymi oku

larami dla starców. Gdy mówili mu: „Nauczyłby się pan choć trochę roli, Fiedocie Pamfilyczu”, odpowiadał niską oktawą: g

— Gwiżdżę. Jakoś tam będzie. Będę powtarzał za suflerem. To mi nie nowina. Publiczność i tak nic nie rozumie. Publiczność jest głupia.

Wiecznie nie mógł sobie dać rady z moim imieniem. W żaden sposób nie umiał wymówić — Tygellin i nazywał mnie albo Ty- geliniem, albo też Tynegilem. Za każdym razem, gdy go poprawiano ryczał:

Gwiżdżę. Bzdura. Jeszcze mam sobie mózg zaśmiecać!

Jeśli natrafił na trudny zwrot, czy też na kilka słów cudzoziemskich obok siebie, to po prostu rysował w swoim zeszycie zet i oznajmiał: — Skreślam.

Skreślali zresztą wszyscy. Ze sztuki jak z barszczu pozostał tylko gąszcz. Z długiej roli Tygellina wyszła tylko jedna replika.

Neron pyta:

— Tygellinie! Jak tam lwy?

A ja odpowiadam klęcząc:

— Boski cesarze! Rzym nie widział jeszcze takich zwierząt. Są głodne i okrutne.

I to wszystko.

Nadeszło przedstawienie. Widownia była pełna. Na zewnątrz, za barierą czerniał gęsty tłum bezpłatnych widzów. Miałem tremę.

Mój Boże, jak oni wszyscy okropnie grali. Jak gdyby się z góry zmówili i powtarzali za Timofiejewem: „Gwiżdżać — publiczność jest głupia”. Każde ich słowo, każdy gest był jakiś stary, wytarty, od dawna znany dziesiątkom pokoleń. Przez cały czas wydawało mi się, że ci kapłani sztuki mają do dyspozycji raptem ze dwadzieścia wyuczonych intonacji i ze trzydzieści zapamiętanych gestów w rodzaju tego na przykład, którego bezskutecznie chciał mnie nauczyć Samożlenko. I myślałem sobie: na jakiej drodze moralnego upadku mogli ci ludzie dojść do tego, żeby tak zatracić poczucie odpowiedzialności za swoją grę.

Timofiejew-Sumskoj był wspaniały. Pochyliwszy się na prawą stronę tronu, przy czym jego lewa wyciągnięta noga wylaziła na połowę sceny, przewracał oczami, wlepił je w budkę suflerską i ryczał tak, że chłopcy za barierą piszczeeli co chwila z zachwytem.

Mojego imienia oczywiście nie zapamiętał. Po prostu wrzasnął na mnie jak kupiec w łaźni:

— Tielantin! Podaj mi tu moich lwów i tygrysów! G-galopa! Pokornie przełknąłem moją replikę i odszedłem. Najgorszy był oczywiście Marek Wspaniały — Lara-Larski, ponieważ bardziej od innych bezwstydnym, banalnym i pewnym siebie. Zamiast patosu wychodził mu krzyk, zamiast czułych słów — słodki ulepek, spoza rozkazujących replik rzymskiego rycerza-patrycjusza wyzierał rosyjski kapitan straży pożarnej. Za to naprawdę piękna była Androsowa. Wszystko w niej było czarujące: natchniona twarz, śliczne ręce, giętki, muzyczny głos, nawet długie, faliste włosy, które w ostatnim akcie rozpuściła na plecy. Grała tak prosto, naturalnie i pięknie, jak śpiewają ptaki.

Z prawdziwie artystyczną satysfakcją, czasami ze łzami patrzyłem na nią przez małe dziurki w płótnie dekoracji. Ale nie mogłem nawet przeczuć, że za kilka minut wzruszy mnie ona już w zupełnie inny sposób niż ze sceny.

W sztuce tej byłem tak wielopostaciowy, że doprawdy dyrekcja powinna byłaby na afiszu do nazwisk Piętro w, Sidorow, Grigoriew, Iwanow i Wasiliew dołączyć jeszcze Dmitriewa i Aleksandrowa. W pierwszym akcie z początku zjawiłem się jako starzec w długiej szacie, z kapturem na głowie, potem pobiegłem za kulisy, zrzuciłem szatę i wystąpiłem już jako centurion w pancerzu, w hełmie i z gołymi nogami, potem znów zniknąłem i znów wyszedłem jako starzec-chrześcijanin. W drugim akcie byłem centurionem i niewolnikiem. W trzecim — dwoma innymi niewolnikami. W czwartym — centurionem i jeszcze czymiś tam dwoma niewolnikami. W piątym — zarządcą domu i nowym niewolnikiem. Poza tym

byłem Tygellinem, a w finale niemym niewolnikiem, który rozkazującym gestem wskazuje Mercji i Markowi drogę na arenę — lwom na pożarcie.

Nawet prostak Akimienko poklepał mnie po ramieniu i dobrodusznie odezwał się: — Do licha! Z pana jakiś transformista! Ale drogo kosztowała mnie ta pochwała. Ze zmęczenia ledwo mogłem utrzymać się na nogach.

Przedstawienie się skończyło. Woźny gasił lampy. Przechadzałem się po scenie w oczekiwaniu, aż ostatni aktorzy rozcharakte-

ryzują się i będę wreszcie mógł położyć się na mojej starej teatralnej kanapie. Poza tym marzyłem o tym kawałku smażonej wątroby z knajpy, który zawiesiłem w moim kącie pomiędzy rekwizytornią a wspólną garderobą. (Od czasu, jak pewnego razu szczury porwały mi słoninę, zacząłem żywność wieszać na sznur? ku). Wtem usłyszałem za sobą głos:

— Do widzenia, Wasiliew.

Odwróciłem się. Androsowa stała wyciągając do mnie rękę. Na jej uroczej twarzy widać było zmęczenie.

Muszę wspomnieć, że z całej trupy tylko ona, nie licząc .nic nie znaczących Duchowskiego i Nielubowa-Olgina, podawała mi rękę (inni gardzili raną). I do tej pory jeszcze pamiętam jej uścisk ręki: otwarty, delikatny, mocny — prawdziwie kobiecy i koleżeński uścisk dłoni.

Ująłem jej dłoń. Spojrzała na mnie uważnie i powiedziała:

— Czy pan przypadkiem nie chory? Żle pan wygląda. — I dodała ścisząc głos: — Może pan potrzebuje pieniędzy, co?... pożyczę...

— O nie, nie, dziękuję pani! — przerwałem jej ze szczerością w głosie. I naraz, ulegając mimowolnemu przypomnieniu przed chwilą przeżytego zachwytu, wykrzyknąłem z żarem: Jakaż pani była dzisiaj wspaniała!

Zapewne ten komplement nie należał do tuzinkowych w swojej szczerości. Zarumieniła się z zadowolenia, spuściła wzrok i lekko się roześmiała.

— Cieszę się, że sprawiłam panu przyjemność.

Z szacunkiem pocałowałem ją w rękę. Ale właśnie w tej chwili kobiecy głos zawołał na nią z dołu:

— Androsowa! Gdzie się pani podziała? Proszę zejść, czekają na panią z kolacją!

— Do widzenia, Wasiliew — odezwała się zwyczajnie i serdecznie, potem pokręciła głową i już odchodząc ledwo dosłyszalnie wyrzekła: — Ach, biedny pan, biedny...

Nie, bynajmniej nie czułem się biednym w tej chwili. Ale wydawało mi się, że gdyby na pożegnanie dotknęła wargami mojego czoła, to umarłbym ze szczęścia!

Wkrótce przyjrzałem się całej trupie. Przyznam, że aż do czasów mego mimowolnego aktorstwa nigdy nie byłem wysokiego .mniemania o prowincjonalnej scenie. Ale dzięki Ostrowskiemu w moim wyobrażeniu o teatrze bądź co bądź znaleźli miejsce brutalni z powierzchowności, ale tkliwi i obdarzeni szeroką duszą Nieszczęśliwcowowie, błaznowaci, ale na swój sposób oddani sztuce i uczuciu koleżeństwa Arkaszki *... A oto ujrzałem, że scenę zagarnęli najzwyczajniej bezwstydnik i bezwstydnica.

Byli to ludzie bez serca, zdrajcy i zawistnicy w stosunku do kolegów, bez najmniejszego szacunku dla urody i potęgi sztuki — po prostu jakieś chamskie wygarbowane dusze! A w dodatku byli przerażająco ciemni i pełni obojętności. Obłudnicy, histerycznie zimni kłamcy ze sztucznymi łzami i teatralnym łkaniem, uparcie zacofani niewolnicy, gotowi zawsze z uciechą płaszczyć się przed .zwierzchnikami i przed mecenasami... Nie na próżno Czechow powiedział kiedyś: „Bardziej histeryczny od aktora jest tylko rewirowy. Proszę spojrzeć, jak obaj w dniu imienin cara stoją przed szynkwasem, wygłaszają mowy i płaczą”.

Ale tradycje teatralne zachowywano u nas w sposób niewzruszony. Jakiś tam Mitrofańow-Kozłowski, jak wiadomo, zawsze przed wyjściem na scenę żegnał się znakiem krzyża. To się przyjęło. I każdy z naszych ważniejszych artystów przed swoim wyjściem obowiązkowo robił to samo, a przy tym zerkał oczkiem w bok: czy ktoś patrzy, czy nie? A jeśli patrzy, to niewątpliwie myśli sobie: jaki on przesądny! Ależ to oryginał!...

Któryś z tych prostytutów sztuki o koźlim głosie i tłustych łydkach pewnego razu zbił krawca, a kiedy indziej znów fryzjera. I to też weszło w zwyczaj. Obserwowałem niejednokrotnie, jak Lara-Larski miotał się po scenie z nabiegłymi krwią oczami i pianą na ustach i wołał zachrypłym głosem: — Dajcie mi tu tego krawca! Zabiję tego krawca! A już potem, uderzywszy tego krawca i w głębi duszy oczekując i lękając się mocnego odwetu,

chowal ręce za siebie, dygotał i wrzeszczał:

— Trzymajcie mnie! Trzymajcie! Bo jak nie, to doprawdy mogę stać się mordercą!...

Ale za to z jakimi to oni przejęciem mówili o „świętej sztuce”¹ i o scenie! Pamiętam pewien jasny, zielony czerwcowy dzień. Próba się jeszcze nie zaczęła. Na scenie było ciemnawo i chłodno. Z wybitnych aktorów przyszli wcześniej od innych Lara-Larski i jego teatralna żona — Miedwiediewa. Na parterze siedziało kilka panienek i uczniów gimnazjum realnego. Lara-Larski cho dzi tam i z powrotem po scenie. Twarz ma zatroskaną. Widocznie obmyśla jakąś nową, pełną głębi wewnętrzną postać. Wtem zwraca się do niego żona:

— Sasza, zagwiźdź, proszę cię, ten wczorajszy motyw z „Paja ców”.

Lara-Larski przystaje, mierzy ją od stóp do głowy wyrazistym spojrzeniem i odzywa się, zerkając na parter, aksamitnym aktorskim barytonem:

—; Gwiźdać? Na scenie? Cha-cha-cha! (śmieje się gorzkim, ak torskim śmiechem). I to ty mówisz? A czy nie wiesz, że scena to świątynia, to ołtarz, na którym składamy wszystkie sWoje najlepsze myśli i pragnienia. A tu nagle — gwiźdać! Cha-cha-cha...

Jednakże do tegoż samego ołtarza, do damskich garderób chadzali miejscowi kawalerzyści i bogaci nicponie-ziemianie zupełnie tak, jak do specjalnych gabinetów w domu publicznym. Pod tym względem bynajmniej nie byliśmy uczuleni. Ileż to razy się zdarzało, że w oplecionej winem altance świeci się światło, słyhać kobiecy śmiech, brzęk ostróg i dzwonienie kielichów, a teatralny mąż, jak wartownik na służbie, przechadza się w ciemności tam i z powrotem po ścieżce przed wejściem i czeka, czy gó kto nie zaprosi. A kelner, niosąc na wysoko podniesionej tacy sandacza au gratin, trąca go tylko łokciem i mówi oschle:

— Niech się pan odsunie.

A gdy ktoś go przywoła, będzie stroił miny, będzie pił wódkę z piwem i z octem i opowiadał sprośne żydowskie anegdoty.

A jednak o sztuce mówili z zapałem i z dumą. Timofiejew- -Sumskoj nieraz robił całe wykłady o ztraconym „klasycznym geście odchodzenia”.

— Zatracił się gest klasycznej tragedii — mówił ponuro. — Dawniej jak aktor wychodził ze sceny? O, tak! — Timofiejew pro stował się na całą wysokość i podnosił do góry prawą rękę ze złożonymi w pięść palcami, prócz wskazującego, który sterczał jak haczyk. — Widzicie? — i ogromnymi powolnymi krokami zaczynał iść w kierunku drzwi. — O, to nazywało się „klasycznym gestem odchodzenia!” A co teraz? Wsadzi taki rączki w kieszonki i fiut, do domu, do żonki! Tak to jest, łaskawcy.

Czasami lubili i coś nowego, coś od siebie. Lara-Larski tak, na przykład, opowiadał o swoim występie w roli Chlestakowa:

— Nie, nie, niech pan pozwoli. Ja tę scenę z horodniczym rozgrywam, o, w ten sposób. Horodniczy mówi, że pokój jest nieco ciemnawy. A ja odpowiadam: „Tak. Chciałoby się czasem coś poczytać, na przykład Maksyma Gorkiego, a tu nie można! Cie-e- -mno, cie-e-mno!” I zawsze... dostają brawa!

Warto było posłuchać, jak czasami podpiwszy sobie rozmawiają starzy, powiedzmy, Timofiejew-Sumskoj z Gonczarowem.

— Tak, bracie Fiedotuszko, to już nie ci sami aktorzy teraz. Nie, bracie, nie ci sami.

— Racja, Piotruńku. Nie ci sami. Pamiętasz, bracie, Czarskiego, Lubskiego!... E-e-ch, bracie!

—r Inne mają ambicje.

— Pewno, tam w Petersburgu. Całkiem inne. Zabrakło szacunku dla świętości sztuki. Myśmy z tobą, Piotrowinie, bądź co bądź byli kapłanami, a ci... Ech! Pijmy, Pekatoris.

— A pamiętasz, bracie Fiedotuszko, Iwanowa-Kozielskiego?

— Daj spokój, Piotrogradzie, nie rań serca. Pijmy. Gdzie tym dzisiejszym do nas!

— Gdzie tam!

— Gdzie-e!

A w całym tym steku banalności, głupoty, szalbierstwa, alfon-
sostwa, chełpienia się, ignorancji i rozpusty naprawdę służyła sztuce Androsowa, tak czysta, delikatna, piękna i utalentowana. Teraz, na stare lata rozumiem, że tak samo nie odczuwała tego brudu, jak biała, piękna korona kwiatu nie czuje, że korzenie jego żywią się czarnym, grząskim bagnem.

Sztuki wystawiano jak na rozstawnych koniach. Niewielkie dramaty i k«medie szły po jednej próbie, „Śmierć Iwana Groźnego" i „Nowy świat" — po dwóch. „Izmael", utwór pana Bucha- rina, wymagał aż trzech repetycji, i to dzięki temu, że brało w nim udział około czterdziestu statystów z miejscowego garnizonu, straży więziennej i pożarnej.

Szczególnie pamiętne dla mnie było przedstawienie „Śmierci Iwana Groźnego" — pamiętne z powodu pewnego głupiego i śmiesznego wydarzenia. Groźnego grał Timofiejew-Sumskoj. W długiej szacie ze złotogłowiu, w spiczastej czapce z psiego futra — podobny był do ruchomego obelisku. Ażeby nadać groźnemu carowi jak najwięcej okrucieństwa, przez cały czas wysuwał naprzód dolną szczękę i opuszczał do dołu grubą wargę, przy czym przewracał oczami i ryczał jak nigdy.

Oczywiście nie znał roli i recytował ją takim wierszem, że nawet aktorom, którzy dawno już przywykli do tego, że publiczność jest głupia i nic nie rozumie, włosy stawały dęba. Ale szczególnie odznaczył się w scenie, gdzie Iwan w ataku kajania się klęka i czyni spowiedź przed bojarami: „Strupami zarósł mój rozum" itd. I oto dochodzi do słów: „niby pies smrodliwy..." Nie trzeba tu dodawać, że przez cały czas oczy miał wlepione w budkę suflera. Na cały teatr wykrzykuje: „Niby!" i milknie. . — Niby pies smrodliwy... — szepce suflerka.

— Gdyby! — ryczy Timofiejew.

— Niby pies...

— Czyby!

— Niby pies smrodliwy...

Wreszcie udaje mu się poradzić sobie z tekstem. Nie zdradza przy tym ani zmieszania, ani niepokoju. Ale mnie — stałem wtedy koło tronu — ogarnął nagle niepowstrzymany atak śmiechu. Zawsze przecież tak bywa: gdy się wie, że nie wolno się śmiać — to wtedy opanowuje człowieka taki właśnie; spazmatyczny, chorobliwy śmiech. Natychmiast uświadomiłem sobie, że najlepiej będzie schować się za wysokim oparciem tronu i na- śmiać się do syta. Odwracam się, idę uroczystym, bojarskim krokiem, ledwo powstrzymując się od śmiechu, stoję za tronem i...

widzę, że tam przycisnąwszy się do oparcia trzęsą się i dygocą w bezgłośnym śmiechu dwie artystki, Wołkowa i Boguczarska. Było to już ponad moje siły. Wybiegłem za kulisy, padłem na kanapę-rekwizyt, na moją kanapę i zacząłem się po niej tarzać... Samojlenko, który zawsze gorliwie mnie śledził, nałożył na mnie za to karę pięciu rubli.

W ogóle to przedstawienie obfitowało w przygody. Zapomniałem powiedzieć, że był u nas aktor Romanow, bardzo przystojny, wysoki, postawny młody człowiek, specjalista od głośnych i pompatycznych drugorzędnych ról. Niestety, odznaczał się on niesłychanie krótkim wzrokiem, tak że nosił nawet szkła robione na jakieś specjalne zamówienie. Na scenie, będąc bez binokli, wечно na coś wpadał, obalał kolumny, wazy i fotele, zaplątywał się w dywany i przewracał się. Od dawna już był znany z tego, że w jakimś innym mieście, w jakiejś innej trupie grając w „Ksłę- żnicze-Marzeniu" zielonego rycerza, upadł i potoczył się w swojej blaszanej zbroi w kierunku rampy, grzechocząc jak ogromny samowar. W „Śmierci Iwana Groźnego" Romanow jednakże przeszedł sam siebie. Wdarł się tak gwałtownie do domu Szujskiego, gdzie zebrali się spiskowcy, że przewrócił długą ławę wraz z siedzącymi na niej bojarami.

Ci bojarzy byli doprawdy czarujący. Wszystkich ich zwerbowano spośród młodych Karaimów* którzy pracowali w miejscowej fabryce tytoniu. Wprowadzałem ich na scenę. Jestem niewielkiego wzrostu, ale najwyższy z nich sięgał mi do ramienia. Przy tym połowa z tych rodowitych bojarów ubrana była w stroje kaukaskie z naszyciami na piersiach na naboje, a druga połowa w kaftany wypożyczone od miejscowego archijerejskiego chóru. Proszę dodać jeszcze do tego chłopięce twarze z podwiązanymi czarnymi brodami, błyszczące

czarne oczy, usta otwarte w zachwycie i nieśmiało, niezręczne ruchy. Publiczność powitała nasze uroczyste wejście powszechnym rżeniem.

Dzięki temu, że co dzień wystawialiśmy nową sztukę, do naszego teatru chodzono dość chętnie. Oficerowie i ziemianie chodzili z powodu aktorek. Prócz tego z teatru codziennie posyłano bilet do loży Charytonience. Sam on bywał rzadko — nie częściej niż dwa razy w ciągu sezonu, ale za każdym razem przysyłał po sto rubli. W ogóle teatr robił niezgorsze interesy i jeżeli młod-

szym aktorom nie płacono pensji, to w tym wypadku Walerianów kierował się takim samym subtelnym wyrachowaniem, jak ów dorożkarz, który wieszał przed pyskiem swojej szkapy pęk siana po to, aby szybciej biegła.

XII

Pewnego razu — nie pamiętam już dlaczego — przedstawienie się nie odbyło. Była marna pogoda. O dziesiątej wieczór leżałem na swojej kanapie i przysłuchiwałem się w ciemności, jak deszcz bębnił w drewniany dach.

Wtem gdzieś za kulisami dał się słyszeć szelest, kroki, a potem huk przewracających się krzesel. Zapaliłem ogarek świecy, poszedłem w tamtym kierunku i ujrzałem pijanego Nielubowa-Ołgi- na, który bezradnie obijał się w przejściu pomiędzy dekoracjami a ścianą sceny. Gdy mnie zobaczył, nie przestraszył się, lecz ze spokojem wyraził zdziwienie:

— Po k-kie lichu pan tu siedzi?

Wyjaśniłem mu w dwóch słowach. Włożywszy ręce w kieszenie spodni, kiwając długim nosem, przez dłuższą chwilę przechylał się z czubków palców na pięty i z powrotem. Potem naraz stracił równowagę, ale utrzymał się na nogach zrobiwszy kilka kroków naprzód i rzekł:

— A d-czego pan nie do mnie?

— Tak mało się znamy.

— Głupstwo. Chodźmy!

Wziął mnie pod rękę i poszliśmy do jego mieszkania. Od tej chwili aż do ostatniego dnia mego aktorowania dzieliłem z nim jego mały, ciemny pokoik, który wynajmował od byłego sprawnika w S. Ten pijak i awanturnik, obiekt obłudnej pogardy całej trupy, okazał się łagodnym, cichym człowiekiem z dużym zasobem wewnętrznej delikatności, a także doskonałym kolegą. Miał jednak w duszy jakąś bolesną, nieuleczalną ranę, którą zadała mu kobieta. Nigdy zresztą nie mogłem zrozumieć, na czym polegał jego nieszczęśliwy romans. Często po pijanemu wyciągał ze swego podróżnego koszyka portret jakiejś kobiety, niezbyt ładnej, ale i niebrzydkiej, z lekkim zezem, z zadartym, wyzywającym noskiem, o nieco prowincjonalnej powierzchowności. Nielubow- -Olgin to całował tę fotografię, to znów rzucał ją na podłogę, przyciskał ją do serca i pluł na nią. Stawiał ją w kącie, jak święty obrazek, a potem kapał na nią stearyną. Nie mogłem również zorientować się, kto kogo rzucił i o czyich dzieciach była mowa: czy o jego, czy też kogoś trzeciego.

Ani on, ani ja nie mieliśmy pieniędzy. On już od dawna wziął od Walerianowa większą sumę, aby posłać tamtej, a teraz żył w stanie niewolniczej zależności, której zerwać nie pozwalała mu prosta przyzwoitość. Od czasu do czasu dorabiał sobie kilka kopiejek u miejscowego artysty-malarza od szyldów. Ale zarobki te utrzymywał w wielkiej tajemnicy przed trupą: na litość boską, czyż Lara-Larski zniósłby takie bezczeszczenie sztuki!

Nasz gospodarz, emerytowany sprawnik, gruby, rumiany mężczyzna z wąsami i podwójnym podbródkiem, był człowiekiem wielce dobrodusznym. Co rano i co wieczór, po wypiciu w jego domu herbaty, przynoszono nam na nowo dolany samowar, imbryczek z wyparzoną esencją i do woli czarnego chleba. Bywaliśmy syci.

Odbywszy poobiednią drzemkę emerytowany sprawnik wychodził w szlafroku i z fajką na ulicę i siadał na ganku. I my również przed pójściem do teatru przysiadaliśmy się do niego. Rozmowę prowadziliśmy zawsze na ten sam temat — o przykrościach, jakie miał na służbie, o niesprawiedliwości zwierzchnictwa i o podłych intrygach wrogów. Wciąż się nas radził, jak ma napisać taki list do stołecznych gazet, aby zatriumfowała niewinność, a gubernator z wicegubernatorem, z obecnym sprawnikiem i z łajdakiem prystawem drugiego rewiru, który był głównym sprawcą wszystkich nieszczęść, wylecieli ze swoich posiad.

Dawaliśmy mu różne rady, ale on tylko wzdychał, marszczył czoło, kiwał głową i powtarzał:

— Ech, nie tak... Nie tak, nie tak... O, gdyby mi się tak trafił człowiek z piórem! Pióro gdyby mi się trafiło! Nie pożałowałbym pieniędzy.

A ten kanalia miał pieniądze. Gdy pewnego razu wszedłem do jego pokoju, zastałem go przy obcinaniu kuponów. Zmieszał się nieco, wstał i zasłonił papiery plecami i rozpostartymi połami szlafroka... Jestem głęboko przekonany, że gdy był na służbie,

nie obchodziło się i bez łapówek, i bez wymuszania, i bez nadużyscia władzy, i bez innych jeszcze sprawek.

Nocami po przedstawieniu przechadzaliśmy się z Nielubowem po ogrodzie. Wśród cichej, oświetlonej światłami zieleni wszędzie przytulnie były rozstawione białe stoliki, świece płonęły bez ruchu w szklanych kloszykach. Kobiety i mężczyźni w jakiś odświętny sposób, kokieteryjnie i znacząco uśmiechali się i pochylali do siebie. Pod lekkimi kobiecymi nóżkami szeleścił piasek... "

— Przydałoby się nam złapać karasia! — mówił czasami ochryplym basem Nielubow i chytrze spoglądał na mnie z boku.

Z początku mnie to mierzilo. Zawsze nienawidziłem tej chciwej i „szlachetnej” gotowości ogródkowych aktorów do wpraszania się na cudze obiady i kolacje, tych psich, łagodnych, wilgotnych i głodnych oczu, tych nienaturalnie swobodnych barytonów przy stole, tego gastronomicznego znawstwa, tej wzmożonej uwagi, tych płynących z przyzwyczajenia, familiarnie rozkazujących tonów wobec służby. Ale później, gdy lepiej poznałem Nielubowa, zrozumiałem, że żartuje. Ten dziwak był po swojemu dumny i bardzo drażliwy.

Ale zdarzył się pewien śmieszny i nieco haniebny wypadek, gdy sam karaś schwycił mnie z moim przyjacielem w kulinarne sieci. A było to tak:

Po przedstawieniu wychodziliśmy ostatni z garderoby, gdy naraz Skądś spoza kulis wyskoczył na scenę niejaki Altschiller... miejscowy Rotszyld, Żyd, taki sobie młody, ale już gruby, bardzo swobodny w sposobie bycia rumiany pan o wyglądzie lubieżnika, cały w pierścieniach, łańcuszkach i brelokach. Skoczył do nas.

— Ach, mój Boże... Już od pół godziny wszędzie biegam... Nóg nie czuję... Na miłość boską, powiedzcie, panowie, czy nie widzieliście Wołkowej i Boguczarskiej ?

Istotnie, widzieliśmy, jak te artystki natychmiast po przedstawieniu wybrały się na przejażdżkę z oficerami od dragonów, i uprzejmie poinformowali o tym Altschillera. Chwycił się za głowę i zaczął miotać się po scenie.

— Ależ to skandal! Zamówiłem kolację! Nie, to po prostu Bóg wie co! Dać słowo, przyrzec i... Jak to się nazywa, panowie, pytam was?

Milczeliśmy.

134

Pokręcał się jeszcze trochę po scenie, potem stanął, zawahał się, podrapał się nerwowo po skroni, pocmokał w zamyśleniu wargami i nagle odezwał się stanowczym głosem:

— Panowie, bardzo was proszę, abyście zechcieli ze mną zjeść kolację.

Odmówiliśmy.

Ale nie było to takie proste. Przykleił się do nas jak klej syntetyczny. Zwracał się to do Nielubowa, to do mnie, potrząsał nas za ręce, przymilnie zaglądał w oczy i z zapalem zapewniał, że kocha sztukę. Nielubow pierwszy się poddał:

— Ee-e, do diabła! Chodźmy, co tam!

Mecenas zaprowadził nas na główną estradę i zaczął się krzątać. Wybrał najbardziej widoczne miejsce, posadził nas, a sam cały czas się zrywał, deptał po nogach służbie, wymachiwał rękami, a gdy wypił kieliszek doppel-kiimmla, zaczął udawać zapamiętałego birbanta. Melonik dla fasonu miał przechylony na bakier.

— Może ogóreczka? Jak to się mówi po rosyjsku? Znaczy się, faktycznie bez ogóreczka żadne danie przez gardło nie przechodzi. Tak? A wódeczki? Proszę bardzo, panowie, proszę bardzo, jedzcie, panowie... Jedzcie do końca, bardzo proszę. A może boeuf-stroga-noff? Tu jest świetna kuchnia... Psst! Kelner!

Wielki kawał gorącego smażonego mięsa upoił mnie jak wino. Kleiły mi się oczy. Weranda ze światłami, z błękitnym dymem tytoniowym i z barwną galopadą rozmów płynęła gdzieś w bok, mimo mnie i niby przez sen słyszałem:

— Proszę bardzo, jedzcie, panowie... Nie krępujcie się. No cóż ja na to poradzę, że tak kocham sztukę!...

XIII

Ale zbliżała się już chwila rozstrzygająca. Żywienie się samą herbatą i czarnym chlebem bardzo źle się na mnie odbijało. Stałem się drażliwy i często, aby się pohamować, uciekałem z prób do jakiegoś odległego kąta ogrodu. Poza tym dawno już rozprzedałem całą moją bieliznę.

Samojlenko w dalszym ciągu mi dokuczał. Wie pan, jak to się czasem zdarza w zamkniętych zakładach naukowych, że nauczyciel nagle ni z tego, ni z owego znienawidzi jakiegoś ucznia-

-mizeraka, zniechędździ za bładóć twarży, za odstające uszy, za niemiły zwyczaj wzruszania ramieniem — i jak ta nienawiść trwa przez całe lata. Tak właśnie odnosił się do mnie Samojlenko. Zdażył już nałożyć na mnie kary w sumie na piętnaście rubli, a na próbach zachowywał się wobec mnie co najmniej jak naczelnik więzienia wobec aresztanta. Niekiedy, gdy wysłuchiwałem jego ordynarnych uwag, opuszczałem powieki i widziałem przed oczami ogniste koła. Walerianów zupełnie już teraz ze mną nie rozmawiał, a gdyśmy się spotkali, uciekał ode mnie strusim pędem. Pracowałem już półtora miesiąca i do tej pory otrzymałem raptem jednego rubla.

Pewnego ranka obudziłem się z bólem głowy, z metalicznym posmakiem w ustach i z ciężką, czarną, nieuzasadnioną złością w duszy. W takim nastroju poszedłem na próbę.

Nie pamiętam, cośmy wystawiali, ale pamiętam doskonale, że miałem w ręku gruby, zwinięty w rurkę zeszyt. Rolę swoją znałem jak zawsze bez zarzutu. W roli tej, między innymi, były słowa: „Ja na to zasłużyłem”.

I oto dochodzimy w sztuce do tego miejsca.

— Ja na to zasłużyłem — powiadam.

Ale Samojlenko podbiega do mnie i wrzeszczy:

— A któż tak mówi po rosyjsku? Kto tak mówi? Ja na to zasłużyłem! Mówi się: ja to zasłużyłem! Gamoń!

Zbladłem i podsunąłem mu zeszyt ze słowami:

— Zechce pan sprawdzić z tekstem...

Ale on wrzasnął na całe gardło:

— Gwiżdżę na pański tekst! Ja jestem dla pana tekstem! Nie chce pan pracować — to wynoś się pan do diabła!

W tej chwili spojrziałem na niego. Naraz zrozumiał wszystko. Zbladł tak jak i ja i szybko cofnął się o dwa kroki. Ale było już za późno. Ciężkim rulonem mocno, z trzaskiem uderzyłem go w lewy policzek i w prawy, a potem znów w lewy, i znów w prawy, i jeszcze, i jeszcze. Nie bronił się, nawet się nie odchylił, nawet nie próbował uciekać, tylko przy każdym uderzeniu ruszał tam i z powrotem głową, jak kłown, gdy okazuje zdziwienie. Potem cisnąłem mu zeszyt w twarz i zszedłem ze sceny do ogrodu. Nikt mnie nie zatrzymał. w ogrodzie, był chłopak, goniec z miejscowego oddziału Banku Wołżańsko-Kamskiego. Pytał o Leontowacza i wręczył mi zawiadomienie o nadejściu pięciuset rubli.

W godzinę później byliśmy z Nielubowem znów w ogródku i zamawialiśmy monstrualne śniadanie, a w dwie godziny potem cała trupa trącała się ze mną kielichami szampana i winszowała mi. Daję słowo, że to nie ja, lecz Nielubow puścił wiadomość, że otrzymałem spadek w wysokości sześćdziesięciu tysięcy. Ja nie przeczyłem temu. Walerianów zaklinał mi się, że cała jego antre- pryza stoi fatalnie, więc podarowałem mu sto rubli.

O piątej wieczorem siadałem do pociągu. W kieszeni prócz biletu do Moskwy miałem niewiele ponad siedemdziesiąt rubli, ale czułem się Cezarem. Gdy po drugim dzwonku wchodziłem do wagonu, zbliżył się do mnie Samojlenko, który do tej pory trzymał się z dala.

— Przepraszam pana, uniosłem się zbyt — powiedział z teatralną emfazą.

Uścisnąłem wyciągniętą do mnie rękę i odparłem uprzejmie:

— I ja przepraszam, również się uniosłem.

Na pożegnanie krzyknęli mi „hura!” Zamieniłem z Nielubowem ostatnie ciepłe spojrzenie. Pociąg ruszył i wszystko zostało za mną, na zawsze, bezpowrotnie. I gdy zaczęły ginać z oczu ostatnie niebieskie chatynki Zarzecza i roztoczył się smutny, żółty, spalony słońcem step, dziwny żal ścisnął mi serce, jak gdyby tam, w tym miejscu moich niepokojów, cierpień, głodu i poniżeń pozostała na wieki cząstka mojej duszy.

Przełożył Seweryn Po Hak

Gambrinus

i

Tak nazywała się piwiarnia w gwarnym mieście portowym na południu Rosji. Chociaż znajdowała się na jednej z najludniejszych ulic, znaleźć ją było dość trudno, bo mieściła się w suterenie. Często nawet stały bywalec mile widziany w „Gambri- nusie” potrafił minąć ten znakomity lokal i dopiero po przejściu dwóch-trzech sąsiednich sklepów zawracał.

Szyldu wcale nie było. Wprost z chodnika wchodziło się przez wąskie, zawsze otwarte drzwi. Prowadziły od nich w dół tak samo wąskie schody o dwudziestu kamiennych stopniach pokrzywionych i wytartych przez wiele milionów ciężkich butów. Nad końcem schodów, między ścianami, pyszniła się kolorowa płaskorzeźba, przedstawiająca słynnego protektora piwowarstwa, króla Gambrinusa, o rozmiarach dwakroć większych od naturalnych. To dzieło sztuki rzeźbiarskiej było zapewne pierwszą pracą początkującego amatora i wyglądało na niewprawnie wyoiosane ze skamieniałych kawałków porowatej gąbki, ale czerwona kamizela, gronostajowy płaszcz, złota korona i wysoko podniesiony kufel ze ściekającą w dół białą pianą nie pozostawiały żadnych wątpliwości, że gość ma przed sobą wielkiego patrona piwowarstwa we własnej osobie.

Piwiarnia składała się z dwóch długich, ale nadzwyczaj niskich, sklepionych sal. Z murów zawsze sączyła się ruchliwymi strumyczkami podziemna wilgoć, iskrząc się w świetle lamp gazowych, które paliły się dniem i nocą, bo w piwiarni w ogóle nie było okien. Na sklepieniach można było jednak dość wyraźnie odróżnić kontury zajmujących malowideł ściennych. Na jednym obrazie ucztowała kompania niemieckich młodzieńców w myśliwskich zielonych kurtkach, kapeluszach z piórami cietrzewi i z fuzjami na ramionach. Wszyscy zwróceni byli twarzami do sali biesiadnej, witali publiczność wyciągniętymi kuflami, przy czym dwóch obejmowało w pół dwie pulchne dziewczęta, zapewne służące z wiejskiego szynku albo też córki jakiegoś poczciwego farmera. Na drugiej ścianie przedstawiona była wielkopańska idylla z pierwszej połowy XVIII wieku: hrabiny i wicehrabiowie w pudrowanych perukach bawią się z barankami na zielonej łące, a nieopodal pod rozłożystymi wierzbami widnieje staw z łabędziami karmionymi z wdziękiem przez kawalerów i damy siedzących w jakiejś złotej łupince. Następny obraz przedstawiał wnętrze ukraińskiej chaty i rodzinę szczęśliwych Rusinów tańczących hopaka z kwartami w rękach. Jeszcze dalej pyszniła się wielka beczka, a na niej oplątane winoroślą i liśćmi chmielu dwa potwornie tłuste amorki o czerwonych twarzach, grubych wargach i bezwstydnie powłóczyстых oczach trącają się płaskimi czarami. W drugiej sali, oddzielonej od pierwszej łukiem, żaby polują na ważki w gęstych szuwarach, grają w kwartecie smyczkowym, walczą na szpady itd. Widocznie ściany malował jakiś zagraniczny mistrz.

Zamiast stołów na podłodze grubo wysypanej trocinami były porozstawiane ciężkie dębowe beczki, a zamiast krzeseł małe beczułki. Na prawo od wejścia wznosiła się niewielka estrada, a na niej stało pianino. Tu co wieczór od wielu już lat grał na skrzypcach dla umilenia gościom muzykant Saszka — Żyd, łagodny, wesoły, zawsze pijany, łysawy człowiek w nieokreślonym wieku, o powierzchowności wyleniającej małpy. Mijały lata, zmieniali się kelnerzy w skórzanych zarekawkach, zmieniali się dostawcy piwa, zmieniali się nawet sami właściciele piwiarni, ale Saszka niezmiennie co wieczór o szóstej godzinie siedział już na swej estradzie ze skrzypcami w rękach i z małym białym pieskiem na kolanach, a koło pierwszej opuszczał „Gambrinusa” w towarzystwie tegoż pieska, Białki, ledwo trzymając się na nogach pod wpływem wypitego piwa.

W „Gambrinusi” była zresztą jeszcze jedna niezmienna osoba — bufetowa pani Iwanowa, stara otyła bladawa kobieta, która wskutek ciągłego przebywania w wilgotnej suterenie piwiarni

upodobniła się do bladych, leniwych ryb głębinowych. Jak kapitan statku ze swego mostka, tak ona z wysokości szynkwasu dyrygowała w milczeniu służbą i paliła bez przerwy, trzymając papierosa w prawym kąciku ust i mrużąc prawe oko w obronie przed dymem. Głos jej rzadko komu udawało, się słyszeć, a na ukłony odpowiadała zawsze jednakowym bezbarwnym uśmiechem.

II

Ogromny port, jeden z największych handlowych portów świata, był zawsze przepełniony statkami. Zawijały do niego ciemno- rdzawe ogromne pancerniki. Ładowano w nim płynące na Daleki Wschód żółte, o grubych kominach parowce floty handlowej, pochłaniające codziennie długie pociągi towarów lub tysiące are- sztantów. Wiosną i jesienią powiewały tu setki flag z wszystkich krańców kuli ziemskiej i od rana do wieczora rozlegały się komendy i wymysły we wszystkich możliwych językach. Między statkami a niezliczonymi magazynami kręcili się tam i z powrotem po chwiejnych trapach dokerzy: rosyjscy oberwańcy, prawie nadzy, o nabrzmiałych pijackich twarzach; smagli Turcy w brudnych zawojach i w szarawarach szerokich nad kolanami, ale obcisłych wokół goleni; krępi muskularni Persowie o włosach i paznokciach barwionych henną na ognistomarchewkowy kolor. Często zawijały do portu wdzięczne z oddali dwu- i trzymasztowe włoskie szkunery o regularnych piętrach żagli — czystych, białych i prężnych jak piersi młodych kobiet. Ukazując się spoza latami morskiej te smukłe statki wyglądały zwłaszcza w pogodne poranki wiosenne — jak cudowne białe zjawy, płynące nie po wodzie, lecz w powietrzu, nad widnokregiem. Kołysały się tu miesiącami na brudnozielonej wodzie portu, wśród śmieci, skorup od jaj, łupin arbuzów i stad białych mew, wysokie, anato- lijskie koczermy i trapezunckie feluki o dziwnym ubarwieniu i fantastycznej ornamentyce. Przyływały tu czasem także jakieś osobliwe, wąskie statki pod czarnymi smołowanymi żaglami, z brudną szmatą zamiast flagi; wyminąwszy molo i omal nie zawadziwszy o nie burta, taki statek, przechylony na bok i w pełnym pędzie, wpadał do pierwszego lepszego portu, przystawał wśród wielojęzycznych wymysłów, przekleństw i pogroźek przy pierwszym lepszym molo, gdzie majtkowie — całkiem nadzy, smagli, mali ludzie — wydając gardłowy klekot, z niepojętą szybkością zwijali podarte żagle, i w jednej chwili tajemniczy, brudny statek stawał się całkiem jak martwy. I równie zagadkowo, ciemną nocą, nie zapalając światła, bezszelestnie znikał z portu. Cała zatoka roiła się nocami od lekkich łódeczek przemytników. Rybacy z bliska i z daleka przywozili do miasta ryby: na wiosnę — drobne sardele, milionami wypełniające po sam wierzch ich łodzie, latem pokraczne płastugi i flądry, jesienią — makrele, tłuste cefale i ostrygi, a zimą dziesięcio- i dwudziestopudowe bielugi, wyłowione często z narażeniem życia daleko od brzegów.

Wszyscy ca ludzie — majtkowie różnych narodowości, rybacy, palacze, weseli chłopcy okrętowi, portowi złodzieje, maszyniści, przewoźnicy, dokerzy, nurkowie, przemytnicy — wszyscy byli młodzi, zdrowi, przesiąknięci mocnym zapachem morza i ryb, znali ciężar pracy, lubili urok i grozę codziennego ryzyka, cenili ponad wszystko siłę, dziarskość, tupet i ciętość mocnego słowa, a na lądzie pograżali się z dziką rozkoszą w hulankach, pijaństwie i bójkach. Wieczorami światła wielkiego miasta pnące się wysoko w górę wabiły ich jak czarodziejskie błyszczące oczy, zawsze obiecując coś nowego, radosnego, jeszcze nie doświadczonego, i zawsze zawodząc.

Miasto łączyło się z portem wąskimi, stromymi, wyboistymi ulicami, po których porządni ludzie niechętnie chodzili nocą. Na każdym kroku trafiały się tutaj domy noclegowe z brudnymi okratowanymi oknami, z mrocznym światłem samotnej lampy wewnątrz. Jeszcze częściej spotykało się sklepiki, w których można było sprzedać z siebie całą odzież łącznie z marynarską siatkową koszulką i znów się ubrać w dowolnie wybrany marynarski ubiór. Było tu także dużo piwiarni, szynków, tawern, jadłodajni i traktierni o wyrazistych szyldach we

wszystkich językach i niemało jawnych i tajnych domów publicznych, i nocami z ich progów mocno uszminekowane kobiety ochrypłymi głosami przywoływały marynarzy. Były greckie kawiarnie, gdzie grano w domino i w sześćdziesiąt sześć, i kawiarnie tureckie, z przyborami do palenia nargili i z noclegiem za parę miedziaków; były wschodnie knajpki, gdzie sprzedawano ślimaki, petalidi, krewetki,

•wielkie brodawkowate matwy i inine morskie paskudztwa. Gdzieś na strychach i w suterenach gnieździły się spelunki karciane, -w których sztos i bakarat często kończyły się rozprutym brzuchem lub rozbitą głową, a tuż obok, za rogiem, niekiedy w sąsiedniej klitce, można było spuścić każdy skradziony przedmiot, -od brylantowej bransoletki do srebrnego krzyżyka i od beli lion- skiego aksamitu do służbowego płaszcza marynarskiego.

Te strome wąskie ulice, czarne od pyłu węglowego, ku wieczorowi zawsze stawały się lepkie i cuchnące, jakby się pocily w koszmarzym śnie. Podobne były do ścieików lub do brudnych kiszek, którymi wielkie międzynarodowe miasto wyrzucało do morza wszystkie swoje odchody, całą swoją zgniliznę, ohydę i przywary, zarażając nimi silne muskularne ciała i proste dusze. "Tutejsi zawadiaccy mieszkańcy rzadko wchodzili na górę, do strojnego, zawsze odświeżonego miasta o lustrzanych szybach, dumnych pomnikach, elektrycznej poświacie, asfaltowych trotua- rach, alejach białych akacji, do tego miasta z majestatycznymi policjantami, z całą jego czystością i nowoczesnością na pokaz. Natomiast każdy z nich zanim rzucił na wiatr swoją krwawicę, swe zatłuszczone, podarte, spęczniałe rublówki, koniecznie odwiedzał „Gambrinusa". Było to uświęcone starodawnym zwyczajem, choć w tym celu byli zmuszeni pod osłoną mroku dostawać się aż do centrum miasta.

Niejedem z nich wprawdzie w ogóle nie znał dziwnego imienia sławnego króla piwa. Po prostu ktoś proponował:

— Idziemy do Saszki?

A inni odpowiadali:

— Zgoda! Kurs na Saszkę.

I wszyscy już razem mówili:

— Jazda!

Nie ma w tym nic dziwnego, że wśród ludzi z portu i z morza Saszka cieszył się większym szacunkiem i sławą niż na przykład miejscowy hiskup lub gubernator. I niewątpliwie jeżeli nie jego imię, to jego żywa małpia twarz i jego skrzypce wspomniano od czasu do czasu w Sydney i w Plymouth, a także w Nowym Jorku, we Wiadywostoku, w Konstantynopolu i na Cejlonie, nie licząc wszystkich zatok morza Czarnego, gdzie wśród odważnych rybaków znalazłoby się mnóstwo miłośników jego talentu.

Saszka przychodził zwykle do „Gambrinusa" o takiej porze, kiedy nikogo jeszcze tam nie było prócz paru przypadkowych gości. W salaeh w tym czasie unosił się gęsty i kwaśny odór wczorajszego piwa i było ciemnawo, bo w ciągu dnia oszczędzano ga®. W gorące lipcowe dni, kiedy kamienne miasto omdlewało od słońca i głuchło od ulicznego terkotu, tutaj panowała przyjemna cisza i chłód.

Saszka podchodził do lady, witał się z panią Iwanową i wypijał swój pierwszy kufel piwa. Bufetowa prosiła niekiedy:

— Panie Sasza, proszę coś zagrać!

— Co pani sobie życzy usłyszeć? — informował się uprzejmie Sasza, który zawsze był wobec niej ugrzeczniejszy.

— Coś swojskiego...

Siadał*na swoim zwykłym miejscu na lewo od pianina i grał różne dziwne, przeciągłe, tęskne kawalki. W podziemiu robiło się jakoś cicho i sennie* tylko z ulicy dochodziły głuche odgłosy miasta, a kelnerzy pobrzękiwali naczyniami w kuchni za ścianą. Ze strun skrzypiec Saszki płakała stara jak ziemia żydowska tęsknota, cała utkana i uwita smutnymi kwiatami melodii narodowych. Twarz Saszki z naprężoną brodą i nisko opuszczonym czołem, z oczami surowo patrzącymi w górę spod ociężałych brwi, wcale nie bywała w tej szarej godzinie podobna do znanej wszystkim bywalcom „Gambrinusa" wyszczerzonej, mrugającej, płasającej gęby Saszki. Psina Białka siedziała mu na kolanach. Dawno już oduczyła się wycia do wtóru muzyki, ale tęsknie namiętne, szlochające i przeklinające dźwięki mimo woli ją

drażniły: pozie- wała konwidsyjnie, otwierała szeroko pysk, zwijając do tyłu cienki różowy języczek, a przy tym przez chwilę drżała całym ciałem i delikatną czarnooką mordką.

Ale oto stopniowo gromadzili się goście, przychodził akompa- niator po zakończeniu jakiejś dziennej pracy u krawca czy ze- garnistrza, na szynkwasio stawiano parówki w gorącej wodzie i kanapki z serem, i wreszcie zapalano wszystkie pozostałe lampy gazowe. Saszka wypijał swój drugi kufel, rzucał koledze: „Majowa parada, ein, zwei, drei!” — i zaczynał burzliwego marsza. Od tej chwili ledwo nadażał z witaniem się z nowymi gośćmi, z których

każdy uważał siebie za szczególnego, bliskiego znajomego Saszki i po jego ukłonie dumnie spoglądał na innych bywalców. Saszka natomiast mrużył to jedno, to drugie oko, marszczył swoje wysokie czoło, komicznie poruszał ustami i uśmiechał się na wszystkie strony.

Około dziesiątej-jedenastej „Gambrinus”, mieszczący w swych salach do dwustu i więcej osób, bywał wypchany po brzegi. Wielu gości, prawie połowa, przychodziło z kobietami w chusteczkach, nikt się nie złościł z powodu ciasnoty, przydeptanej nogi, zmiętej czapki, czyjegoś piwa wylanego na spodnie. Jeśli się złościł, to tylko po pijaku, dla fasonu. Wilgoć piwniczna jeszcze obficie ściekała po pomalowanych olejno ścianach, a wyiewy tłumu opadały w dół z sufitu jak rzadki, ciężki, ciepły deszcz. Pito w „Gamhrdnusie” nie na żarty, W tym lokalu za specjalnie szykowne uchodziło, siedząc we dwójkę lub w trójkę, tak zastawić cały stół pustymi butelkami, żeby zza nich nie było widać kompana, jak w szklanym zielonym lesie.

W chaosie wieczoru goście czerwienili się, pocfili, chrypli. Dym tytoniowy gryzł w oczy. Trzeba było krzyżeć i nachylać się przez stół, aby się usłyszeć w ogólnej wrzawie. I tylko nieznużone skrzypce Saszki siedzącego na swoim podeście triumfowały nad duchotą, nad upałem, nad odorem tytoniu, gazu, piwa i nad wrzaskiem bezceremonialnej publiki.

Goście szybko upijali się piwem, bliskością kobiet, gorącym powietrzem. Każdy dopominał się o swoje ulubione, znajome melodie. Koło Saszki bez przerwy sterazały dwae-trzy osoby

O tępych oczach i niepewnych ruchach, szarpiąc go za rękaw
I przeszkadzając mu w grze.

— Saszsz!... O kochaniu... Zrób ła... — gość czał — zrób ła-a-a-skę!

— Zaraz, zaraz ;— powtarzał Saszka kiwając głową i ze zręcznością lekarza bezdźwięcznie wrzucał do bocznej kieszeni srebrną monetę. — Zaraz, zaraz.

— Saszka, toż to podłość. Dałem pieniądze i już dwadzieścia razy proszę: Do Odessy płynę sobie morzem.

— Zaraz, zaraz.

— Saszka, Słowikal

— Saszka, Marusię!

— Zaraz, zaTaz.

Czabana! — wrzeszczał z drugiego końca sali nie ludzki, lecz jakiś koński głos.

I Saszka przy wtóTze ogólnego śmiechu krzychał do niego kogucim głosem:

— Zara-a-az.

I grał bez wytchnienia wszystkie zamówione pieśni. Widać nie było takiej, której by nie umiał na pamięć. Ze wszystkich stron sypano mu w kieszenie srebrne monety i ze wszystkich stołów przysyłano kufle piwa. Kiedy schodził z estrady, żeby podejść do szynkwasu, rozdzierano go na części.

— Sasauniu... Kochasiu... Jeden kufelek.

— Sasza, twoje zdrowie. Chodźże tu, czorcie, do stu tysięcy diabłów, kiedy gadam do ciebie.

Kobiety, skłonne jak wszystkie kobiety do zachwycania się ludźmi estrady, kokietowania, popisywania się i płaszczenia przed nimi, wołały go gruchającym głosem, z figlarnym, kapryśnym uśmiechem:

— Saszuniu, musi pan koniecznie wypić po mnie... Tak, tak, błagam pana. A potem zagra mi pan kuku-wok.

Saszka uśmiechał się, robił miny i kłaniał się na lewo i na prawo, przyciskał rękę do serca, posyłał całusy, pił piwo przy wszystkich stolikach, a wróciwszy do pianina, na którym oczekiwał go nowy kufel, zaczynał grać jakieś Rozstanie. Niekiedy chcąc zabawić słuchaczy

dobywał ze skrzypiec szczenięce skomlenie, prosiące kwiki lub rozdzierające basowe chrypienie. A słuchacze witali te żarty dobroduszną aprobatą:

— Cha-cha-cha!

Robiło się coraz goręcej. Z sufitu lało się, niektórzy goście już płakali bijąc się w piersi, inni o przekrwionych oczach klócili się o kobiety i z powodu dawniejszych uraz i próbowali rzucić się na siebie, powstrzymywani przez trzeźwiejszych sąsiadów, przeważnie pieczeniarzy. Kelnerzy cudem przeciskali się między beczkami, beczułkami, nogami i korpusami, wysoko trzymając nad głowami siedzących ręce oblepione kuflami piwa. Pani Iwanowa, jeszcze bardziej bezkrwista, niewzruszona i milcząca niż zawsze, dyrygowała zza szynkwasu działaniami służby niczym kapitan w czasie burzy.

Wszystkich ogarniała chęć śpiewania. Saszka mięł pod wpływem piwa, własnej dobroci i tej prostackiej radości, którą sprawiała innym jego muzyka, gotów był grać wszystko bez wyboru. I przy dźwiękach jego skrzypiec ochrypli ludzie nieskładnymi drewnianymi głosami wrzeszczeli razem, patrząc sobie w oczy z bezmyślną powagą: I po co się ro-o-zchodzić, I po co żyć w ro-o-zstaniu? Nie lepiej się pogodzić I myśleć o kochaniu?

A nieopodal inne towarzystwo, starając się przekrzyczeć pierwsze, widocznie wrogie, zawodziło już całkiem niezgodnie:

Idzie chłopak malowany, Portki na nim kolorowe, Z nim pod rękę jedna pani, Co ma w lokach całą głowę.

„Gambrinusa” często odwiedzali Grecy z Azji Mniejszej przyplływający do portów rosyjskich na połowy ryb. Oni też zamawiali u Saszki swoje wschodnie pieśni przypominające ponure, nosowe, jednostajne wyoie na dwóch-trzech nutach, i z ponurymi twarzami, z płonącymi oczami gotowi byli śpiewać je całymi godzinami. Grywał Saszka też włoskie ludowe kuplety- i dumki ukraińskie, i żydowskie tańce weselne, i wiele innych rzeczy. Pewnego razu do „Gambrinusa” wpadła gromadka marynarzy Murzynów, którym słysząc innych też się zachciało pośpiewać. Saszka szybko uchwycił ze słuchu skoczną murzyńską melodię, z miejsca dobrał do niej akompaniament na pianinie, i oto ku wielkiemu zachwytowi i uciesze stałych bywalców „Gambrinusa” piwiarnię wypełniły dziwne, kapryśne, gardłowe dźwięki afrykańskiej pieśni.

Pewien reporter miejscowej gazety, znajomy Saszki, namówił kiedyś profesora szkoły muzycznej do posłuchania w „Gambri- nusie” tamtejszego sławnego skrzypka. Ale Saszka domyślił się tego i zmusił swoje skrzypce do większego niż zwykle miauczenia, beczenia i ryku. Goście „Gambrinusa” dosłownie konali ze śmiechu, a profesor wyrzekł z pogardą:

146

— Błazeństwo.

T wyszedł nie dopiwszy piwa.

Nieraz subtelne marficy i ucztujący niemieccy myśliwi, tłuste amorki i żaby bywali ze swoich ścian świadkami tak hucznych hulank, jakie rzadko można było zobaczyć poza „Gambrinusem”.

Zjawiała się na przykład paczka złodziei podochoconych po udanej wyprawie, każdy ze swą ukochaną, każdy w czapce włożonej zawadiacko na bakier, w lakierowanych butach, każdy

0 wytwornych knajpianych manierach i z niedbałą miną. Saszka grał dla nich specjalne, złodziejskie piosenki: Biedny ja chłopczy- na, zguba czyha na mnie, Ach nie płacz Marusia, Przyszła wiosna

1 inne. Taniec uważali za coś poniżej swojej godności, ale ich przyjaciółki, wszystkie niebrzydkie, młodziutkie, niektóre prawie jeszcze dziewczątka, tańczyły Czabana z piskiem i przytupywaniem. I kobiety, i mężczyźni pili bardzo dużo — miało to tylko jedną złą Stronę, że mężczyźni zawsze kończyli hulankę starymi porachunkami i lubili zniknąć nie zapłaciwszy.

Całymi gromadami, po mniej więcej trzydziestu ludzi, przy- r chodzili rybacy po udanym połowie. Późną jesienią zdarzały się takie szczęśliwe tygodnie, kiedy każda wyprawa przynosiła codziennie po jakieś czterdzieści tysięcy skumbrii. czy głowaczy. Przez ten czas nawet najskromniejszy udziałowiec zarabiał ponad dwieście rubli. Jeszcze bardziej wzbogacał rybaków udany połów białugi zimą, z nim jednak były związane wielkie trudności. Trzeba było ciężko pracować trzydzieści-czterdzieśd, wiorst od brzegu, w nocy, czasami w niepogodę, kiedy woda zalewała łódź i od razu zamarzała na odzieży, na wiosłach, a ta niepogoda trzymała ludzi na morzu po dwa-trzy dni, aż w końcu wyrzucali o jakie

dwieście wiorst, gótoieś w Anapie czy Trapezuncie. Każdej zimy ginęło bez Wieści około dziesięciu łodzi i dopiero wiosną znajdowano tu i ówdzie na brzegu trupy odważnych rybaków.

Za to gdy wracali z morza szczęśliwie i pomyślnie, na łądzie ogarniała ich szalona żądza użycia. W ciągu dwóch-trzech dni przepuszczano kilka tysięcy rubli na najordynarniejszą, ogłuszającą pijacką hulankę. Rybacy pakowali się do knajpy lub do

jakiegoś innego wesołego lokalu, wyrzucali wszystkich postronnych gości, zamykali na głucho drzwi i okiennice i cały dzień, ■ i noc pili, kochali się, ryczeli pieśni, tłukli lustra, naczynia, kobiety, a niekiedy i siebie nawzajem, aż wreszcie sen morzył ich gdzie popadło — na stołach, na podłodze, w poprzek łóżek, wśród plwocin, niedopalków, potłuczonego szkła, rozlanego wina i krwawych plam. Tak hulali rybacy po kilka dni z rzędu, niekiedy zmieniając miejsce, niekiedy zostając w tym samym. Przehulawszy zaś wszystko do ostatniego grosza — z szumem w głowie, ze śladami bijatyk na twarzach, trzęsąc się z przepicia, milczący, przygnębieni i pełni skruchy szli na brzeg, do łodzi, aby powrócić do swego miłego i przekłętogo, ciężkiego i porywającego zajęcia.

Nigdy nie zapominali o zagrzeniu do „Gambrinusa”. Wdzierali się tam ogromni, ochrypli, z czerwonymi twarzami wysmaganymi wściekłym zimowym nord-ostem, w nieprzemakalnych kurtkach, skórzanych portkach, w butach z wołowej skóry aż po biodra — w takich samych butach, w jakich towarzysze ich w burzliwą noc szli na dno jak kamienie.

Z szacunku dla Saszki nie wyrzucali postronnych gości, chociaż się czuli panami piwiarni, i tłukli ciężkie kufle o podłogę. Saszka grywał im rybackie pieśni, proste i groźne jak szum morza, a oni śpiewali wszyscy unisono, natężając do niemożliwości swoje zdrowe piersi i zahartowane gardła. Saszka działał na nich jak Orfeusz uciszający fale i zdarzało się, że jakiś czterdziestoletni ataman łodzi, brodaty, wysmagany wiatrem, podobny do zwierza zalewał się łzami zawodząc cienkim głosem żalosne słowa pieśni:

Ach, biedny, biedny ja chłopczyna, Zem rybakiem rodził się...

A niekiedy tańczyli drepcząc w jednym miejscu, z kamiennymi twarzami, łomocząc swymi pudowymi butami i rozprzestrzeniając na całą piwiarnię ostry, słony zapach ryb, którym na wskroś przesiąkły ich ciała i odzież. Dla Saszki byli bardzo hojni i długo nie puszczały go od swoich stolików. Znał dobrze tryb ich ciężkiego, straceńczego życia. Często kiedy grał dla nich, czuł w sercu jakoś dziwny smutek połączony z szacunkiem.

Ale szczególnie lubił grać dla angielskich marynarzy ze statków handlowych.

Przychodzili gromadnie, trzymając się pod ręce —

wszyscy jak dobrani, muskularni, barczyści, białozęhi, ze zdrowym rumieńcem, z wesołymi, śmiałymi, niebieskimi oczami. Mocne mięśnie rozsadały im kurtki, a z głęboko wyciętych kołnierzy strzelały proste, potężne szyje. Niektórzy z nich znali Saszkę z poprzednich postojów w tym porcie. Poznawali go i szczerząc życzliwie białe zęby witali go po rosyjsku: . Zdrajst, zdrajst.

Saszka sam, bez zamówienia, grał im Rule Britannia. Widocznie świadomość tego, że znajdują się teraz w kraju obciążonym wieczną niewolą, nadawała uroczysty ton temu hymnowi angielskiej wolności. I gdy śpiewali stojąc z obnażonymi głowami ostatnie wspaniałe słowa:

Nigdy nigdy, przenigdy przenigdy Nie oddadzą wolności Anglicy!...

to mimo woli nawet najwięksi awanturnicy zdejmowali czapki.

Krepy bosman z kolczykiem w uchu i z brodą wyrastającą z szyi jak fręcfcia, podchodził do Saazki z dwoma kufkami piwa, uśmiechał się szeroko, klepał go przyjaźnie po plecach i prosił o zagranie dzygi. Już na pierwsze dźwięki tego dziarskiego morskiego tańca Anglicy zrywali się i robili miejsce, odsuwając ku ścianom beczułki. Obcych gości prosili o to na migi, z wesołym uśmiechem, lecz jeżeli ktoś się ociągał, nie certowali się z nim, ale po prostu potężnym kopniakiem wybijali spod niego beczułkę. Do tego jednak uciekali się rzadko, bo w „Gambrinusię” wszyscy byli miłośnikami tańców, a szczególnie lubili angielską dzygę. Nawet sam Saszka nie przestając grać stawał na krześle, aby lepiej widzieć.

Marynarze ustawiali się w koło i do taktu szybkiego tańca klaskali w dłonie, a dwóch wychodziło na środek. Taniec odtwarzał życie marynarzy na morzu. Statek jest gotów do odbicia, pogoda oudowna, Wszystko w porządku. Ręce tancerzy są skrzyżowane na

piersiach, głowy odrzucone w tył, ciało spokojne, choć nogi walą rytmicznie w podłogę. Lecz oto zerwał się wietrzyk, zaczyna się nieznaczne kołysanie. Dla marynarza to sama radość, ale figury tańca stają się coraz bardziej skomplikowane i zawiłe. Powiał nieco mocniejszy wiatr — już nie jest tak łatwo chodzić po pokładzie — tancerze lekko się kiwają z boku na bok. No i wreszcie

prawdziwy sztorm — marynarzy rzuca od burty do burty, sprawa zaczyna wyglądać poważnie. „Wszyscy w górę, zwiąć żagle Z ruchów tancerzy wynika niezbiecie., że wspinają się na wanty, ściągają żagle, mocują szkoty, a tymczasem burza coraz bardziej kołysze statkiem. „Uwaga, człowiek za burta!” Spuszczają szalupę. Tancerze opuściwszy głowy, naprężywszy potężne nagie szyje wiosłują częstymi ruchami, to zginając, to znów prostując plecy. Burza jednakże ustaje, kołysanie stopniowo słabnie, niebo się przejaśnia, i oto statek znów sunie gładko z pomyślnym wiatrem, i znów tancerze z nieruchomym ciałem i ze skrzyżowanymi rękami wykonują nogami wesołą szybką dzygę.

Niekiedy Sasza musiał grać lezgingkę dla Gruzinów, którzy zajmowali się w pobliżu miasta wyrobem win. Znał wszystkie tańce bez wyjątku. Podczas gdy jeden z tancerzy w papasze i czere- kiesce krążył lekko pomiędzy beczkami, zarzucając sobie za głowę to jedną, to drugą rękę, a jego koledzy klaskali do taktu i pokrzykiwali, Saszka też nie mógł wytrzymać i razem z nimi wołał z przejęciem: „Has! has! has! has!” Zdarzało mu się także grać moldawskiego dzoka i włoską tarantelę, i walce dla marynarzy niemieckich.

Zdarzały się w „Gambrinusie” bójki, i to dość zawzięte. Starzy bywalcy chętnie opowiadali o legendarnej bijatyce między rosyjską załogą wojenną przeniesioną do rezerwy z jakiegoś krążownika a marynarzami angielskimi. Bili się na pięści, na kastety, na kufle, a nawet ciskali w siebie beczułkami do siedzenia. Ku hańbie rosyjskich wojaków trzeba powiedzieć, że to oni pierwsi zaczęli się awanturować, pierwsi puścili w ruch noże i wyparli Anglików dopiero po półgodzinnej walce, chociaż było ich trzykrotnie więcej.

Bardzo często interwencja Saszki powstrzymywała kłótnię, która była już o włos od rozlewu krwi¹. Podchodził, żartował, uśmiechał się, stroił miny, i natychmiast ze wszystkich stron wyciągały się do niego kufle.

— Saszka, kufelek! Saszka, ze mną! Grom, błyskawica, wierność po grób.

Może na te proste, dzięki natury działała łagodna i śmieszna dobroć wesoło promieniująca z jego oczu ukrytydi pod stromym ozolem? Może swoisty szacunek dla talentu i coś w rodzaju

250

wdzięczności? A może i ta okoliczność, że większość stałych bywalców „Gambrinusa” składała się z wiecznych dłużników Saszki? W trudnych chwilach „dekochtu”, co w żargonie marynarskim i portowym oznacza zupełny brak gotówki, do Saszki bez żenady zwracano się o drobne sumy lub o niewielki kredyt w bufecie, a on nigdy nie odmawiał.

Naturalnie długów mu nie zwracano — nie ze złej woli, lecz przez zapomnienie — ale ci sami dłużnicy w czasie hulanki zwracali pożyczkę dziesięciokrotnie za pieśni Saszki.

Bufetowa niekiedy robiła mu wyrzuty:

— Dziwię się, Sasza, że nie żał panu pieniędzy.

Odpowiadał jej z przekonaniem:

— Ależ proszę pani, ależ ja ich ze sobą do grobu nie wezmę. Dla mnie i Białki wystarczy. Białeczko, piesku mój, chodź tutaj.

V

Pojawiały się w „Gambrinusie” także własne modne, sezonowe pieśni. W czasie wojny Anglików z Burami prym wiodł Marsz burski (chyba właśnie w tym czasie odbyła się słynna bójka marynarzy rosyjskich z angielskimi). Co najmniej ze dwadzieścia razy przez wieczór zmuszano Saszkę do grania tego heroicznego kawałka, a pod koniec niezmiennie machano czapkami, krzyczano „hura”, a na obojętnych patrzono niechętnie, co w „Gambrinusie” nie zawsze było dobrą wróżbą.

Potem nastąpiły uroczystości francusko-rosyjskie. Naczelnik miasta z kwaśną miną pozwolił grać Marsyliancę. Jej też żądano codziennie, ale nie aż tak często, jak marsza burskiego, przy czym „hura” wołano słabiej, a czapkami wcale nie machano. Działo się tak

dlatego, że z jednej strony nie było motywów do głębokiego wzruszenia, z drugiej strony bywalcy „Gambrinusa” niedostatecznie rozumieli polityczną wagę sojuszu, a z trzeciej zauważono, że co wieczór zamawiają Marsylianę i wołają „hura” wciąż te same osoby.

Przelotnie stał się modny motyw cake-walka, i nawet kiedyś przypadkowy rozchukany kupczyk nie zdejmując futra z szopów, lisiej czapy i wysokich kaloszy zatańczył go między beczkami. Wkrótce jednak ten murzyński taniec został zapomniany.

Lecz oto wybuchła wielka rosyjsko-japońska wojna. Bywalcy „Gambrinusa” zaczęli żyć przyspieszonym życiem. Na bezułkach pojawiały się gazety, wieczorami dyskutowano na temat wojny. •Najspokojniejsi, całkiem prości ludzie zamienili się w polityków i strategów, ale każdy z nich w głębi duszy drżał, jeśli nie o siebie, to o brata lub, co jeszcze pewniejsze, o przyjaciela. W tych dniach ujawniła się wyraźnie ta niedostrzegalna a mocna więź, która łączy ludzi długo dzielących ze sobą pracę, niebezpieczeństwo i codzienną bliskość śmierci.

Początkowo nikt nie wątpił w nasze zwycięstwo. Saszka wystarał się gdzieś o Kuropatkin-marsz i grał go ze dwadzieścia wieczorów z rzędu z niejakim powodzeniem. Ale pewnego wieczoru Kuropatkin-marsz został na zawsze wyparty przez pieśń, którą przywieźli ze sobą bałakławscy rybacy, „solone Greki” lub „pin- dosy”, jak ich tu nazywano. Posyłają dzisiaj w kraj nas obcy, Z Japońcami bić się w straszną dal. Ach, czy to jest nasza toina, chłopcy, Żeśmy innych przerośli o ca!

Odtąd w „Gambrinusię” nie chciano słuchać niczego innego. Całymi wieczorami słyszeć było tylko i wyłącznie żądanie:

— Sasaka! Tę żalona! Bałakławską! Rezerwistów!

Śpiewali i płakali i pili dwakroć więcej niż zwykle, jak zresztą piła wtedy cała Rosja bez wyjątku. Co wieczór ktoś przychodził się zegnać, nadrabiał miną, wypinał pierś, ciskał czapkę na ziemię, odgrażał się, że sam pobije wszystkich Japońców, a kończył „żalona” piosenką ze łzami w oczach.

Pewnego razu Saszka zjawił się w piwiarni wcześniej niż zwykle. Bufetowa nalawszy mu pełny kufel powiedziała swoim zwyczajem:

— Sasza, proszę zagrać coś swojskiego.

Twarcz mu się nagle wykrzywiła, a kufel zadygotał w rękach.

— Wie pani co, pani Iwanowa? — powiedział jakby z konsternacją. — Mnie przecież biorą do wojska. Na wojnę.

Pani Iwanowa klasnęła w ręce.

— Ależ to niemożliwe, Sasza! Pan chyba żartuje?

— Nie — ponuro i pokornie pokręcił głową Sasza — nie żartuję.

— Ale pan przecież przekroczył wiek? Ile pan ma lat?

Tą sprawą jakoś nikt się dotąd nie interesował. Wszyscy myśleli, że Saszka ma tyleż lat, ile ściany piwiarni, markizy, Ukraińcy, żaby i sam kolorowy król Gambrinus pilnujący wejścia.

— Czterdzieści sześć. — Saszka zastanowił się. — A może czterdzieści dziewięć. Jestem sierotą — dodał ponuro.

— Więc niechże pan pójdzie i wytłumaczy komu trzeba.

— Już tam byłem, proszę pani, i tłumaczyłem.

— No i ...?

— No i powiedziano mi: — Ach ty Żydzie parszywy, żydowska mordo, powiedz coś jeszcze — a pójdiesz do mamra... — I kazali się zgłosić.

Wieczorem nowina rozeszła się po całym „Gambrinusię”, i ze współczucia spito Saszkę w trupa. Próbował się wygłupiać, stroić miny, mrużyć oczy, ale z tych jego śmiesznych, łagodnych oczu wycierał smutek i przerażenie. Pewien potężnie zbudowany ro- bociarz, kotlarz z zawodu, nagle zaofiarował się, że pójdzie na wojnę zamiast Saszki. Wszyscy widzieli oczywisty bezsens tej propozycji, ale Saszka rozczulił się do łez, uściśnięła majstra kotlarskiego i z miejsca podarował mu swoje skrzypce. A Białkę zostawił bufetowej.

— Niech pani zajmie się pieskiem. Może nie wrócę, to będzie pani miała pamiątkę po Saszce. Białeczko, psinko moja! Niech pani patrzy, oblizuje się! Ach, moje biedactwo! Mam jeszcze jedną prośbę do pani. Szef jest mi winien pieniądze, to niech je pani odbierze i wyśle. Napiszę pani adresy. Mam w Homlu ciotecznego brata <z rodziną, a w Żmerynce

mieszka wdowa po bratanku. Ja im co miesiąc... Cóż, my Żydzi już tacy jesteśmy... kochamy krewnych. A ja jestem sierota, samotny. No to żegnam panią, pani Iwanowa.

— Żegnam pana, Sasza. No, pocałujmy się przynajmniej na pożegnanie. Tyle lat. I proszę się nie gniewać, że pana przeżegnam na drogę.

Oczy Saszki były smutne do głębi, ale nie mógł się powstrzymać, żeby nie pobłaznować na ostatek:

— Pani Iwanowa, a czy ja od rosyjskiego krzyża nie zdechnę?

„Gambrinus” opustoszał i umilkł, jakby osierocony bez Saszki i jego skrzypiec. Szef próbował zaangażować na przynętę kwartet wędrownych mandolinistów, z których jeden, przebrany za operetkowego Anglika z rudymi faworytami i przyklejonym nosem, w kraciastych spodniach i w sztywnym kołnierzyku do pół głowy, wykonywał na estradzie komiczne kuplety i bezwstydnymi ruchy. Ale kwartet nie miał absolutnie żadnego powodzenia, przeciwnie, mandolinistów wygwizdano i rzucono w nich ogryzkami serdelków, a głównego komika pobili kiedyś miejscowi rybacy za lekceważącą uwagę o Saszce.

Ale dawnym zwyczajem odwiedzały „Gambrinusa” morskie i portowe zuchy spośród tych, których wojna nie zabrała na śmierć i cierpienia. Początkowo wspomniano Saszkę co wieczór:

— Ot, żeby tak teraz Saszka... Ckni się sercu bez niego. — Ta-a-ak. Gdzie ty się teraz obracasz, Saszuniu kochany?

W polach Mandżurii dalekiej...

intonował ktoś nowy przebój, urwał zmieszany, a inny niespodziewanie oznajmił:

— Rany bywają na wylot, kłute i cięte. I bywają też szarpane...

Sobie zwycięstwa gratuluję,

A tobie oderwanej ręki...

— Poczekaj, nie jęcz. Pani Iwanowa, nie ma od Saszki jakiejś wiadomości? Listu lub pocztówki?

Pani Iwanowa całymi wieczorami czytała teraz gazetę; trzymała ją na odległość wyciągniętej ręki, odchyłała głowę | poruszała wargami. Białka leżała na jej kolanach i spokojnie pochrapywała. Bufetowa nie przypominała już dziarskiego kapitana na posterunku, a jej załoga, apatyczna i ospała, błąkała się po piwiarni.

Na pytanie o los Saszki kręciła powoli głową.

— Nic nie wiem. I listów nie ma, i z gazet nic nie wiadomo.

Potem powoli zdejmowała okulary, kładła je razem z gazetą obok ciepłej, rozgrzanej Białki i odwróciwszy się, cichutko pochlipywała.

Ip ^^M^mmmm^smm'

SB

Niekiedy, pochylając się nad pieskiem mówiła żalnym, rzewnym głosem:

— Co, Białeczko? Co, psinko? Gdzie nasz Sasza? Co? Gdzie nasz pan?

Białka unosiła delikatną mordkę, mrugała czarnymi wilgotnymi oczami i do wtóru bufetowej zaczynała cichutko wyc:

— A-u-u-u», Au-f... A-uuu...

Ale czas wszystko wygładza i zaciera. Mandolinistów zastąpili bałajkarze, bałajkarzy — rosyjsko-ukraiński chór z dzie- wczętami* wreszcie trwalej od innych zdomowił się w „Gambrinusi” znany harmonista Loszka, złodziej z zawodu, który postanowił po ożenku wybrać uczciwą drogę. Znano go już od dawna w różnych szynkach, dlatego znoszono też tutaj, zresztą znosić musiano: sprawy „Gambrinusa” stały bardzo kiepsko.

Mijały miesiące, minął rok. O Saszce teraz nikt nie wspominał prócz pani Iwanowej, lecz i ta już nie płakała na dźwięk jego imienia. Minął jeszcze rok. Zapewne o Saszce zapomniał nawet biały piesek.

Ale wbrew swojej obawie Saszka nie tylko nie zdechł od rosyjskiego krzyża, lecz nawet ani razu nie był ranny, chociaż brał udział w trzech wielkich bitwach i kiedyś poszedł do ataku na czele batalionu w składzie kapeli, do której go przyjęto jako flecistę. Pod Wafanghou dostał się do niewoli i kiedy wojna się skończyła, został przywieziony niemieckim statkiem właśnie do tego portu, gdzie pracowali i szaleli jego przyjaciele.

Wieść o jego przybyciu rozeszła się jak prąd elektryczny po wszystkich przystaniach, molach i warsztatach. Wieczorem w „Gambrinusi” było tyle ludzi, że większość musiała

stać, kufle z piwem podawano z rąk do rąk ponad głowami i chociaż wiele osób wyszło tego dnia nie zapłaciwszy, „Gambrinus” handlował jak nigdy. Majster kotlarski przyniósł skrzypce Saszki starannie zawinięte w żoniną chustkę, którą z miejsca przepił. Skądś wyciągnięto ostatniego akompaniatora Saszki. Harmonista Loszka, człowiek ambitny i zarozumiały, uniósł się honorem. „Ja pracuję na dniówki i mam umowę!” — powtarzał uparcie. Ale wyrzucono go po prostu za drzwi i z pewnością by pobito, gdyby nie wstawiennictwo Saszki.

Na pewno żadnego bohatera narodowego z czasów wojny ja

pońskiej nie spotkało tak serdeczne i huczne przyjęcie, jak Saszkę. Mocne, szorstkie ręce chwyciły go, podnosiły i podrzucały z taką siłą, że Saszkaomal się nie rozbił o sufit. A krzyczano tak ogłuszająco, że aż gasty gazowe płomyki, a posterunkowy kilka razy zaglądał do piwiarni i prosił usilnie, żeby „hałasowali ciszej, bo na Ulicy bardzo słyhać”.

Tego wieczoru Saszka odegrał wszystkie ulubione pieśni i tańce „Gambrinusa”. Grał także piosenki japońskie, których się nauczył w niewoli, ale nie spodobały się słuchaczom. Pani Iwanowa, jakby odżyła, znów raźnie trzymała się na swoim mostku kapitańskim, a Białka siedziała na kolanach Saszki i piszczała z radości. Zdarzało się, że kiedy Saszka przestawał grać, jakiś prostoduszny rybak, dopiero teraz uświadamiając sobie cud powrotu Saszki, nagle wykrzykiwał z naiwnym i radosnym zdumieniem:

— Chłopcy, toż to Saszka!

Rżący śmiech i wesołe przekleństwa wypełniały sale „Gambrinusa”, i znów Saszkę chwymano, podrzucano pod sufit, wrzeszczano, pito, trącano się i oblewano nawzajem piwem.

Saszka na pozór wcale się nie zmienił i nie postarzał w czasie swojej nieobecności: czas i niedole miały równie mały wpływ na jego wygląd, jak na rzeźbionego Gambrinusa, strażnika i opiekuna piwiarni. Ale pani Iwanowa z czujnością życzliwej kobiety zauważyła, że wyraz przerażenia i smutku, jaki ujrziała w oczach Saszki przy pożegnaniu, nie tylko nie znikł, ale jeszcze się bardziej zaznaczył i pogłębił. Saszka jak dawniej błaznował, mrugał i marszczył czoło, ale pani Iwanowa czuła, że to poza.

VII

Wszystko poszło swoim trybem, jakby wcale nie było ani wojny, ani niewoli Saszki w Nagasaki. Rybacy w butach-olbrzymach tak samo święcili pomyślny połów bielugi i głowaoza, przyjaciółki złodziei tak samo płasły, a Saszka jak dawniej grywał marynarskie pieśni przywiezione ze wszystkich portów kuli ziemskiej.

Ale już się zbliżały zmienne, burzliwe czasy. Pewnego wieczoru całe miasto zahuczało, wzburzyło się, jakby zatrwożone alarmem, i o niezwyklej porze na ulicach zrobiło się czarno od ludzi. Krążyły wśród nich małe białe ulotki z przedziwnym słowem

156

wem „wolność”, które tego wieczoru bez końca powtarzał cały niezmierny, ufny kraj. Nadeszły jakieś jasne, świąteczne, triumfalne dni, a ich blask opromieniał nawet suterene „Gambrinusa”. Przychodzili studenci, robotnicy, przychodziły młode, ładne dziewczęta. Ludzie

0 płonących oczach wchodzili na beczki, które tyle już widziały,

1 przemawiali. Nie wszystko w ich słowach było zrozumiałe, ale serce dygotało od płomiennej nadziei i wielkiej miłości, które w nich dźwięczały, i otwierało się chłonąc je chciwie.

— Saszka, Marsyliankę! Różnij Marsyliankę!

Nie, to nie było wcale podobne do tej Marsylianki, którą z ciężkim sercem pozwolił grać naczelnik miasta w tygodniu francusko-rosyjskich uniesień. Ulice przemierzały niekończące się pochody z czerwonymi flagami i śpiewem. Na kobietach pąsowiały czerwone wstążeczki i czerwone kwiaty. Całkiem nieznanymi ludźmi spotykali się i nagle z promiennym uśmiechem ścisnęli sobie ręce.

Ale cała radość rozmyła się niczym ślady dziecinnych stóp na nadmorskiej plaży. Do „Gambrinusa” wpadł kiedyś podkomisarz policji, mały, tłusty, zziąjany, z wytrzeszczonymi oczami, ciemnoczerwony, jak bardzo dojrzały pomidor.

— Hej, kto tu jest gospodarzem? — zachrypiał. — Dawać tu gospodarza!

Zobaczył Saszkę stojącego ze skrzypcami.

—r Tyś gospodarz? Co? Milczeć! Hymny gracie? Żeby mi tu żadnych hymnów nie było.

— Żadnych hymnów więcej nie będzie, ekscelencjo — spokojnie odpowiedział Saszka.

Policjant zsiniał, zbliżył do nosa Saszki wskazujący palec podniesiony do góry i groźnie pokiwał nim w prawo i w lewo.

— Żad-d-nych!

— Słucham, ekscelencjo, żadnych.

— Ja wam pokażę rewolucję, ja wam poka-a-żę!

Podkomisarz jak bomba wyskoczył z piwiarni i po jego odejściu wszystkich ogarnęło przygnębienie.

Całe miasto ogarnął mrok. Krążyły ponure, niepokojące, ohydne Pogłoski Rozmawiano ostrożnie, bano się zdradzić spojrzeniem, lękano, się swego cienia, obawiano się własnych myśli. W mieście

po raz pierwszy z przerażeniem pomyślano o tej kloace, która głucho kłębiła się u jego stóp, tam w dole, nad morzem i do której przez tyle lat miasto wydalało swoje trujące odchody. W mieście zabijano deskami lustrzane okna wspaniałych sklepów, ochraniano patrolami dumne pomniki i na wszelki wypadek umieszczano artylerię w podwórzach pięknych domów. A na przedmieściach w cuchnących klitkach i na dziurawych strychach drżał, modlił się i płakał z przerażenia wybrany lud boży, dawno opuszczony przez gniewnego biblijnego Boga, ale nadal przekonany, że miara jego ciężkich doświadczeń jeszcze się nie przebrała.

W dole, nad morzem, w ulicach podobnych do ciemnych lepkich kiszek trwała selkretna robota. Przez całą noc były rias oścież otwarte drzwi szynków, herbaciarni i domów noclegowych.

Rano zaczął się pogrom. Ludzie, którzy niedawno wzruszeni ogólną czystą radością i rozrzewnieni światłem przyszłego braterstwa szli ulicami ze śpiewem pod symbolami zdobytej wolności — ci sami ludzie szli teraz zabijać, a szli nie dlatego, że im tak kazano, i nie dlatego, że żywili wrogość do Żydów, z którymi często pozostawali w bliskiej przyjaźni, i nawet nie dla interesu, który był wątpliwy, lecz dlatego, że obmierzły, przebiegły szatan żyjący w każdym człowieku szeptał im w ucho: „Idźcie. Wszystko będzie bezkarne: zakazana ciekawość zabójstwa, rozkosz przemocy, władza nad cudzym życiem”.

W dniach pogromów Saszka swobodnie chodził po mieście ze swoją śmieszna, małpią, czysto żydowską fizjonomią. Nikt go nie ruszał. Miał w sobie ten niezachwiany hart ducha, tę „nieulekliwość wobec lęku”, która lepiej od wszelkich browningów chroni nawet słabego człowieka. Ale raz jeden, kiedy przyciśnięty do muru unikał tłumy pędzącego jak wichur całą szerokością ulicy, jakiś murarz w czerwonej koszuli i białym fartuchu zamachnął się na niego kielnią i wrzasnął:

— Ży-y-dl Bij Żyda! Do krwi!

— Stój, zarazo, toż to Saszka. Ach ty durniu, taka twoja mać! Murarz zatrzymał się. W tej upojonej, szalonej, gorączkowej chwili gotów był zabić byle kogo — ojca, siostrę, księdza, nawet samego prawosławnego Boga, ale także gotów był jak dziecko posłuchać nakazu każdej stanowczej woli*

Wyszczerzył zęby jak idiota, splunął i wytarł nos ręką. Lecz nagle rzucił mu się w oczy biały nerwowy piesek, który drząc kręcił się koło Saszki. Szybko schyliwszy się złapał go za tylne nogi, podniósł wysoko, trzasnął głową o płyty chodnika i uciekł. Saszka patrzył na niego w milczeniu. Biegł pochylony do przodu, z wyciągniętymi rękami, bez czapki, z otwartymi ustami i z szaleństwem w szeroko otwartych oczach.

Mózg psa trysnął na buty Saszki. Saszka wytarł plamę chustką.

VIII

Potem nadszedł dziwny czas podobny do snu człowieka sparaliżowanego. Wiezorami w całym mieście nie świeciło się w ani jednym oknie, za to jaskrawo płonęły ogniste szyldy kabaretów i okna szynków. Zwycięzcy sprawdzali swoją władzę, jeszcze się nie nasyciwszy bezkarnością. Jacyś rozpasani ludzie w mandżurskich papachach, z orderami św. Jerzego w kłapach kurtek, przychodzili do restauracji i z natarczywą nonszalancją żądali wykonania hymnu narodowego pilnując, żeby wszyscy wstali. Włamywali się także do prywatnych mieszkań, myszkowali po łóżkach i komodach, żądali wódki, pieniędzy i hymnu, i wypełniali powietrze oparami pijackiej czkawki.

Kiedyś przyszli w dziesięciu do „Gambrinusa” i zajęli dwa stoły. Zachowywali się nader wyzywająco, do służby zwracali się tonem rozkazującym, pluli poprzez ramiona nieznanym sąsiadów, wylewali piwo na podłogę pod pretekstem, że jest nieświeże. Nikt im się nie przeciwstawił. Wszyscy wiedzieli, że to szpicle i patrzyli na nich z owym tajonym strachem i pełną obrzydzenia ciekawością, z jaką prości ludzie patrzą na katów. Jeden z nich najwyraźniej był przywódcą. Był to niejaki Motka Gęgawy, rudy mężczyzna ze złamanym

nosem, mówiący bełkotliwie, człowiek podobno niezwyklej siły fizycznej, niegdyś złodziej, potem wykidajło w domu publicznym, sutener, a w końcu szpicel, Żyd przechrzta. Saszka grał Zamieć. Nagle Gęgawy podszedł do niego, mocno chwycił go za prawą rękę i obróciwszy się do widzów krzyknął:

- Hymn! Hymn narodowy! Chłopcy, ku czci uwielbianego monarohy. Hymn!
- Hymn! Hymn! — huknęły łobuzy w papachach.

— Hymn! — krzyknął opodal samotny, niepewny głos. Ale Saszka wyrwał rękę i powiedział spokojnie:

— Żadnych hymnów.

— Co? — ryknął Gęga wy. — Nie będziesz mnie słuchał? Ach ty Żydzie parchaty! Saszka pochylił się do przodu, całkiem blisko Gęgawego, i z wykrzywioną twarzą, trzymając za gryf; opuszczone skrzypce, zapytał:

— A ty? Co ja?

— Ja jestem Żyd parchaty, no dobrze. A ty?

— Ja jestem prawosławny.

— Prawosławny? A za ile?

Cały „Gambrinus” wybuchnął śmiechem, a Gęgawy, zbieleły z wściekłości, obrócił się do swych towarzyszy.

— Chłopcy! — mówił drżącym, płaczącym głosem czyjeś obce, wyuczone słowa. — Chłopcy, pokąd będziemy znosić beczeszczenie przez parchów tronu i świętej cerkwi? Ale Saszka wstawszy na estradzie jednym dźwiękiem zmusił go do odwrócenia się w swoją stronę, i wikt z gości „Gambrinusa” nigdy by nie uwierzył, że ten śmieszny, błaznujący Saszka może mówić tak dobitnie i władczo.

— Ty! — krzyknął Saszka. — Ty sukinsynu! Pokaż mi swoją twarz, ty morderco! Patrz na mnie! No!

Wszystko stało się w mgnieniu oka. Skrzypce Saszkft uniosły się wysoko, szybko mignęły w powietrzu i — trach! — wysoki człowiek w papasze zachwiał się od silnego uderzenia w skroń. Skrzypce rozleciały się na kawałki. W rękach Saszki został tylko gryf, zwycięsko wzniesiony nad głowami tłumu.

— Chłopcy, na po-o-moc! — wrzasnął Gęgawy.

Ale na pomoc było już za późno. Potężna ściana otoczyła Saszkę i zasłoniła go. I ta sama ściana wymiotła ludzi w papachach na ulicę.

Lecz po godzinie, kiedy Saszka skończywszy swoją pracę wychodził z piwiarni na ulicę, rzuciło się na niego kilku ludzi. Któryś z nich uderzył go w oko, zagwizdał i powiedział do podbiegającego policjanta: 5 Do cyrkułu Bulwarowego. Polityczny. Oto mój znaczek.

Teraz powtórnie i ostatecznie uznano Saszkę za skończonego. Ktoś widział całą scenę, która zaszła na chodniku koło piwiarni i opowiedział ją innym. A w „Gambrinusie” urzędowali ludzie doświadczeni, którzy wiedzieli, co to za instytucja Bulwarowy komisariat, i czym pachnie zemsta tajniaków.

Ale teraz o los Saszki znacznie mniej się niepokoiono niż za pierwszym razem i znacznie prędzej zapomniano o nim. Po dwóch miesiącach na jego miejscu siedział nowy skrzypek (nawiasem mówiąc, uczeń Saszki), którego wyszukał akompaniator.

I oto pewnego razu, mniej więcej po trzech miesiącach, w cichy wiosenny wieczór, kiedy muzykanci grali walca Oczekiwanie, czyjś cienki głos zawołał z przestraczem! ' — Chłopcy, Saszka!

Wszyscy się odwrócili i powstali z beczulek. Tak, to był on, dwakroć zmartwychwstały Saszka, ale teraz zarośnięty, wychudzony, blady. Rzucili się ku niemu, otoczyli, ściskali, miętosili, podsuwali mu kufle z piwem. Lecz nagle ten sam głos krzyknął:

— Chłopcy, patrzajecie, ręka!

Zapadła cisza. Lewa ręka Saszkfi była skręcona i jakby przyrośnięta łokciem do boku. Widocznie nie zginała się i nie rozprostowywała, a palce sterczały bez ruchu tuż przy brodzie.

— Co ci się stało, kolego? ~ zapytał w końcu włochaty bosman z „Towarzystwa Rosyjskiego”.

— E, głupstwo, jakieś tam ściętno czy coś — odrzekł beztręsko Saszka.

fj Ta-ak...

Zmowu wszyscy umilkli.

— To i z Czabanem teraz koniec? — zapytał bosman z żalem.

— Z Czabanem? — powtórzył Saszka i oczy mu zabłyśły. — Hej ty! — rozkazał akompaniatorowi ze zwykłą pewnością siebie. — Czabana! Ein, zwei, drei!

Pianistą zabębnił wesoły taniec, z niedowierzaniem oglądając się za siebie. Saszka zdrową ręką wyjął z kieszeni jakiś nieduży, wielkości dłoni, podłużny czarny instrument ze sterczącym rożkiem, wsadził ten rożek w usta i przechyliwszy się w lewo na ile

mu pozwalała okaleczona, sztywna ręka, nagle zagwizdał na okarynie ogłuszająco wesołego Czabana.

. — Cha-cha-cha! — wybuchnęli obecni wesołym śmiechem.

— A to ci dopiero! — wykrzyknął bosman — i całkiem niespodziewanie dla samego siebie puścił się w tany drobiąc obcasami. Porwani jego zapałem zaplęśli goście, kobiety i mężczyźni. Nawet kelnerzy starając się nic nie uronić ze swojej godności z uśmiechem przebiegali w miejscu nogami. Nawet pani Iwanowa zapomniawszy o obowiązkach kapitana na wachcie kiwała głową w takt ognistego tańca i lekko strzelała palcami. I może nawet sam stary, porowaty, stoczony przez czas Gambrinus poruszał brwiami, wesoło patrząc na ulicę. I zdawało się, że w rękach okaleczonego, pokręconego Saszki nędzna, byle jaka świstawka śpiewa w języku niestety jeszcze niezrozumiałym ani dla przyjaciół „Gambrinusa”, ani nawet dla samego Saszki:

— Uszy do góry! Człowieka można okaleczyć, ale sztuka wszystko przetrwa i wszystko zwycięży.

Przełożyła Henryka Pikulska

Sulamitka

Frzyłtó mię Jako pieczęć do «erca twego, Jako pieczęć do ramienia twego; bo mocna Jest Jak śmierć miłość, twarda Jak otchłań zazdrość: pochodnie jej — pochodnie ognia 1 płomieni.

I

Król Salomon nie osiągnął jeszcze wieku średniego — czterdziestu pięciu lat — a już wieść o jego mądrości i urodzie, wspaniałości jego życia i przepychu dworu rozeszła się daleko poza granice Palestyny. W Asyrii i Fenicji, w Górnym i Dolnym Egipcie, od starożytnego Taurus do Jemenu i od Ismar do Persepolis, na wybrzeżu Morza Czarnego i na wyspach Śródziemnego — z podziwem wymawiano jego imię, jako że nie miał sobie równego przez wszystkie dni swego żywota.

W roku 480 po wyjściu Izraela z Egiptu, w czwartym roku swego panowania, w miesiącu zyka, podjął król dzieło wzniesienia wielkiej Świątyni Pańskiej na górze Moria oraz budowę pałacu w Jerozolimie. Osiemdziesiąt tysięcy kamieniarzy i siedemdziesiąt tysięcy tragarzy pracowało nieprzerwanie w górach i na przedmieściach grodu, zaś dziesięć tysięcy drwali spośród ogólnej liczby trzydziestu ośmiu tysięcy udawało się kolejno do Libanu, gdzie spędzali cały miesiąc na tak ciężkiej pracy, że musieli po iniej odpoczywać przez dwa miesiące. Tysiące ludzi wiązało ścięte drzewa w tratwy, a setki żeglarzy spławiły je morzem do Jaffy, gdzie je obrabiali Tyryjczycy, mistrzowie w tokarce i stolarce. Jedynie przy wznoszeniu piramid Chefrena, Chufu i Mykerinosa w Gizeh użyto tak ogromnej liczby robotników.

Trzy tysiące sześciuset nadzorców pilnowało robót, a nadzorców doglądał Azariasz, syn Natana, człowiek okrutny i nieznużony, o którym chodziły słuchy, że nigdy nie sypia, trawiony ogniem wewnętrznej nieuleczalnej choroby. Natomiast wszystkie plany pałacu i świątyni, rysunki kolumn, wyrocznicy i morza miedzia

nego, szkice okien, ornamenty ścian i tronów były dziełem budowniczego Hirama-Awii z Sydonu, syna brązownika z pokolenia Neftalego.

Po siedmiu latach, w miesiącu buł, stanęła Swiątynia Pańska, a po latach trzynastu — pałac królewski. W zamian za cedrowe kłody z Libanu, za deski cyprysowe i oliwne, za drewno peugowe, sittim i tharsis, za ociosane i oszlifowane olbrzymie kamienie, za Szkarłat, purpurę i przetykany złotem bisior, za błękitne wełniane tkaniny, za kość słoniową i czerwone skóry baranie, za żelazo, onyks i mnóstwo marmuru, za klejnoty, za złote łańauchy, kapitele, sznury, szczytce, siatki, tace, lampy, kwiaty i świeczniki, za złote zawiasy do drzwid i złote gwoździe, każdy o wadze sześćdziesięciu syklów, za złotolite czasze i misy, za filigranowe -i mozaikowe ornamenty, za ryte i kute w kamieniu wizerunki lwów, cherubinów, wołów, palm, ananasów — ofiarował Salomon Hiramowi, królowi Tyru, imiennikowi budowniczego, dwadzieścia miast i osad w krainie galilejskiej, a Hiram uznał dar ten za nędzny wobec niesłychanego przepychu, z jakim dźwignione zostały Przybytek Pański, pałac Salomonowy i pałacyk w Mello dla małżonki królewskiej, pięknej Astis, córki egipskiego faraona Sussakima. Drzewo sandałowe zaś, którego później użyto na poręczce i schody galeryjek, na instrumenty muzyczne i na oprawy do świętych ksiąg, otrzymał w darze Salomon od królowej Saby, mądrej i pięknej Balkis, wraz z taką ilością kadzidła, olejków aromatycznych i drogich wonności, jakiej nie znał jeszcze do tej pory Izrael.

Z roku na rok zwiększała się fortuna króla. Trzy razy w roku powracały do portu jego okręty: „Tharsis”, pływający po Morzu Śródziemnym, i „Hiram”, pływający po Morzu Czerwonym. Przywoziły z Afryki kość słoniową, koczkodany, pawie i antylopy; bogato zdobione rydwany z Egiptu, żywe tygrysy i lwy, a nadto skóry zwierząt i futra z Mezopotamii, konie śnieżnej białości z Koi, parwaimski złoty piasek wartości sześciuset sześćdziesięciu talentów rocznie, drzewo pachnące, dąb i drzewo jodłowe z krainy Ofir, barwiste kobierce aszurskie i kałachskie o przedziwnych wzorach — dary przyjacielskie od króla Tiglatpilesara; kunsztowną mozaikę z Niniwy, Nimrudu i Sargonu; precudne wzorzyste tkaniny z Ohattuar; złotolite kubki' z Tyru; z Sydonu kolorowe szkło, z Punt zaś koło Bab-el-Mandeb oWe rzadkie pachnidła ~ nard, aloes, trzcinę wonną, cynamon, szafran, ambre, piżmo, stakte, galban, mirrę i kadzidło, dla których zdobycia faraonowie egipscy niejednokrotnie wszczynali krwawe wojny.

Srebro za czasów Salomona spadło do ceny zwykłego kamienia, drzewo cedrowe zaś stało się nie droższe od zwykłych sykomor rosnących w polu., ; |||

Król wybudował kamienne łaźnie wyłożone porfirem, marmurowe baseny, niosące ochłodę fontanny — wodę do nich przeprowadzono z górskich strumieni wpadających do Cedrónu — a wokół pałacu założył ogrody i gaje oraz winnicę w Baal-Hamon.

Miał Salomon czterdzieści tysięcy żłobów dla mułów i koni .do wozów i dwanaście tysięcy żłobów dla koni jezdnych; jęczmień i siano dla koni przywożono codziennie z prowincji. Dziesięć wołów tuczonych i dwadzieścia wołów z pastwiska, trzydzieści korców mąki pszenicznej • i sześćdziesiąt innej, sto batów wina rozmaitego, trzysta owiec, nie licząc ptactwa tuczonego, jeleni, saren, suhaków — wszystko to przez ręce dwunastu szafarzy wędrowało codziennie na stół Salomona, a także na stół jego idworu, świty i straży przybocznej. Sześćdziesięciu żołnierzy spośród pięciuset najsilniejszych i najodważniejszych w całym wojsku trzymało na zmianę straż w wewnętrznych komnatach pałacu. Pięćset tarcz złotą łuską pokrytych kazał sporządzić król dla tych strażników.

ii

Czegokolwiek pożądały oczy króla — nie odmawiał im niczego, ani nie wzbraniał sercu swemu wszelkiej rozkoszy. Miał król siedemset żon i trzysta nałożnic, nie licząc niewolnic i tancerek. A wszystkie miłował Salomon, albowiem Bóg dał mu tak niepo- żytą siłę; miłosną, jakiej nie posiadają zwyczajni ludzie. Kochał białolice, czarnookie, pąsowouste Hetytki za

ich jaskrawą, choć ulotną urodę, która tak wcześnie i pięknie rozkwita i tak samo szybko
wiednie jak kwiat narcyza; smagłe, wysokie, płomienne Filistynki o szorstkich, krętych
włosach, noszące złote, podzwaniające manele na przegubach rąk, złote obręcze na
ramionach, a na obydwu kostkach nóg — szerokie bransolety złączone cien

kim łańcuszkiem; małe, delikatne Amorytki, giętkie, nieskazitelnej budowy — ich wierność i oddanie w miłości stały się przysłowiowe; kobiety z Asyrii, przedłużające farbą oczy i wypalające modre gwiazdy na czole i na policzkach; uczone, Wesołe i cięte w mowie córki Sydonu, umiające ładnie śpiewać, tańczyć i grać na harfach, lutniach i fletach przy wtórce bębna; zółtookie Egipcjanki, niestrudzone w miłości i szalone w zazdrości; chutli- we Babilonki o ciałach gładkich pod szatą jak marmur, jako że specjalną maścią usuwają zeń włosy; dziewczęta z Balktrii farbujące włosy i paznokcie na szkarłatny kolor i noszące szarawary; milczące, nieśmiałe Moabitki, których bujne piersi były chłodne w najgorętsze letnie noce; beztroskie, rbzrutne Ammonitki o włosach ognistych i ciałach takiej białości, że świeciły w mroku; kuche niebieskookie niewiasty o lnianych włosach i delikatnym zapachu skóry, które przywożono z północy, przez Baalbek, a których mowy nie rozumiał nikt z mieszkańców Palestyny. Prócz tego koahał król wiele córek Judei i Izraela.

Dzielił też łóżce z Balkis-Makedą, królową Saby, górującą nad wszystkimi niewiastami świata urodą, bogactwem i sztuką miłosną o nieskończonych odcieniach; z Sunamitką Abisag, co rozgrzewała starość króla Dawida — tą łagodną, pokorną pięknoscia, dla której wydał swego starszego brata Adoniasza na śmierć z rąk Banajasza, syna Jojady. I z ubogą dziewczyną z winnicy imieniem Sulamit, jedyną wśród wszystkich kobiet, którą ukochał całym swoim sercem.

Lektykę uczynił sobie Salomon z przedniego drzewa libańskiego, ze srebrnymi filarami, złotymi poręczami w kształcie leżących lwów oraz namiotem ze szkarłatowej tyrskiej tkaniny. Wnętrze namiotu było ozdobione złotym haftem i drogimi kamieniami — czuły mi upominkami od niewiast i panien jerozolimskich. I gdy smukli czami niewolnicy w dni uroczystych świąt nosili w niej Salomona wśród ludu, zaprawdę piękny był "król, niby lilia Saronuf

Blade miał lica, usta niby pąsowa wstęga; kręte włosy czarne jak skrzydło kruk, a w nich błyszczała siwizna, oznaka mądrości, podobna srebrnym nitkom górskich strumieni spadających z wysokości ciemnych skał Hermonu; siwizna iskrzyła się również w jego czarnej brodzie, utrefianej; wedle zwyczaju asyryjskich królów, w równe drobne rzędy.

Oazy król miał ciemne jak najciemniejszy agat, jak niebo letnią bezksiężycową nocą, rzęsy zaś, strzełście okalające je od góry do dołu, przywodziły na myśl czarne promienie wokół gwiazd czarnych. I nie było człowieka na świecie, co by mógł wytrzymać wzrok Salomona nie spuszczać oczu. Błyskawice zaś gniewu w oczach króla powalały ludzi na ziemię.

Atoli zdarzały się ohwile serdecznej uciechy, kiedy król był upojony miłością lub winem, albo rozkoszą władzy, bądź cieszył się rozumnym, pięknym słowem, celnie przez kogoś rzuconym. Wtedy jego długie rzęsy łagodnie opadały do połowy oka, rzucając modrawy cień na jasne oblicze, a w oczach zapalały się, niczym iskry w czarnych brylantach, ciepłe ogniki łagodnego, delikatnego uśmiechu; ci, którzy ten uśmiech widzieli, gotowi byli oddać zań ciało i duszę, tak nieopisanie był piękny. Samo imię króla Salomona, wypowiedziane na głos, niepokoiło serca kobiet niczym aromat rozlanej mirry, nasuwający wspomnienia nocy miłosnych.

Ręce król miał delikatne, białe, ciepłe-i piękne jak ręce niewiasty, ale kryły w sobie taki nadmiar sił żywotnych, że położone na czole chorych usuwały ból głowy, drgawki, czarną melancholię i bezsenność. Na wskazującym palcu lewej ręki nosił Salomon gemmę z krwawoczerwonego asteryksu, rzucającą sześć promieni barwy perłowej. Wiele setek lat liczył sobie ten pierścień, a na wewnętrznej stronie kamienia wyryty był napis w języku dawnego, nie istniejącego już ludu: „Wszystko mija”,

Tak wielka była potęga duszy Salomonowej, że ulegały jej nawet zwierzęta; lwy i tygrysy czołgały się u stóp króla, pocierały pyski o jego kolana, lizały mu ręce szorstkimi językami, gdy wchodził do ich pomieszczeń. I on, lubujący się w połyskliwych migotaniach szlachetnych kamieni, w aromacie wonnej ambry egipskiej, w delikatnych muśnięciach zwiewnych tkanin, w rozkosznej muzyce, w subtelnym smaku płomiennie skrzącego się wina, mieniającego się w rżniętym pucharze niniwskim — lubił także głaskać groźne grzywy lwów, aksamitne grzbiety czarnych panter, miękkie łapy młodych cętkowanych lampartów, lubił

śłuchać ryku dzikich bestii, patrzeć na ich silne, piękne ruohy, chłonać dziką woń ich gorącego oddechu.

Tak opisuje króla Salomona Jozafat, syn Achdluda, dziej opis jego czasów.

III

„Ze nie żądałeś sobie dni wiele — ani bogactw, ani dusz nieprzyjaciół twoich, aleś prosił sobie o mądrość — otóżem ci uczynił wedle mowy twojej i ęjałem ci serce rozumne i mądre, tak iż żaden przed tobą nie był podobny tobie, ani po tobie nastanie”.

Tadę powiedział Salomonowi Pan i wedle słów Jego poznał król powstanie świata i żywiołów działanie, pojął początek, koniec i środek czasów, przeniknął tajemnicę wiecznego kołowrotu zjawisk; od astronomów Byblos, Akry, Sargońu, Borsyppy i Niniwy nauczył się obserwować zmiany w położeniu gwiazd orasz cykle roku. Poznał też naturę wszystkich zwierząt i odgadywał uczucia dzikich bestii, rozumiał pochodzenie i kierunek Wiatrów, różnorodność drzew i moce korzeni.

Myśli w duszy azłowieczej to przepaść bez dna, ale i do nich umiał dotrzeć król mędrzec. Ze słów i głosu, z oczu, ruchów rąk równie łatwo czytał najskrytsze tajniki duszy, jak litery w otwartej ksdędze. Toteż z wszystkich ˆkirańaów Palestyny przybywały doń tłumy ludzi, prosząc o sąd, poradę, pomoc, rozstrzygnięcie sporu, a także wytłumaczenie niepojętych wróżb i snów. I dziwowali się ludzie (głębi i przemyślności sądów Salomonowych. Trzy tysiące przypowieści ułożył Salomon oraz pieśni tysiąc i pięć. Dyktował je dwu wytrawnym i biegłym pisarzom, Eliho- refowi i Ahii, synom Sysa, a potem porównywał to, co zostało napisane przez obydwu. Myśli swoje zawsze ubierał w piękne słowa, jako że celne słowo podobne jest złotemu jabłku w czaszy z przezroczystego sardonyksu — a także dlatego, że słowa mędrców mają ostrość igieł, moc wbitych gwoździ, a ich autorzy pochodzą wszyscy od jednego pasterza. „Słowo to iskra poruszająca serca”, mawiał król. I była mądrość .Salońiona większa nad mą- di *ość wszystkich synów Wschodu i nad- całą mądrość Egipcjan. Był mądrzejszy niż Etan Ezraahita i Mż Heman, i niż Halkol

iii

i Porda, synowie Machola. Ale już zaczynało mfu być brzemieniem-piękno zwykłej człowieczej mądrości, już nie miała ona w jego oczach dawnej wagi. Niespokojny i poszukujący jego umysł łaknął tej wyższej mądrości, którą Pan posiadał na początku dróg swoich, pierwaj anizeli oo czynił — od wieków ustanowionej, pierwaj anizeli się ziemia stała —■•tej mądrości, która była przy Nim wielką mistrzynią, gdy zakreślał granice przepaściom. Ale tej nie znajdował Salomon.

Poznał król naukę imagów chaldejskich i niniwskich, astrologów z Abydos, Sais i Memfis, tajemnice wróżów, mistagogów i epo- ptów i wróżbiitów-jasnowidzów z Baktrii i Persepolis i pńzekonał się, że ich wiedza jest li' tylko ludzką wiedzą.

Szukał także mądrości w tajemnych obrzędach starodawnych wierzeń pogańskich ;i w tym celu odwiedzał świątynie i składał ofiary: potężnemu Baalowi Libanonowi, którego czczono w Tyrze i Sydonie pod imieniem Melkerta, boga stworzenia i zniszczenia, opiekuna żeglugi morskiej nazywanego Amonem w oazie Siwah, gdzie jego posąg kiwał głową wskazując drogę świątecznym •orszacom, Belem u Chaldejczyków, Molochem w Kanaanie, wielbił również jego -małżonkę — groźną i chutMwą Astarte, noszącą w innych świątyniach imicna Isztar, Isaar, Baaltis, Aszera, Istar- -Belit i Atargatis. Wylewał olej d palił kadzidło przed egipskimi Izydą d Ozyrysem, bratem i siostrą, co połączyli się węzłem małżeńskim już w łonie matki i poczęli tam boga Horusa, i oddawał .część Derketó, rybiokształtnej bogini tyrsMej, i Anubisowi psio- gtowemu, bogu balsamowania, i babilońskiemu Oarmowi, i Dago- nowi .filistyńskiemu, i asyryjskiemu Awdenagowi, i winiowskiemu bożkowi Utsabu, i mroczonej Cybeli, i Bel-Marchodowi, opiekunowi Babilonu — bogu planety Jowisz, d chaldejskiemu Orowi — bogu wiecznegó ognia, i tajemniczej Omorodze — pramacierzy

bogów, którą Bel przeciął na¹ pół | uczynił z połówek niebo i ziemię, a z głowy — ludzi; składał cześć także bogini Athenais, w imię której dziewice Fenicja, Lidii, Armenii i Persji oddawały przechodniom swe cdało na progach świątyń.

Ale nie znalazł król w obrzędach pogańskich nic prócz pijaństwa, nocnych orgii, nierządu, kazirodztwa i wynaturzonych popędów, a w dogmatach ich. dojrzał jeno oczną gadaninę i oszu- kaństwo. Lecz nikomu z poddanych nie zabraniał składać ofiar

umiłowanemu "bóstwu, a nawet sam wznosił na Górze Oliwnej zbór Chamosowi, plugastwu moabskiemu, na prośbę pięknej, zamyślonej Ellaan — Moabitki będącej podówczas ukodhaną żoną króla. Jednego tylko nie znosił Salomon i karał «za to śmiercią — składania w ofierze dzieci.

I przekonał się w trakcie swych poszukiwań, że jednakże jest przeznaczenie człowieka i bydła. Jak umiera człowiek, tak i one umierają, i jednako tchną wszystkie, i nie ma człowiek nic więcej nad bydło. I pojął król, że w wielkiej mądrości wiele jest kłopotu, a kto przyczynia umiejętności — przyczynia i trudu. Przekonał się też, <że nieraz i pa[^]zy śmiechu boli serce, a radość może kończyć się .zgryzotą. I oto pewnego dnia rano po raz pierwszy podyktował Elihorefowi i Ahii:

„Marność nad marnościami wszystko i utrapienie ducha — rzecze Eklezjasta".

Atoli nie wiedział jeszcze wtedy król, że niebawem Bóg ześle mu tak tkliwą i < płomienną, tak pełną oddania i piękną miłość, która droższą jest niż bogactwa, sława i mądrość, która droższą jest ponad życie, gdyż nawet o życie nie stoli i nie lęka się śmierci.

IV

Król miał winnicę w Baal-Hamon, na południowym stoku Watn-el-Chaw, na zachód od zboru Molocha; tutaj chętnie się chronił w porze wielkich rozmyślań. Z trzech stron otaczały winnicę rosące na zboczu drzewa granatu, oliwki i dzikie jabłonie, przemieszane z cedrami i cyprysami, z czwartej zaś odgradzał ją od drogi wysoki mur. Inne winnice leżące wokoło też były własnością Salomona; oddawał je w najem dozorcóm po tysiące srebrników za każdą.

Dopiero o świcie skończyła się w pałacu wspiania uczta, którą król izraelski urządził dla posłów króla asyryjskiego, sławnego Tiglatpilesara. Mimo zmęczenia Salomon nie mógł zasnąć tego rana. Ani wino, ani sykera nie zmarły mocnych głów asyryjskich, nie rozwiązały sprytnych języków. Ale bystry umysł mądrego króla już przeniknął ich plany i j.uz spletał cienką sieć polityczną,

która miała opleść tych dumnych ludzi o wyniosłym spojrzeniu i przypochlebnej mowie. Salomon potrafi zachować konieczną zażyłość z władcą Asyrii, a zarazem dla wiecznej przyjaźni z Hi-ramem, władcą Tyru, uchroni przed splądrowaniem jego królestwo, którego niezliczone skarby, ukryte w podziemiach ciasno stłoczonych domów na wąskich ulicach, od dawna już przyciągają chciwe spojrzenia wschodnich władców.

Oto o świcie Salomon kaze się zanieść na górę Watn-el-Chaw, zostawia lektykę daleko na drodze, a teraz siedzi sam na drewnianej ławie w górnej części winnicy, w cieniu drzew, jeszcze kryjących w gałęziach rosisty chłód nocy. Król odziany jest w prostą białą opończę, spiętą na prawym ramieniu i na lewym boku dwiema egipskimi zapinkami z zielonego złota w kształcie zwiniętych w kłębek krokodyli — symbol boga Sebah. Ręce król złożył na kolanach, oczy omroczone głęboką zadumą skierował bez zmrużenia na wschód, w stronę Morza Martwego — tam gdzie zza krągłego wierzchołka Anaze wschodzi w płomiennej zorzy słońce.

Wiatr poranny wieje od wschodu i roznosi woń kwitnącej wi- * morośli — delikatną woń rezedy i warzonego wina. Ciemne cyprysy dumnie kołyszą cienkimi czubami d rozszczepiają swoje żywiczne tchnienie. Trzepoczą, gaworzą srebrnozielone liście oliwek.

Raptem Salomon wstaje i zaczyna się przysłuchiwać. Miły kobiecy głos, pogodny i czysty jak ten rośny poranek, śpiewa gdzieś nie opodal, za drzewami. Prosta i czuła melodia płynie sobie jak dzwiczny strumyk górski, powtarzając raz po raz te same pięć-sześć tonów. Jej skromny, lecz wytworny urok wywołuje łagodny uśmiech rozczenia w oczach króla.

Głos się zbliża. Oto już jest obok, za rozłożystymi cedrami, za ciemną zielenią jałowców.

Król ostrożnie rozsuwa gałęzie, przeciska się między ciernistymi krzewami i wydostaje na otwartą przestrzeń.

Przed nim, -za niskim murem, byle jak skleconym z dużych żółtych kamieni, pnie się w górę winnica. Dziewczyna w lekkiej niebieskiej sukience chodzi między rzędami latorośli, pochyla się ku czemuś w dole, znów się prostuje i śpiewa. Rude jej włosy Płoną w słońcu.

Dzień powiat chłodem,
Pierzchają nocne cienie,
Wracaj prędzej, miły,
Dądi lekki jak sarna,
Jak jelonki wśród górskich rozpadlin.

Tak śpiewa dziewczę podwiązując pędy wina i powoli schodzi na dół, coraz bliżej kamiennego murka, za którym stoi król, Jest .sama — nikt jej nie widzi i nie słyszy; woń kwitnącej winorośli Tadosna świeżość poranka, gorąca krew w sercu •— wszystko to 1 oszalała ją i słowa naiwnej piosenki w locie rodzą się na jej I 'wargaoh i zaraz umykają z wiatrem, zapomniane na zawsze.

Pojmajcie nam liszki małe, One pśują nasze winnice, A nasza winnica zakwitła.

Tak doahodzi aż do samego murka i nie dostrzegłszy króla 'Odwraca się i idzie z powrotem, lekko wspinając się pod górę, wzdłuż sąsiedniego rzędu winnych krzewów. Teraz pieśń dźwięczy ciszej:

Uciekaj, uciekaj, miły, A bądź podobny samie, Bądź jelonkowi podobny Na górach ziół wonnych.

Nagle (fziewazyzna milknie i tak nisko pochyła się iku ziemi, -że nde widać jej za winnicą.

Wówczas Salomon przemawia głosem pieśoiwym:

— Dzieweczko, ukaż mi swoje oblicze, niechaj głos twój jeszcze zabrzmie w uszach moich.

Dziewczyna szybko prostuje się i obraca twarzą do króla. Silny wiatr zrywa się w tym momencie, targa na niej lekką sukienkę i raptem ściśle oblepia ją wokół ciała. Zaiwstydzóna błyskawicznie obraca się plecami do wiatru, ale król przez chwilę widzi ją całą pod suknią jak nagą — wysoką i smukłą w pełnym rozkwicie trzynastu lat: widzi jej małe, krągłe, jędrne piersi — •wzniesienia, od których tkanina promieniście rozchodzi się wokół, i okrągły jak misa dziewiczy brzuch, i głęboką linię, którą ro?-

A7<2

dzieła jej nogi od dołu w górę, a tam przepoławia się, dążąc ku wypukłym biodrom.

— Albówiem głos twój wdzięczny, a oblicze piękne — dodaje Salomon.:-

Dziewczyna podchodzi bliżej patrząc na króla z lękiem i zawstydzieniem. Niewysłowienie piękna jest jej śniada, wyrazista twarz. Ciężkie, gęste, ciemnorude włosy, w które wpięła dwa kwiaty ognistego maku, niezliczonymi prężnymi falami okrywają ramiona, rozsypują się na plecach i prześwietlone promieniami słońca płoną jak złota purpura. Prymitywny naszyjnik, z jakichś, czerwonych suchych jagód wzruszająco, niewinnie dwakroć otacza ciemną smukłą szyję.

— Nie zauważyłam cię! — mówi łagodnie, a głos jej brzmi jak śpiew fletu. — Skąd się tu wzięłaś?

— Ach, jak pięknie śpiewałaś, dziewczeczko!

Ona rumieni się, spuszcza oczy Wstydliwie, ale pod długimi rzęsami i w kącikach ust drga ukryty uśmiech.

— Śpiewałaś o tym, którego miłujesz. Że jest rączy jak sarna, jak młody' górski jelen. Bardzo piękny jest twój miły, prawda, dziewczeczko?

Zaśmiała się dźwięcznie, melodyjnie, jakby srebrny grad spadał na złoty półmisek.

— Nie mam miłego. To tylko piosenka. Jeszcze nie miłowałam nikogo.

Milczą przez chwilę i poważnie, bez uśmiechu spoglądają na siebie. Ptaki nawołują się głośno wśród drzew. Pierś dziewczyny szybko porusza się pod zniszczonym płótnem sukienki.

— Nie wierzę ci, ślicznotko. Jesteś przecież tak piękna...

— Ach, śmiejesz się ze mnie. Spójrz, jaka jestem czarna...
Podnosi w górę małe, ciemne ręce — szerokie rękawy lekko
opadają w dół, na ramiona, odsłaniając łokcie o delikatnym; okrągłym dziewczęcym zarysie
— i mówi z żalem:
— Bracia moi pogniewali się na mnie i postawili mnie stróżem w winnicy — no i spójrz,
jak opaliło mnie słońce.
— O, nie, słońce uczyniło cię jeszcze piękniejszą, o najpiękniejsza z niewiast. Oto
zaśmiałaś się — i zęby twoje jako białe bliźniacze jagnięta, które wyszły z kąpieli, a żadne z
nich nie ma skazy. Lica twoje wychylają się spomiędzy kędziorów jak

dwie połówki granatu. Usta twe purpurowe — jakże rozkoszny to widok. Włosy twoje... wiesz, do czego podobne twoje włosy? Czy widziałaś schodzące z Galahad wieczorem stado kóz? Całą górę pokrywa, od szczytu do podnóża... w blasku zorzy wydaje się równie czerwone i falujące jak twoje kędziory. Oczy twoje głębokie jak dwie sadzawki w Hesebonie, które są przy bramie Batrabbim. O, jakżeś piękna!... Szyja twoja prosta i smukła jak wieża Dawidowa!

— Jak wieża Dawidowa! — powtarza w upojeniu dziewczyna;

— Tak, o najpiękniejsza z niewiast. Tysiące tarcz wiszą na niej

— wszystka broń pokonanych mocarzów. Oto wiem i moją tarzę na twojej wieży...

— Ach, mów jeszcze, mów!

— A gdy się odwróciłaś słysząc moje wołania, powiał zntfe- nacka wiatr... ujrzałem pod suknią obie twoje sutki — i pomyślałem: oto dwie bliźniacze sarenki, które pasą się między Miami. Kibić miałaś podobną do palmy, a piersi — do kiści winogron.

Dziewczyna wydaje lekki okrzyk, zakrywa twarz dłońmi, a piersi łokciami, i tak się rumieni, że nawet uszy i szyja stają się purpurowe.

— Biodra twoje też widziałem. Smukłe są jak kosztowna waza

— dzieło artysty. Odejmij ręce, dziewczeczko. Ukaz mi twoje oblicze.

Posłusznie opuściła ręce. Mocny złoty blask bije z oczu Salomona, urzeka ją, mąci jej w głowie, rozkosznym dreszczem sływa po ciele. Pyta wolno, z głębokim zdumieniem:

— Powiedz mi, kfm jesteś? Nigdy nie widziałam podobnego do ciebie.

— Jestem pasterzem, ślicznotko. Pasę piękne stada białych jagniąt w górach, gdzie wśród zielonej trawy migają narcyzy. Nie przyszedłbyś do mnie, na moje pastwisko?

Dziewczyna kręci głową w zadumie:

— Jak to — myślisz, że ci uwierzę? Lica twe nie osmagane wiatrem, nie ogorzałe od słońca, ręce — białe. Masz na sobie drogi chiton, jedna jego zapirika warta jest rocznej opłaty, którą bracia moi wnoszą za naszą winnicę Adoniramowi, królewskiemu poborcy. Przyszedłeś stamtąd, spoza muru. Jesteś zapewne kimś

174

z otoczenia króla? Ohyba cię kiedyś widziałam w dniu wielkiego święta... zdaje mi się nawet, że biegłam za twoim wozem.

— Zgadłaś, dziewczeczko, trudno coś ukryć przed tobą. Słusznie, po co miałabyś się błącać koło pastuszych trzód? Tak, należę -do świty królewskiej. Jestem głównym kucharzem króla. Widziałaś mnie jadącego w rydwanie Amdnodaba w dniu święta Paschy... Ale czemu stoisz tak daleko ode mnie? Podejdź bliżej, sestro moja. Siądź o tu, na tym murku, i opowiedz mi coś o sobie. Jak ci na imię?

— Sulamitka.

— O cóż pogniwiali się na ciebie twoi bracia, Sulamitko?

— Wstydzę się mówić o tym. Otrzymali pieniądze za sprzedane wino i posłali mnie do miasta po chleb i kozi ser. A ja...

— A ty gubiłaś pieniądze?

— Nie, coś gorszego...

Nisko poohyla głowę i szepcze:

— Oprócz chleba i sera kupiłam też trochę — och, odrobinę! — olejku różanego od Egipcjan na starym mieście.

— I ukryłaś to przed braćmi?

— Tak... — i dodaje ledwo dosłyszalnie: — olejek różany tak cudnie pachnie!

Król czule głaszcze jej małą szorstką rękę. — Pewnie ci smutno samej w winnicy? — Nie. Pracuję, śpiewam sobie. W południe przynoszą mi coś do jedzenia, a wieczorem przychodzi mnie zastąpić jeden z braci. Czasem wykopuję korzenie mandragory, podobne do małych lu-

dzików... Biorą je kupcy chaldejscy. Podobno robią z nich napój nasenny... Powiedz, czy to prawda, że jagody mandragory są pomocne w miłości?

— Nie, Sulamitko, w miłości pomocna jest tylko mdłość... Powiedz mi, czy masz ojca i matkę?

— Tylko matkę. Ojciec zmarł dwa lata temu. Bracia wszyscy Są starsi ode mnie, są z pierwszego małżeństwa, a z drugiego — tylko ja i siostra.

— Czy twoja siostra jest tak samo ładna jak ty?

— Jest jeszcze mała. Ma dopiero dzdewięć lat.

Król śmieje się, łagodnie obejmuje Sulamitkę, przyciąga ją do siebie i mówi do ucha:
1T5

— Dziewięć lat... A więc nie ma jeszcze takich piersi jak ty? Takich stromych, gorących piersi! •

Ona milczy, płonąć ze wstydu i szczęścia. Król czuje pod ręką gwałtowne bicie jej serca.

— Oieplo twej szaty wonniejsze jest od mirry, miłsze od nardu — mówi król namiętnie, muskając ustami jej ucho. — A gdy oddychasz — tchnienie twoich nozdrzy jest jak woń jabłek. Siostró moja, przyjaciółko, zdobyłaś moje serce jednym spojrzeniem twoich oczu, samym twoim naszyjnikiem, jednym włosem na twojej szyi.

— Odwróć oczy twoje ode mnie — prosi Sulamítka — twoje oczy macą mi spokój. Ale sama odgina się do tyłu i kładzie głowę na piersi Salomona. Wargi jej płoną wokół błyszczących zębów, powieki drgają od bolesnego pożądania. Salomon chciwie przywiera do jej wabiących ust. Czuje płomień warg, śliskość zębów, rozkoszną wilgoć języka — i cały płonie tak niezmożoną żądzą, jakiej nigdy jeszcze nie doznał.

Tak mija chwil parę.

— Co ty ze mną robisz! — mówi cicho Sulamítka zamykając oczy. — Co ty ze mną robisz!

Lecz Salomon szepcze namiętnie tuż przy jej wargach:

— Plaster miodu płynący wargi twoje, oblubienico, miód i mleko pod językiem twoim. O, pójdź szybko do mnie. Tu za murem jest ciemność i chłód. Nikt nas nie zobaczy. Miękka jest trawa tu pod cedrami.

— Nie, nie, zostaw mnie. Nie chcę, nie mogę!

— Sulamítko... ty chcesz, chcesz! Siostró moja, chodź do mnie!

Jakieś kroki słychać w dole, na drodze, pod murem królewskiej winnicy, ale Salomon mocno trzyma za rękę wystraszoną dziewczynę. ,

— Powiedz zaraz, gdzie mieszkasz? Dziś w nocy przyjdę do ciebie — mówi szybko.

— Nie, nde, nie! Nie powiem. Puść mnie. Nie powiem ci.

— Nie puszcę cię, Sulamítko, dopóki nie powiesz. Pragnę cię.

— Dobrze, pcfwiera. Ale najpierw przyrzeknij mi, że nie przyjdiesz tej nocy... Nde przychodź także następnej... i tej, co po niej nastąpi. Królu mój! Poprzysięgam cię na sarny i jelenie polne, nde trwóż swej umiłowanej, dokąd sama nie zechce!

— Dobrze, przyrzekam... A więc gdzie jest twój dom, Sulamítko?

— Gdy idąc do miasta przejdiesz mostem przez Cedron powyżej Siloam, zobaczysz nasz dom obok źródła. Tam nde ma innych domów.

— A które okno jest twoje, Sulamítko?

— Po oo chcesz wiedzieć, miły? Och, nde patrz tak na mnie. Twój wzrok mnie urzeka... Nie całuj mnie... Nie całuj... Miły! Całuj mnie jeszcze...

— A więc gdzie jest twe okno, jedyna moja?

— Okno jest od południa. Ach, nie powinnam ci tego mówić... Wysokie okienko z kratą.

— Krata się otwiera od zewnątrz?

— Nie, to jest ślepe okno. Ale za rogiem są drzwi, co prowadzą prosto do pokoju, gdzie sypiam z siostrą. Ale ty mi przyrzekłeś!... ' Siostró moja śpi czujnie. O, jakżeś piękny, mdły mój! Wszak przyrzekłeś, nieprawdaż?

Salomon delikatnie głaszcze jej włosy d twarz.

— Przyjdę do ciebie tej nocy — mówi stanowczo. — O północy. Tak być musi, tak będzie. Chcę tego.

— Miły mój! Proszę cię...

— Nie. Będziesz na mnie czekała. Tylko się nie bój i ufaj mf. Nie sprawię ci bólu. Dam ci taką radość, przy której wszystko na ziemi jest niczym. A teraz żegnaj. Słyszę, że idą po mnie.

— Żegnaj, umiłowany... Ach nie, nie odchodź jeszcze. Powiedz mi swoje imię, nde znam go.

Król spuszcza oczy, jakby w niezdecydowaniu, ale zaraz je podnoai.

— Mam to samo imię co król. Zwę się Salomon. Żegnaj. Miłuję cię.

V

Promienny, radosny był Salomon tego dnia siedząc na tronia i sprawując sąd nad ludźmi, którzy przychodzili do niego.

Czterdzieści słupów po cztery w jednym rzędzie podpierało strop stolicy sądowej, a wszystkie obłożone cedrem i uwieńczone kapitelami na kształt lilii; podłoga była zrobiona z cyprysowych desek i zgoła żaden kamień nie mógł być widziany w ścianie spod okrycia z cedru z wyrytymi figurami palm, ananasów i cherubinów. W głębi komnaty o trzech rzędach okien sześć stopni prowadziło do podwyższenia, na którym stał tron, a na każdym ze stopni znajdowały się dwa spiżowe lwy, po jednym z każdej Strony. Tron był zrobiony z kości słoniowej ze zfiotą inkrustacją i złotymi poręczami w kształcie leżących lwów. Wysokie oparcie tronu wieńczyła złota tarcza. Kotary z fiołkowych i purpurowych tkanin wisiały przy wejściu do sali od podłogi do stropu oddzielając przedsionek, gdzie wśród pięcie kolumn tłoczyli się petenci, oskarżyciele i świadkowie, jako też oskarżeni o przestępstwo pod silną strażą.

- Król był odziany w czerwony chiton, na głowie miał skromny wąski diadem z sześćdziesięciu beryłów w złotej oprawie. Po prawicy miał tron swojej matki Betsabe, która wszakże dla podeszłego wieku ostatnio rzadko pokazywała się w mieście.

Asyryjscy goście o surowych czarnobrodych obliczach siedzieli pod ścianami na ławach z jaspisu, odziani w jasnooliwkowe szaty z czerwonym i białym haftem po brzegach. Jeszcze u siebie w Asyrii tyle słyszeli o sądzie Salomonowym, że starali się nie uronić nic ze słów jego, aby móc potem opowiadać o sądzie króla izraelskiego.

Pomiędzy nimi siedzieli dowódcy, wojsk Salomonowych, ministrowie, naczelnicy prowincji i dworzanie. Był tu Waneasz, niegdyś kat królewski, zabójca Joaba, Adoniasza i Semei, dziś przełożony nad całym wojskiem; niewysoki otyły starzec z długą, rzadką siwą brodą; jego wypłowiałe niebieskie oczy, otoczone czerwonymi, jakby wywróconymi powiekami, spoglądały ze starczą tępotą; usta miał rozchylone i wilgotne, a mięsista czerwona dolna warga bezsilnie obwisła; głowa, zawsze zwieszona, lekko drgała. Był także Azariasz, syn Natana, wysoki, o chorowitej twarzy i podkrążonych oczach, i dobroduszny, roztargniony Jozafat, dziejopis, i Aohizar, przełożony nad domem Salomonowym, i Zabud, mający wysoki tytuł przyjadiela króla, i Benabinadab, ożeniony ze starszą córką Salomona — Tafetą, i Bengaber, na

1,78
czelnik krainy Argob, która jest w Bazan; pod jego zarządem znajdowało się sześćdziesiąt miast murowanych, ó bramaah ze spiżowymi zawiasami; i Baana, syn Husy, słynący niegdyś ze sztuki rzucania kopią na odległość trzydziestu parasangów, i Wiesiu innych. Sześćdziesięciu żołnierzy błyszczących pozłaczanymi hełmami i tarczami stało w rzędach po lewej i prawej stronie tronu; dziś miał władzę nad ndmi piękny. Eliaw o czarnych kędziorach, syn Achiluda.

Jako pierwszy stanął przed Salomonem ze swoją skargą niejaki Achdor, szlifierz z zawodu. Pracując w Belu Fendckim, znalazł drogi kamień, oszlifował go i poprosił swego przyjaciela Zachariasza, udającego się do Jerozolimy, ażeby oddał ten kamień jego żonie. Wróciwszy po pewnym czasie do domu Achior zapytał żonę o kamień. Była bardzo zdziwiona pytaniem męża i przysięgła, że nie otrzymała żadnego kamienia. Wtedy Achior udał się po wyjaśnienie do swego przyjaciela Zachariasza, ale ten go zapewnił, że pod przysięgą, że natychmiast po przyjeździe oddał kamień we właściwe ręce. Przyprowadził nawet dwóch świadków, którzy potwierdzili, że Zachariasz w ich obecności wręczył kamień żonie Achiora.

Teraz wszyscy czterej — Achior, Zachariasz i dwóch świadków — stali przed tronem króla izraelskiego.

Salomon zajął po kolei każdemu z nich w oczy i powiedział strażnikom:

— Zaprowadźcie ich do osobnych komnat i zamknijcie każdego osobno.

Gdy zostało to wykonane, kazał przynieść cztery bryły surowej gliny.

— Niech każdy z nich — zlecił — wylepi formę, którą miał kamień.

Po pewnym czasie odlewy były gotowe. Ale jeden ze świadków nadał swojej bryłce kształt końskiej głowy, jak zwykle szlifowano drogie kamienie, drugi — kształt owczej głowy, i tylko dwa odlewy — Achiora i Zachariasza — miały jednakowy kształt — piersi kobiecej. .

I rzekł król:

— Oto jasne jest nawet dla ślepeca, że świadkowie zostaU'przekupieni. A więc Zachariasz, zwróci kamień AohSorowi, a natfto

179

■zapłaci mu trzydzieści świeckich syklów na koszt sądowe, dziesięć zaś syklów świątynnych da na Przybytek. Świadkowie zaś, którzy sami snę zdradzili, zapłacą po pięć syklów do skarbu za fałszywe świadectwo.

Następnie zbliżyli się do tronu Salomona trzej bracia prawu- jący się o spuściznę. Ojciec rzekł do nich przed śmiercią: „Iżbyś- cie się nie kłóciM przy podziale, sam podzielę majątek sprawiedliwie. Kiedy umrę, pójdźcie do pagórka w środku gaju za domem i rozkopcie go. Znajdziecie tam skrzynię o trzech przegrodach; to, co w górnej, jest dla najstarszego, w środkowej — dla .średniego, w dolnej — dla najmłodszego z braci". Po śmierci ojca poszli i uczynili, jak im przykazał. Okazało sde, że górna przegroda była po sam Wierzch wypełniona złotymi monetami, w środkowej natomiast leżały tylko zwyczajne kości, a w dblnej — kawałki drewna. I oto zbudziła się w młodszych braciach zawiść wobec starszego, d życde ich stało się w końcu taką udręką, że postanowili zwrócić się do króla o radę i wyrok. Ale nawet i tu, stojąc przed tronem, me powstrzymali się od wzajemnych wyrzutów i obelg.

Król wysłuchał ich, pokiwał głową i powiedział:

— Zaniechajcie kłótni; ciężki jest kamień, pftasek też ma swoją wagę, ale gniew głupca jest cięższy nad jedno i drugie. Ojciec wasz był zapewne mądrym i sprawiedliwym człowiekiem i wyraził swoją wolę w swym przykazaniu równie jasno, jakby się to odbyło przy stu świadlkach. O, wy nieszczęśni krzykacze! Jakżeście się nie domyślili od razu, że starszemu bratu zostawił pieniądze, średndemu bydło i niewolników, młodszemu zaś — dom i ziemię. Odejdźcie zatem w pokoju !i nie swarzcie się więcej.

I trzej bracia — do niedawna wrogowie — z rozjaśnionymi twarzami ukloniili się nisko królowi i wyszli ze stoEcy sądowej pogodzeni.

Król wydał wyrok w innej jeszcze sprawtLe o spadek, wszczętej trzy dnd wcześniej. Pewien człowiek oświadczył przed śmiercią, że zostawia cały majątek godniejszemu z dwóch synów. Ponieważ żaden z tiah nie chciał uznać się za gorszego, postanowili zwródcć się do króla.

Salomon zapytał dch, czym się trudnią, a usłyszawszy, że obaj są myśliwymi-lucznikami, powiedział:

— Wracajcie do domu. Każę postawić pod drzewem trupa waszego ojca. Zobaczymy najpierw, 'który z was celniej trafi go strzałą w pierś, a potem rozstrzygnę waszą sprawę. , Teraz obaj bracia wródli wraz z człowiekiem wysłanym z nSmi przez 'króla na świadka. Salomon spytał go o wynik zawodów.

'— Spełniłem to, ooś rozkazał, królu — powiedział ten człowiek. — Postawiłem trupa starca przy drzewie i dałem każdemu z braci jego łuk i strzały. Starszy strzelił puerwszy. Z odległości ptu dwudziestu łokci trafił akurat w to miejsce, gdzie u żywego człowieka bije serce.

— Wyborny strzał — stwierdził Salomon. — No, a młodszy?

— Młodszy... Przebacz mi, królu, nie zdołałem sprawić, aby twój rozkaz został dokładnie wykonany. Młodszy naciągnął cięciwę i już miał położyć na niej strzałę, lecz nagle opuścił łuk do nóg, odwrócił się i rzekł płacząc: „Nie, nie mogę tego uczynić... Nie będę strzelał do mego ojca".

— A więc do niego będzie należał majątek ojca — orzekł król. — Ten ci jest godniejszym z synów. Starszy zaś, jeżeli chce, może wstąpić w poczet modch strażników. Potrzebni mi są tacy silni i chciwi ludzie z celną ręką, bystrym wzrokiem i sercem obrosłym sierścią.

Następnie stanęło przed królem trzech ludzi. Prowadząc wspólny rinteres zarobili sporo pieniędzy. Gdy wypadło im jechać do Jerozolimy, zaszyli złoto w skórzany pas i ruszyli w

drogę. Nocując w lesie, dla pewności zakopali pas w ziemi. Gdy się zbudzili nazajutrz, nie znaleźli pasa tam, gdzie go umieścili.

Każdy z nich oskarżał drugiego o rabunek, a ponieważ wszyscy trzej wyglądali na ludzi bardzo przebiegłych i ciętych w mowie, król im tak powiedział:

— Zanim rozstrzygnę waszą sprawę, posłuchajcie, co wam opowiem. Pewna piękna dziewczica przyrzekła swemu ukochanemu, który udawał się w podróż, że będzie czekała na jego powrót i nikomu nie odda swego dziewictwa. Ale młodzieniec niebawem ożenił się w innym mieście, z inną dziewczyną, i pierwsza dowiedziała się o tym. Wkrótce posłał do niej swatę bogaty i zacny młodzieniec, przyjaciel dzieciństwa. Ponaglana przez rodziców, pełna wstydu i strachu, nie odważyła się powiedzieć mu o swoim przyrzeczeniu i wyszła za niego. Gdy po skończonej uczcie ślubnej

zaprowadził ją do łożnicy i chciał leć z nią, poczęła go błagać: Pozwól mi odwiedzić to miasto, gdzie mieszka mój dawny ukochany. Niech (zwolni mnie od przysięgi, a wtedy wrócę do ciebie i uczynię wszystko, co zechcesz!" Mąż ją bardzo miłował, przystał zatem na prośbę i udała się w drogę. W lesie napadł na nią zbójca, obrabował ją i już miał pozbawić ją czci, ale uknęła przed nim i błagając we łzach, by oszczędził jej cnotę, opowiedziała mu wszystko, co się jej przydarzyło i po co iść do obcego miasta. Zbójca wysłuchawszy tej opowieści tak był zdumiony jej prą- jwością i tak wzruszony dobrocią jej męża, że nie tylko puścił ją nietkniętą, lecz nadto zwrócił zrabowane klejnoty. A teraz zapytuję was, kto z całej trójki postąpił najszlachetniej w obliczu Boga — dziewica, mąż czy też zbójca? i Jeden z trzech prawujących się powiedział, że najgodniejsza pochwałą jest dziewica za swoją wierność przysiędze; drugi podziwiał wielką miłość jej męża; trzeci natomiast zdumiewał się wielkodusznością zbójcy.

I rzekł król do ostatniego:

— To ty ukradłeś pas ze wspólnym złotem, bo masz chęć do cudzego dobytku.

■ Wtedy człowiek ten oddał swój (kij wędrowny jednemu z kompanów i (rzekł wznosząc ręce do góry, jak do przysięgi:

— Oświadczam wobec Jehowy, że nie ja mam złoto, lecz on!

Król uśmiechnął się i rozkazał "jednemu ze swych strażników;

— Wszakstur tego człowieka i przełam.

Gdy strażnik spełnił rozkaz Salomona, posypały się na podłogę złote monety, schowane we wnętrzu wydrążonego kostura; złodziej zaś, zdumiony mądrością króla, padł na twaite przód (jego tronem i przyznał się do kradzieży.

Przyszła także do domu libańskiego niewiasta, uboga wdowa po kamieniarzu, i rzekła :

— Królu, proszę o sprawiedliwość! »Za ostatnie dwa denary kupiłam mąki, wysypałam ją do tej wielkiej glinianej misy i poniosłam do domu. Raptem zerwał się silny wiatr i rozwał moją mąkę. O mądry królu, kto mi zwróci tę stratę? Nie mam teraz czym nakarmić moich dzieci.

— Kiedy się to stało? — zapytał król. — Stało się to dziś rano, o świcie.

Salomon kazał wezwać kilku bogatych kupców, których okręty miały tego dnia odpłynąć z towarairii przez Jaffę do Fenicji. Gdy stanęli strwożeni w izbie sądowej, zapytał:

— Gzy błagaliście Boga lub bogów o przychylny wiatr dla waszych okrętów?

Odrzekli chórem:

— Tak, królu. Bogu miłe były snadź nasze ofiary, zesłał nam bowiem pomyślny wiatr. ••

— Cieszę się za was — rzekł Salomon. — Ale ten sam wiatr roezwiał ubogiej niewieście mąkę, którą niosła w misie. Czy nie sądzicie, że godzi się pokryć jej stratę?

Kupcy uradowani, że król wezwał ich tylko po to, w okamgnieniu nawrzucali (niewieście pełną misę drobnych i grubych srebrnych monet. Kiedy ze łzami poczęła dziękować królowi, uśmiechnął się promiennie i rzekł:

— Poczekaj, to jeszcze nie wszystko. Dzisiejszy poranny wiatr dał i Annie radość, której się nie spodziewałem. A więc, darów tych kupców dodam i ja mój królewski.

I kazał Adondramowi, skarbnikowi, położyć na pieniądze kupców tyle złotych monet, aby wcale nie -było widać pod nimi srebra.

W tym dniu nie chciał widzieć Salomon nieszczęśliwych wokół Siebie. Rozdał tyle nagród, premii i podarunków, ile nie rozdawał niekiedy przez cały rok, i przebartsył Achimaasowi, rządcy krainy Neftalego, na którego płonął przedtem gniewem za bezprawnie ściągane podatki, i odpuścił winy wielu takim, co przekroczyli prawo, i wysłuchał wszystkich próśb swoich poddanych — prócz jednej.

Gdy wychodził król z domu Libańskiego małymi południowymi drzwiami, stanął na jego drodze ktoś w żółtej skórzanej szacie, krępy, barczysty azlowdek z ciemnoczerwoną ponurą twarzą, z gęstą czarną brodą, z byczym karkiem i srogim spojrzeniem spod nastroszonych czarnych brwi. Był to arcykapłan zboru Molocha. Tylko jedno słowo wyrzekł błagalnym głosem:

— Królu!

Spizowe wewnątrz jego boga miało siedem przegród: jedną na mąkę, drugą na gołębie, trzecią na owce, czwartą na barany, piątą na cielęta, szóstą na byki, siódma zaś, przeznaczona na żywe

dzigci przynoszone przez matka, od dawna była pusta z rozflczazu króla.

Salomon przeszedł w milczeniu obok kapłana, ale ten wyciągnął ręce w ślad za nim i zawołał błagalnie:

— Królu! Zaklinam cię ma twą radość! Królu, bądź dla mnie łaskawy, spełnij .moją prośbę, a zdradę ci, jakie niebezpieczeństwo grozi twemu życiu.

Salomon inic nie odrzekł i kapłan zaciskając pięści odprowadził go nienawistnym spojrzeniem.

VI

Wieczorem poszła SulamiUka do starego miasta, tam gdzie .długimi rzędami ciągnęły się kramy bankierów, lichwiarzy, handlarzy wonnościami. Tam sprzedała złotnikowi za trzy drachmy i jednego denara jedyny swój klejnot, odświętnie, zausznice — srebrne kółka ze złotą gwiazdką.

Potem wstąpiła do handlarza paohmidłami. W głębokiej, ciemnej kamiennej niszy, wśród słoików z szarą ambrą arabską, paczek z libańskim kadzidłem, pećaków aromatycznych ziół i flakonów z olejkami, siedział w kucki, mrużąc leniwie oczy, nieruchomy, sam też woniejący, stary, tłusty, pomarszczony Egipcjanin, eunuch. Starannie odliczył z fenidkiej butelki do małego glinianego flakonika akurat tyle kropelek mirry, ile było denarów we wszystkich pieniądzech Sulamitki, a gdy skończył tę czynność, rzekł zbierając koi4ciem resztę olejku .wokół szyjki i śmiejąc się szelmowsko:

— Śniada dziewczeczko, piękna dziewczeczko. Kiedy dzisiaj twój miły ucałuje cię między pierściami i powie: „Jak dobrze wonieje twoje ciało, o«moja umiłowana!" — wspomnij o mnie w lej cnwin: przyczyniłem ci aż trzy krople.

Gdy nadeszła noc i 'księżyc stanął nad Siloam przemieszawszy sinawą biel jego domów z sinawą czernią cieni i z matową zielenią drzew, wstała Sulamit ze swego nędznego posłania z kornej sierści i zaczęła się przysłuchiwać. W domu było zupełnie cicho. Siostra miarowo oddychała na podłodze przy ścianie. Tyłko na zewnątrz, w krzakach przydrożnych, sucho, namiętnie krzyczały cykady i krew pulsując "umiała w uszach. Krata okienna, wyrysowana poświatą 'księżycą, wyraźnie, ukośnie leżała na podłodze.

Drżąc ze strachu, oczekiwania i szczęścia, Sulamitka rozpięła swe szaty, spuściła je w dół, lou stopom, i .wyszędłszy z nich stanęła naga pośród izby, twarzą do okna, oświetlona księżycem przez kratę. Wyiała gęstą, wonną firtirre na swe ramiona, na jSiersi, na brzuch i bojąc się uronić choćby jedną drogocenną kropelkę, poczęła szybko wcierać olejek w uda, pod pachy i wokół szyi. Gładki, śliski dotyk własnych dłoni i łokci sprawiał, że drżała od rozikosznych przeczuć. Uśmiechając się .i drżąc patrzyła przez okno tam, gdzie za kratą widniały tylko dwie topole, Ciemne z jednej strony, osrebrzone z drugiej, .i szeptała do siebie:

— To dla ciebie, imiły mój, to dla ciebie, oblubieńcze. Miły mój jest wybrany z tysiąca. Głowa jego — złoto najlepsze, włosy jego kręte, czarne jako kruk. Usta jego — słodyczą. Taki jest miły mój, taki przyjaciel mój, córki jerozolimskie!

I woniejąca mdrą legła na swoim łożu. Twarz jej zwrócona ku otkmu; iręce, jak dziecię, wcisnęła między kolana, serce głośno bije w diszy izby. Upływa sporo czasu. Ledwo przymknąwszy oczy pogrąża się w półsen, ale serce jej czuwa. Roi, że jej miły leży tuż obok. Lewica jego pod jej głową, prawica obejmuje ją. W radosnym przestachu wyrывa się z drzemki, azuka miłego na swoim łożu, lecz nie znajduje nikogo. Księżycowy wzór na podłodze przesunął się bliżej ściany, stał się krótszy i bardziej ukośny. Krzyczą cykady, monotownie gaworzą fale Cedronu, słyohać, jak w mieście tęsknie zawodzi stróż nocny.

„A co, jeśli nie przyjdzie dziś? i— myśli Sulamitka. — Prosiłam go, aby nie przychodził — co, jeśli będzie posłuszny? Poprząsię- gam was, córki jerozolimskie, na sarny i lilie polne: nie budźcie miłości, dokąd sama nie (przyjdzie... Lecz oto miłość mnie nawiedziła. Przyjdz

prędzej, mdły mój! Oczekuje cię oblubienica! Bądź -raczy jak młody jelen w górach
balsamem.tchnących!

Piasek zgrzytnął na dworze pod lekMmi krokami!. Serce dziewczki omdlało.
OstcoawaTęka puka w okno. Ciemna twarz miga za kratą. Słuchw*Tciohy głos miłego:
fMrWorz mi, siostró moja, przyjaciółko moja, gołębico moja, niepokalana moja! Głowa
moja pełna jest rosy.

Ale dziwna niemoc ogarnia raptem dało Sulamitka. Chce wstać

— i nie może, chce ręką ruszyć i nie może. Nie pojmując, co się z nią dzieje, szepce, patrząc ku oknu:

— Ach, kędziory jego pełne są nocnych kroplil Ale zwlokłam suknię moją, jakże ją oblec mam?

— Wstań, przyjaciółko moja. Piękna moja, przyjdź. Zbliża się ranek, otwierają się kwiaty, wfnniice wydały wonność swoją, czas śpiewu nastał, głos synogarlicy dochodzisz gór.

— Umyłam nogi moje — szepcze Sulamitka — jakże mam stąpić nimi na podłogę?

Ciemna głowa znika z ramy okiennej, dźwięczne "kroki obchodzą dom, zamierają u drzwi. Miły ostrożnie wsuwa rękę przez szparę w drzwiach, słysząc, jak Sfzuka palcami wewnętrznej zasuw.

Wtedy Sulamitka wstaje, mocno przyciska dłonie do piersi i szepcze w strachu:

— Siostra moja śpi, boję sde ją zbudzić.

Z wahaniem wzuwa sandały, wdziewa na n'agie diało chiton, narzuca lekki płaszcz i otwiera drzwi, zostawiając na zamku ślady mirry. Ale nikogo już nie ma na drodze, która samotnie bieleje wśród ciemnych zarośli w szarej porannej mgiełce. Miły Się nie doczekał — odszedł, nawet kroków jego nie słysząc. Księżyc zbladł, stoi wysoko. Na wschodnie nad falami gór (zimno różowieje niebo przed świtem. W oddali bieleją mury i domy jerozolimskie.

— O mój oblubieńcze I Władco mego życia! — woła Sulamitka w wilgotną diemność.

— Oto jestem. Czekam na ciebie... Wróć I Ale nikt się nie odzywa.

„Pobiegnę drogą, dopędzę mojego miłego — mówi do siebie Sulamitka. — Obiezę miasto, po ulicach, po rynkach szukać będę, którego miłuje dusza moja. O, czemu nie jesteś moim bratem,

00 ssał pierś matlkaA mojej, abym cię znailazła na dworze i całowała cię, a już by mną nikt nie wzgardził. Wzięłabym cię za rękę

I przywiodła do domu matWi mojej. Uczylbyś mnie, a ja bym cię poiła sokiem ^granatowych jabłek. Poprzy&ięgam waSj córki jerozolimskie: jeśli znajdziecie miłego mego, powiedzcie mu, że mdleję od miłości".

Tak mówiąc do siebie, lekkimi, skwapliwymi krokami biegnie drogą ku miastu. Przy Gnojnej Bramie drzemią pod amurem

w porannym chłodzie dwaj stróżowie, co chodzą w nocy po> mieście. Budzą się i patrzą zdumieni na biegnącą dziewczkę. Młodszy z nich wstaje i zagradza jej drogę rozpostartymi rękami.

— Zaczekaj, ślicznotko! — woła ze śmiechem. — Gdzie ci tak spieszo? Spędziłaś cichcem noc w łożu twego iriilego, jeszcześ. ciepła od jego objęć, a myśmy zdrętwieli od nocnej wilgoci. Słusznie będzie, jeśli choć trochę z nami posiedzisz.

Starszy też, wstaje i chce objąć Sulamitkę. Ten się m/ie śmieje: szybko, ciężko, ize świstem oddycha, oblizuje sine wargi. Twarz, jego, oszpecona wielkimi bliznami po zagojonym trądzie, wydaje się straszna wśród bladej mgły. Mówi przez nos, ochryłym głosem:

— Co prawda, to prawda. Lepszy to twój miły od innych mężczyzn, słodka dziewczko? Zamknij oczy — a nie odróżnisz mnie od niego. Chyba jestem nawet lepszy, <bo na pewno bie- glejszy, . ,

Chwytają ją za pierś, za jramiona, za ręce, za ubiór. Lecz Sulamitka jest giętka i silna, a ciało jej, namaszczone olejkim, jest śliskie. Wrywa się zostawiając w rękach stróżów swą wierzchnią szatę i jeszcze szybciej biegnie z powrotem. Nie czuje urazy ani strachu, pochłonięta myślą o Salomonie. Przechodząc koło swego domu widzi; że drzwi, z których

wyszła niedawno, pozostały otwarte, zięją czarnym czworobokiem na białej ścianie. Wstrzymuje dech, spręza się jak młoda kotka i na palcach, bezszelestnie przebiega obok domu.

Przechodzi przez most na Cedronie, okrąża skraj wsi sił-arnskiej i kamienistą ścieżką wspina się krok za krokiem na południowy stok Watn-el-Chaw, do swojej winnicy. Brat jej śpi jeszcze wśród winnych pędów, owinięty w derkę całą moką od rosy.

Tak samo jak wczoraj, jutrzeńka plonie nad Anaze. Zrywa się wiatr. Wonieje kwitnąca winorośl.

— Pójdę spojrzeć pa to miejsce pod murkiem, gdzie stał mój miły — mówi Sulamitka. -
— Dotknę ręką kamieni, których dotykał, ucałuję ziemię spod jego stóp.

Lekko przemyska się pośród pędów uftna. Rosa spada z nich i ochładza jej nogi, pryska na łokcie. Nagle radosny krzyk Sula-

•matki rozlega się w winnicy: Salomon stoi za murem. Z rozjaśnioną twarzą wyciąga do niej rękę.

Chyżej od ptaka przefruwa Sulamitka przez parkan i bez słów, z jękiem szczęścia outija się wokół króla.

Mija chwilę. Wreszcie odrywając się od jej ust, Salomon mówi w upojeniu, a głos mu drży:

— O jakżeś piękna, przyjaciółko moja, jakżeś piękna! •

— O jakżeś piękny, przyjacielu mój!

Łzy zachwytu i wdzięczności — błogie łzy i — błyszczą na bladej, jękiej twarży Sulamitki. Omdlewając z miłości osuwa się na ziemię i ledwo dosłyszalnie szepcze szalone słowa:

— Łóżem naszym zieleń. Cedry stropem nad nami... Całuj mnie całowaniem ust twoich. Słodsze są twe uściski nad wino...

Nieco później Sulamitka leży z głową na piersi Salomona. Jego lewe ramię obejmuje ją.

Pochyliwszy się tuż nad jej uchem, król coś szepcze, król czule przeprasza i Sulamitka rumieniąc się od słów jego zamyka oczy. Potem mówi z niewysłowionym uroczym, zakłopotanym uśmiechem:

— Bracia moi postawili mnie stróżem w winnicach... ale swojej winnicy nie ustrzegłam.

— Nie żałujesz tego, Sulamitko?

— O nie, królu mój, umiłowany mój, nie żałuję. Nawet gdybyś zaraz wstał i odszedł ode mnie, i gdybym miała .cię już nigdy nie ujrzeć — do końca życia będę wymawiać dziękczynnie .twoje imię, Salomonie!

■ — Powiedz mi jeszcze, Sulamitko... Tylko proszę cię, powiedz prawdę, moja gołębico... Czy wiedziałaś, kim jestem?

— Nie, i teraz też nie wiem. Myślałam..." Ale wstydzę się przyznać... Boję się, że mnie wyśmiesz... Powiadają, że tu na górze Watai-el-Chaw przechadzają się czasem pogańscy bogowie. Podobno niektórzy są piękni... Więc myślałam, może jesteś Horus, syn Ozyrysa, albo inny bóg?

— Nie, jestem tylko królem, oblubienico. Ale tu, na tym miejscu, całuję twoją wdzięczną rękę opaloną słońcem i klnę się, że nigdy nie — ani w porze pierwszych udręk miłosnych młodości, ani w dniach sławy — serce moje nie płonęło tak nieugaszoną pragnieniem, jakie budzi we mnie .każdy twój

uśmiech, każde dotknięcie twych ognistych kędziorów, każde wygięcie twych purpurowych warg! Piękna jesteś jak namioty Kedaru, jak zasłony świątyni Salomonowej! Twoje .pięszczoły mnie upajają! Twoje piersi jakże wonne! Piersi twoje są jak wino!

O, tak, patrz, patrz na mnie, umiłowany. Oczy twoje przejmują mnie drżeniem! Ach, co za radość: przecież to do mnie .dąży twoje pragnienie! Włosy twoje jakże wonne! Leżysz, jak pęczek mirry pomiędzy moimi piersiami!

Czas wstrzymuje swój bieg i zwiiera; się nad nimi promiennym kręgiem. Łóżem Sch — zieleń, stropem — cedry, ścianami — cyprysy. A chorągwią nad ich namiotem — miłość.

vn

Był w pałacu królewskim basen — ośmiokątny, chłodny basen z białego marmuru. Ciemnozielone stopnie z malachitu prowadziły na jego dno. Obramowanie miało z egipskiego jaaplisu, śnieżnobiałego z ledwo widocznym różowym żyłkowaniem. Najprzedniejszy dąb został użyty na wyłożenie brzegów. Cztery lwie pyski z różowego sardonfksu miały cienkimi strugarrii wodę do basenu. Osiem srebrnych polerowanych zwierciadeł doskonałej sy- dońskiej roboty, wysokości człowieka, wprawiono w ściany między lekkimi białymi słupami.

Przed wejściem Sulamitki do basenu młode służebnice wlały do niego aromatyczne eliksiry i woda zbieleła, zblękitniała, zaczęła opalizować. Z zachwytem patrzyły niewolnice rozbierając Sulaanitkę na jej ciało, a rozebrawszy, doprowadziły ją do zwierciadła. Żadnej skazy nie było na tym pięknym ciele, ozłoconym, jak śniady dojrzwały owoc, złotym puchem delikatnych włosów. Ona, patrząc na siebie w zwierciadle, rumieniła się i myślała: „To wszystko dla ciebie, mój władco!”

Wyszła z basenu odświeżona, chłodna i wonna, pokryta drżącymi kroplami wody. Niewolnice ubrały ją w krótką białą tunikę z najcieńszego egipskiego lnu oraz w chiton z najkiefsztowniejszego bisioru tak połyskliwej złotej barwy, że szata zdawała się utkana ze słonecznych promieni. Obuły jej stopy w Czerwone sandały ze skóry młodego kozłęcia, osuszyły jej ciemnoogniste

"kędziory i wplotły w nie riitiki dużych czarnych pereł, ozdobiły ramiona dzwoniącymi manelami.

W takim stroju stanęła przed Salomonem i król zawołał radośnie:

— Któraż to jest, która idzie jako zorza powstająca, piękna jako księżyc, wyborna jak słońce? O Sulamitko, twoja piękność groźniejsza niż hufy o rozwiniętych chorągwiach! Znałem siedemset żon i trzysta nałożnic, li panien bez liku, ale tyś jest jedyna, doskonała moja! Ujrzą cię królowie i uczetzą, i pochyłą się przed tobą nałożnice, i wygłoszą twoją chwałę wszystkie nie- ■wiasty ziemi. O Sulamitko, dzień, w którym zostaniesz moją -żoną i królową, będzie najszczęśliwszym dla mego serca.

Ale ona podeszła do rzeźbionych drzwi z oliwnego drzewa i przywarłszy do nich policzkiem odrzekła:

_ Chcę być tylko twoją niewolnicą, Salomonie. Oto przykładam moje ucho do podwoi i proszę cię, abys 'zgodnie z prawem Mojżesza przygwoździł mi ucho na świadectwo mojej dobrowolnej rtiewoli.

Wtedy Salomon kazał przynieść ze swojej skarbnicy drogocenne zausznice z ciemnoczerwonych karbunkulów, oszlifowanych w kształcie podłużnych gruszek, sam je wpiął Sulamitce do uszu i rzekł:

% Oto moja oblubienica, należy do mnie, a ja do niej!

I ująwszy Sulamitkę za rękę, poprowadził do sali biesiadnej, ■gdzie oczekiwali już jego przyjaciele i dworzanie.

VIII

Siedem dni upłynęło od tego ranka, kiedy Sulamit wkroczyła do królewskiego pałacu. Siedem dni rozkbazowaW się miłością — i nie mogli się nią nasycić. '

Salomon lubił zdobić swoją umiłowaną klejnotami. „Jakże smukłe są twoje stopki w sandałkach!" — wołał z zachwytem i klękając przed nią całował po kolei wszystkie palce jej stóp. i aiañizywał na nie pierścionki o taik pięknych i rzadkich kamieniach, jakich nie miał nawet efod arcykapłana. Sulamitka słuchała z zapartym tchem jego opowieści o ukrytej naturze kamieni» o ich czarodziejskich właściwościach i tajemnych znaczeniach.

— Otto antraks, święty kamień Ziemi Ofir — mówił król — zaważę gorący i wilgotny. Spójrz; jest azerworry jak krew, jak zachód słońca* jak rozkwitły kwiat granatu, jak gęste wino *z winnic Engaddi, jak twoje usta, Sulamit moja cudna, jak twoje usta rano po nocy miłosnej. To kamień miłości, gniewu i krwi. (Na rękę człowieka dręczonego febrą lub pożądaniem miłosnym staje się cieplejszy i płonie czerwonym promieniem. Włóż go na rękę, ukochana moja, a zobaczysz, jak ją rozgrzeje. Jeśli go zetrzeć <na proszek i zażywać z wodą, daje twarzy rum5eniec, uspokaja żołądek i rozwesela duszę. Ten, co go nosi, zyskuje władzę nad 4udźmi. Leczy serce, mózg i pamięć. Ale przy dzieciach nie należy go nosić, gdyż rozbudza wokół siebie afekty miłosne.

Oto przezroczystry kamień barwy grynszpanu. W krainie Etio- pów, gdzie się go wydobywa, .nazywają go Magwadis-Fza. Podarował mi go ojciec mojej żony, królowej Astls, faraon egipski 6ussakfim, który zdobył go na wziętym do niewoli królu. Jak widzisz, jest nieładny, ale bezcenny, 'bowiem tylko czterech ludzi na ziemi posiada kamień Magnadis-Fza. Ma niezwykłą właściwość przyciągania srebra, niby chciwy, miłujący srebro człowiek. Daję ci go, ukochana, nie wiesz bowiem, co to oheć zysku. , Spójrz, Sulamitko, pa te szafiry. Jedne z nich są podobne z koloru do chabrów W pszenicy, inne do nieba jesienią, jeszcze inne d<o morza przy pogodzie. Jest to kamień dziewictwa, chłodny i czysty. W czasie dalekich i uciążliwych podróży wkłada się go do ust, bo gasi pragnienie. Leczy także trąd i różne 'złośliwe guzy. Daje jasność myślom. Kapłand Jowisza w Rzymie noszą go na wskazującym palcu.

Królem wszystkich kamieni jest Szamir. Grecy nazywają go jAdamas, co ,znaczy niepokonany. Jest twardszy od wszystkich substancji na świecie i nie doznaje uszczerhku nawet w największym ogniu. Jest to światło Słoneczne, zgęstniałe ,w ziemi i oziębione przez czas. Popatrz, Sulamitko, mieni się wszystkimi (barwami, ale sam pozostaje przezrzysty jak kropla wody. Lśni iw mroku nocy, ale nawet przy świetle dziennym traci swój (blask na palcu mordercy. Szamir przywiązują do ręki niewiasty, która męczy się w ciężkim porodzie, wkłada go także na lewą rękę mężczyzna idąc w bój. Ten, co nosi Szamir, miły jest królom | nie boi /się złych duchów. Szamir usuwa plamy z twarzy, oczy

szcza oddech, daje spokojny sen lunatykom i powleka się mgłą iw bliskim sąsiedztwie trucizny. Kamienie Szarnor bywają męskie a żeńskie; zakopane głęboko w ziemi, mają 'zdolność rozmnażania się.

Kamień (księżycowy, błady i łagodny jak lśnienie księżycy — to kamień magów chaldejskich i babilońskich. 'Mając wieścić, wfcładają go isobie pod język, a on udziela im daru proroctwa. Ma dziwny związek 'z 'księżycem — podczas nowiiu chłodnieje i modniej świeci. Jest pomyślny dla niewiasty w okresie, kiedy z dziecka przemienia się w dziewczę?

Ten pierścień z szmaragdem noś zawsze, umiłowana, bowiem szmaragd jest ulubionym kamieniem Salomona, kiróla izraelskiego. Jest zielony, czysty, wesoły i łagodny jak trawa wiosenna, a gdy się patrzy nań długo — serce się rozpogadza; gdy spojrzysz nań z rana — cały (dzień będzie lekki dla ciebie. Zawieszę szmaragd mad twoim nocnym łóżkiem, moja fudlna: niech odpędza od cietJie √złe sny, ucisza bicie serca i odgania czarne myśli. Kto nosi szmaragd, do tego nie zbliżają saę żmije i Skorpiony; jeśli trzymać szmaragd przed oczami żmii, poleje się z niteh woda i będzie tsię lała tak długo, aż 'żmija oślepie. .Tłuczony szmaragd dają otrutemu człowiekowi wraz z gorącym wielbłądzim mlekiem, aby jad wyszedł precz z ipotem; zmieszany z olejkiem różanym, leczy ukąszenia jadowitych gadów, a roztarty z szafranem i iprzy- łożony do chorych oczu usuwa kurzą ślepotę. Pomaga także przy krwawej biegunce i przy czarnym jkaszlu, którego s,ię nie 'da uleczyć żadnymi ludzkimi środkami.

Dawał także król swej 'ukochanej ametysty libijskie o barwie podobnej do barwy wczesnych fiołków, co kwitną w lasach u stóp Gór Libijskich; ametysty te posiadają przedziwną własność: poskramiają wiatr, uśmierzają złość, strzegą przed trunkiem i sprzyjają łowom na dzikie bestie; persepolskie turkusy, które przynoszą szczęście w miłości, ukrócają kłótnie małżeńskie, łagodzą gniew (królewski¹ d pomagają w oswajaniu i sprzedaży koni; i kocie oko — chroniące mienie, rozum i zdrowie swego właściciela; | błady irfodrozielony, jak morska woda przy brzegu, beryllus — środek na bielmo i trąd, wierny kompan wędrowców; i barwisty agat — ten, co go nosi, nde boi się matactw wrogów i nie lęka się zostać przywalonym podczas trzęsienia ziemi; i nefryt — kamień nerkowy, oddalający uderzenia gromu; i jabłkowitzielony, mętao- przezroczysty onyks — chroniący właściciela przed ogniem i obłądem; i jaspis, przyprawiający itJżłMe bestie o drzenie; i czarny kamień jaskółczy, darzący wymową; i ceniony przez brzemienne niewiasty orli kamień, który orły kładą do swoich gniazd, gdy nadchodzi czas wykluwania się piskląt; i zaberzat z Ofiru, jaśniejący jak małe słońce; i żółtozłocisty chryzolit — przyjaciół handlarzy i złodziei; i sardoniks, ulubieniec królów i królowych; i malinowy ligeryt; znajdują go, jak wiadomo, w żołądku rysia, •który ma tak ostry wzrok, że widzi skroś ściany — i dlatego ci, oo noszą ligeryt, odznaczają się byстрым wzrokiem — poza tym tamuje krew z nosą płynącą i goi wszystkie rany prócz zadanych kamieniem lub żelazem.

Opasywał król szyję Sulamitki drogocennymi koliami z pereł, które jego poddani wylawiali z Morza Perskiego, a perły od ciepła jej ciała zyskiwały żywy blask i delikatny kolor. A korale stawały się czerwieńsze na jej śniadej piersi i turkusy ożywały na jej palcach i rzucały trzeszczące iskry w jej dłoniach te żółte drobiazgi z jantaru, które przywozili w darze Salomonowi z wybrzeży dalekich północnych mórz odważni żeglarze króla Hirama Tyrskiego.

Złocistymi chryzantemami, liliami okrywała Sulamit swoje łoże, sposobiąc je na noc, i spoczywając na jej łonie król mówił w serdecznym weselu:

— Podobna jesteś łodzi królewskiej w kraju Ofir, o przyjaciółko moja — lekkiej złotej łodzi, która płynie, kołysząc się po świętej rzece, wśród białych wonnych kwiatów.

Tak nawiedziła króla Salomona — największego z królów i najmędrszego z mędrców — jego pierwsza i ostatnia miłość.

Wiele wieków upłynęło od tego czasu. Były królestwa, królowie — i nie pozostało po nich śladu, jak po wietrze, co przemknął nad pustynią. Były długie bezlitosne wojny, po których imiona wodzów lśniły w wiekach niby krwawe gwiazdy, lecz w końcu czas zatarł nawet pamięć o nich.

Ale miłość ubogiej dziewczeczki z winnicy i wielkiego króla nigdy nie przeminie i nie zostanie zapomniana, bo mocna jest jak śmierć miłość, bo każda niewiasta, która kocha, jest królową, bo miłość jest piękna!

Siedem dni upłynęło od chwili, kiedy Salomon — poeta, mędrzec i król — wprowadził do swego pałacu ubogą dziewczynę spotkaną w winnicy o świcie. Siedem dni rozkoszował się król jej miłością — i nie mógł się nią nasycić. I wielką radością jaśniało jego oblicze, niby złotym światłem słonecznym, i

Trwały jasne, ciepłe księżycowe noce — słodkie noce miłości! Na łożu ze skór tygrysiich leżała obnażona Sulamitka, a król siedząc na podłodze u jej stóp, napełniał swój szmaragdowy puchar złocistym winem z Mareotis i pił za zdrowie swej ukochanej, radując się z całego serca, i opowiadał jej mądre, stare, dziwne baśnie. Ręka Sulamitki spoczywająca na głowie Salomona głąskała jego faliste czarne włosy.

iflra Powiedz mi, królu mój — zapytała razu pewnego Sulamitka §P czy to nie zadziwiające, że tak nagle cię pokochałam? Kiedy wracam wspomnieniem do tamtego dnia, czuję, że należałam do ciebie, zanim jeszcze się ukazałeś; gdy usłyszałam twój głos, serce moje zadrgało i otworzyło się drząc ku tobie, jak się otwiera kwiat letnią nocą od tchnienia wiatru z południa. Czymżeś mnie tak urzekł, umiłowany?

Król przywarł głową do kruchych kolan Sulamitki uśmiechnął się czule i odparł:

— Tysiące kobiet przed tobą, o moja piękna, zadawało swoim miłym to pytanie i setki wieków po tobie będą czynić to samo. Trzy rzeczy są dla mnie trudne, a czwartej zgoła nie wiem: droga orła w powietrzu, węża na skale, okrętu pośród morza i droga męża do serca niewiasty. To nie moja mądrość, Sulamitko — to słowa Agura, syna Jakubowego, posłyszane od niego przez uczniów. Ale uczcijmy i cudzą mądrość.

- ~ Tak — rzekła Sulamitka w zamyśleniu — może to i prawda, że człowiek nigdy tego nie zrozumie. Dziś w czasie uczyty na mojej piersi leżała wiązanka stakte. Ale tyś odszedł od stołu — i moje kwiaty przestały pachnieć. Wydaje mi się, że ciebie, o królu, muszą kochać niewiasty i mężowie, i zwierzęta, a nawet kwiaty. Często się zastanawiam i nie mogę zrozumieć: jak można kochać kogoś innego prócz ciebie?

194

— I prócz ciebie, prócz ciebie, Sulamitko! W każdej chwili dziękuję Bogu, że postawił cię na mojej drodze.

— Pairiętam, jak siedziałam na murku, a tyś położył swoją rękę na mojej. Ogień przebiegł po moich żyłach, zakreśliło mi się w głowie. Rzekłam sobie: — „Oto pan mój, oto król mój, umiłowany mój!”

jipfp Pamiętam, Sulamitko, jak się odwróciłaś słysząc moje wołanie. Pod cienką suknią zobaczyłem twoje ciało — twoje piękne ■ciało, które miłuję jak Boga. Miłuję je, pokryte złotym puchem, jakby słońce wycisnęło na nim swój pocałunek. Smukła jesteś jak rasowa klacz w faraonowym rydwanie, piękna jesteś jak wóz Ami- nodaba. Oczy twoje — jak gołębie siedzące u źródła.

— Miły, słowa twoje budzą we mnie dreszcz, ręka twoja mnie pali rozkosznie. O mój królu, nogi twoje są jak słupy marmurowe. Brzuch twój z kości słoniowej, osadzony szafirami.

Okoleni, oświeceni milczącym światłem księżycy, zapomnieli o czasie, o miejscu, i mijały godziny, a oni spostrzegali ze zdumieniem, że w zakratowane okna komnaty zagląda różowa jutrzienka.

Rzekła razu pewnego Sulamitka:

— Znałeś, umiłowany mój, niewiast i dziewic bez liku — a wszystkie były najpiękniejsze na ziemi. Wstydzę się, gdy pomyślę

O sobie, prostej, nieuczonej dziewczynie, i o moim biednym ciele, opalonym przez słońce!

Ale król muskając ustami jej usta mówił z niezmierną miłością

I uznaniem:

— Jesteś królową, Sulamitko. Masz naturę prawdziwej królowej. Śmiała jesteś i szczodra w miłości. Siedemset żon mam i trzysta nałożnic, a panien znałem bez liku, ale ty jesteś jedyna, o moja łagodna, o najpiękniejsza z niewiast. Znalazłem cię w podobny sposób jak nurek w Zatoce Perskiej, co napelnia mnóstwo koszów pustymi muszlami i niezbyt cennymi perłami, nim wyłowi z dna morskiego perłę godną królewskiej korony. Dziecię moje, setki razy może miłować człowiek, ale tylko raz miłuje naprawdę. Mrowie ludzi sądzi, że miłuje, lecz tylko dwojgu z nich zsyła Bóg Miłość. I gdy mi się oddałaś tam, na łożu zieleni, modły dziękczynne zasyłałem do Boga, tak dla mnie łaskawego.

Innym razem tak spytała Sulamitka:

— Wiem, że wszystkie ciebie kochały, bo nie można cię nie kochać. Królowa Saby przybyła do ciebie ze swojej krainy. Powiadają, że była najmądrzejsza i najpiękniejsza ze wszystkich niewiast, jakie w ogóle stąpały po ziemi. Jak przez sen pamiętam jej karawany. Nie wiem czemu, ale od najwcześniejszych lat ciągnęło mnie do rydwanów wielmożów. Miałam wówczas może lat siedem lub osiem, pamiętam wielbłądy w złotej uprzęży, w purpurowych czaprakach, objuczone ciężkimi brzemionami, pamiętam muły ze złotymi dzwoneczkami między uszami, pamiętam pocieszne mały w srebrnych klatkach i przecudne pawie. Mnóstwo sług kroczyło w białych i błękitnych szatach, prowadząc oswojone tygrysy i pantery na czerwonych wstążkach. Miałam zaledwie osiem lat.

— Ach, dziecię, miałaś wtedy zaledwie osiem lat! — westchnął czule Salomon.

— Kochałaś ją więcej ode mnie, Salomonie? Opowiedz mi o niej.

I król opowiedział jej wszystko o tej niezwykłej kobiecie. Nasłuchawszy się wiele mądrości i urodzie króla izraelskiego, przybyła do niego ze swojej krainy z bogatymi darami, pragnąc doświadczyć jego mądrość i zdobyć serce. Ta dorodna czterdziestoletnia niewiasta zaczynała już więdnąć. Lecz sekretne czarnoksiężskie sztuczki użyczały jej wiotczającemu ciału smukłości i giętkości ciała młodej dziewczynki, a jej twarz miała piętno straszliwej, nieludzkiej piękności. Mądrość jej natomiast była zwyczajną ludzką mądrością, w dodatku drobiazgową mądrością niewiasty.

Chcąc wypróbować króla zagadkami, najpierw posłała do niego pięćdziesięciu młodzianków i pięćdziesiąt dziewczeczek. Wszyscy byli tak sprytnie przyodziani, że najbystrzejsze oko nie odgadłoby ich płci. „Uznam cię za mądrego, o królu — rzekła Balkis — jeżeli mi powiesz, które z nich mężem, a które niewiastą”.

Król roześmiał się i kazał podać każdemu chłopięciu i każdej dziewczeczce srebrną miskę i srebrny dzbanek z wodą do mycia. I podczas gdy chłopcy śmiało pluskali się w wodzie i rzucali ją sobie garściami w twarz, mocno wcierając w skórę, dziewczęta czyniły tak, jak zawsze czynią niewiasty przy myciu: delikatnie nabierały wodę w dłonie i niosły ostrożnie do twarzy.

W tak prosty sposób rozwiązał król pierwszą zagadkę Balkis- -Makedy.

Następnie przysłała Salomonowi diament wielkości leśnego orzecha. Kamień ten miał ciekawą krętą ryse, co przenikała na wskroś jego bryłę zagmatwaną linią. Należało przeciągnąć przez diament jedwabną nitkę. Mądry król wpuścił do otworu jedwabnika, który wyszedł na zewnątrz zostawiając za sobą cieniutką jedwabną pa- jęczynkę.

Piękna Balkis przysłała również Salomonowi drogocenny puchar z rżniętego sardonixu, rzecz wspaniale, kunsztownie wykonaną. „Puchar ten będzie twój — przekazała królowi — jeśli napełnisz go płynem wziętym ni z ziemi, ni z nieba”. Salomon napełnił puchar pianą z ciała zdrożonego konia i odesłał królowej.

Wiele podobnych zagadek przedłożyła królowa Salomonowi, lecz nie udało jej się poniżyć jego mądrości, a wszystkimi sekretnymi urokami nocnej rozkoszy nie zdołała zachować jego miłości. A gdy w końcu sprzykrzyła się królowi, wykpił ją nielitościwie.

Wszystkim było wiadomo, że królowa Saby nie pokazuje nikomu swych nóg i dlatego nosi suknię długą do ziemi. Nawet w czasie pieszczot miłosnych nogi jej pozostawały szczelnie okryte. Dużo dziwnych i pociesznych gadek krążyło na ten temat.

Jedni twierdzili, że królowa ma kozie kopyta porośnięte sierścią, drudzy zaklinali się, że ma błoniaste gęsie nogi. Opowiadano nawet, że matka królowej Balkidy usiadła po kąpieli na piasku, gdzie zostawił swe nasienie jakiś bóg, co wziął na siebie przelotnie postać gąsiora, i że z tego poczęła przepiękną królową Saby.

Salomon tedy kazał urządzić w jednej z komnat przejrystą kryształową podłogę z pustą przestrzenią pod spodern, gdzie nalano wody i wpuszczono żywe ryby. Wszystko było tak

kunsztownie zrobione, że człowiek nie uprzedzony nigdy by nie zauważył szkła i przysięgłby, że ma przed sobą basen z czystą świeżą wodą.

Kiedy wszystko było gotowe, zaprosił Salomon królową do siebie. Otoczona wspaniałą świtą, idzie Balkis przez komnaty Libańskiego domu i zbliża się do fatalnego basenu. Na jego drugim końcu siedzi król jarzący się złotem, klejnotami i łaskawym spojrzeniem czarnych oczu. Królowa robi jeszcze jeden krok naprzód, wydaje krzyk i...

Sulamitka wybucha radosnym, dziecięcym śmiechem i klaszcze w dłonie.

— ...i unosi suknię, tak? — pyta.

— Tak, umiłowana moja: postąpiła jak każda normalna kobieta. Uniosła skraj szaty i choć trwało to tylko jedno mgnienie oka, ja i cały mój dwór zobaczyliśmy, że ma zwyczajne ludzkie nogi, tyle że krzywe i obrośnięte gęstymi włosami. Nazajutrz bez pożegnania odjechała ze swoją wspaniałą karawaną. Nie chciałem jej urazić. Posłałem w ślad za nią zaufanego gońca, który miał jej wręczyć pęczek rzadkiej górskiej trawy — pewny środek na usunięcie włosów z ciała. Odesłała mi głowę gońca w worku z drogiej purpury.

Opowiadał również Salomon umiłowanej wiele takich rzeczy ze swego życia, o których nie wiedział nikt inny i które zabrała ze sobą do grobu. Mówił jej o ciężkich, długich latach wędrówki, kiedy ratując się przed gniewem swych braci, przed zawiścią Absaloma i zazdrością Adoniasza, był zmuszony pod przybranym imieniem ukrywać się na obczyźnie, cierpiąc straszną biedę i niedostatek. Opowiedział jej o tym, jak w dalekim kraju stał kiedyś na targu oczekując, by go najęto do jakiejś pracy. Wtedy podszedł do niego kucharz królewski i rzekł:

— Cudzoziemcze, pomóż mi zanieść ten kosz z rybami do pałacu. Salomon tak się spodobał na dworze roztropnością, zręcznością i talentem w obcowaniu z ludźmi, że po krótkim czasie otrzymał stałą pracę w pałacu, a kiedy starszy kucharz zmarł, eajął jego miejsce. Dalej mówił Salomon o tym, jak jedyna córka króla, piękna płomienna dziewczyna, zakochała się w nowym kucharzu, jak i zdradziła się z tym mimo woli, jak uciekli razem nocą z pałacu, zostali ujęci i przyprowadzeni z powrotem, jak on został skazany na śmierć i jak cudem uciekł z lochu.

Chciewie słuchała go Sulamitka, a gdy milkł, wówczas wśród nocnej ciszy zwierzały się ich wargi, spletały ramiona, stykały się piersi. Gdy nadchodził ranek, ciało Sulamitki wydawało się pienistoróżowe, a znużenie miłosne kładło modre cienie wokół jej pięknych oczu, i mówiła z łagodnym uśmiechem:

— Posilcie mię jabłkami, pokrzepcie mię winem, bo mdleję od miłości.

W świątyni Izydy na górze Watn-el-Chaw dopiero co skończyła się pierwsza część wielkiego tajemnego obrządku, na którą dopuszczano wiernych niższego stopnia wtajemniczenia. Kolejny kapłan — zgrzybiały starzec w białej szacie, z ogoloną głową, bez wąsów i bez brody, obrócił się na wzniesieniu ołtarza ku wiernym i wyrzekł cichym, znużonym głosem:

— Pozostańcie w spokoju, synowie moi i córki. Doskonalcie się w czynach. Sławcie imię bogini. Niech jej błogosławieństwo towarzyszy wam po wsze czasy.

Wzniósł swoje ręce nad ludem, błogosławiąc mu. I od razu wszyscy wierni niższego stopnia wtajemniczenia legli płackiem na podłodze, po czym wstawszy, cicho, w milczeniu skierowali się ku wyjściu.

Był siódmy dzień egipskiego miesiąca famenot, poświęconego misterium Ozyrysa i Izydy. Od wieczora uroczysta procesja trzykrotnie okrążyła świątynię niosąc pochodnie, liście palmowe i amfory, tajemnicze symbole bogów i święte wizerunki Phallosa. W środku procesji na ramionach kapłanów i proroków wznosił się zamknięty „naos” z rzadkiego drzewa, ozdobionego perłami, kością słoniową i złotem. Tam przebywała sama bogini. Ona, Niewidzialna, Darząca Płodnością, Tajemnicza — Matka, Siostra i Żona bogów.

Złośliwy Set zwabił swego brata, boskiego Ozyrysa, na ucztę, podstępem skłonił go, żeby wszedł do wspaniałej trumny, i zatrzasnąwszy wieko rzucił trumnę wraz z ciałem wielkiego boga do Nilu. Izyda, która właśnie powiła Horusa, we łzach i rozpacz szukała po całej ziemi ciała swego męża, ale długo nie może go znaleźć. W końcu ryby jej mówią, że fale zaniósły trumnę do morza i wyrzuciły przy By bios, - i że wokół niej wyrosło ogromne drzewo, ukrywając w swym wnętrzu ciało boga i jego pływający dom. Władca tego kraju kazał sobie zrobić z olbrzymiego drzewa potężną kolumnę, nie wiedząc, że spoczywa w nim sam Bóg

Ozyrys, wielki dawca życia. Izyda udaje się do Byblos, przychodzi tam zmęczona skwarem, pragnieniem i uciążliwą kamienistą drogą. Wyjmuje trumnę z drzewa, zabiera ze sobą i zakopuje w ziemi pod murem. Ale Set znowu potajemnie porywa ciało Ozyrysa, roz-

krowa je na czternaście części i rozsiewa po wszystkich miastach i osadach Górnego i Dolnego Egiptu.

I znowu we łzach i rozpaczycy udaje się Izyda na poszukiwanie świętych szczątków swego męża i brata. Do jej płaczu przyłącza swe skargi siostra jej, bogini Neftyda, i potężny Tot, i syn bogini, promienny Horus.

Taki był ukryty sens dzisiejszej procesji w czasie pierwszej połowy obrzędu. Teraz, po odejściu zwykłych wiernych i po niewielkim wypoczynku, miała się odbyć część druga wielkiego misterium. W świątyni zostali tylko wtajemniczeni wyższego stopnia — mistagogowie, epepei, prorocy i kapłani.

Biało odziani chłopaczkowie roznosili na srebrnych półmiskach mięso, chleb, suszone owoce i słodkie peluskie wino. Inni nalewali z tyurskich naczyń o wąskich szyjkach sykerę, którą pojono w tych czasach przestępców przed uśmierceniem, aby wzbudzić w nich męstwo, ale która posiadała również niezwykłą moc niecenia i podsycania w ludziach ognia świętego szaleństwa.

Na znak dany przez kolejnego kapłana chłopcy oddalili się. Kapłan obszedł uważnie wszystkich, którzy zostali, wpatrując się w ich twarze i badając sekretnymi słowami, stanowiącymi hasło — przepustkę dzisiejszej nocy. Dwaj inni kapłani obwieźli wzdłuż świątyni i wokół każdej z jej kolumn srebrną kadzielnicę na kółkach. Świątynia napelniła się modrym, gęstym, upajającym, aromatycznym dymem, poprzez jego warstwy ledwo były widoczne różnokolorowe płomyki lamp; sporządzone z przezroczystych kamieni, oprawne w rzeźbione złoto, zwisały z sufitu na długich srebrnych łańcuchach. Dawniej świątynia Ozyrysa i Izydy była uboga, niewielka, wydrążona w głębi góry na kształt jaskini. Wąski podziemny korytarz prowadził do niej z zewnątrz. Ale za panowania Salomona, który protegował wszystkie religie oprócz tych, co żądają ofiar z dzieci, i dzięki gorliwości królowej Astis, Egipcjanki rodem, świątynia rozrosła się w głąb i wzwyż i wzbogaciła w hojne dary.

Dawny ołtarz pozostał nietknięty w swej pierwotnej surowej prostocie, wraz z mnóstwem maleńkich izdebek, otaczających go i służących do przechowywania skarbów, przedmiotów kultu, a także do specjalnych tajemnych celów w czasie najskrytszych

Natomiast naprawdę wspaniałą był dziedziniec zewnętrzny z pylonami ku czci boginii Hathor i czterostronną kolumnadą, liczącą dwadzieścia cztery słupy. Jeszcze zbytkowniej był urządzony wewnętrzny podziemny hypostyl dla wiernych. Jego mozaikową podłogę zdobiły kunsztowne wizerunki ryb, zwierząt, płazów i gadów. Strop był pokryty niebieską glazurą, na której błyszczało złote słońce, świecił srebrny księżyc i szybowały na rozpostartych skrzydłach ptaki. Podłoga była ziemią, strop — niebem, a okrągłe i graniaste kolumny łączyły je niby potężne pnie drzew. A ponieważ każdy ze słupów wieńczyła głowica w kształcie delikatnego kwiatu lotosu lub cienkiego zwoju papirusu — leżący na nich strop wydawał się lekki i eteryczny jak niebo.

Ściany do wysokości człowieka wyłożone były płytkami z czerwonego granitu, przywiezionymi na życzenie królowej Astis z Teb, gdzie kunsztownicy umieli nadać granitowi lustrzaną gładkość i zdumiewający blask. Wyżej, aż do samego stropu, ściany, tak samo jak kolumny, pstrzyły się tłoczonymi i malowanymi wizerunkami i symbolami bogów obu Egiptów. Był tu Sebah, czczony w Fajumie pod postacią krokodyla, i Tot, bóg księżyca przedstawiany jako ibis w mieście Chmunu, i słoneczny bóg Horus, któremu w Edfu był poświęcony sokół, i Bast z Bubas w postaci kota; Szu, bóg powietrza — lew, Ptah-Apis, Hathor — bogini radości — krowa; Anubis, bóg balsamowania, z głową szakala, i Mon tu z Hermontis, i koptyjski Minu. i bogini nieba Neit i Sais, i wreszcie — w postaci tryka —

straszny bóg, którego imienia nie wymawiano, nazywając go umownie Chentiementu, co znaczy „Żyjący na Zachodzie”.

Półciemna apsyda wznosiła się nad całą świątynią, w głębi jej matowo połyskiwały złotem ściany sanktuarium, kryjącego wizerunek Izydy. Troje drzwi — duże środkowe i dwoje małych bocznych— prowadziło do sanktuarium. Przed środkowymi znajdował się stół ofiarny z kamiennym świętym nożem z etiopskiej obsydiany. Do ołtarza prowadziły stopnie, na nich zasiedli młodszy kapłani i kapłanki z tympanami, sistrami, fletami i bębnami.

Królowa Astis spoczywała w małej sekretnej komnacie. Niewielki kwadratowy otwór, kunsztownie zasłonięty ciężką kotarą, wychodził wprost na ołtarz i pozwalał na potajemne śledzenie wszystkich szczegółów misterium. Lekka wąska suknia z lnianej

gazy, haftowana srebrem, ściśle przylegająca do ciała królowej, zostawiała odsłonięte całe ramiona i nogi do połowy łydek. Skroś przezrzystą tkaninę różowo przeświecała skóra i były widoczne wszystkie nieskazitelne linie i wypukłości smukłego ciała, które dotychczas, mimo że królowa miała trzydzieści lat, nie utraciło giętkości, świeżości i urody. Włosy jej, farbowane na granatowo, leżały rozpuszczone na ramionach i plecach, a ich końce zdobiły niezliczone aromatyczne kulki. Twarz miała silnie ubieloną i u- różowaną, a cienko obrysowane tuszem oczy wydawały się ogromne i płonęły w ciemności jak oczy silnego zwierzęcia z gatunku kotów. Złoty święty ureus wisiał na szyi, między półobnażonymi piersiami.

Odkąd Salomon ochłódł dla królowej Astis, zmęczony jej nieokiełznaną namiętnością, z całą mocą południowej żądz, z całym szaleństwem urażonej ambicji niewieściej oddała się tajemnym orgiom wypaczonej chuci, które wchodziły w skład wyższego kultu rzezańczej służby Izydzie. Zawsze pokazywała się w otoczeniu kapłanów, i nawet teraz, kiedy jeden z nich rytmicznie owiewał jej głowę wachlarzem z pawich piór, inni siedzieli na podłodze wbijając w królową oszalałe, upojone oczy. Nozdrza ich rozszerzały się i drgały od wiejącej na nich woni jej ciała, drżącymi palcami usiłowali niedostrzegalnie dotknąć skraju jej ledwo kołyszącej się lekkiej szaty. Ich nadmierna, nigdy nie zaspokajana pożądlivość zaostrzała wyobraźnię do ostatecznych granic. Ich wynalazczość w rozkoszach Cybeli i Aszery przekraczała ludzkie możliwości. Zazdrośni o królową wobec siebie, wobec wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci, zazdrośni o nią nawet w stosunku do niej samej, czcili ją bardziej niż Izydę i kochając — nienawidzili, jako bezdenne ogniste źródło błogich i okrutnych cierpień.

Głuche, straszne i urzekające wieści krążyły w Jerozolimie, o królowej Astis. Rodzice pięknych chłopiąt i dziewcząt chowali dzieci przed jej spojrzeniem, imienia jej bano się wymówić w łóżnicy małżeńskiej, jako symbolu profanacji i plagi. Ale niespokojna, upajająca ciekawość ciągnęła do niej serca i oddawała w jej władzę ciała. Ci, którzy spróbowali chociaż raz jej szalonych, krwawych pieszczot, nigdy już nie mogli zapomnieć i stawali się na wieki jej nędznymi, odepchniętymi niewolnikami. Gotowi dla posiadania jej do każdego przestępstwa, do każdego poniżenia i zbrodni, stawali się podobni do tych nieszczęśników, co zakosztowawszy raz jeden gorzkiego makowego napoju z krainy Ofir, dającego rozkoszne sny, nigdy już się go nie wyrzekną, czcąc go bałwochwalczo tak długo, aż wyczerpanie i obłęd przerwą ich życie.

Wolno kołysał się wachlarz w upalnym powietrzu. W milczącym zachwycie kontemplowali kapłani swoją straszliwą władczynię. Lecz ona jakby zapomniała o ich obecności. Odsunawszy nieco firanki, patrzyła bez przerwy naprzeciwko, na tamtą stronę ołtarza, gdzie kiedyś spoza ciemnych załomów kutych w złocie antycznych zasłon ukazywała się piękna, promienna twarz króla izraelskiego. Jego jednego kochała całym swoim płomiennym i występny sercem odepchnięta królowa, okrutna i pożądliva Astis. Jego przelotnego spojrzenia, czułego słowa, dotknięcia ręki szukała wszędzie — i nie znajdowała. Przy uroczystych okazjach, podczas pałacowych obiadów, w dni sądu Salomon okazywał jej szacunek, jako królowej i córce królewskiej, ale dusza jego była dla niej zamknięta. Toteż dumna królowa często kazała się nosić w określonych godzinach obok domu Libańskiego, aby przynajmniej z daleka, poprzez ciężkie obicie lektyki ujrzyć wśród ciżby dworzan dumne, piękne, niezapomniane oblicze Salomona. I od dawna już jej płomienna miłość do króla była tak ściśle spleciona z pałacą nienawiścią, że sama Astis nie umiała ich odróżnić.

Dawniej Salomon też bywał w świątyni Izydki w dniach wielkich świąt i składał bogini ofiary, a nawet przybrał tytuł jej arcykapłana, pierwszego po faraonie egipskim. Lecz straszliwe obrzędy „krwawej ofiary Zapłodnienia” zniechęcały jego umysł i serce do służenia matce bogów.

„S kastrowany wskutek niewiedzy lub gwałtu, bądź przypadkiem, bądź wskutek choroby — nie jest poniżony przed Bogiem — rzekł król. — Ale biada temu, kto sam siebie okaleczy”.

I oto już od roku łożo jego w świątyni jest puste. iDaremnie płomienne oczy królowej chciwie patrzą teraz na nieruchome kotary.

Tymczasem wino, sykera i otumaniające kadzidła wywarły już widoczny wpływ na zebranych w świątyni. Częściej rozlegał się krzyk, śmiech i dźwięk srebrnych naczyń padających na ka

mienną podłogę. Zbliżała się wielka, tajemnicza chwila krwawej ofiary. Wiernych ogarniała ekstaza.

Królowa prześlizgnęła się roztargnionym spojrzeniem po wiernych. Wielu tu było czcigodnych i znamienitych ludzi ze świty Salomonowej i z jego dowódców: Bengaber, władca okręgu Argob, i Achimaas, mąż córki Salomona Bazematy, i Bendekar o ostrym języku, i Zabud, noszący zgodnie ze wschodnim zwyczajem tytuł „przyjaciela królewskiego”, i brat Salomona z pierwszego małżeństwa Dawida — Dalujasz, zdzieciniały, półmartwy człowiek, przedwcześnie zidiociał z pijaństwa i innych nadużyć. Wszyscy byli — jedni z powodu wiary, drudzy z wyrachowania, inni z chęci naśladowania, jeszcze inni wskutek pożądlivosti — czci- cielami Izydy.

Lecz oto oczy królowej zatrzymały się długo, uważnie, z napięciem na pięknym młodzieńczym obliczu Eliawa, jednego z naczelników ochrony króla.

Królowa wiedziała, czemu jego smągła twarz płonie tak jaskrawym rumieńcem, czemu jego palące oczy wbite są z tak namiętą tęsknotą w te zasłony, ledwo drgające od dotknięć pięknych białych dłoni królowej. Kiedyś, niemal żartując, ulegając przelotnemu kaprynowi, skłoniła Eliawa do spędzenia z nią całej •długiej rozkosznej nocy. Rano odesłała go, ale od tej pory przez wiele dni z rzędu widziała wszędzie — w pałacu, w świątyni, na ulicach — dwoje zakochanych, pokornych, tęskniących oczu, które ściagały ją z wyrazem najgłębszego oddania.

Ciemne brwi królowej ściągnęły się, a jej podłużne zielone oczy nagle pociemniały od strasznej myśli. Ledwo dostrzegalnym ruchem ręki kazała rzezańcowi opuścić wachlarz i cicho wyrzekła:

— Wyjdźcie wszyscy. Huso, wezwij do mnie Eliawa, naczelnika straży królewskiej. Niech przyjdzie tu sam.

XI

Dziesięciu kapłanów w białych szatach upstrzonych czerwonymi plamami weszło na środek apsydy. W ślad za nimi szli jeszcze dwaj kapłani w szatach niewieścich: mieli dzisiaj odegrać Neftydę i Izydę oplakujące Ozyrysa. Potem z głębi apsydy wyszedł ktoś w białym chitonie bez najmniejszej ozdoby, a oczy wszystkich kobiet i mężczyzn chciwie wpiły się w niego. Był to pustelnik, który spędził dziesięć lat na ciężkiej, heroicznej pokucie w górach Libanu, a dziś miał złożyć wielką dobrowolną krwawą ofiarę Izy- dzie. Twarz jego, zniszczona głodem, osmagana wiatrem i szerniała od słońca, była mroczna i blada, oczy surowo spuszczone w dół. Jakimś nienaturalnym przerażeniem powiało od niego na tłum.

W końcu wyszedł arcykapłan świątyni, stuletni starzec z tiarą, na głowie, ze skórą tygrysa na ramionach, w brokatowym fartuchu ozdobionym ogonami szakali.

Obrócony do modlących się obwieścił starczym głosem, łagodnym i drżącym:

— Suton-di-gotpu (król składa ofiarę).

Potem zwróciwszy się do stołu ofiarnego przyjął z rąk pomocnika białego gołębia z czerwonymi łapkami, uciał mu głowę i pokropił jego krwią stół ofiarny i święty nóż.

Po chwili milczenia oznajmił:

— Płaczmy Ozyrysa, boga Atuma, wielkiego Unnefera-Onufre- go, boga Onu!

Dwaj rzezańcy w niewieścich szatach — Izyda i Neftyda — natychmiast wszczęli płacz cienkimi, harmonijnymi głosami:

„Wróć do swego domu, o piękny młodzieńcze. Widzieć cię jest rozkoszą!

Izis zaklina cię, Izis, która została poczęta w jednym łonie z tobą -r- małżonka twoja i siostra. Ukaż nam znów swoje oblicze, o piękny młodzieńcze. Oto Neftis, siostra twoja. Zalewa się łzami i pełna rozpacz wyrywa swoje włosy.

W śmiertelnej tęsknocie szukamy twego pięknego ciała. Ozyrysie, wróć do swojego domu!".

Dwaj inni kapłani przyłączyli swe głosy do tamtych. To Horus i Anubis oplakiwali Ozyrysa, a kiedy kończyli werset, chór usadowiony na stopniach schodów powtarzał go uroczyście i smutno.

Następnie starsi kapłani nie przerywając zawodzenia wynieśli z sanktuarium posąg bogini, teraz już nie osłonięty naosem. Ale czarny płaszcz obsypany złotymi gwiazdami otulał boginię od stóp do głowy, pozostawiając na wierzchu tylko jej srebrne nogi oplecione węzłem, a nad głowę srebrną tarczę, w obramieniu krowich rogów. I z towarzyszeniem kadzielnic i sistrów, z bolesnym pła

czem ruszyła procesja bogini Izydy po stopniach ołtarza w dół, do świątyni, wzdłuż jej ścian, między słupami.

Tak zbierała bogini rozproszone części swego małżonka, by go ożywić przy pomocy Tota i Anubisa:

„Chwała miastu Abydos, co zachowało piękną twą głowę, Ozyrysie.

Chwała ci, miasto Memfis, gdzie znaleźliśmy prawą rękę Wielkiego boga, rękę wojny i obrony.

I tobie, miasto Sais, co ukryło lewą rękę promiennego boga, rękę sprawiedliwości.

Bądź i ty błogosławione, miasto Teby, gdzie spoczywało serce Unnefera-Onufrego”.

Tak obeszła Izyda całą świątynię powracając do ołtarza i coraz głośniejszy, gorętszy stawał się śpiew chóru. Święta egzaltacja ogarniała kapłanów i wiernych. Oto już znalazła Izyda wszystkie części Ozyrysa — prócz jednej, świętego Phallosa, zapładniającego łono matki, tworzącego nowe, wieczne życie. Teraz zbliżał się najdonioślejszy akt w misterium Ozyrysa i Izydy...

— To ty, Eliawie? — spytała królowa młodzieńca, który cicho wślizgnął się przez drzwi. W ciemności łoży bezszelestnie osunął się do jej stóp, przywarł ustami do skraju szaty. Królowa poczuła, że młodzian płacze z zachwytu, lęku i żądzy. Położywszy dłoń na jego szorstkiej kędzierzawej głowie rzekła:

— Opowiedz mi, Eliawie, wszystko, co wiesz o królu i o tym dziewczęciu z winnicy.

— O, jak ty go kochasz, królowo! — jęknął boleśnie Eliaw.

— Mów! — nakazała Astis.

— Cóż ja ci mogę powiedzieć, królowo? Serce mi pęka z zazdrości.

' — Mów.

— Nikogo jeszcze król tak nie kochał. Nie rozstaje się z nią ani na chwilę. Oczy jego promieniają szczęściem. Rozdziela wokół siebie łaski i dary. On — awimelech i mędrzec — leży jak zwykły niewolnik u jej stóp i jak pies nie spuszcza z niej oczu.

— Mów!

~ O, jak mnie dręczysz, królowo! A ona... ona jest cała jeno miłością, czułością i pieszczotą! Łagodna jest i wstydliva, niczego

nie widzi i nie wie oprócz swej miłości. W nikim nie budzi zazdrości, zawiści ni gniewu.

— Mów! — jęknęła wściekle królowa i wczepiwszy się giętkimi palcami w czarne kędziory Eliawa przycisnęła jego głowę do swego ciała, drapiąc mu twarz srebrnym haftem przezroczystego chitonu.

A w tym czasie w apsydzie wokół wizerunku bogini przykrytego czarną zasłoną miotali się kapłani i kapłanki w świętym szale, z krzykiem podobnym do szczenia, przy dźwiękach tympanów i sistrów.

Niektórzy z nich smagali sami siebie ogoniastymi kańczugami ze skóry nosorożca, inni zadawali sobie krótkimi nożami długie krwawe rany w piersi i ramiona, jeszcze inni palcami rozdierali sobie usta, szarpali uszy i orali paznokciami twarz. Pośrodku tego szalonego korowodu, tuż u stóp bogini, z niepojętą szybkością wirował w jednym miejscu pustelnik z Gór Libańskich w śnieżnobiałej, rozwiewającej się szacie. Tylko arcykapłan pozostał nieruchomy. Trzymał w ręku święty nóż ofiarny z etiopskiej obsydiany, gotów podać go w ostatnim straszliwym momencie.

— Phallos! Phallos! Phallos! — krzyczeli w ekstazie oszalali kapłani. — Gdzie jest twój Phallos, promienny bogu! Przyjdź zapłodnić boginię! Ciało jej dręczy żądza! Łono jej to pustynia w skwarny czas lata!

I oto straszny, szalony, przenikliwy krzyk zagłuszył na moment cały chór. Kapłani szybko się rozstapili i wszyscy obecni w świątyni ujrzeni pustelnika z Libanu całkowicie obnażonego, o przerażająco chudym, żółtym ciele. Najwyższy kapłan podał mu nóż. W

świątyni stała się straszliwa cisza. A on, pochyliwszy się, zrobił jakiś ruch, wyprostował się i z jękiem zachwytu i bólu rzucił nagle do stóp bogini bezkształtny krwawy kawałek mięsa.

Chwiał się. Najwyższy kapłan troskliwie wsparł go i obejmując ramieniem, podprowadził do wizerunku Izdy, ostrożnie okrył go czarną zasłoną i zostawił tak na chwil parę, aby mógł skrycie, niedostrzegalnie dla innych, wycisnąć na ustach zapłodnionej bogini swój pocałunek. Po chwili ułożono go na noszach i wyniesiono z ołtarza. Kapłan-odźwiemy wyszedł ze świątyni. Uderzył drewnianym młotkiem w ogromną spiżową tarczę, głosząc światu całemu, że do

konało się wzniosłe misterium zapłodnienia bogini. I wysoki, śpiewny dźwięk spizu wznosił się nad Jeruzalem.

Królowa Astis, wciąż jeszcze drgając całym ciałem, odrzuciła w tył głowę Eliawa. Oczy jej pałały czerwonym płomieniem. Wyrzekła powoli, cedząc słowa:

— Eliawie, "chcesz, abym uczyniła cię królem Judei i Izraela? Chcesz być władcą całej Syrii i Mezopotamii, Fenicji i Babilonu?

— Nie, królowo, chcę tylko ciebie.

— Dobrze, będziesz moim władcą. Wszystkie moje noce będą należały do ciebie. Każde moje słowo, spojrzenie i tchnienie będzie twoją własnością. Znasz hasło przepustki.

Pójdiesz dziś do pałacu i zabijesz ich. Oboje! Zabijesz oboje!

Eliaw chciał coś powiedzieć, ale królowa przyciągnęła go do siebie i przywarła do jego ust gorącymi ustami i językiem. Trwało to boleśnie długo. Potem, oderwawszy raptownie młodzieńca od siebie, powiedziała krótko, rozkazująco:

— Idź!

— Idę! — odrzekł pokornie.

XII

I stała się siódma noc wielkiej miłości Salomona. Dziwnie lekkie i czule były tej nocy pieszczoty króla i Sulamitki. Jakby smutek jakowyś zamyślony, jakaś ostrożna wstydlivość, niewyraźne przecucia osnuwały lekką mgiełką ich słowa, pocałunki, uściski.

Patrząc przez okno na niebo, gdzie noc brała już górę nad gasnącym wieczorem, Sulamitka zatrzymała oczy na jasnej niebieskawej gwiazdzie, migocącej łagodnie i czule.

— Jak się nazywa ta gwiazda, umiłowany? r-r spytała.

— Jest to gwiazda Sopdit — odrzekł król. — Święta gwiazda. Asyryjscy magowie twierdzą, że gdy umrze ciało, dusze wszystkich ludzi żyją na niej.

— Czy wierzysz w to, królu?

Salomon nie odpowiedział. Prawe jego ramię spoczywało pod głową Sulamitki, lewym ją obejmował i czuła jego wonny oddech na sobie, na włosach, na skroni.

— Może spotkamy się tam po śmierci, królu? — spytała z trwoga-

Król dalej milczał,

— Powiedz mi coś, ukochany — poprosiła nieśmiało.

I król powiedział:

— Życie ludzkie jest krótkie, ale czas nieskończony i substancja nieśmiertelna. Człowiek umiera i gniciem ciała swego użyźnia ziemię, ziemia wydaje kłos, kłos rodzi ziarno, człowiek spożywa chleb i żywi nim swoje ciało. Mijają niezliczone wieki, wszystko w świecie powtarza się — powtarzają się ludzie, zwierzęta, kamienie, rośliny. W wielokształtnym kołowrocie czasu i substancji powtórzymy się i my z tobą, umiłowana. Jest to tak samo pewne, jak to, że jeśli napełnić duży worek po brzegi morskim żwirem i wrzucić tam tylko jeden drogocenny szafir — to wyciągając wielokroć żwir z worka, wcześniej czy później wyciągnie się szafir. Spotkamy się, Sulamitko, i nie poznamy się — lecz z tęsknotą, zachwytem będą mknąć nasze serca ku sobie, bośmy się już spotkali ze sobą, o moja łagodna, moja piękna Sulamitko, choć tego nie pamiętamy.

— Nie, królu, nie! Ja pamiętam: kiedy stałeś pod oknem mego domu i wołałeś: „O moja piękna, wyjdź, we włosach moich pełno nocnej rosy!” — poznałam cię, przypomniałam i radość ze strachem pospołu owładnęły moim sercem. Powiedz mi, królu mój, powiedz, Salomonie: gdybym jutro umarła — czy będziesz wspominał swoją smagłą dziewczeczkę z winnicy, swoją Sulamitkę?

Król wyszeptał z przejęciem, garnąc ją do serca: |p Nie mów tak, nie mów, Sulamitko! Jesteś Bożą wybranką, jedyną prawdziwą królową mego serca... Śmierć cię nie tknie!

Ostry spiżowy dźwięk rozbrzmiał nagle nad Jerozolimą. Długo, tęsknie drgał i wibrował w powietrzu, a gdy umilkł, długo jeszcze płynęły rozdrżane odgłosy.

— To w świątyni Izydy skończyło się misterium — powiedział król.

— Boję się, ukochany! — wyszeptała Sulamitka. Ciemny strach wkradł się do mojej duszy... Nie chcę umierać... Jeszcze się nie zdażyłam nasycić twymi uściskami... Obejmij mnie... Przytul mocniej do siebie... Przyłóż mię jako pieczęć do serca twego, jako pieczęć do ramienia twego!

— Nie bój się śmierci, Sulamitko! Miłość jest równie silna jak śmierć. Odpędź precz smutne myśli. Chcesz, opowiem ci o wojnach

Dawida, o ucztach i łowach faraona Sussakima? Chcesz usłyszeć jedną z baśni układanych w krainie Ofir? A może opowiedzieć ci o dziwach Wakramaditia?

— Tak, królu mój. Wiesz przecież, że kiedy cię słucham, serce mi rośnie z uciechy! Ale chciałabym cię o coś poprosić...

— O Sulamitko — wszystko, czego zażadasz! Poproś mnie o życie — oddam ci je z rozkoszą. Będę tylko żałował, że zbyt niską cenę zapłaciłem za twoją miłość.

Sulamitka uśmiechnęła się błogo w ciemności i oplótłszy króla rękami szepnęła mu do ucha:

,-r- Proszę cię, gdy nadejdzie ranek, pójdźmy razem tam... do winnicy... Tam, gdzie zieleń, cyprusy i cedry, gdzie koło murku wzięłeś w dłonie moją duszę... Tam znów będę cię miłowała... Król w upojeniu całował usta swej miłej.

Nagle Sulamitka uniosła się na łożu i zaczęła się przysłuchiwać. . — Co ci jest, dziecko moje? Czego się przelęknąłeś? ||| spytał Salomon.

— Czekaj, miły mój... ktoś tu idzie... słyszę kroki. Umilkła. Było tak cicho, że słyszeli bicie swoich serc.

Lekki szelest rozległ się za drzwiami, które nagle się otworzyły prędko i bezszelestnie.

— Kto tam? — zawołał Salomon.

Ale Sulamitka sfrunęła już z łoża, szybkim ruchem rzuciła się ku ciemnej postaci człowieka z błyszczącym mieczem w ręku i natychmiast przebita na wskroś szybkim, krótkim ciosem, ze słabym, jakby zdumionym okrzykiem osunęła się na posadzkę.

Salomon stłukł pięścią osłonę z karniolu przyćmiewającą światło nocnej lampy. Zobaczył Eliawa, który stał przy drzwiach lekko pochylony nad ciałem dziewczeczki, chwiejąc się jak pijany. Młodzieniec pod spojrzeniem Salomona podniósł głowę i spotkawszy się wzrokiem z groźnymi, strasznymi oczami króla, zbladł i jęknął. Wyraz rozpacz i przerażenia wykrzywił mu rysy. Nagle, zgiąwszy się, kryjąc głowę w opończy, nieśmiało, jak strwożony szakał, zaczął wycofywać się z komnaty. Ale król wstrzymał/go, wyrzekłszy tylko trzy słowa: — Kto cię zmusił?

Drżąc cały, szczękając zębami, z oczyma zbielełymi ze strachu, młody żołnierz rzucił głucho:

— Królowa Astis...

— Wyjdź — rozkazał Salomon. — Każ następnej zmianie warty, żeby cię pilnowała. Niebawem po niezliczonych komnatach pałacu zaczęli biegać ludzie ze światłami. Wszędzie zrobiło się jasno. Przyszli lekarze, zebrali się dowódcy wojsk i przyjaciele króla.

Główny lekarz rzekł:

— Królu, tu nie pomoże ani nauka, ani Bóg. Gdy wyciągniemy miecz tkwiący w jej piersi, umrze natychmiast.

W tym momencie Sulamitka ocknęła się i rzekła ze spokojnym uśmiechem:

Pić mi się chce.

Napiwszy się, z czułym, pięknym uśmiechem zatrzymała oczy na królu i już ich nie odwracała; a on klęczał przed jej łożem obnażony jak ona, nie dostrzegając, że kolana nurzają mu się w jej krwi i że ręce ma zlane szkarłatną krwią.

I tak, patrząc na swego ukochanego, i uśmiechając się łagodnie, mówiła z trudem piękna Sulamit:

— Dzięki ci, królu mój, za wszystko: za twoją miłość, za twoją urodę, za twoją mądrość, do której pozwoliłeś mi przylgnąć ustami jak do ożywczego źródła. Pozwól mi całować twoje ręce. Nie o- dejmuj ich od ust moich, dokąd nie uleci z nich ostatnie tchnienie. Nigdy nie było i nie będzie niewiasty szczęśliwszej ode mnie. Dzięki ci, królu mój, umiłowany mój, piękny mój. Wspominaj niekiedy twoją niewolnicę, twą opaloną słońcem Sulamit.

A król odpowiedział jej wolno, głębokim głosem: - — Dopóki ludzie będą się kochać nawzajem, dopóki uroda duszy i ciała będzie najpiękniejszym, najbardziej błogim marzeniem na świecie, dopóty imię twoje — przysięgam ci, Sulamitko — będzie wymawiane z czułością i podziwem.

Przed świtem Sulamit skonała.

Wówczas król wstał, umył się i nałożył najwspanialszy purpurowy chiton, haftowany w złote skarabeusze, a głowę swoją u- wieńczył diademem, z krwawych rubinów. Potem przywołał Wa- neaszę i rzekł spokojnie.

— Waneaszu, pójdiesz teraz i uśmiercisz Eliawa.

Starzec ukrył twarz w dłoniach i padł do stóp Salomona:

— Królu, wszak Eliaw jest moim wnukiem!

— Słyszałeś mnie, Waneaszu?

— Królu, przebacz mi, nie groź mi swoim gniewem, każ to zrobić komuś innemu. Eliaw po wyjściu z pałacu wbiegł do świątyni i uchwycił się rogu ołtarza. Jestem stary, śmierć moja bliska, nie śmiem wziąć na siebie tej podwójnej zbrodni.

Ale król odrzekł:

— Wszakże kiedy ci poleciłem uśmiercić mego brata Adoniasza, który też się uchwycił świętych rogów ołtarza — czyś mi nie był posłuszny, Waneaszu?

— Daruj mi! Ulituj się nade mną, królu!

— Podnieś twarz swoją — rozkazał Salomon.

Gdy Waneasz podniósł głowę i ujrzał oczy króla, zerwał się z klęczek i posłusznie skierował ku wyjściu.

Wtedy król zwrócił się do Ahizara, przełożonego nad domem; i rozkazał:

— Królowa nie zostanie uśmiercona — będzie żyć, jak chce; i umrze, gdzie chce. Ale już nigdy nie ujrzy mego oblicza. Jeszcze dziś, Ahizarze, narządzisz karawanę i odprowadzisz królową do portu w Jaffie, a stamtąd do Egiptu, do faraona Sussakima. A teraz niech wszyscy wyjdą.

Zostawszy sam z ciałem Sulamitki, długo wpatrywał się w jej piękne rysy. Biała jej twarz była jeszcze cudniejsza niż za życia. Półotwarte usta, dopiero godzinę temu całowane przez Salomona, uśmiechały się zagadkowo i błogo, a spoza nich połyskiwały jeszcze wilgotne zęby.

Długo patrzył król na swą martwą oblubienicę, potem lekko dotknął palcami jej czoła, z którego zaczęło już uchodzić ciepło życia, i powolnym krokiem wyszedł z komnaty.

Za drzwiami czekał na niego arcykapłan Azariasz, syn Sadoka. Zbliżywszy się do króla zapytał:

— Co mamy robić z ciałem tej niewiasty? Dziś jest sobota.

I przypomniał sobie król, jak przed laty skonał jego ojciec i leżał na piasku, i już począł się rozkładać. Psy, przywabione zapachem padliny, krążyły wokół niego z oczami płonącymi z głodu i pożądliwości. I tak samo jak teraz zapytał go arcykapłan, starzec zgrzybiały, ojciec Azariasza:

— Oto leży twój ojciec, a psy mogą rozszarpać jego ciało... Co mam czynić? Czy uczcić pamięć króla — i pogwałcić sobotę, czy uczcić sobotę, lecz zostawić ciało twego ojca psom na pożarcie?

I odrzekł wtedy Salomon:

— Zostawić. Żywy pies lepszy jest od martwego lwa.

Kiedy teraz po słowach arcykapłana przypomniał to sobie, serce ścisnęło mu się z bólu i strachu.

Nic nie odrzekłszy arcykapłanowi, poszedł dalej, do stolicy sądowej. .

Jak co rana, dwaj jego pisarze, Elihoref i Ahia. już leżeli na matach po obu stronach tronu, trzymając w pogotowiu zwoje papirusu, trzciny i atrament. Po wejściu króla wstali i ukłonili mu się do ziemi. Król usiadł na stolcu z kości słoniowej ze złotymi ozdobami, oparł łokieć na grzbiecie złotego lwa i pochyliwszy głowę na dłoń, rozkazał: |ig|j- Piszcie!

„Przyłóż mię jako pieczęć do serca twego, jako pieczęć do ramienia twego, bo mocna jest jak śmierć miłość, twarda jak otchłań zazdrość: pochodnie jej g| pochodnie ognia i płomieni”.

I po tak długim milczeniu, że pisarze w trwodze wstrzymali oddech, wyrzekł: „ — Zostawcie mnie samego.

I przez cały dzień, aż do pierwszych cieni wieczornych, pozostawał sam ze swoimi myślami i nikt się nie ważył wejść do ogromnej, pustej sali trybunału.

Przełożyła Henryka Pikutska.

Choroba morska

i

Morze w porcie było brudnozielone, a odległa piaszczysta mierzwiła, która wrzynała się w nie na horyzoncie, wydawała się błękitna. Na moło pachniało zgniłą rybą i smołowanymi linami. Była szósta wieczór.

Na pokładzie zadzwoniono po raz trzeci. Syrena parostatku zaczęła chrypieć, jakby wskutek przeziębienia nie mogła wydusić z siebie właściwego dźwięku. W końcu udało się jej odchrząknąć i ryknęła tak niskim, potężnym głosem, że wszystkie wnętrza ogromnego statku zadygotały w swych mrocznych czeluściach.

Ryczała bez końca. Kobiety na parostatku zatykając dłońmi uszy śmiały się, mrużyły oczy i pochylały głowy. Ludzie rozmawiali bardzo głośno, ale wydawało się, że tylko poruszają wargami i uśmiechają się. I gdy syrena umilkła, wszyscy nagle poczuli ulgę i radosne ożywienie, jak zwykle w ostatnich chwilach przed odpłynięciem parostatku.

— No, żegnam panią, towarzyszeko Heleno — rzekł Wasfutyński. — Zaraz podniosą trap. Idę.

— Żegnam pana, mój drogi — powiedziała Helena, podając mu rękę. — Dziękuję za wszystko. W waszym kółku człowiek wprost odradza się duchowo.

— I ja dziękuję, moja droga. Rozruszała nas pani. My jesteśmy przed wszystkim teoretycy, mole książkowe, a pani jakby nas żywą wodą pokropiła.

Swoim zwyczajem potrząsnął jej ręką takim gestem, jakby pompował wodę, aż obrączka wpiła się w jej palec.

— A kołysania mimo wszystko proszę Cię nie obawiać — powiedział. — Koło Tarchankuta faktycznie będzie trochę kołysać, ale proszę się przedtem położyć na koi i wszystko będzie dobrze. Ukłony dla pana i władcy. Proszę mu powiedzieć, że wszyscy z niecierpliwością czekamy na jego broszurę. Jeżeli tu się nie da, wydrukujemy za granicą... Stęskniona, co? — zapytał nie wypuszczając jej ręki i z czułą figlarną poufalością zaglądając jej w oczy.

Helena uśmiechnęła się.

— Tak. Trochę.

— No właśnie. Widzę. To nie żarty, nie widzieliście się dziesięć dni! No, addio, mia carissima amica. Pozdrowienia dla wszystkich znajomych jałtańczyków. Wspaniały z pani człowiek, słowo daję. Żegnam. Wszystkiego dobrego.

Zszedł na moło i stanął dokładnie naprzeciw miejsca, gdzie stała Helena, oparta o bukową poręcz burty. Wiatr rozwiewał jego szarą pelerynę, a on sam, wysoki, z długimi siwawymi włosami powiewającymi spod czarnego kapelusza o szerokim rondzie, miał w sobie coś dobrodusznego i komicznie wojowniczego, co przypominało Don Kiszota ubranego na modłę radykałów lat siedemdziesiątych.

I kiedy Helena patrząc na niego z góry pomyślała o bezgranicznej dobroci i dziecięcej czystości ducha tego śmiesznego człowieka, o długich latach katorgi, które przeżył, o jego niezłomnym oddaniu sprawie, bezgranicznej wierze w bliskość wyzwolenia, o ogromnym wpływie na młodzież — odczuła w tej śmieszności coś nieskończenie cennego, wzruszającego i pięknego. Wasiutyński wprowadził ją i męża na drogę działalności rewolucyjnej. I teraz, uśmiechając się do niego z góry i kiwając głową, żałowała, że na pożegnanie nie pocałowała go w rękę i nie nazwała nauczycielem. Jak by się zmieszał, biedak!

Ramię parowego dźwigu po raz ostatni wzbilo się w górę, jak olbrzymia wędka, podnosząc na końcu łańcucha kołyszącą się i obracającą masę skrzyń i kufrów.

— Wszystko gotowe! — dobiegło z dołu.

— Podnieść trap! — zagrzmiało w górze z mostka kapitańskiego, po czym rozległ się gwizd.

Tragarze w granatowych bluzach dźwignęli trap z obu stron

na ramiona i przenieśli go na bok. Pod statkiem coś się zakolębało i zabulgotało.

* Po moło przechodziła umorusana, obdarta dziewczynka z ko* 6zem kwiatów, które tonem żebraczki proponowała odprowadzającym:

— Pa-a-nie, kupcie kwiatuszki!

Wasiutyński wybrał niewielki bukiet przywędłych fiołków i rzucił go w górę przez burzę, zawadziwszy o kapelusz czcigodnego siwego pana, który, zaskoczony, przeprosił. Helena podniosła kwiaty i z uśmiechem patrząc na Wasiutyńskiego przyłożyła je do ust.

A statek, posłuszny gwizdkom i komendzie, wypluwając z bocznych dolnych otworów kaskady spienionej wody, oddalił się już znacznie od przystani. Jak wielkie mądre zwierzę, świadome swej niezmiernej siły i lękając się jej, ostrożnie, bokiem odbijał od brzegu, wydostając się na wolną przestrzeń. Helena długo jeszcze widziała Wasiutyńskiego, przewyższającego o głowę swoich sąsiadów. Rytmicznie podnosił i opuszczał swój bandycki kapelusz. Helena odpowiadała mu, machając chusteczką. Ale stopniowo wszyscy ludzie na przystani utworzyli ciemną zwartą masę, nad którą jak rój pstrych motyli kołysały się chustki, kapelusze i parasolki.

W Jalcie był teraz sezon wiosenny w całej pełni i dlatego ten parostatek był niezwykle zatłoczony. Cała rufa, wszystkie przejścia między burtami a kajutami pasażerskimi, wszystkie ławki i kąty, wszystkie korytarze i kanapy w salonach były zavalone i zapchane ludźmi, tłumokami, kuframi, okryciami. Dokuczliwie krzyczały niemowlęta, obsługa parostatku powiększała jeszcze zamęt, goniąc tam i z powrotem bez żadnej potrzeby; kobiety, jak zwykle w miejscach publicznych, sterczały paplając właśnie tam, gdzie panował największy tłok — w drzwiach, w wąskich przejściach, tarasując ruch i uparcie zagradzając drogę. Trudno było sobie wyobrazić, jak się rozmieści ten tłum. Ale stopniowo wszystko się ułożyło, wróciło do normy i gdy statek, wpływawszy na środek przystani, nabrał rozpędu, na pokładzie zrobiło się już przestronnie.

Helena stała na rufie, patrząc na oddalające się miasto, które jak biały amfiteatr pięło się wzwyż na zboczach gór, uwieńczone półokrągłą altaną z wysmukłych kolumn. Oko wyraźnie rozróżniało miejsce, gdzie spokojny, głęboki błękit morza przechodził w bładą, brudną zielenią portu. Daleko przy brzegu, jak nagi las, wznosiły się kominy, maszty i reje statków. Morze falowało. W dole, pod śrubą, woda kipiała, tworząc białe jak spienione mleko pagórki i daleko za parostatkami wśród równego szerokiego błękitu biegła, wijąc się lekko, wąska, zielona gładka dróżka, jak marmur pobrużdżona spienionymi, fantazyjnymi strumyczkami. Białe mewy, powoli i ciężko machając skrzydłami, leciały w stronę statku.

Nie kołysało jeszcze, ale Helena, która nie zdążyła zjeść obiadu w mieście i liczyła na posiłek na statku, poczuła nagle, że straciła apetyt. Zeszła więc na dół, tam gdzie mieściły się kajuty, i poprosiła pokojówkę o koję. Okazało się jednak, że wszystkie miejsca są zajęte. Płonąc ze wstydu za siebie i za nią, wyjęła z portmonetki rubla i niezręcznie podała go pokojówce. Ta odmówiła.

— Ja bym, panienko, z przyjemnością, ale jak Boga kocham, nie ma ani jednego miejsca. Nawet swój kąć odstąpiłem jednej pani. W Sewastopolu zrobi się luźniej.

Helena znów wyszła na pokład. Silny wiatr wiejący w kierunku statku oblepiał wokół jej nóg suknię i musiała pochylić się, przytrzymując ręką kapelusz.

Stary, niski bosman z czerwonym nosem przymocował do prawej burty jakiś mosiężny cylindryczny przyrząd z cyferblatem i wskazówkami. W lewej ręce trzymał kłębek białego mocnego sznura, zwiniętego w regularne spirale i zakończonego mosiężnym ciężarkiem ze skrzydełkami po bokach.

Przymocowawszy dokładnie mosiężny przyrząd do burty, puścił pionowo ciężarek, szybko zakreślił nim prawą ręką tak, że ciężarek wraz z końcem sznura utworzył jednolity wirujący krąg, i nagle odrzucił go daleko za siebie, tam gdzie umykała spod śruby zielono-

biała ścieżynka. Ciężarek ze świstem opisywał długi łuk, z zawrotną szybkością uciekały potem z lewej ręki bosmana zwinięte kręgi. W tym wszystkim, a zwłaszcza w fachowym nie-

dbaJstwie, z jakim bosman to róbił, Helena wyczuła szczególną, wyjątkową morską elegancję. Była bardzo wrażliwa na takie szczegóły.

Wreszcie gdy ciężarek, zniknąwszy z oczu, plusnął w wodę daleko za parostatkiem, bosman włożył pozostały w rękę wolny koniec sznura z haczykiem do tylnej ścianki przyrządu.

— A cóż to takiego? — zapytała Helena.

— Log! — odparł ze złością bosman.

Ale gdy się odwrócił i ujrzał jej miłą, dziecienną twarzyczkę, dodał łagodniej:

— To jest log, panienko. Znaczy się, pióro kręci się we wodzie, bo ma skrzydełko, znaczy się, loglina również się kręci. A tu są ząbki i strzałka. My patrzymy, znaczy się, na strzałkę, i wiemy, ile węzłów zrobiliśmy. Bo jak ten brzeg zniknie, to tamten pojawi się dopiero rano. My to nazywamy log, panienko.

Helena była już od dwóch lat mężatką, ale bardzo często mówiono do niej „panienko”, co niekiedy pochlebiało jej, a czasem złościło. Istotnie wyglądała jak osiemnastoletnia dziewczyna z tą swoją szczupłą, gibką figurą, małym biustem i wąskimi biodrami, w skromnym kostiumie z białej szorstkiej tkaniny o żółtym odcieniu, w skromnym angielskim słomkowym kapeluszu z czarną aksamitką.

Pomocnik kapitana, barczysty, rozrośnięty, grubonogi młody brunet w białej krótkiej kurtce ze złotymi guzikami, sprawdzał bilety. Helena zauważyła go już, gdy wchodziła na statek. Stał wtedy na pokładzie z jednej strony trapu, a z drugiej stał chłopiec okrętowy, uczeń szkoły morskiej, szczupły, zręczny i zgrabny chłopak w marynarskiej kurteczce, ruchliwy jak młoda małpa. Obydwaj lustrowali wzrokiem wszystkie wchodzące kobiety i za ich plecami stroili do siebie wesołe miny, kiwając głowami, wskazując brwiami w ich stronę i mrużąc oko. Helena zauważyła to już z daleka. Dreszczem obrzydzenia przejmowały ją takie wschodnie ładne twarze, jaką miał pomocnik kapitana, najwidoczniej Grek, o grubych, stale rozchylnych, jakby obnażonych wargach, o podbródku granatowym od golenia i mocnego zarostu, o cieniutkich wąsikach zakręconych do góry, oczach czarnobrazowych jak przepalone ziarna kawy, spojrzeniu powłóczystym niby w miłosnej ekstazie i bezmyślnie wieloznacznym. Z drugiej strony

218

jednak uważała za poniżające przechodzić w takich przypadkach obok nieznanomych mężczyzn ze spuszczonej oczami, czerwieniąc się i udając, że niczego nie widzi. Dlatego też kiedy przeszła na pokład i gdy zastąpili jej drogę — z jednej strony tenże marynarz, a z drugiej stara gruba kobieta z workami w obu rękach, która zasapana rozpychała się i dreptała w miejscu, Helena obojętnie spojrziała na pewnego siebie bruneta i powiedziała tonem, jakim się mówi do opieszalej służącej:

— Proszę przepuścić.

I z zadowoleniem zauważyła, że pod wpływem jej stanowczego, lekceważącego tonu swawolna zuchowatość natychmiast znikła z jego twarzy i bez oporu odskoczył na bok. <

Teraz podszedł do Heleny, która stała oparta o burtę i zwracając jej bilet, umyślnie — wyczuła to od razu — dotknął gorącą, łaskoczącą skórą swych palców jej dłoni, zatrzymując ją na ułamek sekundy dłużej niż to było konieczne. Potem przeniósł wzrok z jej obrączki na twarz i uśmiechając się przepraszająco, zapytał z wyszukaną uprzejmością: — Przepraszam bardzo. Pani, zdaje się, jedzie z małżonkiem? ^ Nie, jestem sama — odpowiedziała Helena i odwróciła się od niego w stronę burty, patrząc na morze.

Ale w tej chwili zakręciło się jej lekko w głowie, pokład pod nogami wydał się nagle dziwnie chwiejny, a własne ciało nadzwyczaj lekkie. Usiadła na brzegu ławki.

Miasto ledwie bieleło z oddali w złocisto-pylnym blasku i teraz trudno już było uzmysłwić sobie, że jest położone na wzgórzu. Po lewej stronie ciągnął się płasko i nikał w morzu niski różowy brzeg.

III

Pomocnik kapitana parę razy przechodził obok niej, najpierw sam, potem ze swym kolegą, też marynarzem, w kurtce ze złotymi guzikami. I choć nie patrzyła na niego, za każdym razem kątem oka widziała, jak podkręca wąsa i przez dłuższą chwilę taksuje ją topniejącym baranym spojrzeniem czarnych oczu. W pewnej chwili dosłyszała nawet jego słowa, z pewnością powiedziane tak, aby je usłyszała:

219

— Do licha! To jest kobieta! To ja rozumiem!

— Tak, niezła kobita ^ rzekł drugi.

Wstała, aby zmienić miejsce i sięść naprzeciw, ale nogi odmó- -wiły jej posłuszeństwa i zarzuciło ją nagle w bok, w stronę zapasowego kompasu, owiniętego płótnem żaglowym.

Ledwo zdążyła się go uchwycić. Wtedy zrozumiała, że rozpoczęło się prawdziwe, odczuwalne kołysanie. Z trudem dotarła do przeciwległej burty i padła na ławkę.

Ściemniło się. Na samym szczycie masztu zabłysło samotne żółte światło elektryczne i w tym samym momencie na całym parostatku zapłonęły żarówki. Szklana budka nad salonem pierwszej klasy i palarnia ciepło i przytulnie rozświetły światłem. Na pokładzie od razu jakby się ochłodziło. Z tej strony, gdzie siedziała Helena, wiał silny wiatr, drobne słone kropelki. Od czasu do czasu dolatywały do jej twarzy i dotykały ust, ale nie chciało się jej wstawać. Męczące, mdlące uczucie jakiegoś odrażającego łaskotania wzbierało w jej piersiach i żołądku, na czoło występował zimny pot, do ust napływała rzadka gryząca ślina. Pokład podnosił się z wolna dziobem do góry, zatrzymywał się na chwilę w chwiejnej równowadze i zadrżawszy nagle, opadał w dół coraz szybciej, po czym plasnawszy o wodę znów się wzbijał do góry. Zdawało się, że oddycha to nabrzmiwając, to opadając, i w zależności od tych ruchów Helena czuła, jak jej ciało to robi się ciężkie i przywiera do ławki, to znów zyskuje niezwykłą, wstrętą lekkość i chwiejność. I te kolejne przemiany były najokropniejsze ze wszystkiego, co przeszła w życiu.

Miasto i brzeg dawno już zniknęły z oczu. Wzrok swobodnie, bez przeszkód ogarniał kolistą linię zamykającą niebo i morze. W oddali nierównymi pasmami sunęły białe welniste fale, a w dole, koło statku, woda huśtała się długimi chybotliwymi wirami i unosząc się, zwijała w białe pienne muszle.

— Przepraszam panią — usłyszała Helena głos nad sobą.

Obejrzała się i zobaczyła znów tego samego czarniawego pomocnika kapitana. Patrzył na nią zamglonym powłóczystym wzrokiem i mówił:

— Proszę mi wybaczyć, że pozwolę sobie poradzić coś pani. Niech pani nie patrzy w dół, tak jest znacznie gorzej, to powoduje zawroty głowy. Najlepiej patrzeć na jakiś nieruchomy punkt*

Na przykład na gwiazdę. A najlepiej byłoby, gdyby się pani położyła.

— Dziękuję panu, nic mi nie trzeba — powiedziała Helena, odwróciwszy się od niego.

Ale on nie odchodził i mówił dalej przymilnym, pieszczotliwym głosem, w którym brzmiał zwykły ton okrętowego uwodziciela:

— Zechce mi pani łaskawie wybaczyć, że tak podszedłem do pani, nie mając zaszczytu... Ale pani osoba jest mi skądś znana* Czy mógłbym wiedzieć, czy nie jechała pani z nami ostatnim rejssem do Odessy? E-e-e... czy można się dosiąść?

— Dziękuję panu — powiedziała podnosząc się z miejsca i nie patrząc na niego. — Jest pan bardzo troskliwy, ale ostrzegam pana: jeżeli jeszcze raz będzie pan próbował ofiarowywać mi swe rady albo usługi, natychmiast po przyjeździe do Sewastopola zatelegrafuję do Bazylego Edwardowicza, aby pana bezzwłocznie zwolniono z Rosyjskiego Stowarzyszenia Żeglugi i Handlu. Zrozumiano?

Podawała pierwsze lepsze imię i nazwisko, jakie przyszło jej na myśl. Był to stary, zabawny sposób, trick, dzięki któremu uratował się kiedyś jeden z jej przyjaciół od prześladowań szpicla. Zastosowała go teraz prawie bezwiednie i zrobiło to piorunujące wrażenie na prymitywnym umyśle Greka. Zeskoczył szybko z ławki, uniósł nad głową białą czapkę i mimo słabego światła padającego przez szybę nad salonem spostrzegła, że mocno poczerwieniał.

— Na miłość boską... Proszę mnie źle nie rozumieć... Słowo honoru... Czyżby pani pomyślała... Jak Boga kocham...

Ale w tym momencie pokład, który zaczynał osuwać się w dół, raptownie pochylił się w bok, w lewo i Helena byłaby na pewno- upadła, gdyby marynarz nie pochwycił jej zrecznie i delikatnie wpół. W tym objęciu nie było nic rozmyślnego, powiedziała więc nieco łagodniej:

Dziękuję panu, ale niech mnie pan jednak zostawi samą. Niedobrze mi.

Przytknął palce do daszka, powiedział po marynarsku: „Tak jest!” — i odszedł pośpiesznie.

Helena usadowiła się z nogami na ławce, oparła łokcie o bukową poręcz i umieściwszy między nimi głowę zamknęła oczy.

Marynarz stał się nagle w jej oczach wcale nie kimś niebezpiecznym, lecz śmiesznym i żalonym tchórzem. Przypomniały się jej jakieś bzdurne kuplety o kapitanie parostatku, które śpiewał jej brat, Arkadiusz — „zwariowany student”, jak go nazywano w rodzinie. Było to coś o damie płynącej na parostatku do Odessy,

O burzy, która zerwała się nagle, i o morskiej chorobie.

A kapitan był milutki, Zaprowadził do kajutki, Radził się położyć troszkę, Rozpiąć gorset, zdjąć pończoszkę...

■ Przypomniała już sobie motyw i poważną, pociągłą twarz Arkadiusza, błazeńsko wypowiadającego idiotyczne słowa. Innym razem roześmiałyby się na to wspomnienie, ale teraz było jej wszystko jedno, wszystko na świecie wydawało się smutne, nieciekawe i mdłe. Aby się sprawdzić, specjalnie pomyślała o Wasiutyńskim,

O jego kółku, o mężu, o swym ulubionym zajęciu: przepisywaniu dla niego na remingtonie; usiłowała wyobrazić sobie długo oczekiwaną radość ze spotkania z mężem, która była tak oczywista

I błoga tam na brzegu... Nie, wszystko wydawało się jakieś szare, odległe, nie wywołujące wzruszeń. W całym jej ciele i w świadomości pozostał jedynie dotkliwy, drażniący stan półomdlenia. Skóra od stóp do głowy pokrywała się lepkiem zimnym potem. Wilgotne, drętwiejące palce tak osłabły, że nie mogła zacisnąć ich w pięść. Oczekiwała najgorszego i bała się.

Nagle w oczach jej zaćmiło i pozieleniało, drażniące łaskotanie podeszło do gardła, a serce zatrzepotało gdzieś w dole, w żołądku. W ostatniej chwili zerwała się i pochyliła nad burtą.

IV

Na chwilę jakby zrobiło się jej lżej.

— Niech pani lepiej pospaceruje — powiedział do niej ze współczuciem ten sam starszerek, o którego kapelusz Wasiutyński zaradził kwiatami.

Siedział na sąsiedniej ławce i widział, jak Helenę zemdliło. Proszę pochodzić na powietrzu i starać się oddychać jak najwolniej i najgłębiej. To pomaga.

Ale Helena przecząco pokręciła głową i znów położywszy twarz na łokciu zamknęła oczy.

Z trudem udało się jej zasnąć. Przespała chyba ze dwie godziny i obudziła się od raptownego plusku spienionej wody, która wytrysnąwszy zza burty zmoczyła jej włosy i szyję. Była głęboka noc, ciemna, pochmurna, bezksiężycowa i wietrzna. Parostatek przechylał się od dzioba do rufy i z boku na bok. Padał drobny, ukośny deszcz. Na pokładzie było pusto, jedynie w przejściach koło ścian mostka kapitańskiego, gdzie nie docierały krople, leżeli śpiący ludzie.

Za lewą burtą, w nieskończenie dalekiej czerni nocy, jakby na skraju świata, zapłonął nagle ostry biały świetlisty punkt latarni morskiej; zatrzymawszy się na moment, szybko gasł, a po paru chwilach znów się zapalał i znów gasł, i znów się zapalał w równych odstępach czasu. Niejasne tkliwe "uczucie powstało w duszy Heleny.

„Oto — pomyślała — gdzieś w samotności na bezludnym cyplu, pośród nocy i burzy siedzi człowiek, śledząc uważnie te rozbłyski, i kto wie, może właśnie teraz, kiedy ja myślę o nim, on marzy

O sercu, które w tym momencie wiele wiorst stąd, na niewidzialnym parostatku, myśli o nim z'wdzięcznością”.

I przypomniało się jej, jak zeszłej zimy wioził ją z mężem saniami ze stacji Tумы pewny siebie rianzański chłopak. Była noc

I zadyмка. Nie minęło jeszcze pół godziny, a już chłopak zgubił drogę i w trójkę błądzili po jakimś śnieżnym pustkowiu poprzecinanym rowami, krążąc po własnych śladach, świeżo

wyżłobionych w ugorze. Wokoło jak okiem sięgnąć ciągnęła się wciąż ta sama bezbarwna, martwa, biaława mgła, z którą zlewały się śnieg i niebo. Kiedy koń wpadł do rowu, wszyscy troje musieli wysiadać z sań i iść po pas w śniegu. Helenie zdreptały nogi i traciła w nich czucie.

Ogarnęła ją spokojna rozpacz bez gniewu. Mąż milczał w obawie, aby nie udzielił się jej jego własny niepokój. Chłopak na koźle nie poruszył już sznurkowymi lejcami i nie cmokał na konia, który szedł wolnym krokiem z nisko opuszczonym łbem. Nagle chłopak krzyknął radośnie: — Wiecha!

Początkowo Helena nie zrozumiała, o co chodzi, gdyż była po

raz pierwszy w tak zapadłej dziurze. Ale gdy zobaczyła dużą sosnową gałąź sterczącą spod śniegu i drugą, niewyraźnie majaczącą w oddali przez szarą nocną mgłę, i gdy się dowiedziała, że w ten sposób chłopci znaczą drogę na wypadek zamieci, poczuła ciepłe, pełne wdzięczności wzruszenie. Ktoś, kogo z pewnością nigdy w życiu nie zobaczy i nie usłyszy, szedł w dzień tą drogą i troskliwie wtykał po obydwu stronach te prymitywne znaki. Nawet jeśli nie myślał wtedy o zabłąkanych podróżnych, podobnie jak teraz latarnik nie myśli zapewne o wdzięczności kobiety siedzącej przy burcie statku i patrzącej na błyski dalekiego światła, to jednak jaką radość daje zbliżenie się w myślach dwu dusz, z których jedna zostawiła za sobą troskliwy, czuły i bezinteresowny ślad, a druga przyjmuje ten dar z bezgraniczną miłością i czcią.

I z zachwytem pomyślała o wielkich słowach, głębokich myślach, nieśmiertelnych księgach pozostawionych dla potomności;; Czyż to nie są właśnie te same wiechy na zagadkowej drodze ludzkości?

Znajomy stary bosman z czerwonym nosem, ubrany w żółty ceratowany płaszcz z kapiszonem naciągniętym na głowę, z lar tarenką w ręku pośpiesznie przebiegł przez pokład do logu i nachylił się nad nim, oświetlając cyferblat. W drodze powrotnej poznał Helenę i zatrzymał się koło niej.

— Nie śpi panienka? Pokuśtało? Tu zawsze tak. Tarchankut. Najpaskudniejsze miejsce.

— Dlaczego?

— Oho! Tyle awariów tu było. Z jednej strony przyłodek, a z drugiej woda wiruje jak w kotle. Pozostaje tylko wąski przesmyk. I bądź tu mądry, człowieku. Akurat w tym miejscu, gdzie teraz płyniemy, „Władimir” poszedł na dno, jak „Kolumbia” uderzyła go w bok. Od razu zaczął tonąć. I nie znaleziono... Tu jest dziu- rzysko na jakie czterysta sążni...

W górze na kapitańskim mostku zagwizdano. Bosman poderwał się w tamtym kierunku, ale przystając, dodał pośpiesznie:

— Oj, widzę, że panienkę mdli. To niedobrze. Trzeba by possać cytrynkę. Bo inaczej całkiem pani oklapnie. Tak.

Helena wstała i zaczęła iść po pokładzie, cały czas starając się trzymać rękami burty i klamek u drzwi. W ten sposób doszła do pokładu trzeciej klasy. Tutaj we wszystkich przejściach: na bre

zencie pokrywającym luk, na skrzyniach i tłumokach, prawie jedno na drugim, leżeli skłębieni mężczyźni, kobiety, dzieci.

Od czasu do czasu padało na nich światło żarówek i ich twarze wskutek niezdrowego snu i udręczenia morską chorobą wydawały się sine, trupio blade.

Helena poszła dalej. W pobliżu dzioba statku, na wolnej przestrzeni podzielonej linką, stały małe śliczne koniki z wypielęgowaną sierścią, podstrzyżonymi ogonami i grzywami. Wieziono je do Sewastopola do cyrku. Z zalem i wzruszeniem patrzyła, jak biedne, mądre zwierzęta cierpliwie przenoszą ciężar ciała to na przednie, to na tylne nogi, przeciwstawiając się kołysaniu, jak tulą uszy i zezują zdumionymi oczami w tył, na szalejące morze.

Następnie zeszła w dół po krętych żelaznych schodach do drugiej klasy. Tu wszystkie miejsca były zajęte; nawet w jadalni na kanapkach ustawionych wzdłuż ścian leżeli w ubraniu bladzi, jęczący ludzie. Morska choroba zrównała wszystkich i kazała zapomnieć o wszelkiej przyzwoitości. I często noga żydowskiego komiwojażera z opadającym trzewikiem i brudnym rąbkiem wysuwającym się ze spodni prawie dotykała głowy pięknej, wytwornej kobiety.

Ale w dusznym powietrzu zamkniętego ze wszystkich stron pomieszczenia tak odrażająco cuchnęło ludźmi, wyziewem ludzkiego snu, fetorem wymiocin, że Helena pośpiesznie weszła na górę, z trudem wstrzymując nawrót mdłości.

Teraz kołysanie spotęgowało się. Za każdym razem gdy dziób statku, wdarłszy się na fale i przez moment zatrzymawszy się na niej, nagle zdecydowanie, ze wzrastającą szybkością zanurzał się w wodzie, Helena słyszała, jak burty z jękiem pogrążają się w morze i jak syczą wokół statku rozgniewane fale.

I znów zielona wstrętą mgłą przepłynęła przed jej oczami. Czoło zrobiło się zimne, dręczące uczucie omdlewania ogarnęło całą istotę. Pochyliła się nad burtą sądząc, że jak przedtem dozna ulgi, ale widziała tylko ciemną, ciężką przestrzeń w dole, a na niej białe fale, to powstające, to zanikające.

Stan jej był tak męczący, że mimo woli pomyślała: Gdyby istniała możliwość jakoś nagle, natychmiast umrzeć nie ruszając się z miejsca, byle tylko skończyło się to wrażenie powolnego

obrzydliwego umierania — zgodziłaby się zrezygnowana. Ale nie można było przerwać tego stanu siłą, gdyż zabrakło jej zdecydowania i silnej woli.

V

Zbliżał się do niej ten sam pomocnik kapitana. Teraz w pełnej szacunku postawie zatrzymał się w odpowiedniej odległości, dla utrzymania równowagi rozstawiając szeroko nogi i balansując rękami.

— Na miłość boską, niech się pani nie gniewa, nie zrozumie opacznie moich słów — mówił grzecznie, ale naturalnie. — Tak się martwiłem, że pani to źle zrozumiała... Zresztą sam może jestem winien, nie przeczę, ale doprawdy nie mogę patrzeć, jak się pani męczy. Na Boga, niech pani nie odrzuca mojej pomocy. Do rana stoję na wachcie. Moja kajuta jest zupełnie wolna. Bardzo proszę mi nie odmawiać. Jest tam czysta pościel... wszystko, co potrzebne. Przyślę pokojówkę... Niech pani pozwoli sobie pomóc.

Helena nic nie odpowiedziała, ale myśl o możliwości wyciągnięcia się swobodnie na wygodnym łóżku i poleżenia samej nieruchomości choćby przez pół godziny wydała jej się niezwykle przyjemna, prawie radosna. Teraz nie znajdowała już żadnych argumentów przeciw fircykowatej powierzchowności pomocnika kapitana i przeciw jego propozycji.

— Proszę, niech mi pani poda rękę, poprowadzę panią — mówił pomocnik kapitana z łagodną czułością. — Przyślę pani pokojówkę, dostanie pani klucz, jeśli pani zechce, może się pani rozebrać.

Ten Grek miał miły głos, w którym dźwięczała szczerłość i szacunek, właśnie taki ton, który nie budzi żadnych podejrzeń i którym potrafią okłamywać kobiety wytrawni kobieciarze i lubieżnicy, mający w swym życiu mnóstwo lekkich, wesołych i przelotnych związków. W dodatku jej wola zupełnie osłabła, rozplynęła się pod wpływem okropnych ataków morskiej choroby.

— Och, żeby pan wiedział, jak mi ciężko! — wymamrotała z trudem, prawie nie poruszając zimnymi, zdrętwiałymi wargami.

— Chodźmy, chodźmy — powiedział czule i podtrzymując ją jakoś wzruszająco, po bratersku pomógł podnieść się z ławki.

Nie stawiała oporu.

Kajuta pomocnika kapitana była bardzo mała, z trudem mieściło się w niej łóżko i małe biurczko, między którymi tkwiło składane krzesło. Ale wszystko było niezwykle czyste, nowe i nawet kokieteryjne. Pluszowy pasiasty koc na łóżku był do połowy odwinięty, a świeża pościel, bez jednej fałdki, kusila oczy rozkoszną bielą.

Elektryczna lampka w kryształowym klosiku łagodnie świeciła spod zielonego abażura. Koło lustra na składanej mahoniowej umywalce stał wazonik z konwalia i narcyzami.

— Proszę bardzo... Na miłość boską — mówił pomocnik kapitana, starając się nie patrzeć na Helenę. — Proszę się czuć jak u siebie w domu, znajdzie tu pani wszystko, co jest potrzebne do toalety. Mój dom — to pani dom. To nasz marynarski obowiązek — świadczyć usługi płci pięknej.

Roześmiał się z miną, która miała pokazać, że ostatnie słowa nie były niczym więcej niż miłym przyjacielskim żartem, powiedzianym niedbale, a nawet jowialnie przez prostego i serdecznego chłopca.

— A więc niech się pani nie obawia, bardzo proszę — powiedział i wyszedł.

Tylko raz, przez moment, odwróciwszy się w drzwiach, spojrzął na Helenę, ale nawet nie w oczy, tylko gdzieś wyżej, tam skąd wspaniała fala spływały delikatne złociste włosy.

Jakiś instynktowny lęk, jakieś resztki nieufności i rozwagi obudziły się nagle w Helenie, ale w tym momencie podłoga kajuty wyjątkowo silnie podniosła się i jakby potoczyła w bok, a piersi ścisnęło przecucie zbliżającego się omdlenia. Zapomniawszy o swym przelotnym przecuciu usiadła na łóżku i złapała się za jego oparcie.

Gdy jej trochę ulżyło, przykryła łóżko kocem, rozpięła zatrzaski od bluzki, haftki stanika i nieposłuszne haftki krótkiego miękkiego gorsetu, który uciskał jej brzuch. Potem z rozkoszą położyła się na plecach, wtulając głowę w poduszkę i wygodnie wyciągając zmęczone nogi. Od razu poczuła ulgę graniczącą ze szczęściem.

„Odpocznę trochę, a potem się rozbiore” — pomyślała z przyjemnością.

Zamknęła oczy. Przez opuszczone powieki światło lampki miłym ciepłym blaskiem pieściło oczy. Teraz huśtanie statku nie było już tak męczące. Czowała, że jeszcze kilka minut, a kołysanie ukoji ją i zamknie jej oczy lekkim, odświeżającym snem. Trzeba było tylko się nie ruszać.

Ale zastukano do drzwi. Przypomniała sobie, że nie zdążyła ich zamknąć, i zmieszana się. Może to pokojówka? Uniósłszy się na łóżku krzyknęła:

— Proszę wejść.

Wszedł pomocnik kapitana i nagle wyraźne przecucie zbliżającego się koszmaru wstrząsnęło Heleną. Głowę miał spuszczoną, nie patrzył na Helenę, ale nozdrza rozděły mu się i nawet usłyszała jego szybki, głęboki oddech.

— Proszę mi wybaczyć, zapomniałem pisma — rzekł głucho.

Stał pochylony, tyłem do Heleny, i szperał na stole. Błysnęła jej myśl — wstać i natychmiast uciec z kabiny, ale on, jakby odgadując i uprzedzając jej myśli, nagle zręcznym, istic zwierzęcym ruchem, jednym skokiem dotarł do drzwi i zamknął je, dwukrotnie przekręcając klucz.

— Co pan robi! — krzyknęła Helena i bezradnie, dziecinnie klasnęła w ręce.

Łagodnym, lecz niezwykle silnym ruchem posadził ją na łóżku i usiadł obok. Drżącymi rękoma zaczął rozpinać jej bluzkę. Ręce miał gorące i spływała z nich jakaś nerwowa, dziko podniecona siła. Oddychał ciężko, chrapliwie, a na jego poczerwieniałej twarzy nabrzmiewały od nasady nosa dwie żyły rozchodzące się w kształcie V.

— Droga... — mówił urywanym głosem i wyczuwało się w nim trawiącą go ślepą żądzę. — Moja droga... Chcę pani pomóc... Zamiast pokojówki... Nie, nie!... Niech pani nie myśli nic złego... Jakie pani ma piersi... Jakie ciało...

Położył na jej obnażonej piersi gorącą, rozpaloną głowę i bełkotał nieprzytomnie:

— Trzeba się zupełnie rozpiąć, tak będzie lepiej. Na Boga, niech pani nie myśli, że ja coś tam... Jedna chwila... Tylko jedna chwila... Przecież nikt się nie dowie... Dozna pani szczęścia... będzie pani przyjemnie... Nikt się nigdy nie dowie... To przesady...

Broniła się, odpychając rękami jego pierś i głowę, i mówiła ze wstrętem:

— Puść mnie, ty gadzie... Zwierzę... Łajdak... Nikt nie ośmielił się mnie tak dotykać.

W przerażeniu i gniewie zaczęła krzyczeć bez słów, przejmująco, ale on swymi grubymi mokrymi wargami zatkał jej usta. Wiła się, gryzła jego wargi i gdy udawało się jej na chwilę odwrócić twarz, krzyczała i pluła. I nagle znów męczące, wstrętne przedśmiertne uczucie omdlewania obezwładniło ją. Ręce i nogi osłabły, podobnie jak całe ciało.

—Boże, co pan ze mną zrobił! — rzekła cicho. — Popełnił pan coś gorszego niż zabójstwo. Mój Boże! Mój Boże!

W tym momencie zapukano do drzwi. Marynarz, ciągle jeszcze sapiąc, otworzył i do kajuty wszedł wesoły, podobny do zręcznej małpki chłopiec okrętowy, którego Helena widziała w dzień koło mostka.

—Mój Boże! Mój Boże! Mój Boże! — rzekła kobieta, zakrywając twarz rękami.

VI

Nadszedł ranek. W tym czasie gdy w Eupatorii wysiadali ludzie i wyładowywano bagaże, Helenę przebudziła na górnym pokładzie lekka wilgoć porannej mgły. Morze było spokojne, łagodne. Słońce różowiało przez mgłę. Daleka, płaska linia brzegu lekko żółciła się przed statkiem.

Dopiero teraz, gdy stopniowo wracała jej mglista świadomość, w pełni uzmysłowiła sobie grozę i hańbę minionej nocy. Przypomniała sobie pomocnika kapitana, potem jungę i znów pomocnika kapitana. Przypomniała sobie, jak ordynarnie, z nie ukrywanym wstrętem

prymitywnego, przesyconego mężczyzny wyprowadzał ją ten przystojny Grek ze swojej kajuty. I to wspomnienie było najcięższe ze wszystkiego.

Statek zatrzymał się na trzy godziny w Sewastopolu, przez ten czas długie posłuszne ramiona dźwigów wyładowały i załado

wywały tłumoki, beczki, stopy żelaznych belek, jakieś marmurowe płyty i worki.

Mgła się rozwiała. Uroczą okrągłą zatoką okolona żółtymi brzegami leżała nieruchomo, Zwinne białe i czarne kutry lekko marszczyły jej powierzchnię. Szybko mknęły białe łodzie floty wojennej z ukośnym krzyżem św. Andrzeja na rufie. Marynarze z odsłoniętymi szyjami wszyscy równocześnie odchylali się do tyłu, wyciągając wiosła z wody.

Helena zeszła na brzeg i sama nie wiedząc po co, objechała miasto elektrycznym tramwajem. Całe górzyste, kamienne, białe miasto wydawało się puste, wymarłe i można by sądzić, że nikt tu nie mieszka oprócz oficerów marynarki, marynarzy i żołnierzy. Przypominało to miasto zdobyte przez wroga.

Posiedziała trochę w miejskim ogrodzie, patrząc obojętnie na trawnik, palmy i przycięte krzewy, obojętnie słuchając orkiestry grającej w rotundzie. Potem wróciła na statek.

O pierwszej po południu statek odbił od brzegu. Dopiero wtedy, po wspólnym śniadaniu. Helena potajemnie, prawie skradając się, zeszła do salonu. Jakieś upokarzające uczucie wbrew woli zmuszało ją do unikania ludzi i przebywania w samotności. Musiała się zdobyć na wysiłek, żeby wyjść na pokład po śniadaniu. Do samej Jałty przesiadła przy burcie, oparłszy twarz o poręcz.

Niski, żółty, piaszczysty brzeg stopniowo zaczął się podwyższać i pojawiły się gdzieś tam rzadkie ciemne krzaki. Któryś z pasażerów siedział obok Heleny i jak z książki opowiadał, umyślnie tak głośno, aby go słyszano, o tych okolicach, ku którym płynął statek, a ona bez jakiegokolwiek zainteresowania, przygnębiona koszmarem i grozą wczorajszego wydarzenia, czując się od stóp do głowy jak wytarzana w cuchnącym błocie, ze znudzeniem patrzyła na przesuwające się przed nią piękne okolice Półwyspu Krymskiego. Oto przylądek Violent, czerwony, stromy, ze spiczastymi głazami, w każdej chwili gotowymi runąć w morze. Kiedyś stała tam świątynia krwiożerczej bogini — składano jej ofiary z ludzi, a ciała jeńców strącano w dół z urwiska. Została w tyle Bałakława z ledwo widocznymi zarysami zniszczonej genueńskiej wieży na górze, kosmaty przylądek Aja, kędzierzawy Laspi, Foros z bizantyńską cerkwią stojącą wysoko, jak na tacy, z wieńczącymi górę Bajdarskimi Wrotami. A tam, pośród gęstej zieleni ogrodów i parków, pomiędzy zygzakami białej drogi rozciągały się białe letniska, piękne wille, górskie wioski tatarskie z płaskimi dachami. Morze rozpościerało się łagodnie wokół statku; w wodzie baraszkowały delfiny.

Mocno, świeżo, radośnie pachniało morskie powietrze. Ale nic nie cieszyło oczu Heleny. Miała takie uczucie, jakby nie ludzie, ale jakaś wyższa, wszechpotężna, złowroga i szydercza istota nagle bezsensownie zagarnęła i splugawiła jej ciało, skalala myśli, złamała dumę i na zawsze pozbawiła ją spokojnej, ufnej radości życia. Nie wiedziała, co robić, i dumiała tak samo apatycznie i obojętnie, jak obojętnie patrzyła na brzeg, niebo, morze.

Teraz wszyscy pasażerowie tłoczyli się przy lewej burcie. W pewnym momencie Helena przelotnie ujrzała w tłumie pomocnika kapitana. Szybko odwrócił od niej wzrok i tchórzliwie skrył się za mostkiem. Ale zarówno w jego szybkim spojrzeniu, jak i w dreszczu, który wstrząsnął jego ciałem pod białą kurtką, odczuła głęboką odrazę, wstręt do niej. I w tym momencie zrozumiała, że na wieki, do końca życia jest z nim związana i absolutnie zrównana.

Minęli Ałupkę z obszernym zielonkawym pałacem w stylu mauretańskim i ze wspaniałym parkiem; cały zielony, ukwiecony Mischor, biały, zupełnie jak wyrzeźbiony z cukru: Dżulber i „Jaskółcze Gniazdo” — czerwony szkaradny budynek z wieżą, uczepony samej krawędzi urwistej skały opadającej ku morzu.

Dopływano do Jałty. Cały pokład był teraz załadowany bagażami. Nie sposób było się poruszyć. W tym owczym pędzie, jaki zawsze ogarnia ludzi na statkach, kolejach i na dworcach przed wsiadaniem i wysiadaniem, pasażerowie stali się niespokojni i nieżyczliwi

wobec siebie. Helenę często potraćano, deptano jej po nogach i sukni. Nie odwracała się. Teraz zaczynał ogarniać ją lęk przed mężem. Nie mogła sobie wyobrazić, jak odbędzie się ich spotkanie, co mu powie? Czy wystarczy jej odwagi na wyznanie całej prawdy? Co on zrobi? Przebaczy? Rozgniewa się? Zlituje się czy odepchnie jak zwykłą oszustkę i rozpustnicę?

Za każdym razem, gdy wyobrażała sobie moment, w którym zdecyduje się wreszcie odsłonić przed nim swą biedną, oplutą duszę, bladła i zamykając oczy nabierała głęboko powietrza w płuca. Bujny park Oreandy, szlachetne ruiny pałacu Marmurowego,

czerwony pałac Liwadii, regularne rzędy winnic w ogrodach i wreszcie zamknięty podkową gór wesoły pstrokaty amfiteatr Jałty, złote kopuły soboru, delikatne, smukłe ciemne cyprysy, podobne do czerwonych wąskich wrzecion, kamienny bulwar, a na nim jak zabawki ludzie, konie, pojazdy.

Powoli i ostrożnie zawracając w miejscu, statek przybił do przystani. Wtedy tłum ludzi w ordynarnym owczym pędzie runął po trapie na brzeg, tłocząc się i popychając. Helena poczuła głęboki wstręt do tych wszystkich czerwonych męskich karków, do zdenerwowanych, złych, pospiesznie upudrowanych kobiecych twarzy, spoconych rąk, groźnie zgiętych łokci. Zdawało się jej, że w każdym z tych nie wiadomo dlaczego rozszalałych ludzi siedzi ta sama bestia, która ją wczoraj zniszczyła.

Dopiero wtedy, gdy tłum się przewalił i pokład opustoszał, podeszła do burty i natychmiast zobaczyła męża. I nagle wszystko: granatowa jedwabna koszula w stylu ludowym, przepasana szeroką krawędzią, wypuszczona na spodnie, biały filcowy kapelusz z szerokim rondem, nagminnie noszony przez wszystkich socjaldemokratów; niski wzrost, okrągły brzusek, złote okulary, mrugające od słońca oczy, grymas wokół ust, wszystko wydało jej się w nim nieskończenie swojskie, a jednocześnie jakoś wrogie i niemiłe. Ach, czemu nie zadepeszowała z Sewastopola, że odchodzi na zawsze: napisałaby po prostu, bez żadnego wytłumaczenia.

Ale zobaczył ją już z daleka, wymachiwał kapeluszem i wysoko podniesioną laską.

VII

Późno w nocy wstała ze swego łóżka oddzielonego od łóżka męża nocną szafką, nie zapalając światła siadła przy nim w nogach i ostrożnie go dotknęła. Podniósł się natychmiast i wyszeptał z przerażeniem:

— Co ci jest, Helciu? Coś ty?

Był zmieszany i bardzo zaniepokojony jej dzisiejszym napiętym milczeniem i choć tłumaczyła się bólem głowy po morskiej chorobie, czuł w jej zachowaniu jakiś smutek czy tajemnicę. W ciągu dnia nie męczył jej pytaniami myśląc, że czas wszystko wyjaśni. Ale i teraz, będąc jeszcze na krawędzi snu i szarej prozy życia, gdzieś w mrocznych zakamarkach duszy wyczuł bezbłędnie, że teraz zdarzy się coś wulgarnego, strasznego, co może się zdarzyć tylko raz w życiu.

Obydwa okna były otwarte na oścież. Słodko, aż do mdłości, pachniały niewidzialne glicynie. W parku miejskim grała orkiestra smyczkowa, jej dźwięki wydawały się piękne i smutne.

— Sergiuszu, wysłuchaj mnie — rzekła Helena. — Nie, nie zapalaj świecy — dodała pospiesznie, słysząc, jak potrząsnął pudełkiem zapalek. — Tak będzie lepiej... bez światła... To, co ci powiem, będzie dla ciebie niezwykle, nieznośnie ciężkie, ale nie mogę inaczej, muszę cię wypróbować... Wybacz mi!

Trochę widziała go w ciemności dzięki białej koszuli. Znalazł po omacku szklanekę i karafkę i usłyszała, jak dygocze szkło. Słyszała, jak pije wodę wielkimi, głośnymi łykami.

— Mów, Helenko — rzekł szeptem.

— Słuchaj! Powiedz mi, co byś zrobił albo powiedział, gdybym przyszła do ciebie i powiedziała: „Drogi Sergiuszu, otóż ja, twoja żona, która nikogo nie kochała oprócz ciebie, nikogo nie pokocha poza tobą, właśnie ja dzisiaj zdradziłam cię. Zrozum mnie: zdradziłam całkowicie, aż do tej ostatecznej granicy, jaka w ogóle jest możliwa między mężczyzną a kobietą”. Nie, nie spiesz się z odpowiedzią. Zdradziłam cię nie potajemnie, nie ukradkiem, lecz niechcący, wskutek zbiegu okoliczności... Przypuśćmy, że to był kaprys histerycznej natury, niezwykła, niepohamowana żądza, wreszcie przemoc ze strony pijanego człowieka... Jakiegoś oficera piechoty... Drogi Sergiuszu, nie wykręcaj się i nie uchylaj od odpowiedzi,

nie powstrzymuj mnie, tylko odpowiedz bez ogródek. I pamiętaj, że zrobiwszy to, ani przez moment nie przestałam cię kochać nad życie.

Milczał chwilę, pokręcił się trochę na łóżku, znalazł jej rękę, chciał ją uścisnąć, ale wyrwała się.

— Helenko, przestraszyłaś mnie, nie wiem, co mam ci odpowiedzieć, naprawdę nie wiem. Przecież gdybyś pokochała innego, powiedziałaabyś mi, nie oszukiwałaabyś mnie, przyszłabyś do mnie i rzekła: „Sergiuszu! Obydwoje jesteśmy wolnymi i uczciwymi ludźmi, przestałam cię kochać, Kocham innego, wybac i rozstańmy się”. Na pożegnanie pocałowałbym cię w rękę i powiedziałbym:

„Dziękuję ci za wszystko, co mi dałaś, błogosławię twe imię, pozwól mi tylko zachować naszą przyjaźń”.

— Nie! Nie... to nie to, wcale nie to... Nie pokochałam, tylko zwyczajnie, ordynarnie cię zdradziłam. Zdradziłam, bo nie mogłam nie zdradzić, bo to nie była moja wina.

— Ale podobał ci się? Czy odczułaś słodycz miłości?

— Ależ nie, nie! Sergiuszu, cały czas wstręt, głęboki, nieprawdopodobny wstręt? No więc powiedz, gdyby na przykład mnie zgwałcono?

Przyciągnął ją do siebie ostrożnie — nie stawiała teraz oporu. Mówił:

— Droga Helenko, po co o tym myśleć? To tak jakbyś zapytała, czy przestanę cię kochać, gdyby nagle ospa zeszpeciła ci twarz albo pociąg odciął nogę. Tak samo i to. Jeżeli zgwałcił cię jakiś łajdak — Boże, wszystko jest możliwe w dzisiejszych czasach — wziąłbym cię, położył twoją głowę na swej piersi, o tak, pak to robię teraz, i powiedziałbym: „Moje drogie, skrzywdzone, biedne dziecko, lituję się nad tobą jak mąż, jak brat, jak jedyny przyjaciel i pocałunkiem zmywam hańbę z twego serca”.

Milczeli długo, potem Sergiusz powiedział:

— Opowiedz mi wszystko!

I zaczęła tak:

— Wyobraź sobie... Ale pamiętaj, Sergiuszu, że to tylko na niby... Przypuśćmy, że w nocy na statku chwycił mnie gwałtowny atak morskiej choroby... — I szczegółowo, nie opuszczając najdrobniejszych faktów, opowiedziała mu wszystko, co jej się przydarzyło tamtej nocy. Opowiedziała nawet o tym wstrząsającym i nadal nieskończenie męczącym dla niej uczuciu, które ovladnęło ją w obecności młodego jungi. Ale przez cały czas w swój monolog wplatała słowa: „Słyszysz, to tylko przypuszczenie! Nie myśl, że to się zdarzyło, to tylko przypuszczenie. Zmyślam najgorsze rzeczy, jakie tylko mogę sobie wyobrazić”.

Kiedy zamilkła, rzekł cicho i niemal uroczyście:

— A więc to'było? Było? Ale nie mam prawa ani cię osądzać, ani wybaczać. Twojej winy jest tu tyle, co w głupim, bezsensownym śnie, który by ci się przyśnił. Daj mi rękę!

I pocałowawszy ją w rękę, zapytał ledwie dosłyszalnie: — Czy tak było, Helenko?

BIS ^{kochan-y-} ^{Jestem} tak nieszczęśliwa, tak głęboko nieszczęśliwa. Dzięki ci za to, że mnie pocieszyłeś, że nie zraniłeś mi serca. Nie wiem, czym ci się w życiu odwdzięczę za tę jedną chwilę!

Gorzko i radośnie płacząc, przytuliła się do jego piersi. Dygotały jej nagie ramiona, łzy zraszały koszulę męża. Delikatnie, powoli gładził jej włosy.

—Kładź się, kochanie, prześpij się, odpocznij. Obudzisz się jutro rześka i będzie ci się zdawało, że to był jakiś odległy sen.

Helena położyła się. Minał kwadrans. Omdlewająco, ckliwie pachniała glicynia, bajecznie pięknie dźwięczała z dala orkiestra, ale mąż i żona nie mogli zasnąć. Starali się jednak nie niepokoić, leżeli z otwartymi oczami usiłując się nie wiercić, nie oddychać, nie kaszleć, a obydwójce wiedzieli, że drugie nie śpi.

Nagle jednak Sergiusz zerwał się z łóżka i zapytał z przerażeniem:

Helenko! A dziecko? A jak będzie dziecko?

Po dłuższej chwili spytała bezgłośnie:

— Znienawidziłyś je?

— Nie znienawidzę. Wszystkie dzieci są cudowne, mówiłem ci to już sto razy i wierzę — nie tylko w słowach, ale całą duszą — że nie ma różnicy między miłością do swojego albo cudzego dziecka. Zawsze powtarzałem, że zachłanna miłość macierzyńska to prawie przestępstwo, że kobieta, która dla uchronienia swego dziecka przed zwykłą gorączką przystałaby z radością na śmierć setki cudzych, nie znanych jej dzieci — taka kobieta jest przerażająca, choć może być cudowną albo, jak się to mówi, „świętą” matką. Dziecko, które

byś urodziła w tej sytuacji, byłoby i moim dzieckiem, ale, Helenko... Ten człowiek przeżył zapewne w swym życiu tysiące podobnych przygód. Pewnie poznał wszystkie ohydne choroby... Kto wie... Może ma we krwi dziedziczny alkoholizm... syfilis... I to jest najstraszniejsze, Helenko.

Odpowiedziała znużonym głosem:

— Dobrze, zrobię wszystko, czego zażadasz. ¹ Znow zapadło milczenie i przeciągało się. Zaczął nieśmiało:

— Nie chcę cię okłamywać, muszę ci wyznać, że tylko jedna sprawa ranie męczy: że poznałaś fizyczne szczęście nie ze mną,

ale z jakimś typem spod ciemnej gwiazdy. Och, czemuż to się stało? Gdybym cię nie poznał jako niewinną dziewczynę, byłoby mi wszystko jedno, ale tak... kochanie... — głos jego przybrał błagalny ton i zadrżał — ale przecież może to się wcale nie stało? Ty mnie przecież chciałaś wypróbować?

Zaśmiała się nerwowo, głośno.

— Czy ty myślisz serio, że mogłam cię zdradzić? Oczywiście, chciałam cię tylko wypróbować. Ale już wystarczy. Zdałeś egzamin, możesz spać spokojnie i mnie też nie przeszkadzaj spać.

— A więc to prawda? Prawda? Moja kochana, ubóstwiana, cudowna Helenko! O, jakież ze mnie głupiec, niemal ci uwierzyłem. "Więc nic nie było, Helenko?"

— Nic — odpowiedziała głucho.

Powiercił się chwilę i zasnął.

Ale rano przebudził go jakiś szelest. W pokoju było widno. Helena, blada po bezsennej nocy, zmizerowana, z ciemnymi podkowami wokół oczu, z suchymi spękanyymi wargami, już prawie ubrana, pośpiesznie kończyła toaletę.

— Gdzie się wybierasz, kochanie? — zapytał niespokojnie.

— Zaraz wracam — odrzekła. — Rozboliła mnie głowa. Przejdę się, a po śniadaniu położę się spać.

Przypomniał sobie wczorajsze zwierzenia i wyciągając do niej Tęce powiedział:

— Ale mnie przestraszyłaś, moja kochana, niedobra żonko. Gdy- Tjyś wiedziała, co zrobiłaś z moim sercem. Przecież taka potworność stanęłaby między nami na całe życie. Ani ty, ani ja nie moglibyśmy o tym zapomnieć. Nieprawdaż? To wszystko: pomocnik kapitana, junga, morska choroba, to wszystko twój wymysł, prawda?

Odpowiedziała spokojnie, sama się dziwiąc, jak ona, zawsze i dumna ze swej wrodzonej prawdomówności, może tak naturalnie i swobodnie kłamać.

— Oczywiście że wymysł. Po prostu pewna pani opowiadała I w kajucie o takim zdarzeniu, które faktycznie zaszło kiedyś na I statku. Tak się przejęłam tą opowieścią, że wyobraziłam sobie I siebie na miejscu tej kobiety, i ogarnęło mnie takie przerażenie i na myśl, że znenawidziłbyś mnie, gdybym była na jej miejscu, I że całkiem straciłam głowę... Ale, dzięki Bogu, już jest po wszystkim.

— Oczywiście że po wszystkim — przytaknął uradowany i zupełnie uspokojony. — Boże! Zresztą gdyby się to jednak zdarzyło, czy byłabyś gorsza w moich oczach? Co za bzdura!

Wyszła. Znowu zasnął i spał do dziesiątej. O jedenastej zaczął się niepokoić jej nieobecnością, a w południe chłopiec z jakiegoś hotelu, w czapce obszytej galonami i z mnóstwem złotych guzików na kurtce, przyniósł mu krótki list od Heleny:

„Odpływam z powrotem do Odessy statkiem odchodzącym o dziewiątej godzinie. Nie chcę przed tobą ukrywać, że jadę do Wasiutyńskiego: oczywiście rozumiesz, co będę robić już do końca życia. Jesteś jedynym i ostatnim mężczyzną, którego kochałam, ponieważ miłość mężczyzn przestała dla mnie istnieć. Jesteś najcnotliwszym i najszlachetniejszym człowiekiem spośród wszystkich znanych mi ludzi. Ale i ty także okazałeś się, jak wszyscy, nędznym, podejrzliwym egoistą w miłości, nieufnym i upokarzająco zazdrośnym. Nie wątpię, że wcześniej czy później zetkniemy się na polu działalności, która pozostanie dla mnie jedynym sensem życia. W imię naszej dawnej miłości proszę cię: żadnych pytań, wyjaśnień, wyrzutów czy prób zbliżenia. Sam wiesz, że nie zmieniam swych decyzji.

Oczywiście opowiadanie o statku to całkowity wymysł.

Helena".

Przełożyła Henryka Pikrdska

Beczka po winie

W tamtym roku sezon jałtański był szczególnie ludny i wspaniały. Zresztą należy powiedzieć, że w Jałcie istnieje nie jeden sezon, lecz aż trzy: perkalowy, jadwabny i aksamitny* Perkalowy jest najdłuższy, najcichszy i najmniej ciekawy. Tworzą go zwykle przyjezdni studenci, kursistki, urzędnicy średniej rangi, a przede wszystkim chorzy. Tacy nie jeżdżą konno, nie piją szampana, nie flirtują z przewodnikami, osiedlają się gdzieś nad Jałtą: w Autce, w Aj-Wasyłu czy Derykeju albo w tatarskich wioskach, a ich główną słabością jest posyłanie do domu, na Północ, pocztówek z widokami Jałty i z entuzjastycznymi opisami piękności Krymu. W ogromnych, niezgrabnych dylizansach „Bebeszy” jeżdżą oglądać okolice: leśnictwo Ucz-Kosz, Aj-Petry, Uczan-Su, Simeiz, Suuk- -su, Gurzuf, Ałupkę i inne. Stali mieszkańcy, Tatarzy, których głównym zajęciem jest wysysanie krwi z turystów, patrzą na tę publiczność z góry i traktują ordynarnie i lekceważąco.

Rozumie się samo przez się, że sezon jedwabny jest strojnniejszy i bogatszy. Na publiczność tego sezonu składają się: kupiectwo wyższego rodzaju niż średni, szlachta prowincjonalna, urzędnicy co wyżsi i tak dalej. Tu już życie rozpościera się szerzej: wiele osób jeździ w góry konno, ale przed zamówieniem konia dość długo się jednak targują. W kursalu miejskim zaczynają się bale, a w parku wieczorami gra doskonała orkiestra smyczkowa. W hotelach prawie wszystkie pokoje są zajęte i ceny na wszystko co potrzebne i niepotrzebne wzrastają dwukrotnie lub trzykrotnie.

Ale sezon aksamitny! O, to są złote dni dla Jałty, a może i dla całego wybrzeża krymskiego. Trwa on nie więcej niż miesiąc i zazwyczaj przypada na Wielki Tydzień wraz z Wielkanocą i tygodniem poświęconym. Jedni przyjeżdżają po to, by uniknąć smutnej konieczności składania wizyt, drudzy w charakterze nowożeńców odbywających podróż poślubną, a inni ~ tych jest większość — dlatego, że jest to modne, że w tym czasie do Jałty zjeżdża się najznakomitsze, najbogatsze towarzystwo, że można zabłysnąć toaletami i urodą, zawrzeć korzystne znajomości. Przyrody oczywiście nikt nie dostrzega. A trzeba powiedzieć, że właśnie o tej wiosennej porze Krym, cały w białoróżowej ramie kwitnących jabłoni, grusz migdałowców, moreli i brzoskwiń, jeszcze nie zakurzony, nie cuchnący, odświeżony czarodziejskim morskim powietrzem — jest naprawdę przepiękny.

W tym czasie letnicy już się nie targują z Tatarami, lecz po prostu najmują konie pod wierzch i przewodnika na cały sezon. O ceny nigdy nie pytają. Zamawiają z góry telegraficznie kilka pokoi w najszykowniejszych hotelach i sypią złoto garściami na prawo i na lewo z tak miłą bezceremonialnością, jakby się bawili kamykami na plaży.

Otóż w jednym z tych aksamitnych sezonów, który dzięki jego blaskowi autochtoni wspominają niemal po dziś dzień, do Jałty przyjechał Ignacy Leszedko, wiceprokurator z Petersburga, młody człowiek, ustosunkowany, który zwrócił już na siebie uwagę (mimo młodego wieku zdążył „wlepić” trzydzieści sześć wyroków śmierci) i raczej nie skrepowany materialnie. Jakimś szczęśliwym trafem udało mu się zdobyć pokój w najszykowniejszym hotelu — „Rosja”, wprawdzie na samej górze, lecz ile warta jest sama marka hotelu!

Prędko nawiązał znajomości. Tak prędko, jak to bywa tylko w Jałcie: dwie-trzy osoby, z którymi spotkał się w towarzystwie, chociaż mimochodem, jeden milioner, właściciel kopalni złota, którego Leszedko zeszedł zimy oskarżył — i, trzeba dodać, bez sukcesu ^ i sławny śpiewak, który wprawdzie przy pierwszym spotkaniu nie poznał prokuratora, lecz udał, że się bardzo ucieszył | z miłym aktorskim uśmiechem, mocno ściskając rękę Leszedki, zapiał:

— A jakże, a jakże, łaskawco, pewnie, że poznaję. Cieszę się, .Ogromnie się cieszę, że pana widzę. No, co nowego? Ach przepraszam, na miłość boską przepraszam: zapomniałem imienia. Ach

tak! No oczywiście, pan Ignacy. Właśnie chciałem się odezwać do pana, ale wie pan, bałem się, że przekreślę... to by było niemiłe, niezręczne.

Były w Jalcie także dwie szykowne petersburskie kokoty, znane prokuratorowi z „Niedźwiedzia”, „Akwarium”, i „Ernesta”, Mańka Kudłatka i Nadźka Drama, ale nie uważał za potrzebne witać się z nimi i przy spotkaniu zawsze bojaźliwie odwracał wzrok albo zaczynał przyglądać się uważnie wystawom sklepowym. A kiedy zdarzało mu się w czasie przypadkowych spotkań z nimi być w towarzystwie znajomej damy, aż zamierał i drżał ze strachu. W samej rzeczy, cóż znaczyło dla tych zuchwałych istot nagłe krzyknąć w ślad za nim:

— Cześć, Ignac! To wstyd nie poznać swoich przyjaciół. Przypomnij sobie, jak to nie zapłaciłeś Zince stu rubli przegranych w zakładzie!

A drżał przede wszystkim dlatego, że był w tym czasie zajęty prześliczną kobietą, baronową Mentzendorf, trzydziestoletnią wdową, bujną piękną, narwaną, kapryśną i dziecinną. Trudno powiedzieć, czy była to miłość. Któż może wiedzieć, co dzieje się w duszy współczesnych młodych ludzi, a zwłaszcza wiceprokuratorów robiących wielką wybitną karierę. Najpewniej by było założyć, że była w tym częściowo zmysłowość, częściowo ambitna przyjemność pokazywania się w towarzystwie olśniewającej światowej damy, która swoimi toaletami od Paolina, nazwiskiem, efektowną urodą i ujmująco wdzięczną ekscentrycznością zdobyła zaszczytne miano królowej sezonu, a częściowo — kto wie? — i miliony pięknej baronowej też miały jakąś siłę przyciągania.

Codziennie odbywały się pikniki, kawalkady, jazdy konno lub w leciutkich plecionych kolaskach. Leszedko czuł, że baronowa patrzy na niego życzliwie i zarysowuje się między nimi leciutki, niewinny flirt. Zdawało się, los jawnie uśmiecha się do niego, ale trzy rzeczy niepokoiły prokuratora.

Pierwszą z nich było to, że niepewnie trzymał się w siodle. Stojąc na ziemi prezentował się dobrze, był może nawet przystojny: słusznego wzrostu, smukły, w granatowych obcisłych rajtuzach, w kaszkiecie, w śnieżnobiałym krótkim mundurze, niemal odsłaniającym mu zadek, w pince-nez na nosie, z pejcem w ręku, którym nonszalancko uderzał po lakierowanych butach, ze swą

wypielegnowaną twarzą rasowego szczeniaka. Ale w siodle definitywnie tracił prezencję. Jeszcze kiedy koń szedł stępą, udawało mu się, naśladować znajomych oficerów kawalerii gwardyjskiej, przybrać sztuczną, ale stosunkowo przyzwoitą postawę, ale kiedy kawalkada przechodziła w kłus albo w galop, dusza prokuratora szła w pięty, czapka zjeżdżała na kark, łokcie dyndały jak u wiejskich chłopaków, którzy pędzą na nocny popas na nieosiodłanych kłaczach, nogi to grzęzły w strzemionach aż po obcasy, to znów całkiem wyskakiwały ze strzemion i był zmuszony mimo woli chwycić za grzywę. „A niech to diabli! — myślał w tych trudnych chwilach, 7- Co za głupota tak pędzić jak szaleni! Nie mamy gdzie się spieszyć — nie pali się. Naprawdę głupia fanaberia!”

Najprzykrzejsze było to, że baronowa Anna bezceremonialnie i głośno śmiała się z jego „swoistego”, jak powiadała, stylu jazdy konnej. Co prawda ona właśnie na balach wybierała jako stałego partnera Leszedkę, który, trzeba mu oddać sprawiedliwość, tańczył niewymuszenie, z wielką lekkością i poruszał się nader wytwornie.

Druga przykreść polegała na tym, że nigdy mu się nie udawało pozostać sam na sam z uroczą baronową. Była zawsze otoczona młodzieżą, ludźmi w średnim wieku, a nawet szacownymi starcami, a była to sama śmietanka gości jałtańskich. Jakkolwiek się starał Leszedko urwać choćby kilka minut sekretnej i płomiennej rozmowy z panią Anną, nigdy mu się to nie udawało. A trzecie zmartwienie, najważniejsze, polegało na tym, że świta baronowej, niewolniczo posłuszna jej fantastycznym pomysłom, prowadziła szalenie

kosztowny tryb życia i Leszedko mimo woli tak gorliwie im dorównywał, że zdawało się lada chwila pękną mu żyły lub kości wyjdą, ze stawów. A sezon tymczasem coraz rósł w siłę i ceny na wszystko rosły z taką szybkością, jak rtęć w termometrze trzymanym nad palącą się lampą.

„Nie — rozmyślał niekiedy Leszedko pijąc poranną kawę, przeglądając rachunki restauracyjne i zajmując się szlifowaniem swoich paznokci — nie, do diabła! Idę niewłaściwą drogą. Trzeba koniecznie zrobić coś śmiałego, bohaterskiego, niezwykłego, co zawsze tak podbija marzycielskie serca kobiet! Ale co? co?”

*

Pewnego razu przybiegł z dołu boy w brązowej kurtce dosłownie usianej złotymi guzikami.

— Dla pana bilecik od pani baronowej. .

Pierwszy raz się zdarzyło, że pani Anna napisała do niego. Z pewnym przejęciem rozdarł długą kopertę z herbem w lewym górnym rogu, wciągnął w siebie, rozdymając nerwowo nozdrza, niepokojący aromat, którym tchnął złożony na pół arkusik bristolu ze złotym kantem i przeczytał co następuje:

„Proszę wpaść do mnie na chwilę. Mam dla pana bardzo interesującą propozycję”.

W salonie pani Anny zastał jeszcze jednego gościa, i od razu radość jego duszy zgasła. Był to najpopularniejszy człowiek w całej Jałcie, Jakub Kalinowicz, bardzo fortunny lekarz, a także doskonały literat o nieco tendencyjnym, ale szlachetnym pokroju. Prócz tego był to nieznużony piechur. Gdy tylko udało mu się urwać kilka wolnych dni, ruszał w drogę takimi ogromnymi krokami, że nie dopędziłby go nawet koń pocztowy, a po drodze cały czas mówił do siebie: „Tak. Nie. Głupio. Tak. Niesłusznie. Do diabła!” I walił przy tym laską w przydrożne kamienie.

Dzięki tej namiętności do wędrówek znał wszystkich i wszyscy znali jego. Na całym krymskim wybrzeżu, od Sudaka do Bałakła- wy, wszyscy szanowali go jako doświadczonego lekarza, lubili jako uczciwego i wrażliwego pisarza, ale mało ktenie przedrzeźniał jego zwyczaju jąkania się podczas--namiętnych sporów ideowych i wyciągania przy tym brody z kołnierzyka i wysuwania rąk z mankietów. Siedział na niziutkim miękkim pufie, przy czym kolana jego -długich nóg^ piechura stykały się niemal z podbródkiem. Przywitawszy się z Leszedką, z którym znali się już od dawna, doktor Kalinowicz kontynuował rozpoczęty wcześniej teinat:

— Więc pani się zgadza? No to nie odkładajmy sprawy ad ca- lendas graecas. Po co robić jutro to, co można zrobić dzisiaj? Nawiasem mówiąc, jestem za-zaproszony właśnie na dzisiaj. Oczywiście pani może zawsze po-pojechać sama. Bez wątpienia wszyscy winiarze przyjmą panią z otwartymi ramionami, a w dodatku na klęczkach. Ja, jeżeli pani pozwoli, z przyjemnością będę jej to-to- warzyszył. Ale dziś jest całkiem wyjątkowa sprawa. Udało mi się kiedyś wyleczyć żonę zarządcy piwnicy z dość ciężkiej choroby. Odtąd ten Niemiec już ze dwadzieścia razy namawiał mnie, by przyjechać i obejrzeć jego piwnice. Wciąż mnie kusił jakimś nie- jzwyczajnym winem, pozostałym jeszcze z czasów, kiedy masandryj- skie piwnice nie należały do rządu, lecz stanowiły własność prywatną. Od tego czasu zostało tylko kilkadziesiąt butelek najznakomitszych win. Winiarze nazywają ten zbiór po prostu „Muzeum "Woroncowa"-. Nawet najbardziej rozpieszczony degustator uważa możliwość wypicia takiego wina za ogromny zaszczyt. A i prócz "tego zobaczymy tam mnóstwo ciekawych rzeczy. No i co, zgoda, precudna?

Po godzinie spore towarzystwo, jedni konno, drudzy w powozach, mknęło po masandryjskiej drodze wzbijając klęby białego gorącego kurzu. Droga biegła cały. czas pod górę, obramowana 2 obu stron zwartym szpalerem krymskich „kamiennych" dębów, obrosłych bluszczem. Wkrótce przybyli do Massandry i wjechali na szeroki dziedziniec zakładu winiarskiego. Powitali ich prawie wszyscy pracujący tam urzędnicy właściwego resortu. Popularność doktora i urok baronowej sprawiły, że wszyscy na wyścigi starali się pokazać kompanii wszystko co godne obejrzenia w Massandrze: tunel sięgający niemal na wiorstę w głąb góry, gdzie zimą i latem jest jednakowa temperatura, która nie waha się nawet o jedną setną stopnia; półtora miliona butelek różnych win, już przygotowanych do sprzedaży, stojących po obu stronach tunelu w niekończących się szeregach; beczki do kupażu mieszczące ponad tysiąc wiader, z dnami o średnicy dwakroć większej od wzrostu człowieka. Potem pokazano im cały skomplikowany sposób mycia butelek, napełniania, korkowania, lakowania, z przyklejaniem etykiety włącznie; wszystko to szybko, bezgłośnie,

z niepojętą mechaniczną zręcznością wykonywały dziesiątki robotników i robotnic ubranych w jednakowe drelichowe pasiaste fartuchy. Ale w piwnicy było wilgotno i zimno i baronowa, ubrana nader lekko w półprzejrzystą koronkową suknię, pierwsza zaczęła narzekać i oświadczyła, że chce wrócić na górę, na słońce.

Natychmiast zaczęto degustację, to jest próbę win, która zawsze odbywa się w przedsionku piwnicy. Tam był miły chłód i południowe słońce łagodnie i wesoło wdzierало się przez otwarte szerokie dwuskrzydłowe drzwi. Wszyscy usiedli wokół długiego stołu. Zamiast obrusa przykryty był grubą szybą. Z początku

V

gościom kazano się wpisać do ogromnej księgi, a potem zaczęła się celebra, która nazywa się degustacją. Trzeba powiedzieć, że ta rozrywka należy do najcięższych i dla człowieka nienawykłego wręcz zgubnych. Z początku podawano lekkie białe wino, potem lekkie czerwone, i to nie jednego typu, lecz kilku, potem czerwone ciężkie i białe mocne. Potem w takim samym porządku następowały wina aromatyczne, wina typu marsali, porto, xeres o przeróżnych nazwach, Asti Spumante, muszkatel, a na zakończenie likierowe: Lacrima Christi i różowa nalewka. Wszystkim w krótkim czasie zakręciło się w głowach, a główny kiper na polecenie zwierzchnika przynosił wciąż nowe i nowe butelki. Najokropniejsze było to, że do tej potwornej mieszaniny nie podawano żadnych zakąsek. Żeby przynajmniej ser lub orzechy! Prawdziwi winiarze gardzą tymi rzeczami i nazywają je lekceważąco „biskoptami dla pijaków”. Zakręciło się w głowach nawet samym gospodarzom, z których każdy uważał siebie, rzecz jasna, za subtelного znawcę win, i język zaczął się im plątać. Popisywali się przed gośćmi i naturalnie przed baronową najdziwniejszymi, całkiem niezrozumiałymi charakterystykami win:

— To jest wino perliste. To wino jeszcze nie zdążyło się opamiętać. To jest smakowe, a to raczej pitne. Krnąbrne winko, ale to nic — wyszumi się. Lafit nieco bez charakteru, wierzgliwe wino, obiecujące, burzuazyjne, gorzkawe, z winorośli typu St. - -Estephe, i tak dalej.

Na zakończenie na tajemniczy znak zrobiony przez starszego winiarza robotnik udał się gdzieś na kilka minut i wrócił z koszykiem, w którym niczym ukochane dziecko spoczywała zakurzona butelka. I rzeczywiście człowiek, który przyniósł butelkę, był podobny do starej, troskliwej, zakochanej w dzieciątku niańki — tak ostrożnie i płynnie szedł, starając się nie zrobić tułowiem ani jednego zbędnego ruchu, tak nabożnie trzymał kosz na półwyciągniętych do przodu rękach.

Wino wstawiono w dekanter (rodzaj kojca, który mechanicznie dzięki obracaniu się rękojeści opuszcza szyjkę butelki i podnosi ją od dołu po to, by nie zbełtać <i nie zamącić cennego płynu).

— Tak, moi państwo — rzekł uroczyście główny winiarz, a propos, na nazwisko miał Keller — jest to wino z sześćdziesiątego trzeciego roku. Poproszę o uwagę.

Ale oto stało się coś niewiarygodnego i niemal strasznego. Miły, dobroduszny doktor Kalinowicz nagle przypomniał sobie te odległe czasy, kiedy będąc jeszcze w Moskwie studentem ucztował w „Pradze” i słyszał wśród kolegów z tego, że bezbłędnie określał pod światło gatunek i świeżość piwa. Nagle wyszarpnął drogocenną butelkę z kojca, chwycił ją za szyjkę, przewrócił dnem do góry i zaczął oglądać pod światło z miną znawcy. Winiarze jak jeden mąż krzyknęli z przerażenia i oburzenia, starszy robotnik, według ich określenia kiper, jęknął, zbladł i ukrył twarz w rękach. Zdawało się, że lada chwila zemdleje. Ale sprawę jakoś załagodzano. Kipera poproszono o przyniesienie nowej butelki i odniesienie z powrotem zbełtanej, żeby tam poleżała jeszcze z dziesięć lat. Druga butelka została rozlana szczęśliwie, tak samo jak i trzecia. Wino było zupełnie jasne, jakby w szklance wody rozgnieciono jedną lub dwie maliny, nawet pachniało malinami. Ale jego działanie było śmiertcionośne. Kiedy skończono czwartą butelkę, nie było nikogo trzeźwego prócz nawykłych do picia winiarzy i pani Anny, zresztą to zbyt łagodne wyrażenie. Ściślej mówiąc wszyscy byli zupełnie pijani, a najbardziej prokurator. W tym fatalnym momencie uwagę baronowej przyciągnęła jedna z widzianych przez nią wcześniej tysiącwiadrowych beczek. Beczka była pusta, a w jej dnie ział kwadratowy otwór o boku dziewięć cali. Baronowa nachyliła się nad nim i krzyknęła do beczki:

— U-u! U-u-u!

I z beczki odpowiedział jej głuchy ryk, taki, jakim zapewne ryczały o brzasku dziejów pterodaktyle lub ichtiozaury.

— Po co ta dziura, proszę panów? — spytała baronowa. Winiarze od razu usłużnie wyjaśnili jej, że przez ten otwór wchodzi człowiek, kiedy zachodzi konieczność wyczyszczenia beczki od wewnątrz, ponieważ na ściankach wewnętrznych powstają osady grubości czterech cali.

— Ależ to niemożliwe! — zawołała baronowa. — Jestem pewna, że nawet dwunastoletni chłopiec nie wlezie przez tę szczelinę.

— Nie ma pani racji. Trofimow! — zawołano do jakiegoś robotnika. Włóż!

Tyczkowaty, rudy dryblas, bynajmniej nie chuderlawej budowy, niezdarnie wysunął się do przodu, zdjął marynareczkę i został w krótkiej granatowej koszuli przepasanej rzemieniem, zdjął rze

mień, potem pochylił się ku drzwiczkom, wyciągnął do przodu prawą rękę i mocno przycisnął do niej głowę, i w ten sposób zaczął przeciskać przez otwór najpierw rękę z głową, potem prawe ramię, potem lewe ramię z żebrami i tak na podobieństwo węża po półtorej minuty był już w beczce, a po dalszej minucie był: z powrotem.

Baronowa dała mu złotego rubla i powiedziała ze zdziwieniem;

— Przysięgam, panowie, że nigdy bym w to nie uwierzyła!

■— Zdumiewające — rzekł książę Abaszydze, od niepamiętnych czasów wielbiciel baronowej.

— Oczywiście nikt z panów tego nie zrobi — prawiała dalej baronowa. — Chcecie panowie, żebym obiecała pocałunek temu, kto- zrobi to samo?

Leszedko momentalnie zerwał się z miejsca, przy czym porządnie się zachwiał.

— Ja to zrobię! — Iz rozmachem uderzył się w pierś.

• — Ach, mój Boże! Ale pańska nowa, piękna, śnieżnobiała kurtka!

— To głupstwo! Zresztą może panie pozwolą mi ją zdjąć?

I tak, zostawszy bez marynarki, prokurator tak samo jak robotnik ukląkł przed otworem, tak samo mocno przycisnął głowę do wyciągniętej ręki i zaczął się wciskać do beczki.

Prawdopodobnie pijani mają jakiegoś własnego boga, który im pomaga. Po jakichś dziesięciu minutach wpęłzył już po pas, tak że widać było- tylko jego nogi. Szarpiał nimi kurczowo kilkanaście razy i znikł z oczu publiczności. Początkowo z beczki nic nie było słyhać. Potem rozległo się jakieś ponure, głuche ryczenie, którego nie dało się słyhać bez strachu. Potem do tych nieludzkich dźwięków przyłączył się tętent, jakby po bruku przejeżdżała artyleria.

Baronowa ciekawie przywarła uchem do otworu i powiedziała ze zdziwieniem:

— Proszę panów, on śpiewa i tańczy cake-walka. Hallo, hallol Panie Ignacy! Dobrze tam panu, W brzuchu wieloryba?

Twarz starszego winiarza nagle spowaźniała.

— Ależ proszę państwa! Czas już chyba skończyć z tymi żar tar mi. Lepiej wypić dziesięć butelek wina niż się nawdychać tych Wyziewów spirytusu. Przecież tam oprócz c2adu winnego nie ma ani hausta świeżego powietrza.

Podszedł do otworu i krzyknął:

— Posłuchaj pan, jak tam panu? Panie szanowny! Wyłaż pan w końcu! Żeby się panu nie stało coś złego. Przyjdzie nam za to odpowiadać. Zasłużył pan na swoją premię, no i dość. Ależ wyłaż pan, niech pana diabli wezmą! Albo każę pana wyprowadzić siłą!

W kwadratowym otworze ukazała się blada, spocona twarz Le- szedki. Pince-nez na nosie już nie miał, a oczy patrzyły mętnie, bezmyślnie, zezująco... A ustami chwycił powietrze jak ryba wyciągnięta z wody. Język bełkotał coś bezmyślnego, nie mającego nic wspólnego z dźwiękami ludzkiej mowy.

— Słuchajże pan, nieszczęsny człowieku! Wyciągnij pan rękę do przodu, przyciśnij do niej mocniej głowę. A teraz przeciskaj się pan!

Prokurator, w którym jeszcze działał instynkt, spróbował to zrobić, ale ugrzązł głową w otworze — i ani w tył, ani wprzód! Z wielkim wysiłkiem winiarz i kiper wyciągnęli go w końcu da szyi, ale już nic więcej nie mogli zrobić. Kołnierzyk, krawat, wspaniałe, złotem haftowane szelki przeszkadzały mu się posunąć choćby o cal naprzód.

— Oj! Do diabła! Rękę mi urwiecie! — żałośnie krzyknął prokurator.

— W takim razie zostaje nam tylko jedno — poradził ktoś doświadczony i bystry — niech robotnik wlezie do beczki i spróbuje przecisnąć go od tyłu.

— Hej, Diogenesie! Właż pan z powrotem. Trofimow! Właż do beczki i pomóż panu wydostać się.

Robotnik, tak jak poprzednio, szybko i zwinnie zniknął w otworze. Wkrótce znów wyrzała na świat żałosna fizjonomia o zmęt- niałych ze strachu i przepicia oczach i z

czerwoną pręgą w poprzek czoła. Kiper i winiarz jak przedtem pociągęli go za rękę i za głowę. Torturowany prokurator histerycznie wrzeszczał. Widocznie całkiem stracił dar ludzkiej mowy, zresztą dawało o sobie znać także okropne zamroczenie oparami winnymi. Tak bardzo osłabł i rozkleił się, że nie tylko ani rusz nie mógł pomóc wysiłkom swoich wybawców, lecz przeciwnie, jeszcze im przeszkadzał.

— Ciągnij go do tyłu, Trofimow! — krzyknął z wściekłością winiarz. — Ciągnij go do tyłu i to już! No szarpże, powiadam!

Po raz trzeci zniknął prokurator w głębokim mroku beczki. Winiarz krzyknął w pkienko: v — Rozbieraj go! Słyszysz? Co? Ależ gadaj wy raźniej! No tak, rozbieraj całkiem do naga!

I oto z ciemnego kwadratu, jakby na mocy jakiej magii, poleciały krawat, kołnierzyk, spodnie, lakierowane buty...

— Ja bym paniom zaproponował, żeby się oddaliły — poradził któryś z gości.

Panie usłuchały i wyszły na świeże powietrze. Widowisko stawało się straszne. W ślad za nimi wyszli też ich kawalerowie. Kiedy winiarze, robotnicy i doktor zostali sami, przestali cackać się z ciałem biednego Leszedki. Ale i rozebrany dosłownie do naga, za nic nie chciał wyleźć z beczki.

— Panowie — powiedział poważnym tonem doktor. — Nie pozwolę, żeby w mojej obecności męczono człowieka. Bądźcie ostrożniejsi.

— Poczekajcie! — zawołał kiper. — Wpadłem na coś: wysmarujemy go olejem maszynowym. Gryszczenko! Skocz do mego mieszkania, przynieś olej maszynowy. Ale już! Żeby tylko nasz pan nie wykitował naprawdę!

Po przyniesieniu oleju podano go przez otwór Trofimowowi i długo było słyhać z beczki czyjeś stękanie, czyjeś piski i klapsy po gołym ciele. Wreszcie po raz czwarty ukazała się z beczki głowa prokuratora, jeszcze bardziej bezradnego niż przedtem. Ale olej maszynowy i zgodny nacisk trzech rozdrażnionych tą idiotyczną historią ludzi zrobiły swoje. Wyciągnięty do pasa prokurator wyskoczył z beczki niczym korek z butelki z ciepłym szampanem.

Ach, gdyby liczni przestępcy, których prokurator w swoim czasie posłał na katorgę i do karnych oddziałów, widzieli go w owej chwili! Poczuliby litość dla niego. Ledwo stojący na nogach, podrapany i posiniaczony, z głową bezsilnie pochyloną na prawy bok, cuchnący naftą był w tej chwili naprawdę godzien litości. Nawet winiarzy ogarnęło współczucie. Szybko skądś wydostali prześcieradła, ręczniki kąpielowe i ścierki, wytarli i wysuszili biedne poranione ciało prokuratora, troskliwie ubrali go, zmywszy z garderoby winne plamy i ostrożnie zanieśli do powozu. Okazało się, że całe towarzystwo prócz doktora odjechało, zostawiwszy na

wszelki wypadek powóz. Wpakowany do niego prokurator natychmiast zasnął w macierzyńskich objęciach Kalinowicza i nie zbudził się do samej Jałty.

A nazajutrz obolały, ze straszną migreną, dręczony palącym wstydem i mękami przepicia, spakował się, uregulował rachunek w hotelu i wsiadł na pierwszy odpływający statek.

Bo czy prokuratorowi Leszedce nie było teraz obojętne, dokąd odpływał jego statek?

Przełożyła Henryka Pikulska

Na odludziu

Kiedy opowiadał mi tę historię — a opowiadał ją niejednokrotnie — nie poznawałem mego elektrycznego kapitana (kapitanem nazywano go nie bez podstaw, jako że był emerytowanym kapitanem zwolnionym z pułku dla dobra służby, a elektrycznym dlatego, że miał jakąś skromną posadę w kantorze towarzystwa oświetlenia elektrycznego). Jego oczy, zazwyczaj mętne i niezdecydowane, stawały się jasne i stanowcze. Jego zawsze ochrypły głos zatwardziałego alkoholika dźwięczał nagle tak delikatnymi i głębokimi tonami, jakich nigdy bym się po nim nie spodziewał, i on cały na kilka chwil jakby rozjaśniał się wewnętrznym blaskiem, który czyni pięknym nawet człowieka będącego na dnie upadku.

— Było to tak. Trzy bataliony naszego pułku stały w naj- ohydniejszym z brudnych gubernialnych miast na południowym wschodzie kraju, a jeden z batalionów posyłało kolejno na jesień, zimę i wicsnę na pogranicze, o sześćdziesiąt wiorst od sztabu pułku. Batalion, jak panu wiadomo, to czterystu żołnierzy i piętnastu oficerów, łącznie z dowódcą batalionu i trzema podchorążymi. Oczywiście przez długą zimę zdążyliśmy już wszyscy pokłócić się ze sobą. To zjawisko daje się zaobserwować i w więzieniach, i w czasie długich rejsów statkiem, i w dużych rodzinach, i w ogóle wszędzie tam, gdzie ludzie są skazani na przymusowe długotrwałe, nudne współzycie. Często zdarzały się kłótnie rodzinne, plotki, przykre nieporozumienia, słowem, przeróżne swary, niesnaski, intrygi. Ludzie miejscowi — katolicy i menonicy — albo stronili od nas, albo my sami, dbając o naszą godność oficerską, uważa

liśmy, że nie wypada nam spoufalać się z nimi. Natomiast miejscowa arystokracja, przeważnie polscy hrabiowie, w ogóle nie zwracała na nas uwagi, na nasze wizyty odpowiadając lodowatymi trzyminutowymi rewizytami, po czym zapominała o naszym istnieniu. Cóż więc dziwnego, że my, młodzi oficerowie, spędzaliśmy długie zimowe wieczory kolejno u siebie nawzajem, pijąc w przerażających ilościach ohydną wódkę wziętą na kredyt w żydowskich szynkach, zagryzając ją mikroskopijnym kawałeczkiem przypieczonej słoniny i śpiewając przy akompaniamencie doszczętnie rozstrojonej gitary staroświeckie, od dawna zapomniane przez innych, kuplety:

...A kiedy wreszcie zajedziemy Do jakiej knajpy choć najlichszej, To zanim jeszcze coś tam zjemy, Patrzymy tęsknie na kieliszek. A kiedy już się utulamy. Wesoło sobie zaśpiewamy Kram-bam-bim-bam-buli, K ram-bam-buli.

Gdy lube dziewczę kosza da mi, Staram się mieć pogodną minę I zgodnie z moimi zasadami Otwieram lubą butelczynę. A kiedy już się ululamy. Wesoło sobie zaśpiewamy: Kram-bam-bim-bam-buli, Kram-bam-bili...

Śpiewaliśmy także czule piosenki. O tę na przykład... Tu kapitan nagle się rozczulił i głosem nabrzmiałym od łez i zapewne najbardziej fałszywym na świecie zaśpiewał: pszczołeczki złote. Czego wy tu chcecie? Krążycie lotem, Nie odlatujecie...

No dobrze... nie o to chodzi. Poniosły mnie wspomnienia. No i, wie pan, nadeszło Boże Narodzenie i wszyscy oficerowie z naszego batalionu, poczynając od dowódcy a kończąc na arcybez- czelnym trzydziestopięcioletnim chorążym, podążyli do miasta.

Żonaci do żon i dzieci — sam pan rozumie, przecież nie mogli ich zabrać ze sobą do plugawej miejsciny, gdzie wszystkie domy to lepianki z gliny i krowiego łajna i gdzie nie ma ani jednego lekarza w razie choroby. Nieżonaci jeszcze na długo przed świętami marzyli o balach w resursie obywatelskiej i w klubie oficerskim, o jaskrawo oświetlonych ciepłych salach, o muzyce, tańcach, o prześlicznych kobiecych i dziewczęcych twarzach, ciałach i uśmiechach, a poniektórzy i o zielonym stoliku, przy którym można zagarnąć pulę i zostawić wszystkich partnerów bez jednego grosza. Pokusa wzięcia urlopu na święta była tak wielka, że młodzi oficerowie postanowili rzucić losy, kto ma jechać, a kto zostać w miasteczku z obowiązku służbowego. Ale ja powiedziałem, że bez żadnych losów z przyjemnością zostanę tutaj. Wszyscy się bardzo dziwili. Wtedy wyjaśniłem, że chcę wykorzystać kilka wolnych dni na to, by bez przeszkód wykuć taktykę, język francuski i regulamin. Przygotowywałem się w tym czasie do akademii sztabu generalnego, a więc chętnie mi uwierzono i zostawiono w spokoju z egoistycznym pośpiechem i z fałszywymi ubolewaniami.

Teraz, mówiąc wzniosłym stylem, „rzucając retrospektywne spojrzenie” na moją przeszłość, nie mogę zrozumieć, co ich wszystkich tak ciągnęło do tej brudnej dziury gubernialnej, w porównaniu z którą jakiś Konotop czy Czuchłoma wydają się stolicami europejskimi: monotonia życia? ubóstwo wyobraźni? nuda? tęsknota za ludźmi? Nie, nie, ja ich nie śmiem potępiać, niech mnie Bóg broni! Ja tylko patrzę z dystansu na rzeczy i wydarzenia.

W całym batalionie zostało tylko dwóch oficerów: dowódca siódmej kompanii Plisow i ja, bezwąsy podoficer. Ale Plisow od dawna już leżał w łóżku nękany ostatnimi atakami okrutnych suchot, i w ten sposób okazałem się faktycznym władcą życia i śmierci czterystu żołnierzy i całej miejscowej ludności.

Gdyby nie pewna okoliczność, o której zaraz powiem, nie odmówiłbym sobie przyjemności postawienia żołnierzom kilku wiader wódki, rozdania im ostrych nabojów, wypowiedzenia przez telegraf wojny sąsiedniemu państwu i wtargnięcia na jego ziemie* żeby na podobieństwo Jermaka złożyć potem podbity kraj u stóp monarchy. Ale mnie pochłaniała całkiem inna myśl. Czula i nie spokojna. Chodzi o to, że dowódca piątej kompanii, mój przełożony, kapitan Terechow miał żonę... Nie, raczej nie żonę... Widzi pan, ona gdzieś miała ślubnego męża, a oni tu żyli po prostu tak... bez jakiejś płomiennej miłości, bo związek trwał już dość długo, ale w przyjaźni i wzajemnym szacunku. Była to drobna, ale krzepka, wspaniale zbudowana kobieta o ogromnych szarych oczach, malusieńkich prześlicznych rączkach i nóżkach, namiętna, pełna życia, skłonna do kpin śmieszka o szczerym i krewkim usposobieniu, dowcipna, wrażliwa na cudzą niedolę — słowem, czarująca kobieta i wspaniała kumpel.

Oczywiście z moich słów już pan rozumie, że byłem w niej zakochany do szaleństwa na jakie stać dwudziestodwuletniego podporucznika. Starłem się bywać u nich prawie co dzień, wykorzystując w tym celu wszystkie powody: służbowe, przyjacielskie i inne. Była w stosunku do mnie niezmiennie zalotna, miła, uprzedzająco grzeczna i życzliwie kpiąca. Zresztą dostrzegałem czasami w jej szarych oczach, w głębi szafirowych źrenic jakieś żółte to- pazowe iskry ni to gniewne, ni to pytające. Byłem skrępowany, onieśmielony, chowałem ręce pod stół nie wiedząc, gdzie je podziać, a nocami umyślnie chodziłem pod jej oknami po dwadzieścia razy tam i z powrotem, szepcząc w głos jakieś idiotyczne monologi. O, ileż razy chciałem jej powiedzieć: „Ubóstwiana pani Anno, jedyna radości mego życia, moja pierwsza i ostatnia miłości, gdyby pani wiedziała, jak ja panią kocham!” Ale tchórzliwość lub nieśmiałość, a może po prostu ówczesna nieznajomość kobiecego serca przeszkadzały mi to uczynić.

I oto w święta akurat nadarzyła się sposobność. Jej przyjaciel, kapitan Terechow nie oparł się pokusie zanego winta z dodatkiem wintujących koronek i potrójnych karniaków,

porządnej kolacji z piciem, ze śpiewem i z pułkowymi plotkami. Pojechał do rezydencji pułkowego sztabu powiedziawszy kilka obłudnych słów i zostawiwszy na parę dni żonę osamotnioną, znudzoną, pod opieką dwóch ordynansów.

Pani Anna zapewne z przyjemnością pojechałaby z nim razem potańczyć, pobawić się, zjeść kolację, ale zna pan oficerskie towarzystwo... jest sztywne nawet w Pipidówce. Nieślubny związek} Na litość boską!

A więc nie dziw, że dwudziestego szóstego grudnia wieczorem

otrzymałem od pani Anny bilecik mniej więcej takiej treści: „Czemu mnie pan nie odwiedzi? Strasznie się nudzę. Mam już -dość układania pasjansów. Niech pan przyjdzie pogawędzić i zagrać w pikietkę. A ja pana za to poczęstuję przepalanką”.

Oczywiście pomknąłem do niej z szybkością oszalałego kota. Jakże czekałem na to zaproszenie... I oto... przytulny pokój, łagodne światło wiszącej lampy spod abażura własnej roboty, żartobliwa gra w karty, niewinna, choć nieco wyniosła kokieteria, słodkie gęste wino. Moja dusza pławi się w rozkoszy i mruczy jak kot na przyzbie... lecz nagle wchodzi ordynans Terechowa i melduje: — Wielmożna pani, do wielmożnej pani przyszedł ordynans jaśniewielmożnego pana kapitana Plisowa. Przysłała go jego pani. •lego pani gada, że jaśniewielmożny pan albo jest bardzo chory, albo umarł.

Ordynans Plisowa potwierdził. _ Pan dowódca leży i nie odzywa się. Obie panie, stara i młoda, boją się wejść. A jażem się zestrachał, aż mi się łydki trzęsą: ' H _ A czemuś nie skoczył do doktora Bergera? (W naszym batalionie własnego lekarza wojskowego nie mieliśmy, a na całe miasteczko był tylko jeden lekarz, Berger, stary, siedemdziesięcioletni).

— Skoczyłem, wielmożny panie. Ichnia służąca powiedziała mi tylko, że po dziewiątej wieczór doktor nie przyjmuje.

O diabli! Trzeba było ubrać się i iść. Ale pani Anna zatrzymała mnie:

— Niech pan trochę poczeka. Ja też pójdę z panem. Może się na coś przydam.

Poszliśmy. Prowadziłem ją pod rękę. Było osiemnaście-dwa- dzieścia stopni mrozu, a przy tym silny wiatr. Droga do Pliso- wów prowadziła cały czas pod górę. Musiałem się bardzo wysilać, żeby powstrzymać siebie i swą towarzyszkę od upadku.

Pierwsze, co zobaczyłem w mieszkaniu Plisowów, to jego żonę i teściową, które trzęsąc się z przerażenia zaszyły się w jakiejś komórce czy spiżarni koło kuchni. Pani Plisowa była to wysoka koścista kobieta w binoklach, o małpiej twarzy, pułkowa Messali- na, przez której czułe serce przeszli wszyscy młodzi, nowoprzyjs^{*3} do pułku porucznicy, w tej liczbie przed rokiem i ja... A mamuni3» fff wyobraźcie sobie małpkę cztery razy starszą, złośliwą i nap"- szoną. Młodsza z nich (trzeba dodać, że była w naszym pułku najgorliwszą teatromanką) rzuciła się ku mnie i tragicznie załamując ręce, wznosząc oczy do nieba i trzaskając palcami zawołała:

— Na miłość boską! O, na Boga najwyższego! Tylko pan może nam pomóc! Nie udało nam się zdobyć lekarza.

— W Odessie na twoje usługi byłoby tysiąc lekarzy — powiedziała mamunia basem i przez nos.

— Nie udało nam się... Ja pana proszę i zaklinam na wszystko, co ma pan najdroższego... Proszę wejść i zobaczyć, co mu się stało! Z nas słabe kobiety i straciłyśmy głowę z przerażenia.

Poprosiłem panią Annę, by uspokoiła w miarę swych możliwości słabe kobiety i wszedłem do drugiego pokoju. Na wąskim, kawalerskim łóżku, do pasa przykryty kołdrą, leżał kapitan. Jego głowa spoczywała wysoko na trzech poduszkach. Oczy były otwarte, ale nieruchome i patrzące z niesamowitą uwagą. Z lewego kącika ust wyciekła i zakrzepła na szyi i na białej nocnej koszuli z początku wąska, a potem Coraz szersza czerwona struga krwi. Położyłem mu rękę na czole. Ale ponieważ na ulicy było zimno, a ja poszedłem do Plisowów bez rękawiczek, nie mogłem uchwycić różnicy między temperaturą jego ciała a moich palców. Wtedy poprosiłem, aby mi umożliwiono zagrzenie rąk. Otworzono dla mnie drzwiczki pieca. Ale zaraz przypomniałem sobie, że w takich wypadkach należy zbadać puls. Niestety i puls, i temperatura potwierdziły niezbicie, że dusza kapitana porzuciła jego marne ciało.

Wdowa i teściowa natychmiast, jak na komendę, podniosły straszliwy wrzask.

Bóg wie skąd, jak spod ziemi, pojawiły się w mieszkaniu dwie brudne, grube, a może nawet pijane staruchy. Z zawodową zręcznością rozebrały kapitana do naga, a ja sam im pomogłem położyć go na podłodze. Z cyrkową szybkością namydliły trupa gębką, oblały wodą, wytarły prześcieradłami i ubrały w czystą bieliznę. Ach, nigdy nie zapomnę tego okropnego żółtego ciała, tych nóg i rąk przypominających kończyny szkieletu opiętych żółtą skórą, tych żeber wystających jak u zdechłego konia.

Staruchy załatwiły się ze spodniami dość szybko. Mundur też włożyły na niego pomyślnie, ale ani rusz nie udawało im się zapiąć haftek. Musiałem znów przyjść im z pomocą. Bardzo proszę, spróbujcie kiedyś zapiąć mundur na haftki na nieboszczyku, a do

wiecie się, co to za wyczyn! Nic nie mogłem zrobić z tym uparciuchem. Wtedy powiedziałem sobie w duchu: „Drogi Hermogenie! Nie unikniesz naciśnięcia nogą na brzuch. Ale widocznie zebrały się gazy w żołądku, a więc bądź przygotowany, mój drogi, że nieboszczyk może niespodziewanie ryknąć. A więc trzymaj się w karbach”.

I rzeczywiście, kiedy z ogromnym wysiłkiem, nacisnąwszy kolaniem brzuch nieboszczyka, zapinałem ostatni haczyk munduru, trup kapitana raptem ryknął. Zdawało mi się, że zaraz zemdleję. Ale w tej chwili weszła pani Anna, spokojnie zamknęła nieboszczykowi oczy i położyła na nich dwa miedziaki.

Moje obowiązki były skończone. Musiałem odprowadzić panią Annę do domu. Przez całą drogę nie rozmawialiśmy. Kiedy stanęliśmy przed drzwiami jej domu, powiedziała:

— Niech pan wejdzie do mnie na chwilę. Poczęstuję pana szklanką wina. Naprawdę, boję się teraz zostać sama.

Najważniejsze chwile w życiu jakoś się z trudem zapamiętuje. Pamiętam mgliście, że stałem oparty o ciepły piec grzejąc zziębnięte ręce — zdawało mi się, że odcisnął się na nich chłód nieżywego ludzkiego ciała. Pani Anna chodziła po pokoju tam i z. powrotem otulając się w ciepłą chustę.

— Śmierć! co za ohyda: żył sobie człowiek, myślał, cierpiał, ufał, kochał, był zazdrosny. I nagle nic z niego nie zostaje prócz padliny! Co za okropne prawo! I co najstraszniejsze — nie można od niego uciec.

Nagle podeszła do mnie blisko, całkiem blisko. Jej ręce opadły wzdłuż ciała, rzęsy trzepotały, usta się rozchyliły nad pięknymi zębami. Czułem ciepło bijące od jej ciała, zapach jej włosów i skóry. Potem... niespodziewanym, szybkim gestem oplotła rękami moją szyję i przywarła do moich ust gorącymi otwartymi ustami...

A później, już nad ranem, odprowadzając mnie do przedpokoju ze świecą w rękę, powiedziała w momencie, kiedy wkładałem palto i kalosze:

— Mój drogi... Proszę sobie zapamiętać: nasza noc była pierwszą i powinna zostać ostatnią. Było to święto zwycięstwa życia nad śmiercią. Proszę, aby pan u nas więcej nie bywał. Wielkich momentów nie można powtarzać, jak nie można przedrzeźniać natchnienia. Początkowo, wiem o tym, będzie panu ciężko i będzie pan czuł urazę, ale kiedy stanie się pan starszy i bardziej doświadczony, zrozumie pan, jak wielką mam słusność.

I gdy całowałem jej rękę, ona czule, po macierzyńsku pocałowała mnie w czoło.

Nazajutrz odwiedziłem mego nieżyjącego kolegę. Leżał już w trumnie. Nad nim daremnie usiłowały wycisnąć łzy wdowa i teściowa. A on się uśmiechał z wyrazem jakiejś nieziemskiej błogości... No cóż! Jestem z panem szczerzy... było mi wstyd i strach wspomnieć, że wczoraj niemal ten sam bezwolny, spokojny i błogi uśmiech widziałem na ustach pani Anny, kiedy podeszła do mnie tak blisko, blisko, dotykając mnie ciałem...

Przełożyła Henryka Pikulska

Gad

Wszystko to zdarzyło się w Kijowie, w Ogrodzie Carskim, między czerwcem a lipcem. Dopiero co przestał padać gęsty przelotny deszcz i jeszcze kapały ostatnie krople... a ja wciąż jeszcze czekałem na nią siedząc jak pod namiotem pod ogromnym kasztanem. Gdzieś w dali jęczały chromatyczne gamy tramwajów. Turkotały dorożki. A w kałużach migocząc kołysały się odbicia latarni elektrycznych.

Ach, tylko ludzie, którzy mieli kiedyś dwadzieścia lat, zrozumieją moje wzruszenie!

Powiedziała wyraźnie, stanowczo i bez wahania: „Od wód Mineralnych przeszedłszy przez furtkę, pierwsza ławka na prawo, punkt dziewiąta wieczór”. Oczywiście przyszedłem w umówione miejsce o godzinie ósmej i długo podejrzewałem, że zegar na ratuszu idzie bardzo powoli. Kto wie, może nikt nie dba o niego? Kilka razy biegałem na Kreszczatyk i patrzyłem na oświetloną tarczę zegara, ale czas się jak gdyby zatrzymał. Zatrzymał się akurat mnie na złość. Niekiedy przychodziła mi do głowy dziwaczna myśl: może wtedy, kiedy pobiegłem popatrzeć na zegar, przyszła, nie znalazła mnie, rozgniewała się i odeszła? Może przeszła obok, a ja nie zauważyłem? A przecież była to kwestia życia lub śmierci. Powinniśmy byli pójść do mego przyjaciela i powiedzieć: „Jestem uczciwym człowiekiem. Kocham twoją żonę, a ona kocha mnie. Oszukiwać cię nie chcemy. Odchodzimy razem”.

Krople spadały na ziemię coraz rzadziej. A może się omyliła- Może podała nie tę furtkę? Nie tę ławkę? I ryję scyzorykiem w zgniłej desce: „Byłem wtedy a wtedy od 9 do 10”. A może po prostu zlekła się deszczu lub zapomniawszy o godzinie spokojnie pudruje się przed lustrem?

Wreszcie pokazuje się czyjaś szczupła czarna sylwetka. Oczywiście, to ona! Serce staje na chwilę, potem zrywa się wściekle, w głowie się kręci, a przed oczami wirują jakieś ogniste gwiazdy. Nie, to nie ona. Kobieta mówi basem:

— Słodzutki cywilu, czy mogę prosić o ogień?

I znów się zaczyna męczarnia. Rozmawiałem z tą kobietą, a ona to może widziała przez kratę i pełna wstępu odeszła.

Oczywiście wpada mi do głowy myśl o samobójstwie. Przecież o to tak łatwo za młodu! Opuszczam głowę na dłonie, ściskam sobie czoło i kiwam się wprzód i w tył. Wtem słyszę obok siebie głos:

— Tak, młody człowieku, ja też o tym nieraz myślałam, mając tyle lat, co pan teraz.

Nie zdążyłem nawet zauważyć, kiedy ten człowiek usiadł obok mnie, ale już poczułem, że głos ma smutny, i dorysowałem sobie jego wygląd: wysoki wzrost, melonik, mokre, zmęczone oczy i długie zwisające wąsy.

Powiedziałem łagodnie:

-T- Tyle ławek jest w Ogrodzie Carskim. Czemu upatrzył pan sobie właśnie moją ławkę? Zapalił, odchrząknął i zaczął jak gdyby nieśmiało:

— Widzi pan. Czeka pan teraz na kobietę, która do pana nie przyjdzie, jestem tego pewien. Bo ja to wnioskuje z pańskiej młodości i niecierpliwości. Ona panu, za przeproszeniem, tylko zawraca głowę. A ja po prostu śledzę pewną panią: z kim ona dziś tędy przejdzie — z wojskowym czy z cywilem.

— Proszę śledzić kogo się panu podoba. Ale proszę pamiętać, że nie jestem pańskim znajomym i nie mam zamiaru pana wysłuchiwać. Czyżby to był pański zawód — szpiegować kobiety?

— Ależ bynajmniej! Ta kobieta jest moją żoną. A ja jestem gad.

Wyobraźcie sobie państwo męki niezaspokojonej miłości, dwugodzinne czekanie, a obok, z Mineralnych wód, dobiegają dźwięki orkiestry grającej w antrakcie przed czwartym aktem „Carmen”. Wyobraźcie sobie ciemność w ogrodzie i kałuże oświetlone latarniami — tam, na ulicy. I człowiek, którego nie znam, tylko wy

czuwać w ciemności, spokojnie oznajmia, że jest „gadem”. Coś; śliskiego, wstętnego, zimnego pełnie po mnie. Czy to nie sen?

Ale on, jakby czytając w moich myślach, mówi:

— Właściwie mówiąc, gad to takie idiotyczne słowo. Mój zawód, to znaczy, chciałem powiedzieć... jestem raczej... e... wróżem... wróżbitą, to jest wróżę z kart i z czego innego, a tu ludzie są tacy ciemni, nieuczni. O wróżce mówią „gadaczka”, bo gada im z kart, a jeżeli to jest mężczyzna, to gad. Proszę nie myśleć, że to łatwy zawód. Dawniej to jeszcze szło jako tako. Przyjedziesz do jakiegoś miasta Proskurowa czy Krzyżopola. Pierwsza rzecz, to wizyta. U kogo? U naczelnika policji* No oczywiście, rzecz jasna — posmaruje się łapę porządnie. Potem wpadasz do kasyna oficerskiego. Tam sami ludzie młodzi, weseli. Pokażesz im kilka sztuk karcianych, próby łykania szpady, ksylofon z ołówkiem w zębach, aktualne kuplety i żydowskie kawały, a potem przebojowy numer: kapitan o pancernym żołądku, to znaczy wypijesz szklankę nafty i zakąsasz szklanym spodkiem. A oni cię napoją, i nakarmią, a co więcej, nie pytają skąd przyszedłeś i dokąd idziesz. Zaczni młodzi ludzie. Bo sami z serca i z zawodu włączęgi. Oczywiście w najszlachetniejszym sensie. Poszukiwacze mocnych wrażeń.

Ale najważniejsze jest dla nas to, że przez ten czas moja prowincjonalna publiczność zdążyła się mną już nieco znużyć. Jadę więc do żydowskiej drukarni, która drukuje „Kurier krzyżopolski” w liczbie piętnastu egzemplarzy, a także wizytówki ręcznym składem. Błyskawicznie dochodzimy do porozumienia. Wyrabiam tam sobie kredyt, kredyt u fryzjera, w łaźni i w hotelu. A nazajutrz na wszystkich płotach rozlepione są plakaty:

„Przypadkiem przejeżdżając przez to miasto magik nadworny szacha perskiego i wieszcz nadworny cesarza abisyńskiego, Ter Abram-Haharianz, przeprowadzi kilka seansów prorocstwa i jasnowidzenia systemem znanej chiromantki madame Lenormand, a także madame Tabouis oraz mistrza Papusa; z kart, bobu, linii rąk czyta przyszłość, teraźniejszość i przeszłość. Od wielu koronowanych głów pochwały. Prywatne wizyty od 11 rano do 3 popołudniu. Dla robotników, niższych rang i uczniów znaczne ulgi. Wyjątkowa okazja! Jedyna możliwość ujrzenia swego życia w szklance wody”.

Z mężczyznami nie ma kłopotu. Przecież mężczyzna, choć dureń i fajtłapa, że tak powiem, jest w ogóle osioł, ale mimo to myśli, że ma duszę tygrysa, uśmiech dziecka i w ogóle jest piękny. A więc śmiało mu rznij: „Pan jest bardzo, ale to bardzo porywczy i Bóg jeden wie, co może narobić w rozdrażnieniu, ale za to jest pan wspaniałomyślny i niepamiętliwy”. Coś takiego łatwo połyka jak pigułkę rozwalniającą „Ara”. Potem mówi mu: „Nikt jeszcze -dotychczas nie zrozumiał pańskiego charakteru, jesteś pan zagadką”. Szczerze mówiąc, jaka tam zagadka: jest po prostu wywiadowcą z dzielnicy albo magazynierem, albo pisarczykiem, albo kandydatem na etatowego telegrafistę, ale na razie brak etatów. Bzdura. A jednak połyka haczyk — i już jest tanią chodzącą reklamą. Potem oczywiście przyjdą do ciebie policmajster i jego zastępca. Ot tak, jakby z nudów. Ale już widzę, że wąsy mu drżą i ręka jest mokra ze zdenerwowania.

Ale prawdę mówiąc naszymi głównymi klientami są kobiety, 1 im niższa ich pozycja społeczna, tym łatwiej wyciągnąć od nich iorsę.

— Po co pan mi to wszystko opowiada? — zapytałem w udręce. ' — Ach, mój Boże! Toć milczy człowiek, milczy — no i musi się 2 kimś podzielić. No więc mówię: kobieta zawsze myśli albo o mężu, albo o narzeczonym, albo o kochanku, albo o bracie, o synu, < o ojcu. To i gadam jej z miejsca; „Serce panią boli z powodu króla •trefowego”. Zaraz widzę po oczach, że jej luby to rudzielec, stary szpakowaty i poprawiam się: „Przepraszam, ale król karo”. A ona aż drży z radości. Wtedy już łyj bez umiaru. Niektóre to nawet płaczą i proszą: „Nie ma pan lubczyku, panie Gad? Albo środka na przywrócenie młodości?” No, tymi rzeczami nie handluje. Owszem, to by było kuszące, ale

potem bręcz kajdanami, bracie, aż do wyspy Sokolej. Średnia przyjemność. Nieprawdaż? Od tych środków niejeden drań zdycha.

Ale proste kobiety — to dla nas prawdziwa frajda. Przychodzi na przykład kucharka. Toć ona, durna, cały dzień smaży się przy płycie. A więc w kim ma być zakochana? Niewątpliwie w towarzyszu broni — strażaku. Może pan być spokojny, kiedy gdzieś na ulicy jest pożar, to z całego miasta kucharki się zbiegają. Personel pomocniczy wyłazi ze skóry, a ten bohater siedzi i Wstrzymuje gniadosze, a im piana z pysków cieknie. Spytasz go: „Z jakiego

jesteś cyrkułu?" A ten tylko splunie w bok i nic nie odpowie. A pochodnia płonie na hełmie. Dlatego do kucharki mówię wprost: „Wysoki brunet (przecież zawsze jest sadzą usmarowany), bohater, ale niedostrzegalny. Większy niż jakiś pułkownik czy Napoleon. Szaro ubrany i wiele ludzi uratował". Wszystkie kucharki są podejrzliwe, rano piją kawę bez umiaru, mają słabe nerwy, są paradoksalnie zabobonne. Doprawdy, aż wstyd brać od takiej trzy ruble. Bywało powiesz jej: „To za dużo, matuchno, nie trzeba tyle". — „Ależ bierz, panie Gad, bierz, kochany. Przyda się tobie"*.

Za to wykształcone panie targują się. „Ja, powiada taka, w Paryżu bywałam u samej pani Tabouis i u monsieur Uliipa, a oni nic ode mnie nie brali, poczytując za szczęście, że mam tak niezwykłą linię ręki". A niech je...

Teraz dalej. Weźmy pokojówkę. Przecież cały jej los masz w rękach. Pani to szelma. Pan się zaleca. Student tylko się pobawił — i w nogi. Kawaler wojskowy obiecał, że się ożeni, ale obiecanki cacanki.

Niemłoda kobieta każdego stanu da się rozgryźć jak orzech*. Jest zawsze albo teściową, albo świekrą, albo podstarzałą kochanką, z której córką musowo żeni się jej kochanek. Łzyj do woli o przewrotnym mężczyźnie, a będzie potakiwać. — „Więc mówi pan, że tak łajdak?" — „Nie, proszę pani, ja nie śmiem tak się wyrazić, ale karty mówią, że to. człowiek spod ciemnej gwiazdy". Wtedy ona w płacz: „Ach, jak pan to subtelnie odgadłeś!" Ale czy ja pana nie zameczyłem swoją gadaniną? jNie, nie. A propos, nie wie pan, która godzina?

Sięgnął po zegarek i oświetlił go płomykiem papierosa:

— Za kwadrans jedenasta. Sam pan widzi, że nasz chleb nie jest zbyt łatwy. Jednak żywił się nim po trochu. Lepiej czy gorzej ci idzie, a jednak z pięć rubelków uskładasz za dzień.

Ale zdarzały się ciężkie sytuacje. Martwe, zapyziałe miasto. Przed tobą było tu niemało innych. Nic się nie da zrobić. Zatkaną się. Policja wściekła. Publiczność nie chce przychodzić. Trzeba było polować na ulicy —■ skoro ma się tę gadkę. Na eks-urzędnika, na politycznego studenta, na nauczyciela wiejskiego. Wstyd! A tu jeszcze zębami zgrzytają swoi, miejscowi specjaliści. Podania pisałem po knajpach. Ale i tam są miejscowi radcy prawni, ludzie bardzo zazdrośni. Ledwo zwęszą — mordobicie, i zawsze ma taki

świadków i obrońców. A więc liź swoje rany i jedź do innego miasta na gapę, albo też pieszo.

W takich fatalnych przypadkach namówisz bywało jakąś przypadkową kobietkę na gadającą głowę, na próby magnetyzmu i jasnowidzenia. Oczywiście wiadomo panu, jak się to robi: leży ona opierając się łokciem na ostrzu, podpierając dłońią policzek, a całe ciało bez żadnej podpórki rozpościera się poziomo. Bagatelka. No, już igłą kłuc metodą doktora Charcot — to blahostka. Podwójna igła. Wchodzi do wewnątrz. Ale najważniejsze jest przejście do jasnowidzenia. Zgadywać, co za przedmiot ma widz: zegarek, dewizkę, afisz, portmonetkę, ile pieniędzy, jakie pieniądze, lornetkę, wachlarz, rękawiczki i tym podobne. W ogóle więcej niż kilkadziesiąt przedmiotów rzadko miewa publiczność. A więc: sześć na wprost, sześć w dół, sześć razy sześć — trzydzieści sześć. W sumie trzydzieści sześć umówionych przedmiotów. Coś w rodzaju rozmowy więziennym systemem. I wyobraź pan sobie, ani rusz jej durnej nie wbijesz do głowy. Coś prostszego to jeszcze wykuje jak papuga, pomocnicze słowa: „A teraz co?" „A teraz?" „Jaki przedmiot?" „A to co?" „Co mam w ręku?" i tym podobne. Ale jak jest coś szczególnego, na przykład stara platynowa moneta —| wtedy zaczynasz się miotać jak tygrys w klatce, stroszysz sobie włosy, pocisz się, ryczysz, drżysz i wyrzucasz z siebie różne słowa. No, powiedzmy, na przykład platyna. Rzucam urywane, jak w ataku: „Poczekaj... Lepiej się natęż. Ach, jakie to trudne. Teraz mnie rozumiesz. I musisz zrozumieć. No, każę ci!" A potem z westchnieniem: „A zresztą nie ręczę". Słowem, zwyczajny akrostych w laurce imieninowej. A ona, oczywiście, skończona

idiotka, tylko gębę rozdziawi i ośmieszy cię przed publicznością: „Ptaszek!” Też mi ptaszek — sześć pudów ma baba żywej wagi bez piętnastu funtów. A pan wie, jaka jest nasza powiatowa publiczność: zwróć im pieniądze i zaraz się zabierają do bicia. To ich pierwsza zasada. Zapewniam pana najświętszym słowem honoru: nie mam zdrowego miejsca na ciele.

Papieros panu zgasł, może pozwoli pan nowego, własnego wyrobu?

Teraz całkiem przestały spadać z drzew ostatnie krople. Letnia noc nagle się uśmiechnęła, jak kapryśna pieszczołka, której sprzykrzyło się gniewać. I słodko, słodko zapachniały różowe świece

kasztanów, zapachniały tak, jak pachną tylko po wieczornym szybkim letnim deszczu albo o przedświcie, póki miasto nie zagłuszyło ich delikatnej woni. Chciałem odejść — i nie mogłem. Coś nieskończenie wstrętne i bliskie mi było w niespodziewanej spowiedzi tego człowieka. Już nie czekałem i nie denerwowałem się. I leniwie, jak następny, nieunikniony rozdział nużącej powieści, ciągnęło się opowiadanie:

— W ten sposób trafiła mi się pewnego dnia moja małżonka, może to pan rozumieć, jak się panu podoba. Całą tę jasnowidzącą mechanikę zrozumiała o wiele prędzej niż ja. I jeszcze udoskonaliła. Doszliśmy do tego, że nawet w małych cyrkach, tak zwanych „szapito”, dawaliśmy przedstawienia. Ale jednak po kilku wieczornych spektaklach rozklejam afisze, że w hotelu takim a takim od drugiej do piątej odbywają się seanse z przepowiadaniem przyszłości i z jasnowidzeniem teraźniejszości i przeszłości. Jeżeli pozwolą — to świetnie, a jeżeli nie — stokroć lepiej. Rozumie pan

— tajemnica. Sam się boisz, i klientom strach się udziela. Faktycznie, pomyśl pan: przychodzi kucharcia, ja w jej obecności usypiam Augustę (tak miała na imię), i — ciech mach — od razu wiadomo, gdzie kupiła buciki, jak nazywa się jej gospodarz, ile ma naprawdę lat, i ile dzieci, i z jakiej guberni, i powiatu, i ile procent dostaje w sklepiku (dziesięć). Wszystko to mi kucharka opowiada na ucho w sąsiednim pokoju, a ja przekazuję Augustcie hipnozę.

Hipnoza! — zawołał nagle zgarbiwszy się, i długo śmiał się i kaszłał. Potem wyrzucił z ust papierosa, wyprostował się i podjął:

— Wielkie interesy robiliśmy razem. Ja przecież, słowo daję, do tej pory nie wiem, kim ona jest z pochodzenia. Wykształcona, uzdolniona do języków: francuski, niemiecki, polski, angielski. Ale widzisz pan, niech to diabli, jakąś niepojętą pasję ma do wojskowych. I nie żeby do oficerów i generałów, ale koniecznie do prostych artylerzystów, ogniomistrzów, bombardierów, celowniczych. Myślę, że to nawet taka szczególna choroba. A pan jak myśli?

— Nie wiem, doprawdy. Może tak.

— Jednym słowem, zawsze kiedy interesy idą najlepiej, nagle znika i koniecznie razem z kasą, i to znika bez śladu. A tu jak na złość układy są po prostu świetne. Ale co robić? Ja już bez

niej i łąć nie potrafię. Wyobraźni brak. Przyzwyczailem się. Szukam jej wszędzie — nie mogę znaleźć. No i nie ma roboty. Sytuacja w mieście robi się całkiem niemożliwa.

Publiczność już nie przychodzi. Przyjeżdża jakiś parszywy niespodziewany konkurent, i jesteś zmuszony w nocy zostawić walizki w hotelu, wsadzić paszport do bocznej kieszeni i wiać do pierwszego lepszego miasta.

Z początku wciąż drżałem, że ona mnie nie potrafi odszukać, pisałem do poprzedniego hotelu swój adres na pocztówkach. Ale skąd. Jakby jakimś psim węchem odszukała, przyjechała — i znów całe miasto w naszych rękach. Sypią się szalone pieniądze. Wykupuję walizki, frak, order księcia Honolulu, jadam codziennie befsztyki i popijam angielskim porterelem. Wracła do mnie żalosna, wyleniała, często pobita, nietrzeźwa, ale cóż, odporna była jak kotka, prędko wracała do formy, odyskiwała dawną swadę i pracowała, no po prostu jak anioł. I tak od miasta do miasta.

Kłęski i sukcesy. Ziółka i uczty Baltazara. Zachwyty publiczności — i nie mówiąc nikomu ni słowa, płaszczem zakrywszy pół twarzy, nogi za pas, biegiem marsz.

Wtedy akurat nadszedł niezwykle gorący okres. Jakby wszyscy nagle zwariowali. Dawniej przyjeżdżasz do miasta i skradasz się jak złodziej, nie wiesz, kogo gdzie pocałować, żeby pozwolili. Zdarzało się, że ni stąd ni zowąd jakaś ranga nagle się zaczerwieni, za tupie na ciebie nogami i tak ryknie, że tylko zdołasz wyszeptać modlitwę: „Boże, ratuj sługę Twego” i jak konik polny dasz susa do innego miasta.

I ni stąd ni zowąd, jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki, przyjeżdżasz do jakiegoś miasta, może nawet gubernialnego, i widzisz, że wszyscy ci nadskakują. I policjanci, i wojskowi, niekiedy i sam policmajster, i burmistrz, a już na pewno marszałek szlachty. No, wiadomo, każdy marszałek szlachty jesf utracjuszem, cierpi na astmę, kładzie pasjanse, a żona bije go pantoflem po głowie. Tak już jest zawsze. Szlachta.

Ledwo przyjadę i zapytam czy mogę rozlepić afisze — zaraz jakaś niezwykła troska: „Ach, proszę pana... ależ my... ależ pan... ależ może panu niewygodnie jest w tym hotelu? Może obsługa niegrzeczna? Czym możemy panu pomóc, proszę szczerze powiedzieć”. Całkiem jak w nieśmiertelnej komedii pana Gogoła. Albo jak po polsku! „Może a? Może co? Może wody? Może siadać?”

Nic nie rozumiem! Dziwne jakieś nastały czasy. Przygotowuję się do jutrzejszego seansu: w cyrku, w kinematografie, w prywatnych domach — czy nie wszystko jedno? Na wszelki wypadek wypytuję portiera, kelnera, kucharza o miejscowych ludzi. Wszyscy chętnie opowiadają. Przecież wszyscy ludzie są zabobonni, a te dzikusy widzą we mnie niezwykłą istotę. A że wszyscy ludzie są plotkarzami — to już pewnik absolutny. Pomyśl pan tylko: przecież ja jestem Gad! I zdążyłem już im nagadać tyle rzeczy pochlebnych i strasznych, że chodzą jak zacządzeni. I tylko z daleka błagają oczami, takim wilgotnym, psim spojrzeniem: „Kochany, pomóż jeszcze raz”. Ale nie. Mam taką zasadę: w hotelach służbie wróżę bezpłatnie, ale tylko jeden raz, niech szubrawcy będą na zawsze zaintrygowani. Rozumie pan, otaczam się taką dymną zasłoną tajemniczości, ale napiwki dają dobre.

I oto dokładnie o drugiej po południu siedzę sobie, poleruję paznokcie i obmyślam, jaki by tu uruchomić nowy trick. Sam pan rozumie, że każda sztuka potrzebuje urozmaicenia.

— Skąd pan wie, że ja o tym wiem? — zapytałem szorstko.

— Widzi pan — odparł łagodnie — gdyby mi pan nie zadał tego pytania, nie byłbym pewien. A teraz powiem na pewno, że jest pan człowiekiem... mającym coś wspólnego... — strzelił dwa razy palcami — z jakąś... sztuką... Szerokoskrzydły kapelusz, biała mucha, kwiat w butonierce, nonszalancki sposób siedzenia, umiejętność słuchania... Na profesora jest pan za młody. Powiedziałbym, że jest pan albo pisarzem, albo...

— To nieważne — przerwałem memu zdumiewającemu rozmówcy. — Więc polerował pan paznokcie... urozmaicenie... a dalej?

— Tak. I nagle wpada do mnie jak bomba lokaj hotelowy: „Generałowa pyta o pana!” Widzę, że się trzęsie, i zaraz go jedną ręką łapię za karczek, a drugą — pięć rubli w zęby: „Co? Jak? Z kim? Kiedy? Ile? Komu? Gdzie? Dzieci? Słabostki?” On — jak grochem sypie. I oto seans. Gęsta woalka. Perfumy najlepsze. Piżmo, ambra i krem waniliowy. Czterdzieści trzy, czterdzieści pięć, najwyżej — pięćdziesiątka. Kłaniam się jej najuprzejmiej: „Hrabina wybaczy, nie jestem odpowiednio ubrany”. I podnoszę kołnierz surduta jak budę powozu. Proszę siadać. Czym mogę służyć?

— Pan mnie oczywiście nie zna. 266

, — Nie znam, ekscelencjo. Ale jeżeli połączę moje prądy magnetyczne z pani prądami i z prądami południka ziemskiego przy pomocy napięcia woli i otoczenia się magicznym cylindrem podług metody jogów, poznam na pewno pani teraźniejszość, przeszłość i przyszłość.

— Ale jak pan poznał, że jestem generałową?

—Przepraszam — może się omyliłem. Powiedziałem tak po prostu, jak mi coś podszeptało.

—Ach nie. Pan jest jakiś dziwny. Czuję, że zaczynam wibrować w pańskiej obecności. Mam nadzieję, że wszystko, o co pana spytam, zostanie między nami?

—O, bez wątpienia, pani! Pozostanie to ściślejszą tajemnicą niż lekarska i adwokacka.

—W takim razie wierzę panu. Proszę mi opowiedzieć wszystko od A do Z. I proszę pana o telepatyczne połączenie się ze mną.

—Wybaczy mi pani, ale nie mogę wejść w trans bez medium.

Wołam Augustę. Zwykłym systemem „trzydzieści sześć” odgaduję wszystkie przedmioty, które ma na sobie generałowa, nawet inicjały na jej chustce do nosa, przez zamkniętą safianową torebkę. Augusta przechodzi sama siebie. Chwilami wydaje mi się, że zaraz umrze na skutek wstrząsu nerwowego albo na zawsze zapadnie w letarg. Wszystkie niecne plotki, całą brudną wyobraźnię zapadłej miłośnicy przemieniam w tort piankowy. Gubernatorowa sama mi pomaga westchnieniami, jękami, aluzjami. Niech to diabli! Jeżeli człowiek pragnie być oszukany... Koniec końców blondyn, wiceprokurator, chce się starać o przeniesienie, ale siła miłości wszystko zwycięży i on pozostanie u stóp bujnej piękności,

powabnej brunetki. Potem kilka pass. Augusta pogrąża się w głębokim, spokojnym śnie. Hrabina wstaje cała mokra od łez, słaba, trzęsąca się, i ręce jej drżą, kiedy wsuwa mi sturublowy papierek bełkocąc:

— Pan jest zdumiewający. Oszałamiający! Proszę, niech pan powie szczerze, jeżeli to za mało. Bardzo bym pana prosiła o przeprowadzenie kilku pańskich wspaniałych doświadczeń u mnie w domu. Przrzekam panu, że będą sami swoi, tylko najbliżsi ludzie. Mamy własne małe doborowe kółko spirytystów. No, oczywiście, rozumie pan, że nazajutrz jestem w mieście per

sona gratissima. Cała arystokracja, półarystokracja, a w ślad za nimi i wszelka hołota stoi długim szeregiem od mojego pokoju w dół po schodach aż do samego wyjścia. Przypochlebiają się portierowi, pakują mu do rąk trzyrubłówki, żeby się wstawił za nimi. On świetnie wchodzi w tę rolę, ale ja mu nie bronię. Wiem, że w nocy przyjdzie do mnie i poprosi uniżenie, abym mu powróżył. Ja mu powiem i o jego chorej wątrobie, i o spuchniętych nogach, i o nieudanym a ukochanym synu — graczu w bilard, i o tym, że myśli o wydzierżawieniu jakiegoś dużego interesu, więc niech śmiało bierze — nie pożałuje. Wyjdzie ode mnie zadowolony, szczęśliwy, a w dodatku dostarczy mi kupę wiadomości o moich dalszych klientach.

Ach, do diaska! Jak i skąd się wzięła ta niespodziewana passa? Słowo daję, dotychczas nie mogę zrozumieć. Ale, czy uwierzy pan, proponowano mi okropne rzeczy: leczyć dotknięciem sparaliżowanych, uzdrawiać idiotów, zamawiać syfilityczną egzemę, niemalże ■wskrzeszać umarłych. Skąd się to wzięło? Po prostu jakby nagle jakiś wiatr powiał... No, jak na przykład w Noworosyjsku... ni stąd ni zowąd zwali się skądś bora... taki wiatr... i przewróci do diabła słupy telegraficzne, wagony pełne towarów, drzewa, kamienne parkany. Słowo honoru, nic nie rozumiem. Ale po co szukać daleko przykładu? Miałem kolegę — ot, taki dureń, gaduła, pijak, arogant. Największą przyjemnością było dla niego albo spać, albo upić się do nieprzytomności, albo pobić na ulicy kogo popadnie. A karierę miał całkiem zwyczajną. Najpierw był kąpielowym w łaźni, potem ulicznym alfonsem, potem wykidajką, potem chórzystą. Słuchu nie miał za grosz, ale trzeba przyznać, że ryczał jak lew. I oto proszę sobie wyobrazić — rządzi jak satrapa całą gubernią Kujukewską. Na najwspanialszym bankiecie, w obecności wszystkich urzędników i wystrojonych dam każe sobie szubrawiec przynieść miednicę z wodą, umyje swoje brudne włochate ręce i powie: „Chodźcie tu, kundle i suki, pijcie tę wodę, bo najważniejsza jest pokora”. I jak pan myśli? Piją! Pewnego policjanta w ciągu dwudziestu czterech godzin wyrzucił z pracy i wysłał z guberni. Za co? Bo nie dość grzecznie mu zaszalutował. Widział pan taki numer?

Ja czegoś takiego nie ryzykowałem. Jestem wprawdzie nikczemnym człowiekiem, ale mimo wszystko prawdziwym chrześcijaninem, wierzącym. Czułem tylko po prostu, że zaczyna być gorąco. Myślałem skromnie: „Po co zadzierać nosa? Wbijesz się w dumę, a tu cię po karku — i zobaczysz, gdzie raki zimuja”. Żeby tak zebrać, myślałem, kilkanaście tysięcy rubli i otworzyć w jakiejś mieścinie własny kinematograf. Interes pewny, dochodowy i nikomu nie ubliżający. I ledwo o tym pomyślę, wszystko mi idzie jak po maśle.

Wtem trach! Na scenie zjawia się artylerzysta. Albo też czasem i saper, ale najczęściej jednak artylerzysta — i wszystko diabli biorą. Nie ma ani kasy, ani zasypiającej kobiety, i znów buduj, człowieku, zamki na lodzie.

— Trzeba było znaleźć inną — doradziłem ospale.

— Ach, pan tego nie zrozumie... Przyzwyczajenie... A zresztą... Chwileczkę...

Nagle wyprostował się, jakby go szydłem kolnięto, i mocno ścisnął mi rękę długą, wąską, zimną dłonią.

Obok nas przechodziła para ludzi — w ciemności trudno było im się przyjrzeć dokładnie. Wysoka, młoda i sądząc z ruchów tęga kobieta, a obok niej wyższy o pół głowy smukły mężczyzna, dzwoniący ostrogami przy każdym kroku. Umilkliśmy, a po chwili ich sylwetki zniknęły w mroku.

— Z góry wiedziałem — powiedział smętnie mój sąsiad podnosząc się z ławki. — Wiedziałem. Ach, co ja bym mógł zrobić w tym mieście! Żyłbym sobie jak pączek w maśle. A zresztą... Przepraszam, że pana nudziłem, panie poeto — może ma pan mnie dość. Proszę tylko mi wierzyć: rozszwargotałem się tak po raz pierwszy i z pewnością ostatni w życiu.

Pługi, chudy, uniósł kapelusz — melonik, skłonił się i odszedł powolnym, bezdźwięcznym krokiem. A po pięciu minutach ja też opuściłem Ogród Carski, wziąłem dorożkę na dworzec i wyjechałem do Petersburga.

Zdarzyło się to w 1893 roku, może w czerwcu, a może w lipcu...
Przełożyła Henryka Pikulska

Carski pisarz

Znajomość moja z Kuźmą Jefimyczem datuje się od tych nieskończenie dawnych czasów, gdy przy ujęciu Newy stał nie Pio- trogród, lecz Petersburg, gdy przechodnie nie mdleli od obwieszającej południe salwy armatniej, gdy dorożkarz nie żądał od dworca Mikołajewskiego do Nowej Wsi dwóch i pół rubli, lecz jechał za osiemdziesiąt kopiejek, gdy mała francuska bułka z trzeszczącą skórką kosztowała trzy kopiejki, a dziesięć papierosów „Mieczta” — sześć, gdy monumentalny stójkowy był kumem, swatem i pożądanym gościem na przyjęciu z nadziewanym rybami pierogiem u wszystkich swych potulnych poddanych, gdy w sobotę wieczorem, spotykając się z przyjacielem na ulicy, nikt nie wstydził się przyznać, że idzie z nocnego nabożeństwa do łaźni..^

Na rogu Fontanki i Czernyszewowskiego zaułka istniała wówczas piwiarnia, niewidoczna z zewnątrz, ciemna wewnątrz, lecz dzielnie handlująca „Starą Bawarią”, do której podawano się bezpłatnie pięć-sześć maleńkich spodeczków z zagryzką: pierniczkami, taioczonym grochem, stynką, skrobaną woblą, żytnimi sucharkami i mikroskopijnymi kawałeczkami końskiej kielbasy. A dumą przedsiębiorstwa były „świeże raki”, gotowane bardzo smacznie, z pieprzem, cebulą, listkiem bobkowym i ogromną ilością soli, i dlatego wymagające dużego piwa.

Kuźma Jefimycz był tam chyba ponad trzydzieści lat stałym codziennym bywalcem i chociaż nie cieszył się specjalnym szacunkiem z powodu pijaństwa, ale jeśli zdarzyło się, że nie przychodził o zwykłym czasie, kwadrans na pierwszą, to i otyły, gospodarz w skórzanych zarękawkach, i roztropni lubimowcy

kelnerzy czuli jakiś niepokój: niby nic, a mimo woli wyjrzą przez okno i powiedzą jakby sami do siebie:

— A naszego Kuźmy Jefimycza cza coś nie widać...

I wszyscy z jakąś ulgą, na wpół protekcyjnie, na wpół ironicznie uśmiechali się, gdy w drzwiach zjawił się ten chudy, żylasty staruch stąpający swym poważnym, drobnym i powolnym • krokiem, z dumnie wzniesioną głową, z błękitnawym plackowatym nosem i z drżącymi do pierwszego kieliszka rękami.

Kuźma Jefimycz miał w piwiarni swoje ulubione, wysiedziane przez lata miejsce, na prawo od okna, naprzeciw bufetu. Na ścianie, na poziomie jego głowy, w miesiąc po zmianie tapet oznaczała się już ciemna, tłusta owalna plama od ocierającej się w lewo i w prawo jego siwej głowy. Tutaj z surową wyniosłością kapłana przyjmował swoich klientów, tych małych ludzi, którzy musieli złożyć wysokim dostojnikom urzędowe papiery lub podania, ułożone w jednym długim, zawitym zdaniu i napisane wspaniałym charakterem pisma.

Miał on swego rodzaju trwały rozgłos. Do piwiarni przychodziła niekiedy jakaś staruszka w przedpotopowej jedwabnej salopce na lisim futrze i pytała gospodarza: — A gdzie tu macie, ojczulku, carskiego pisarza? W milczeniu wskazywano jej ręką Kuźmę Jefimycza. Przysiadła się i mówiła mu o swoich wdowich kłopotach. Aby nie stracił pewności ręki, na stole zjawiała się czterdziestka. Odkomendero- wywano chłopaka do sklepu z materiałami piśmiennymi po specjalny papier carski. „Uważaj, Mitia, powiesz tam, żeby dali nie dyrektorski i nie ministerski, lecz właśnie carski papier. Dla mnie, powiedz, dla Kuźmy Jefimycza”. „Proszę się nie obawiać, wiem, Kuźmo Jefimowiczu. Nie pierwszy to raz”. I troskliwie przynosił arkusz brystolu w opakowaniu, nie zmiąwszy go i nie zagiąwszy, a także nową stalówkę nr 86. Teraz już nikt nie śmiał się w piwiarni. Wszyscy rozumieli, że to poważna sprawa. A czcigodna kobieta, umoczywszy wargi w wódce, ronila łzy już zawczasu.

— Ty, matko, nie gub się w szczegółach — mówił Kuźma Jefimycz, siodlając nos szylkretowymi okularami. — Sprawa wymaga jasności i prostoty. Pisać podanie do jego cesarskiej mości — to nie układać powieści. No, więc mówisz, że jesteś wdową po dozorczy zwierzyńca? Mówisz, że zagryzł go niedźwiedź?

— Zagryzł ojczulku. Ale niedźwiedź tu nie ma znaczenia. Jedno tylko powiem, że to był dziki zwierz, a łagodniejszy od cielątka. Cztery lata nieboszczyk go doglądał. Zupełnie prawie jak oswojony. My jesteśmy gaczyńscy strzelcy, to znaczy należymy do carskiego polowania. Spytajcie, kogo chcecie, choćby pana naczelnika polowania, choćby generała Pticyna, choćby samego dozorcę psów Baranowa, który jest przy brytanach. Każdy wam potwierdzi moje słowa. A tylko jakiś charakternik wziął i napoił zwierza butelką wódki. To prawda, że mąż nie dopilnował. A jak poszedł do niego, do barłogu, ten go przycisnął do drzwi i nie przepuszcza. No, a on...

— Krócej, wdowo. O co prosisz?

— Żeby choć meryturkę podnieśli. Wszystko teraz podrożało. Chowam kurki, a za pud owsa muszę płacić po rublu. Pomyślcie! Ale nie to najważniejsze. Ale to, żeby dzieci wychowano na koszt państwa. Czy nie można by tego jakoś?...

— Hm... Synowie? Córki?

— Wnuki, ojczulku, wnuki. Dwie dziewczynki i chłopczyna. Starsza dziewczynka...

— Wnuk, tak. A więc, matusiu, zamilcz na chwilę. Znaczy się, Zawiertajewa Anna Archipowna? Wdowa po dozorczy zwierzyńca? Mieszkaśz...

— Tak, tak, tak, ojczulku, wdowa, wdowa. Mieszkam.

— Ulica? Numer domu?

— Pisz: Gaczyjno, Pilnia, ulica Krajna, dom Raspopowa nr 94, akurat naprzeciw sklepu kupca Treskukowa.

— O sklepie nie trzeba. Dość. Teraz zatkaj się na chwilę. Nie skwiercz.

I zaczął pisać swoim krągłym, wojskowym charakterem pisma, zupełnie jakby drukował, niezmienny tekst podania.

Wasza Cesarska Mość, Najjaśniejszy, Najpotężniejszy Wielki Monarcho i Samodzierzo Wszechrosji, wdowa po dozorczy zwierzyńca gaczyńskiego tenenu polowania, Siergieju Michiejewiczu Zawiertajewie, Anna Archipowna Zawiertajewa prosi•

Przypadając do Twoich ojcowskich stóp, uwielbiany monarcho, i omywając je wdowimi łzami błagam wiernopoddańczo... itd.

Po piętnastu minutach podanie było gotowe i trudno było uwierzyć, że te równe, twarde, czyste jak dobrane perły literki i linijki były wypisane ręką ludzką, a nie na maszynie. Wdowa wyjmowała chustkę do nosa, rozwiązywała supełek i z szacunkiem podawała Kuźmiejefimyczowi złożony w sześćdziesiąt cztery razy rublbwy banknot. Papier, pióro i koperta były także na jej rachunek.

— A więc mówicie, Kuźmo Jefimycz, że moja sprawa pewna? — pytała staruszka powodowana po raz ostatni niepokojem.

Kuźma Jefimycz nie odpowiadał, ponieważ był zajęty zamawianiem porcji ulubionych parówek z chrzanem. Gospodarz zza lady, na której leżał brzuchem, łokciami i piersią, mówił za niego z przekonaniem:

— Nie Wątpcie, babciu. Kuźma Jefimycz gdy strzela, to w sam' środek, bez pudła. Zaprawdę człowiek ten włada złotym piórem, Nie w kij dmuchał — carski pisarz. Gdyby nie ta jego słabostka...

— Zamknij się tam — przerywał Kuźma Jefimycz podnosząc na niego surowe spojrzenie zmęczonych i zapuchłych oczu. — Patrz na swój szynkwias, rosyjski Amerykaninie z jarosławskiej guberni. A ty, wdowo, idź z Bogiem. W kancelarii dowiesz się od szwajcara, komu należy podsunąć. Dasz mu pół rubla. I nie wypada ci, szanownej kobiecie, szwendać się po piwiarniach. Odejdź, wdowo, w spokoju.

Tak. Miał on jednak poczucie własnej godności — ów żywy świadek mikołajowskich czasów, podobny do szczątków starych dziejów, którym mech, zieleń i ruina nadają taki poważny wygląd. Na tłumy ludzi patrzył z góry, jakby ponad ich głowami, jak patrzają często

na nowe pokolenie dawne znakomitości, które odsunęły się w ustronie od gwaru i pokus, ale w sercu zachowały jeszcze o nich pamięć.

U

Starsi ludzie, nawet ci, którzy nie odznaczają się specjalnie subtelną spostrzegawczością, dawno już zauważyli, że wśród współczesnych zanika powoli prosta i miła sztuka prowadzenia przyjacielskich rozmów. Bez wątpienia główną przyczyną tego zjawiska jest szybkie tempo życia, które nie płynie jak dawniej

niby równa, leniwa rzeka, lecz pędzi jak wodospad, popędzane telegrafem, telefonem, pośpiesznymi pociągami, samochodami i aeroplanami, podcinane gazetami, zdzięsiokrotnione w swej szybkości ogólną nerwowością.

Duża powieść stała się osobliwością w literaturze: autorom ledwo starczy cierpliwości na małą powiastkę. Komedja w czterech aktach rozleciała się na cztery miniatury. Kino w ciągu dwóch godzin pokaże wam wojnę, polowanie na tygrysy, wyścigi konne, połów dorszy, krwawą tragedję i komiczny do łez wodewil, a także widoki Kalkuty i Spitsbergenu, burzę na Oceanie Atlantyckim, Alpy i Niagarę.

Opowiadanie ustne skraca się do anegdoty złożonej z dwudziestu słów. Ale przede wszystkim zupełnie zaginęła umiejętność i ochota do słuchania. Znikł gdzieś dawny uważny, choć milczący rozmówca, który niegdyś przeżywał w duszy wszystkie dygresje i nastroje opowiadania, na którego twarzy mimo woli odbijała się cała mimika opowiadającego i który z naiwną wiarą wcielał się w każdą działającą postać. Teraz każdy myśli tylko o sobie. Nie słucha prawie, pstryka palcami, porusza nogami z niecierpliwości i nie może się doczekać końca opowiadania, aby przechwyciwszy z ust ostatnie słowo, wypalić pośpiesznie:

— Proszę poczekać, otóż to! No, a ze mną był taki wypadek...

O sobie samym mogę powiedzieć bez samochwalstwa — zresztą w tym wypadku przechwalanie się jest najzupełniej niewinne — mogę powiedzieć, że w wysokim stopniu posiadam ten dar słuchania ze znajomością rzeczy, z zapalem i ze smakiem, lub ściślej mówiąc, że nie straciłem go z czasów dzieciństwa. Być może właśnie dlatego małowówny i po swojemu dumny Kuźma Jefimycz od czasu do czasu dawał się rozruszać w rozmowie ze mną, a nawet pozwalał sobie na epicki monolog.

Zdarzało się to w zimowe wieczory, gdzieś koło trzeciej, czwartej. Zwykle w tej przerwie od pracy w piwiarni nie było zupełnie klientów i gospodarz z oszczędności nie kazał zapalać lamp. Ale za to paliło się w piecu, syczały i trzaskały wesoło drwa, a po ścianach przebiegały migając na przemian drgające czerwone plamy od ognia i długie lotne cienie. Niekiedy z ciemności wyłaniała się to krótka siwą broda Kuźmy Jefimycza, podobna do różowej piany, to jego błyszczące przymrużone oko z drżącym czerwonym blaskiem w źrenicy, to ręka ze szklaneczką piwa. Było wtedy przytulnie, świątecznie, fantastycznie cicho.

— Podziwia pan mój charakter pisma i to, że zachowałem go do moich matuzalowych lat — mówił Kuźma Jefimycz powolnym, chrypliwym basem. — Ale nic w tym dziwnego. Przyzwyczajenie. Niech pan weźmie na przykład stolarza, który robi artystyczne meble, choćby nie wiem jak starego. Jakie materiały ma on pod ręką? Pumeks, zamsz, szmergiel, politurę, lakier, klej stolarski. "Wszystkie przybory do roboty brudne, ordynarne, i on sam ręce ma pokrzywione, szorstkie z odciskami od pracy. A zamówienie odda bez najmniejszego błędu, bez plamki. W mahoniowym stole można się przeglądać jak w lustrze. Żaden zamazany inteligent tak czysto nie wykona. A jeśli nawet wypije troszeczkę, to będzie to tylko z pożytkiem i podniesie go na duchu. Tak samo i my, dawni pisarze. Zwłaszcza carscy.

Kiedy się uczyłem, młody człowieku? Z kantonistów* jestem, jeszcze za błogosławionej pamięci cara Mikołaja Pawłowicza. "Wtedy, bracie, nauka nie taka była jak dziś. Wtedy nie pytano znów zanadto, do jakiego rzemiosła, kochanie, masz ochotę, lecz po prostu rozdzielano według własnego widzimisie, według fizjonomii, powierzchowności. Ten ma grać w orkiestrze na tureckim bębnie, tamten będzie kreślaczem, inny musi śpiewać basem w chórze cerkiewnym, ten znów zostanie felczerem, a tamten pisarzem. I szkolili. Siedem skór z człowieka zdarli, lecz doprowadzili do szczytu doskonałości.

We wszystkim wtedy rządziła jednostajność i równanie w prawo. Wszystko się równało: ludzi, konie, budki, odwachy, studentów, latarnie i ulice. Żeby wszystko było pod sznurek i w dwóch kolorach carskich — żółtym i czarnym. Na pewno słyszał pan to opowiadanie?

Pewnego razu Mikołaj Pawłowicz robił przegląd wybranej rotty z przybocznej gwardii, wyznaczonej jako straż honorowa dla niemieckiego króla. Dobierano głowa w głowę. Wszystko zuchy, chłopcy na schwał. Podszedł więc monarcha do prawego skrzydła, troszkę się nachylił i patrzy wzdłuż frontu. A już sam pan rozumie, jaki to był szyk: karabin za karabinem, czako w czako, nos w nos. Wszyscy mają wąsy wyczernione pastą i tłu

szczem, gdy spojrzeć z boku — jeden czarny pas na całą długość. Popatrz, popatrz! monarcha ze trzy minuty, ale potem wprost — wał się i raczył głęboko westchnąć. A tuż za nim z tyłu stał generał Benkendorf, więc ośmielił się zapytać: „Oddychają wasza cesarska mości?” A monarcha z ubolewaniem do niego: „Oddychają podlece!” Takie to były, mój kochany, drewniane czasy.

Tak samo i w naszej sztuce pisarskiej. Uczono nas wszystkich pisać jednakowo, dużym, starannym, czystym, krągłym i absolutnie wyraźnym pismem, bez żadnych zgrubień, ogonków i zakrętasów. Nawet miało ono swoją osobną nazwę: wojskowo-pisarskie rondo j!l widział pan pewnie w staroświeckich papierach? Piękno, czystość, porządek. Kolumna pułkowa, a nie stronica.

Ileż ja za to rondo dostałem bezlitosnych nauczek, aż strasznie wspominać. Zdarzało się, że siedziałem wraz z kolegami przy stole i przepisywałem ze wzoru: Anioł, Bóg, Człowiek, Dziecię, Ewangelia... a nauczyciel chodził dookoła i zaglądał przez ramię. Ale, zdarzało się, że się nie ustrzegłem, postawiłem „żyda”, to znaczy chlapnąłem kleksa lub przy „ą” zakręciłem ogonek na pro- sięcą modłę, a on od tyłu jak nie złapie mi w garść włosy i jak nie zacznie moim nosem tłuc w papier: „Masz ci rondo, masz ci kleksy, masz zawijasy”. Zdarzało się, że cały papier zalewałem własnym czerwonym atramentem.

Za to miałem ci ja nauczyciela! Orzeł! Zawsze najważniejsze pisma do jego cesarskiej wysokości pisał. Sidorow, może pan słyszał? Nie? Nic dziwnego. To bardzo dawne czasy. Był to niezwy- * kły człowiek, ten Tichon Andreicz Sidorow, świeć Panie nad jego duszą. W pewnym sensie nawet postać historyczna.

Monarcha Mikołaj Pawłowicz w swojej nadludzkiej naturze był straszliwie wężochwony, to jest chce powiedzieć, że do niezwykłości czuły na wszelkie zapachy. Pewnego razu przyjmując sprawozdania wziął z rąk ministra jakiś papier, żeby go osobiście z bliska przejrzeć i zmarszczył się. Pyta ministra: „Cóż ty, tabakę zacząłeś wachać?” Temu kolanka zadygotały. „Nic podobnego, nigdy tego nie robiłem, wasza cesarska mość. Zapewne pisarz jakoś się nie ustrzegł”. — „Jaki tam znów pisarz?” — „Sidorow, wasza cesarska mość”. Hg „Wpocić Sidorowowi, żeby na przyszłość był uważniejszy. Ale charakter ma, kanalia, piękny, chociaż wachacz”.

Tego samego dnia wpoili Sidorowowi. Może pan sam sobie wyobrazić, jakie to było wpajanie: przez dwa tygodnie człowiek nie mógł usiąść na stolku ani położyć się na plecach. Gdyby nie miłościwa carska uwaga na końcu o charakterze pisma, to może Tichon Andreicz nie przeżyłby tego w ogóle... Ale wszystko jedno, i tak zmarnował się... Zapisał się mój nauczyciel od tego czasu całkiem jak smok... Do upa4łego. Chodził od rana do wieczora ■ pijany w dryzg. Ale uwierzy pan, charakteru pisma nie stracił, nawet jakby okrzyknął i zawziął się.

I oto w pół roku później — nowe dziwo. Pewnego ranka był znów nasz minister z najwyższym sprawozdaniem i zapewne tym razem monarcha raczył obudzić się w lekkim i wesołym nastroju. Był łaskawy i nawet nieco żartobliwy. Wpadło mu w oczy jakieś sprawozdanie. Wskazał palcem i mówi: „Jaki piękny charakter pisma. A ja przecież, mówi, nawet poznałem, kto pisał. To napisał mój znajomy pisarz Sidorow, ten, który wacha tabakę. No co, zgadłem?”

Wszyscy wiedzą, że Mikołaj Pawłowicz odznaczał się niemal boską pamięcią. Ale gdyby nawet i nie odgadł... to czyż carowie mogą się mylić? Minister oczywiście potwierdził, ale serce miał jak sopelek lodu. „A nuż, myśli, papier znów przeszedł tabaką? No, poczekaj, myśli, taki psi synu, Sidorowie, już ja cię ugospczę takim zapaszkiem, że twoje prawnuki będą kichać. Przez zieloną ulicę przeprowadzę!” A zielona ulica to znaczyło przez dwa szeregi żołnierzy. Zatlukiwali na śmierć.

Jednakże stało się całkiem na wywrót. Mikołaj Pawłowicz uśmiechnął się zyczliwie i przemówił: „Nagradzam mojego pisarza...” Tak właśnie raczył powiedzieć: mojego pisarza. „Nagradzam, mówi, mojego pisarza Sidorowa srebrną tabakierą z wizerunkiem godła państwowego i z napisem: «Mojemu pisarzowi»”.

To już była zupełnie inna piosenka. Całe naczalstwo w komplecie rzuciło się osobiście winszować Tichonowi Andreiczowi, od najmniejszej rybki aż do dyrektora departamentu, a minister wręczył mu osobiście carską tabakierkę.

Jednakże Sidorow niedługo cieszył się monarszym darem. Po pierwsze — nie mógł się wyrzec swego pijaństwa, a po drugie — zwariował z pychy. Żądał od wszystkich niewolniczego szacunku dla siebie i zaczął strasznie łąć; W końcu zaczął pleść takie

bdzury, jakoby sam osobiście widywał się z monarchą wiele razy i jakoby monarcha radził się go w ważnych sprawach rosyjskiego imperium, i jakoby w pałacu w carskiej rodzinie pił herbatę z rumem i z kminkowymi obarzankami. Życie zakończył w przytułku „Pocieszycielki Strapionych”.

I nawet trudno się dziwić, że taka carska łaska pomieszała rozum takiemu małemu człeczynie. Przecież był to monarcha nie lada jakiej miary! Jednym spojrzeniem mógł człowieka zamienić w słup soli jak żonę Lota. Rozgadałem się kiedyś z jednym starym generałem: byłem u niego w naszych pisarskich sprawach. Był to bojowy generał z dawnym hartem, a nie dzisiejszy salonowy blagier. Generał opowiedział mi taką historię. Gdy po ukończeniu korpusu kadeckiego nadano mu pierwszą rangę oficerską, pojechał w jednokonnej karecie ciotki z wyzytami. Wiadomo, że dla świeżo upieczonego podchorążego nic nie znaczy sięgnąć po gwiazdkę z nieba; przez pierwsze trzy dni wszyscy oni cieszą się jak szaleni. No, a ten wziął i w swojej karecie zapalił cygaro — tak, więcej dla szyku i z młodzieńczej swawoli, dlatego że wówczas na ulicy było to wszystkim i każdemu z osobna surowo wzbronione. I akurat tuż obok cukierni Dominika wyjeżdża mu naprzeciw parą srokaczy Mikołaj Pawłowicz. Mknie jak błyskawica! Wyprostowany jak pomnik! Orle pióra na kasku rozwiewają mu się od wiatru, peleryna trzepoce w powietrzu! I naraz przez szyby karety zobaczył podchorążego z cygarem. Spojrzał tylko i pogroził mu palcem.

Tak opowiadał mi generał: „Ja, powiada, tego spojrzenia nie zapomnę do grobowej deski. Wszystko wytrzymałem w życiu: bitwy, powstania, niebezpieczeństwa, rany, śmierć bliskich ludzi, lecz podobnego przerażenia nie odczuwałem ani razu. Budzę się, mówi, niekiedy nocą, przypomnę sobie spojrzenie tych groźnych oczu, i ze strachu chowam głowę pod kołdrę. I gdy będę umierał — nie będę myślał o śmierci, lecz o tym strasznym spojrzeniu”.

Tak. Mam ja wnuczkę — Głaszeńkę, Głafira Denisowna pracuje w bibliotece. Co ona mi wygaduje, gdyby pan, młody człowieku, tego posłuchał! „Twój Mikołaj był katem, powiada, koronowanym mordercą, gnębicielem słowa i myśli, żandarmem Europy!” I jak się rozpędzi! „Całą Rosję, krzyczy, posiekł różgami i zalał krwią, na trzy stulecia zahamował rozwój kraju, poniżył i upodlił go gorzej od wszelakiego niewolnictwa!” Cóż mam jej odpowiadać na te wszystkie słowa? Milczę. Rozumem zgadzam się, że Głaszeńka ma rację, ale tu, w sercu, w duszy nie mogę, nie śmiem go osądzać. Jak urodziłem się jego niewolnikiem, tak i zdechnę niewolnikiem. Myślę, że gdy psa odumrze surowy gospodarz, to pies z pewnością wspomina z rozrzewnieniem, jak to tamten tłukł go nahajką, i płacze w swoim psim sercu.

III

Kuźma Jefimycz zagłębia się w cieniu i przez pewien czas milczy. Potem, odkaslnąwszy, upija z kieliszka i ciągnie spokojnie dalej:

— No więc, ogłoszono manifest zwalniający z poddaństwa. Skrócono także dawny termin służby wojskowej. Dostałem dymisję i bardzo szybko potraciłem swoich dawnych kolegów: jedni z nich pomarli, inni wrócili do swoich stron, a jeszcze inni zniknęli nie wiadomo gdzie.

Nas, pisarzy carskich, zostało bardzo mało, można by policzyć na palcach, i z każdym rokiem nasz poczet się zmniejszał. Nie można oczywiście mówić, żeby nie rodzili się nowi ludzie z pięknym charakterem pisma. Ale kaligrafia to co innego niż wojsko-wo-pisarskie rondo. Młode pokolenie nie miało tej twardej szkoły co my, nie miało naszej cierpliwości, naszego doświadczenia, pewności i miary w oku. Byliśmy ze szkoły Sidorowa, można powiedzieć wysokiej, starodawnej marki, rzadkiego fabrycznego znaku. Choć wraz z uwolnieniem od poddaństwa runęły niektóre wielkie słupy i zaszło wiele jaskrawych gwiazd, ale nas, carskich pisarzy, ten przewrót nie dotknął. A ponieważ staliśmy się wszyscy pracownikami z wolnego najmu, to i dla nas zaświtało święto.

W kancelariach byliśmy, jak to się dziś mówi, solistami na gościnnych występach, czymś w rodzaju waszego znakomitego Szalapina. I sądziliśmy o sobie wcale nie gorzej niż on. Przychodziło się nieraz do ministerstwa obdartym, w starym obuwiu, troszkę podchmielonym, a jednak na całą tę drobnicę urzędniczą patrzyło się jak z wysokiej dzwonnicy. Cóż mi po jego bączku? Ich, tytułarnych radców i kolegialnych rejestratorów, w samym Petersburgu jest może ze sto tysięcy, a nas carskich pisarzy w całej Rosji nie zbiera się sześćdziesięciu. Pensji otrzymuje taki

szesnaście rubli z kopiejkami, a ja żartując sto i półtora wytku. I taki przykutny jest jak pies na łańcuchu do swego stołu, a ja jestem wolnym artystą i moje imię ludzie na wysokich stanowiskach wymawiają z uznaniem: „Pije łajdak, ale jedyny mistrz do pisania do jego cesarskiej mości”.

I trzeba to powiedzieć: tego, co myśmy umieli zrobić, już nie potrafia ani terazniejsze, ani przyszłe pokolenia. Staliśmy się niedobitkami jakiegoś heroicznego, wymierającego plemienia, czymś w rodzaju ostatnich kaukaskich Czerkiesów. Oczywiście w swoim zakresie. Chce pan, to powiem teraz o pewnym zdarzeniu, które nasunęło mi się na język?

Jeśli w dzień spojrzysz pan przez to okno, to akurat naprzeciw, przez Fontankę, na lewo od mostu Czernyszewowskiego, zobaczysz wielką, białą-żółtą budowlę. Mieści się w niej ministerstwo, a w ministerstwie był niegdyś egzekutorem Mikołaj Konstantynowicz. Dawniej służył bardzo długo. Nawet ministrowie zostawali na stanowisku po piętnaście lat. A Mikołaj Konstantynowicz, jak sądzę, chyba od pierwszego dnia zbudowania tego gmachu był w nim egzekutorem.

Wtedy był on znakomitością na swoim stanowisku, subtelnym znawcą spraw i duszy ludzkiej, ale i największym na całym świecie zelźycielem. My, carscy pisarze, jego jednego się obawialiśmy. Nie brzydził się niekiedy własną ręką dać upomnienie. Lecz naszą bandę szaleńców cenił pomimo wszystko, znał naszą wartość i w razie potrzeby krył nas za swymi szerokimi plecami i bronił od różnych ciężkich przeżyć i nieszczęść, które trudno byłoby nawet policzyć. I jak wspaniale rozumiał naszą pracę! Zdarzało się, że podnosił papier na płask do oka pod światło, zupełnie jakby z niego celował, i widział wszystko od razu, gdzie podczyszczony nożykiem, gdzie zatarte lakiem. I zaraz jak nie szarpnie za kosmyk albo ciśnie papierem w twarz. „Przepisać! — krzyczy. — Na drugi raz karę pieniężną nałożę za niszczenie carskiego papieru. Żeby mi było bez poprawek, bez wycierania, bez laku i bez sandaraku!”

Gdy zdarzało się dla kogoś z nas jakieś urzędowe zamówienie, a na dole w poczekalni nie było ani jednego pisarza, to było już wiadomo, że trzeba tylko posłać gońca do tej samej piwiarni, gdzie teraz siedzimy. Tu właśnie stale przesiadywaliśmy obsługując prywatną klientelę. Ale zdarzały się wypadki, kiedy byliśmy

potrzebni w znacznej liczbie, i wtedy już sami biegaliśmy po całym mieście, goniąc jeden za drugim. I wyciągaliśmy kolegów z najgorszych spelunek.

Tak się właśnie zdarzyło kiedyś o drugiej po południu. Mikołaj Konstantynowicz wydał właśnie polecenie: „Zebrać jak tylko można najwięcej carskich pisarzy, choćby wszystkich, którzy jeszcze trzymają się na nogach, i przywieźć ich bez zwłoki do ministerstwa. Robota jest terminowa i bardzo ważna. Wypadnie zapewne siedzieć całą noc. Potrójna zapłata, ponad zwykłą stawkę, nie licząc tego, co za pośpiech i dokładność w robocie dołożą dyrektor i minister. Ale bez żadnej zwłoki”.

Urzednicy wychodzili już z pracy, gdy zjawiliśmy się w pięciu u Mikołaja Konstantynowicza i wszyscy we względnie dobrym stanie, a jako najpoważniejszy z nas Gawriuszka Pantielejew, znakomity mistrz do rozdzielania na oko materiału. Egzekutor obejrzał nas bystrym i badawczym wzrokiem i pozuł wargami.

• — Mało was, chłopcy.

A Gawriuszka odpowiada mu słowami z modnej podówczas sztuki:

— Niewielu nas, lecz jesteście Słowianami!

— Znam cię, mówi, Słowianinie, jakżeś w zonim serdaku biegał po Rynku Aleksandrowskim. No, ale do roboty, chłopcy. Droga jest każda sekunda. Trzeba zdążyć do siódmej rano, cokolwiek by się stało. Zdarzyło się tak, że monarsze spodobało się zainteresować pewnym zagadnieniem w szkolnictwie i wyraził życzenie wobec ministra, aby

jak najszybciej dostarczono mu szczegółowy raport. A minister, z roztargnienia czy przez zapomnienie, czy też język go swędził z gorliwości, wziął i chlapanął, że ma już raport gotowy. Wtedy monarcha powiedział: „To cudownie, pan zawsze, hrabio, uprzedza moje myśli. Proszę przysłać mi te papiery jutro jak najwcześniej. Jadę na dwa dni do Peterhoffu i tam w wolnym czasie przeczytam je i zrobię swoje uwagi”. A o tym piśmie ani jeden człowiek w ministerstwie ani słuchu ani ducha.

Gdy hrabia się dowiedział, zaczął sobie włosy rwać z głowy. „Jeżeli nie chcecie mojej i swojej zguby, to żeby mi do jutra rano raport był gotowy. Zróbcie choćby cud, naderwijcie się, oślepnijcie, ale pismo musi być dostarczone!” No, i oczywiście

obiecaliśmy mu choćby trupem paść, a jemu nie zrobić zawodu. Teraz na górze Filip Filipowicz z Błagowieszczeńskim i radca prawny z kierownikiem na cztery ręce wysmażają. Za pół godziny chyba skończą. I wtedy, chłopaki, cała nadzieja w was. Nie zdradźcie, bracia, a ja was, łajdaków, tak samo jak zawsze swojej opieki nie pozabawię. Przecież za was, dranie, dałem słowo dyrektorowi.

Gawriuszka znów się wysunął.

— My dla pana, Mikołaju Konstantynowiczu, gotowi jesteśmy oddać życie. Ale, nie ubliżając panu, niech już pan raczy nam odzależować jedną ćwiartkę.

— Przecież się schlejecie, diabły nienasycone?

— Niech pan będzie spokojny. My znamy swoją miarę. Czyż nie rozumiemy, do jakiej pracy się bierzemy?

— No, dobrze, mówi, dobra, niech będzie jak chcecie. Tylko stąd już was więcej nie wypuszczę, i obrażajcie się czy nie, a ja was zaraz pozabawię nóg i głów.

I krzyknął do dyżurnego gońca:

— Hej, Tołkaczew! Weź od carskich pisarzy buty, czapki i ich szuby z soboli i schowaj pod klucz, a klucz oddaj mnie. Wódkę zaś zaraz wam przyślę.

A Gawriusza znów:

— Z takim genialnym umysłem, Mikołaju Konstantynowiczu, pan powinien by zostać kanclerzem państwa. Ale pomimo wszystr ko niech pan nam każe przynieść także zakąskę.

— To słuszne. A co chcecie?

— Ano tak... Czarnego chleba, nakrajanego w kromki, i grubszej soli... kuchennej. Bo przy innej zakąsce to w złą godzinę zrobi się plamę na raporcie.

— Chwat z ciebie, Pantielejew. Ty byś ze swoją przezornością powinien był zostać naczelnikiem policji.

A przez ten czas, gdyśmy tak przyjaźnie rozważali między sobą, przyniesiono nam bruliony. Gawriuszka, nasz starszy krojczy, zmierzył na oko i aż gwizdnął przy samym Mikołaju Konstantynowiczu. Okazało się według jego wyliczenia, że z marginesami jest stron sto pięćdziesiąt naszego zwykłego pisma rondo, po trzydzieści stron na osobę. Trzydzieści stron — głupstwo, można by

i w trzy godziny nabazgrać, ale nie dla jego cesarskiej mości! Tu na stronicę trzeba dwadzieścia minut, a nawet dwadzieścia pięć! To wypada dziesięć godzin roboty bez przerwy. Strasznie nam się zrobiło. Jednakże trzymaliśmy wysoko nasz sztandar i nie przestraszyliśmy się takiego bohaterstwa. „Do dziewiątej, mówimy, chyba się uporamy”.

— Chłopcy, a nie można by, diabły rogate, trochę wcześniej?

— Postaramy się, Mikołaju Konstantynowiczu. Sam pan jesteś mikołaj ewski służbista i pamięta pan, jak mówiono w naszych czasach: nie ma niemożliwości. A teraz niech pan zechce wyjść i więcej nam nie przeszkadzać.

— Idę, idę — mówi — tylko wy już bądźcie łaskawi, cymbały moje najmilsze, bez poprawek, bez laku, bez sandaraku.

Śmiejemy się:

— Nawet przyborów do tego nie mamy ze sobą.

— To świetnie. Och, zamknąłbym was samych na klucz w tym pokoju, jak zamknąłem wasze ubranka, ale cóż, wy też jesteście żywi ludzie. Jednak bez butów daleko nie uciekniecie.

My znów się śmiejemy:

Różnie bywa. Jednak do przyjemnego widzenia, Mikołaju Konstantynowiczu. I wcześniej niż o ósmej trzydzieści prosimy nam nie przeszkadzać.

Poszedł. Zaraz Gawriusza rozdzielił między nas bruliony, kto odkąd i dokąd ma przepisywać. Miał do tego zdumiewający talent. Tak, w pisaniu byłem i zwawszy, i bardziej

biegły od niego, ale jeśli chodziło o podział, naprawdę nie mogłem nigdy pojąć, jaka sprężynka działa w jego mózgu. I tak zasiedliśmy do roboty na całego.

Cisza była jak nocą w cerkwi. Tylko pióra skrzypią, to tu, to tam ktoś zaszeleści papierem... Łojowe świece skwierczą... I od czasu do czasu to jeden, to drugi wyciągnie rękę do naczynia — bul-bul-bul bul-bul... Brzęknie kieliszek... Brzdęk! I znowu cicho... Co pan myśli? Skończyliśmy przed ósmą. Mikołaj Konstantynowicz, jak było umówione, zajrzał do nas o wpół do dziewiątej i przeraził się. Widzi, że wszyscy pięciu śpimy, opuściwszy szalone głowy na stół, a na stole przed nami nie jedna ćwiartka, lecz dwie, i obie puste. To Gawriuszka Pantielejew wśród nocy, boso, bez

palta i bez czapki wyskoczył do „Pięciu Kątów” po drugą butelczynę. A rzecz działa się zimą i na ulicach z powodu mrozu paliły się ogniska.

Jednakże wziął Mikołaj Konstantynowicz porządnie złożony stos przepisanych arkuszy, obejrzał je, tak pod światło, swoim wielce wytrawnym spojrzeniem, i nie mówiąc ani słowa, wyszedł na palcach, zamknął cichutko drzwi i zakazał nas budzić. A w kancelarii pokazywał naszą robotę urzędnikom i mówił ze łzami w oczach:

— Wam, wspaniali młodzi ludzie, z taką robotą nie uporać się i w dziesięciu, choćbyście wylazili ze skóry. Bo oni kładą w pracę duszę, a wy tylko rozum, a i to kurczący...

Kuźma Jefimycz znów milknie na długo. Potem wymawia powoli i smutnie:

— Opowiadałem tę historię Głaszeńce, mojej wnuczce. Nic nie zrozumiała. Rozzłościła się nawet na mnie. Mówi: „Dla mnie nie to jest straszne, że dla takich głupstw ludzie tracili wszystkie swoje siły żywotne, lecz przeraża mnie, że w tym umieszczali swoją ambicję”. Tak właśnie powiedziała.

Głos drży mu przy tych słowach i wydaje mi się, że widzę w ciemności, jak z żalu drga mu dolna warga. Ale już późno. Słyszę, jak gospodarz całą dłonią drapie się pod fartuchem po brzuchu. Potem długo i smacznie ziewa. I wreszcie głosem jeszcze bezbarwnym od ziewania mówi:

— A ja tu zdrzemnąłem się przy waszych wesołych historiach. Czas puścić światło. Hej, Mitiuszka, Ławrientij, zapalajcie lampy.

Kuźma Jefimycz wstaje, poważnie kiwa mi głową, nie spiesząc się idzie do drzwi i wychodzi na ulicę. Gdzie mieszka — nikt nie wie i nikt się tym nie interesuje. A gdy przestanie przychodzić tak przez cały tydzień, to w piwiarni powiedzą obojętnie:

— A naszemu Kuźmie Jefimyczowi pewno się zmarło...

Przełożyła Wanda Grodzieńska

Natasza

Było to w 1898 roku późną wiosną. Do dużego, nadmorskiego południowego miasta dopiero co przyleciały szpaki. Kierowały się na północ ku tłustym, czarnoziemnym, bogatym ziemiom Rosji, ku zeszlórocznym gniazdom, a w południowym mieście zatrzymały się tylko po to, by odetchnąć po trudnym przelocie nad Morzem Śródziemnym i odpocząwszy polecieć dalej do miłego kraju ojczystego.

Przyleciały rano, kiedy ledwo zaczynało świtać, i wielkimi ciemnymi stadami rozsiadły się na gzymsach, występach, rynnach i architektonicznych ozdobach najbogatszych i najpiękniejszych gmachów miasta.

Rdzenni starzy mieszkańcy udając się, z przyzwyczajenia, do ulubionych kawiarni zręcznie przebiegali przez chodniki, na które obficie plaskały z góry lepkie grudki. Ale nikt się nie skarżył. Wszyscy w mieście wiedzieli, że w dzień-dwa po szpakach, jak zawsze, rozwiną się drobne pączki białych akacji i całe miasto, z wszystkimi swoimi przedmieściami, fontannami i limanami, pogrąży się w ciężkim, słodkim, pobudzającym aromacie, którego magicznemu wpływowi jednakowo podlega i posłuszne jest wszystko, co żyje, oddycha i porusza się — widomy znak, że czas rozjechać się na dacie.

Właśnie pewnego takiego upajającego, niespokojnego, ciepłego dnia przyjechała do południowego miasta Natasza i zatrzymała się na Dwudziestym Fontanie, na dacy swojego wuja Jegora Iwanowicza Bogomołowa, radcy prawnego RTŻiH, to jest Rosyjskiego Towarzystwa Żegluga i Handlu. Przybycie jej w jednym z tych

pełnych chaosu, niespokojnych dni szpaków i akacji miało jakby jakieś szczególne, prorocze znaczenie i nie można było sobie wyobrazić na piersi Nataszy innego bukietu, jak tylko świeży pęk białych akacji, który jeszcze na dworcu wmusił jej bezpłatnie ciemny, "kędzierzawy chłopak sprzedający gazety.

Była jeszcze bardzo młoda, miała niespełna szesnaście lat, ale jej silne i zwinne ciało uformowało się już w sposób zauważalny -dla oczu.

Nie można jej było nazwać ani piękną, ani nawet ładniutką. Rysy jej świeżej, tchnącej zdrowiem twarzy były nieco zbyt grubo ciosane, nos troszeczkę za długi, wargi nazbyt pełne i czerwone. A mimo to była prześliczna — trudno znaleźć inne słowo, chociaż •znów nikt by nie powiedział, na czym w istocie polegała tajemnica jej nieodpartego, silnego i niewyszukanego uroku.

Była wysokiego wzrostu, włosy miała koloru kasztanowego przechodzącego w rudy. Dziwne były jej oczy: to niebieskie, to fioletowe, to jasnobłękitne, zależnie od kąta padania światła. Nocą zaś w zamkniętym pomieszczeniu w oczach jej zapalały się z rzadka ciemnoczerwone ogniki, tak jak czasem u koni. Ręce jej nie były delikatne, ale zawsze ciepłe, a ich uścisk był zadziwiająco przyjemny, mówiła niskim kontraltem, czasem z lekką chrypką, tak namiętnie poruszającym starych lubieżników. Śpiewać jednak nie umiała chociaż lubiła wszelką muzykę od harmonijki ustnej do orkiestry symfonicznej. Kobiety jej nie lubiły, stroniły od niej, uważały ją za „całkiem interesującą, ale męczącą", nie odważyły się jednak mówić o niej źle. Trudno było jej nawet zarzucić zwykłą dziewczęcą kokieteryę. Obce jej było nawet instynktowne, nieświadome dążenie do zniewalania silniejszej płci spojrzeniami, słowami, pozami, uśmiechami i grą ciała. Nie! Mężczyźni oczarowały w niej jej namiętne ukochanie niewinnych, pierwotnych radości życia, boska wspaniałość jej rozkwitającego ciała, timbre jej głosu, zapach jej oddechu, pachnącego tak, jak gdyby dopiero co żuła kwiat dzikiej róży lub aromatyczne zieleń, magnetyczne przyzywające drżenia rozchodzące się od jej rąk.

Żaden mężczyzna nie mógł na nią spokojnie patrzeć. Każdemu wydawało się, że jej otwarte wstydlivo-szczere spojrzenie mówi: „Tak! Dojrzałam do miłości, do silnych męskich objęć, do przecią

głych pocałunków, do nieopisanych rozkoszy, którym nie będzie końca. I wszystko to dla ciebie, dla ciebie, mój ukochany, mój wybrany, mój jedyny na świecie!" Ale mówiła to dojrzała kobieca dusza. W sercu i w wyobraźni Natasza była czysta i niewinna.

Ani jedna nawet bezwstydną książeczką nie zmaciła jej nie- zepsutych myśli.

Pewien uczony (nazwisko jego trudno teraz przytoczyć) obserwujący życie owadów dokonał nadzwyczaj interesującego doświadczenia. Wziął ze swojego kwietnika kilka żeńskich kokonów motyla zwanego, no chociażby Z. Włożył te kokony do dużego szklanego pojemnika całkowicie odgradzonego od świata i umieszczonego za oknem. I oto kiedy te kokony w odpowiedniej porze zaczęły rozwijać się i na koniec wypełzły z nich motyle-samiczki, to już nazajutrz uczony zobaczył, że całe narożne okno jego laboratorium pokryte jest motylami-samcami, bijącymi się o wejście do niedostępnego wnętrza. A co najważniejsze, wszystkie samce były z gatunku Z. Jak mogły się dowiedzieć o obecności samiczek, jeśli nie było ich widać ani słyszać, a pyłek ich w żaden sposób nie mógł wylecieć poza laboratorium? I uczony odpowiedział na to: „We wspaniałej księdze płci nie przeczytaliśmy jeszcze pierwszej stronicy. Moje doświadczenie pozwala wysunąć pewne roz-

wiązanie. Wyswobodzone z kokonów motyle-samiczki od pierwszej chwili pojawienia się na bożym świecie zaczynają swoje życie płciowe niecierpliwie wzywając samca. Jak one to robią? Nie wiemy. Być może mają zdolność wysyłania w otaczającą je przestrzeń jakichś

niezmiernie krótkich, wibrujących drgań, do których odbioru samce mają odpowiednie receptory. Lecz niestety! Wszystko to jest zaledwie czystą hipotezą!"

Wrażenie, które wywierała Natasza na wszystkich dosłownie mężczyznach było niewątpliwie i aż do oczywistości mocne. W tramwajach, omnibusach, w teatrach, cerkwiach i w pociągach mężczyźni z otwartymi ustami wpatrywali się w jej oczy, na ulicach długo patrzyli w ślad za nią i często za nią szli dwie-trzy przecznice. Nawet woźnice wielokrotnie obracali się na swoich siedzeniach, aby znów ją zobaczyć. Tam, u siebie w domu, w Riazaniu, dawno już zaczęto prosić ją o rękę i serce z rycerską gotowością oczekiwania, z powodu młodego wieku Nataszy, choćby

/

pięć, choćby dziesięć lat. Ale oczywiście ona była motylem z gatunku Z, a jej wielbiciele nosili inne litery i wyjechała ona z „zapyziałego” Riazania do wspaniałego, czysto europejskiego południowego miasta gdzie i morze, i teatry, i limany, i studenci, i o- pera, i miły wujek Żorż.

Dacza Jegora Iwanowicza Bogomołowa na Dwudziestym Fonta- nie nazywała się „Przestwór”. Słuszniej można by ją było nazwać „Głębia”, ponieważ znajdowała się ona na samym skraju stromeego urwiska opadającego ku morzu. Zaczynało ono się osypywać i daczy groził nieuchronny los, że pewnego złowrogiego dnia runie i koziołkując potoczy się do wody. Ale w bezpiecznym, pełnym życia, wesołym południowym mieście któż by zwracał uwagę na takie głupstwa? Przez całe lato od rana do wieczora malutka dacza otulona petuniami i pachnącym groszkiem pełna była młodych i starających się wyglądać młodo ludzi. To Natasza wabiła ich tajemniczą wibracją niewidocznych promieni, którymi emanowało jej silne, namiętne przyzywające, gorące ciało.

Któż tam nie bywał! Artyści (nazywali się artystami południo- worosyjskimi), aktorzy, śpiewacy, socjaliści różnych odłamów, doktorzy, studenci, rozczochrani poeci, agenci ubezpieczeniowi, wspaniale ubrani eleganci z brudnymi paznokciami i ludzie bez określonego zawodu, oficerowie piechoty z okolicznych pułków i tak bez końca...

Cały dzień jedli i pili, zbiegali na dół kąpać się, jeździli na rowerach, pływali łódkami, urządzali pikniki, klócili się, wrzeszczeli, wbijali sobie nawzajem szpilki. Ale ośrodkiem całego tego ruchu i zamieszania była rzecz jasna ona, magnetyczna Natasza, patrząca na mężczyzn tak, jakby patrzyła poprzez nich w pustą przestrzeń. Bardziej niż inni zwracał na siebie jej uwagę niejaki Pticyn, dawna znakomitość południowego miasta, zajadły sportsmen, kolarz wyścigowy, bokser, lotnik, pływak, biegacz długodystansowy, zwycięzca regat żeglarskich, do tego jeszcze płomiennorudy jąkała. Mówił do Nataszy z komiczną powagą:

— Pani, Nata-szo, nie w-wyobraża sobie, jaki jestem p-p-p* opularny w mieście. Kiedy jadę s-s-samochodem, t-to- chop-cy krzyczą do mnie: P-ticyn! Ry-ż-ży pies!

Nataszy podobał się on zapewne dlatego, że przez zawziętą grę w karty i nieumiarkowane użycie narkotyków zatracił swe specy

ficznie męskie skłonności. Jego towarzystwo nie drażniło Nataszy i nie nadużywało jej cierpliwości nieustannym powtarzaniem wzniosłych lub pieprzonych banałów.

Ale pewnego razu miły Pticyn zmuszony był zniknąć z letniskowego towarzystwa i zniknął na zawsze ku wielkiemu rozżaleniu Nataszy. Rzecz w tym, że zapalony, rudy sportsmen jakoś tak nie w porę, podczas wielkiego napływu gości, wypowiedział słowa:

— P-p-p-sie wesele!

Jegor Iwanowicz rozgniewał się, ostro zwrócił mu uwagę i napomknął coś o „moim domu”.

Pticyn odpowiedział z zimną krwią:

— T-tto ja lepiej pójdę.

I poszedł na zawsze.

Z pozostałych wielbicieli (a byli nimi wszyscy bywalcy daczy „Przestwór”) nikt nie poruszał serca Nataszy. Wszyscy oni, nie wyłączając łysiejącego wujka Żorża, wydawali się jej pustymi gadułami, nudnymi natrętami, żalonymi i śmiesznymi imitatorami wulkanicznych, diabelskich namiętności. Kiedy ją całowali, spokojnie i rzeczowo wycierała chusteczką wargi i policzki, i mówiła:

— No i po co robić te głupstwa. Przecież to wszystko fałsz! Jak panu nie wstyd.

Bo i w rzeczy samej dziwnie i śmiesznie wyglądali ci niemłodzi już inteligenci w sposób tak niezręczny i nieprawdopodobny zalecający się do zwykłej, naturalnej, bezpretensjonalnej prowincjonalnej panienki.

Siwiejący doktor Riabczikow, w wolnym czasie młody pisarz pornograficzny, co i raz wbijał wzrok w piersi, w nogi, w brzuch lub odsłoniętą szyję Nataszy i kiedy czerwieniła się ciemnym rumieńcem, rozkosznie sepleniąc i dusząc się nastawał:

— I od czego Nataszka tak poczerwieniała? Dlaczego raka spiekła? A ja wszystko widziałem, wszystko co jest. Tylko nikomu nie powiem, nikomu.

Artysta malarz Swierbukow nieustannie prosił Nataszę, żeby mu pozowała „do wszystkiego”. Zapewniał, że proporcje ciała Nataszy dokładnie odpowiadają proporcjom Wenus z Milo, znajdującej się w Paryżu, w muzeum w Luwrze. iNa dowód tego rozwijał płócienny centymetr i mierzył Nataszę dopóki nie wyrwała mu

go z ręki i, cisnąwszy na ziemię, nie uciekła jak kozica z daczy do parku. ' : • ; - ■ . : S' .
: i'Yi:

Śpiewak Izorczenko, laureat teatru „La Scala” w Mediolanie, przyjaciel Titto Rufo i drugi po nim baryton na świecie (tak przynajmniej mówił), spędzał czas na tym, że chrząkał, chrząkał, od- kaszliwał i spłukał na ziemię.

— Jesienią — mawiał — pojedę do Włoch, do Salzo-Maggiore. Tam my wszyscy, znani artyści śpiewacy, przechodzimy kurację jodową w „aqua mądre” dla odnowienia zmęczonego głosu.

Natasza ledwo wytrzymała jego towarzystwo. Ale pewnego razu, kiedy ją znieczeka brutalnie schwylił obiema rękami za jej młode, jędrne piersi wymierzyła mu swą dużą, piękną dłoń tak wspaniałą, taki głośny, prawdziwy policzek, że tłusty baryton nie utrzymał się na słabiutkich nóżkach, zwałił się na trawę i jęcząc zabulgotał: „No, to już świństwo!” Pąsowe ślady wszystkich pięciu palców Nataszy plastycznie odbiły się na jego policzku i odtąd nie pokazywał się już w „Przestworze”...

Co tu zresztą mówić: liczni, wielbiciele Nataszy były to zwykle miejskie obiboki, mali ludzie wymyślający samych siebie według żalosnych, starych wzorów całkiem jakby wystroili się w znoszone, zetlałe, brudne ubrania wyciągnięte z kubła na odpadki.

I ani jednego człowieka!

1

Natasza nudziła się. Poprzez blask wielkiego południowego miasta coraz częściej jawił się rodzinny Riazan, jak miły odpoczynek w gęstej trawie pod białymi brzoźami wydzielającymi cudowny smolisty zapach.

I oto pojawił się wreszcie prawdziwy 'człowiek. Właśnie ten ludzki samiec, którego gatunek nieznaną profesora oznaczył tą samą co u Nataszy literą Z.

Nie przyjechał i nawet nie przyszedł, a raczej przywłókł się, dlatego że niósł na plecach ciężki, skórzany plecak. | Na balkonie w tym czasie pito wieczorną herbatę. Zmierzchało. W pergolach paliły się różnokolorowe światła. Nie wchodząc na stopnie przybysz zręcznym ruchem lewego ramienia Opuścił swój niemały ciężar na ziemię i powiedział- silnym, głębokim głosem (z początku wszystkim się wydawało, że krzyknąłHiii) Zaśpiewał): . .

— Bogomołow! Bogomołow Jegor!

Jegor Iwanowicz wstał od stołu. Osłonił ręką oczy, patrzył i ciągle nie poznawał przybysza.

• — Proszę wybaczyć, naprawdę nie poznaję. W żaden sposób sobie nie przypomnę...

I nic dziwnego odpowiedział śmiejąc się młodzieńczo przybysz —' proszę cię bardzo, gimnazjum w Taganrogu, piąta klasa. Gimnazjalista Terd, pseudonim Robinson Crusoe.

— Masz ci los — klasnął w ręce Bogomołow — czy to nie ty zamierzałeś uciec do Ameryki? A potem przepadłeś jak kamień w wodę i w żaden sposób nie można cię było znaleźć. Cóż za nagłe, ędowne pojawienie. Pozwól jednak, że poznam cię z moją rodziną. Oto żona, córka, dwóch chłopaków i siostrzenica. Siadaj, siadaj, mówię ci, przy stole, panie dadzą ci herbaty.

Ale za herbatę podziękował. Poprosił o pozwolenie zagotowania argentyńskiej trawki mate, do której przywykł na południu Ameryki włócząc się przez kilka lat z kowbojami. Wyjął ze swojego skózanego plecaka garść szarozielonej trawy i wsypał ją do wrzątku. Potem wyciągnął stamtąd srebrne sitko i srebrną rurkę i zaczął powoli wciągać brązową ciecz.

— Bez tej rośliny — mówił — nie obywa się w tropikach ani jeden jeździec wykonujący ciężką pracę. Mate jest mu równie niezbędna jak długie wielostrzałowe pistolety i zwinięte lasso. Trawka, prawdę mówiąc, jest niepozorna i niesmaczna. Chcecie spróbować? Ale wystarczy wypić zmęczenie mija jak ręką odjął i najgorszy nastrój ustępuje rześkości i

radości życia. Cudowna trawka zaiste. Jeśli ktoś do niej przywykł — trudno mu zrezygnować.

Zaczęto go wypytywać o życie w Ameryce i o przygody. Opowiadał chętnie, ale jakby zanadto rzeczowo i zwięźle. Wszystkie te rzeki, niedosiężne szczyty, nieprzebyte bagna, bezkresne pampasy, boa dusiciele, jadowite owady, bizona i czerwonoskórzy Indianie — wszystkie te niezwykle cuda, które budziły grozę w kobietach — dawno mu zbrzydły i wydawały się nieciekawe.

Uciekł z domu nie z powodu zamiłowania do przygód, ale dlatego, że nie mógł znieść ciągłej nienawiści i nieuzasadnionych pretensji historycznej, wiecznie wściekłej macochy. Na początku został jungą na dużym żaglowcu, później stewardem na statku pasażerskim, potem kowbojem w Teksasie, następnie pracował

w cyrku, był dżokejem na wyścigach, transportował świnie i tym podobne. Przemierzył Amerykę od Kanady po Meksyk i od San Francisco po Chicago. Zna jedenaście rodzajów rzemiosła i nie przestaje się w nich ćwiczyć. Teraz wart jest, jak mówią w Nowym Jorku, trzydzieści tysięcy dolarów lub trochę więcej. Za lat piętnaście będzie wart sto. I właśnie doszedł do wniosku, że wspólnie z dwoma kolegami zajmie się eksportem koni z Ameryki do Starego Świata. On wnosi wiedzę, koledzy — pieniądze. „Prócz tego jednak chciałbym się ożenić i to koniecznie z młodą Rosjanką. Amerykanki dobre są do reprezentacji, jako szyld dla męskiego biznesu, ale w interesach słabe z nich pomocnice, zbyt lubią się bawić. Ach, to już nie te pracowite towarzyszkę dawnych traperów, zdobywców Ameryki Północnej”.

Mówił dalej. Natasza wpatrywała się w niego nie odrywając wzroku, w skupieniu, z rozchylonymi wargami. Po raz pierwszy tak się jej spodobał ten mężczyzna, rosły i opalony, z dwiema głębokimi, pionowymi, poważnymi zmarszczkami na czole i z nie- ledwie dziecięcym uśmiechem ukazującym na chwilę jego mocne zęby żółtawe jak stara kość słoniowa.

Mówił spokojnie, z pewnością siebie, nie szukając i nie dobierając słów. W jego wymowie ledwo można było wyczuć lekki amerykański akcent, który nie szkodził jej; oszczędny i ledwo zauważalny gest od czasu do czasu ożywiał jego słowa. Natasza zauważyła jeszcze, że niekiedy szerokie nozdrza Leonida Terda nagle rozszerzają się i w owej chwili jego głęboki głos brzmiał ciszej i jeszcze głębiej, a w jego piwnych oczach zapalały się złocisto- żółte błędne ogniki.

W ogóle ten rosyjski Amerykanin, który spadł na dach „Przestwór” jakby z nieba, sprawiał wrażenie człowieka o wielkiej moralnej i fizycznej sile i rzadko spotykanym panowaniu nad sobą i powściągliwości.

Krótko po dziesiątej wstał od stołu i powiedział:

— Wybaczcie państwo, w interesach zjeździłem dzisiaj i przebiegłem całe południowe miasto, jestem bardzo zmęczony i, za pozwoleniem, pójdę spać.

Jegor Iwanowicz zaproponował wolny pokój na mansardzie, gdzie znakomicie można było rozłożyć pościel na kanapie. Ale Terd i tym razem uprzejmie odmówił:

— Od dawna już sypiam na powietrzu. Taki zwyczaj, jeszcze z Teksasu. Nawet w bardzo dużym pokoju zawsze jest mi jakoś ciasno i duszno, długo nie mogę zasnąć. Ty, Jegor, nie martw się

o mnie. Mam w worku podróżnym wspaniałe łóżko, a gdybyś chciał znajdzie się i malutki domek z dachem. Najważniejsze dla mnie to znaleźć taki kawałek ziemi, skąd nikt mnie nie przegna ani właściciel, ani dzierżawca, ani stróż miejski. Jeśli jest taki kawałek, zrób mi tę łaskę.

Bogomołow znalazł ziemię. Około stu kroków od „Przestworu” była duża, zapuszczona i porzucona działka Kowalewskich. Nawet

1 w dzień ludzie tu nie przychodzili, tak wydawała się bezludna i smutna. Pośrodku niej wznosiła się na pół zrujnowana przez czas, historyczna, obecnie przez wszystkich zapomniana baszta. Wspiął się na nią kiedyś desperat Pticyn i zszedłszy na dół powiedział:

— Dużo śmieci i n-nie-toperzy.

— Ta wieża jest w sam raz dla mnie — powiedział Terd. Prowadź mnie tam, bądź tak łaskaw.

Poszli. Ciągnęła za nimi cała rodzina. Księżyc był w pełni, grały koniki polne. Miło i gorzko pachniał piołun. Po prostu przyjemnie. Było patrzeć jak szybko i zrećnie przygotowywał Terd swój nocleg. Szczęknął jakimś zatraskami, rozpostarł na cztery strony świata kawałek płótna, przykrył to wełnianym pledem i tak powstało solidne sprężynowe łóżko.

— Jeśli będzie padać — powiedział — mam w zapasie nieprzemakalny brezent.

Wszyscy uznali jego legowisko za wygodne, oryginalne, praktyczne, a nawet wytworne.

—A nie boi się pan tarantul i skorpionów, dużo ich tutaj — powiedziała Bogomołowa.

—Ech, głupstwo — powiedział. — Wokół mnie jest wełna. Wszystkie te jadowite potwory boją się aż strach owczej wełny. A wie pani dlaczego? Dlatego, że owce już od wielu setek lat zjadają je z przyjemnością. Dla owiec to jak ser roquefort dla Francuza — przysmak.

Później wszyscy się pożegnali, ale Terd na chwilę odciągnął Bogomołowa.

— Mam z tobą, Jegorze, do pomówienia o czymś ważnym — powiedział. Czy nie ma tu w pobliżu jakiejś restauracji,

gdzie można by dziesięć-piętnaście minut pogadać przy koktajlu?

— Jest restauracja, i to bardzo blisko. Za koktajl nie ręczę, ale twoja ulubiona whisky z wodą sodową znajdzie się. Chodźmy.

Trudno powiedzieć, o czym rozmawiali w tę księżycową noc w trzeciorzędnej knajpce „Wenecja”, lecz rozstali się zamyśleni, poważni i najwidoczniej bez porozumienia. Ale następnego ranka koło siódmej rosyjski Amerykanin znów przyszedł do dachy „Przestwór”. Natasza, jakby na niego czekała, szybko zbiegła w dół po schodach.

— Masz tu, Natasza, powiedział Terd poważnym, a nawet rzecz można, uroczystym głosem (był zresztą błady), masz tu moją kurtkę i guziki do mej. Przyszyj. — Zwracał się do niej per „ty”.

I Natasza, jakby pojmując duszę i istotę tej familiarnej formy, odpowiedziała:

§£- Tak. Zrobię to z chęcią i bardzo porządnie.

A kiedy kończyła przyszywać guziki położył na stole wilgotny worek i powiedział:

■. To moja poranna zdobycz. Tu jest dwanaście byczków, które dziś rano złowiłem na wędkę, a to zabite przeze mnie ptaki, słonki. Idź i zrób mi śniadanie. I wiedz, że to wszystko, co tu robimy, to obrzęd zaręczyn u czerwonoskórego plemienia Siuksów.

Jestem twoja — równie poważnie odpowiedziała Natasza. — Czekałam na ciebie.

— Czy wiesz, że mam trzydzieści sześć lat?

Jesteś piękny.

— Pomyśl, czy nie jestem za stary dla ciebie?

— Kocham cię — odpowiedziała i pocałowała go w rękę, a on pocałował ją w czoło. Wieczorem jechali w wagonie kolejowym tam, do rodzinnego Riazania Nataszy, aby po pogańskich zaręczynach zawrzeć chrześcijańskie małżeństwo.

Przełożył Jerzy Stankiewicz

Gemma

Po co pułkownik Łosiew włókł ze sobą wśród wszelkich domowych rupieci wpełchniętych do starej skórzanej walizki ten całkiem . zbędny, bezużyteczny drobiazg — chyba i sam by nie mógł powiedzieć. Jego długa i ciężka droga wcale nie była odpowiednia - do zwracania sobie głowy takimi bagatelkami: droga z Petersburga na południe Rosji do armii ochotniczej, szatańska wojna domowa, odwrót, Noworosyjsk, Konstantynopol, Bułgaria, Serbia i w końcu Francja... Całe życie składało się z gorączkowego pakowania i rozpakowywania podręcznych rzeczy, których ubywało z każdym etapem. Ale, dziwne, taniutka pieczątką z krwawnika .nigdy nie ginęła. W czasie wyjmowania i wkładania z powrotem rzeczy jakoś sama wpadała w oczy i ciskano ją machinalnie na dno walizki: „Cóż, miejsca wcale nie zabiera i nic nie waży”. Tak więc po wielu wędrówkach i przygodach dotarła ro- cyjska rzeźbiona wklęsła pieczątką, toporna na oko, do sławnego i zacnego miasta Paryża, stolicy świata, trwale spoczęła na szarym marmurowym gzymsie kominka, na piątym piętrze hotelu „Stara Gaskonia”, na samym skraju miasta giganta. I już zdążyła pokryć się cała kurzem.

Pułkownik Łosiew ze światowego niegdyś akademika i adju- tanta przybocznego zamienił się w doskonałego szofera taksówki. W czasie pracy był zawsze trzeźwy, dla pasażerów uprzejmy, doskonale mówił wytworną francuszczyzną, a przede wszystkim nader ostrożnie jeździł i nigdy nie zgadzał się gnać jak szalony,

mimo gniewnych żądań nerwowych panius i niecierpliwych panów. Właśnie dlatego klientelę miał stałą i solidną, dzięki której żył nie doznając zbyt dotkliwej biedy.

Bywały wprawdzie czarne okresy powszechnego bezrobocia czy strajków, kiedy wbrew woli trzeba było zaciskać pasa.

Któregoś z takich ponurych dni spojrzął przypadkiem pułkownik Łosiew na swą pieczętkę z krwawnika i pomyślał;

„Zapłaciłem za nią kiedyś w Gdowie u handlarza starzyzną pięć rubli. Czemu bym nie miał spróbować oddać jej do jakiegoś składu staroci? Za jakieś pięć-sześć franków, no choćby za dwa-trzy? Po ki diabeł mi w końcu ten kretyński ptak i ten durny kot? "7 Jest takie powiedzonko, bodaj naswet u Eklezjasty: „pusty brzuch — chyże nogi”. Wstawszy wcześniej rano pułkownik Łosiew zdążył do wieczora obejść wszystkie magazyny starożytności na ulicy Faubourg Saint-Honoré i mnóstwo paryskich sklepików „Antiquitee”, ale nie budził nigdzie zainteresowania. Gdziekolwiek krwawnik brano do rąk, obojętnie oglądano pod światło i chłodno mówiono: „Takie przedmioty nas nie interesują”. W innym miejscu, sennie spojrzawszy, rzucano krwawnik na ladę: „Nie weźmiemy”, A w trzecim bez słowa kręcono głową, i tak — bez końca.

Ale któregoś dnia zdarzyło się pułkownikowi Łosiewowi być obecnym na wieczorze na rzecz rosyjskich inwalidów wojennych, gdzie opłata wejściowa była bardzo umiarkowana, a program bardzo bogaty. I tam przy bufecie zaznajomił się i z przyjemnością pogawędził z pewnym czcigodnym staruszkim, panem Konopatowem. Był to rdzenny moskwiczanie, kiedyś gorliwy starowiec, członek arcybogatej rodziny handlującej od wieków złomem żelaznym na Bałczugu.

Ten człowiek z patriarchalnej epoki zdumiał i oczarował pułkownika swymi oryginalnymi wiadomościami. Mówił mądrze i bardzo interesująco o architekturze starych świątyń rosyjskich z XI i XII wieku, o dawnych znamienitych izografach i ikonografach, którzy zabrali ze sobą do grobu tajemnice swoich sposobów, chwytów i cudownych niezniszczalnych kolorów; o starych ornatach, panagiach, kadzielnicach, świecznikach, o surowym pięknie przedmiotów cerkiewnych w dawnych czasach. Potem ich rozmowa, a raczej zainspirowany wykład jakoś mimo woli- zszedł na Ural

296

i Jekaterynburg, gdzie jeszcze dotychczas żyją znakomici grawerzy, specjaliści od malachitu i jaspisu, mistrzowie w obróbce drugorzędnych kolorowych kamyków, robieniu z nich pieczętek, wstawek mozaikowych i innych drobiazgowi

I w tym właśnie miejscu pułkownik Łosiew, dotychczas słuchający starowiercy z otwartymi ustami i zapartym tchem, zdecydował się wspomnieć mu półgłosem o swoim krwawniku.

Ku jego zdziwieniu Konopatow zainteresował się:

— W karneolu?

— W krwawniku.

— Ach, to jest to samo. Ale karneol i dostojniej brzmi, i pachnie Biblią. Skoro już o tym mówimy, zechciej pan podać mi cechy zewnętrzne pańskiego drobiazgu.

Mówiąc to Konopatow ścisnął w dłoni rude włosy swojej brody i zaraz je rozpuścił.

■— Po pierwsze — zaczął pułkownik Łosiew — po pierwsze: na samej górze, w lewym rogu siedzi z otwartym dziobem mały, ładny, szary ptaszek. A na dole, po prawej, siedzi na podłodze złośliwe kocisko o wielkich złych oczach i gapi się na ptaszka. A po przekątnej między nimi widnieje napis: „Ptaszek śpiewa, a kot nie patrzy”.

I to wszystko? — spytał z ironicznym uśmiechem starowiec i jeszcze raz ścisnął i przyglądał rudą bródkę.

— No chyba wszystko.

- Ach, panie pułkowniku, panie pułkowniku, powinien pan mieć lepszą pamięć. No dobrze, jeżeli pan chce, zaraz panu coś niecoś przypomnę.
- Bardzo proszę, będę panu bardzo wdzięczny.
- Dobrze. Ale czy pan naprawdę nie zauważył, że w wyrazie ptaszek dolna pałeczka i górna część kółka jest tak niewyraźna, że wychodzi nie p, lecz jakby n. Stąd wypada nie ptaszek, lecz raczej coś jakby"ntaszek.
- Ach, Boże, słusznie, zupełnie słusznie. Jakże ja to mogłem przegapić?
- I jeszcze coś panu przypomnę. Pański ptaszek jest oczywiście szary, ale na prawym dolnym piórku ma cieniuteńką różową smuzkę. Ot, taką ledwo dostrzegalną.
- No, /tego to już, przyznam się, nigdy nie zauważyłem —4.
- fflgt

rozłożył ręce Łosiew. — Ale pan — skąd to zna, panie szanowny? Niepojęte? Po prostu jakieś dziwy.

Konopatow jeszcze raz ścisnął i rozpuścił brodę.

— Ja, widzi pan, panie pułkowniku, mam oko. To dla nas, kupców, rzecz najważniejsza. Niech pan pozwoli mi zajrzeć do siebie w tych dniach, ot, choćby jutro, pojutrze. Bardzo dhciałbym popatrzeć na pańskiego ptaszka.

— Ależ proszę bardzo — odpowiedział skwapliwie Łosiew. — Będę to sobie poczytywał za zaszczyt. Zaraz panu napiszę swój adres. Jestem człowiekiem niezonatym i wolnym, od piątej wieczór do ósmej zawsze jestem w domu. Będzie mi bardzo miło zobaczyć pana u siebie.

Po trzech dniach czcigodny starowieca Konopatow zapukał wieczorem do drzwi malutkiego pokoju hotelowego pułkownika Łosiewa.

— No i jestem, przyszedłem pana odwiedzić — powiedział zdejmując palto. — Ale prawdę mówiąc, wspiąć się do pana — to jak przejść przez Bałkany.

Pułkownik zaczął się krzątać.

— Zaraz nastawię herbatę. A może wypijemy buteleczkę czerwonego winka? Mam niezłe Beaujolais.

Ale Konopatow stanowczo odmówił poczęstunku:

— Serdecznie dziękuję, ale odłożmy tę hulankę na inny raz. Teraz mam tylko pięć minut czasu, i to z trudem, ledwo ledwo. Przyszedłem, żeby obejrzeć pański grawerowany karneol. Pokaż mi pan z łaski swojej. A czy to nie on, tu na kominku? Pozwoli pan spojrzeć?

Łosiew skwapliwie wytarł kurz z karneolu i podał go gościowi. Patrzył z zachwytem, jak ostrożnie i pewnie zarazem gość ogląda pieczętkę, z jak swobodną zręcznością i delikatnością, obracając ją z boku na bok i mrużąc oczy. I dziwne: z każdym gestem ostrożnych palców Konopatowa krwawnik stawał się piękniejszy i wytworniejszy i nabierał nowego, świeżego, naiwnego uroku.

„Tak właśnie — pomyślał Łosiew — nagle pięknieją w rękach znawców i specjalistów przedmioty ich głębokiej wiedzy: wina, stroje, konie, klejnoty, książki, kobiety i biała broń.”

— Tak — powiedział przeciągle Konopatow, podnosząc oczy na pułkownika — to drobiazg, można szczerze powiedzieć, nie byle jaki — to piękna artystyczna rzeźba w onyksie, najtwardszym po diamencie kamieniu, który z łatwością rżnie szkło. Spójrz pan. co za cudowna, subtelna robota, co za delikatność i jaka cierpliwość! To prawdziwa gemma intaglio, można ją śmiało postawić obok pięknych wzorów starożytnej Grecji, Rzymu i epoki Odrodzenia! „Intaglio” — tak nazywali znawcy tego rodzaju arcydzieła. Pan zapewne wie nie gorzej ode mnie o tej wielkiej sztuce, rzeźbie w twardym kamieniu?

— Wybacz mi pan — z szacunkiem, ale bez fałszywego wstydu powiedział pułkownik — wybacz mi pan moją zupełną ignorancję w tej dziedzinie, ale zamieniam się w słuch. Proszę mówić.

— Dobrze. Ta sztuka liczy już sobie wiele tysięcy lat, i wywodzi się omal nie z czasów, kiedy człowiek powstał z czworaków na nogi. Z okresu kamiennego. Prastare piramidy i starożytne sarkofagi kryły w sobie z początku zręcznie wyrzeźbione skarabeusze, mityczne żuki. Potem artyzm poszedł wyżej. W sekretnych grobach faraonów uczeni, naruszając wolę zmarłych, wykopali spod prochu wieków zdumiewające kamienne tablice, na których ówczesni artyści wyrzeźbili polowania, uczty i wojny największych władców, przydając wydarzeniom niepojętego dla nas piękna i u- mownej wierności. Potem — starożytna Grecja, zaiste złoty wiek ludzkości, jakiś boski, radosny rozkwit piękna i sztuk pięknych: architektury, rzeźby, malarstwa, tańca, miłości i życia. Wtedy to sztuka rzeźby w kamieniu osiągnęła swój punkt kulminacyjny. Czy zna pan dobrze petersburski Ermitaż? Była tam

jedna gemma z czasów starożytnej Grecji, płaskorzeźba w karneolu. Największy artysta tamtych czasów imieniem Aleksander spędził aż dwadzieścia lat pracując nad tym cudownym dziełem sztuki. Oto czym są gemmy, panie szanowny!

Ale złoty wiek znikł w otchłani wieków, zabierając ze sobą wiele tajemnic i niedomówionych słów. Władzę nad światem objął twardy Rzym. Rzym żył szeroko i chciwie, okrutnie i srogo nawet w dobie swej zniewieściałości. Łąźnie, akwedukty, termy, łuki triumfalne, kolumny zwycięstwa — to była twórczość jego podbojów. A jednak i w rzeźbie w kamieniu Rzym pozostawił gdzieś ślady swojej potęgi. Co za zdumiewające portrety, co za wyraziste profile, tchnące siłą i władzą! I chyba właśnie Rzymianie wynaleźli niewielkie karneolowe pieczętki z wizerunkiem

herbu rodowego, którymi pieczętowali swoje woskowe epistoły. No i ostatni etap: epoka Odrodzenia. Sztuki piękne znów rozkwitają, jak ogród na wiosnę po mokrej jesieni i śnieżnej zimie. Znajdowano w ziemi zapomniane od czasów przedchrześcijańskich cudownie piękne dzieła z marmuru, radośnie opiewające nie ponury ascetyzm, nie tłumienie wszelkiej namiętności, nie wrogość i odrazę do płodnej, życiodajnej ziemi, lecz bujny urok życia, płomienną moc i słodycz miłości, oślepiające piękno ciała ludzkiego i obfitość wszelkich darów tak szczerze rozsypanych po cudownej ziemi...

I właśnie wtedy, jak na dany potężny znak, zjawia się w świecie mnogość genialnych artystów, którzy z boską hojnością, z pogańską radością zaczynają obdarowywać świat tak wspaniałymi dziełami sztuki, że aż do naszych czasów, po wielu stuleciach, pozostają one niezrównane, niedościgłe. I nawet sekrety ich twórczości nie przetrwały ku pożytkowi znerwicowanych potomków.

I właśnie wtedy, we wspaniałej epoce Odrodzenia, jednocześnie z malarstwem, architekturą, snycerstwem i innymi sztukami odrodziła się sztuka rzeźby w kamieniu, wymagająca inteligencji, bystrości oka i fantazją cierpliwości, a przede wszystkim natchnienia. Wtedy stało się modne noszenie na wskazującym palcu prawej ręki gemm oprawionych w srebro lub złoto, wyobrażających herby, dewizy, kryptogramy, a niekiedy nawet profile znanych osób. Czasami wielcy panowie i panie sami przynosili do grawera nabyte przez nich rzadkie, jeszcze nie tknięte karneole i prosili, żeby zrobić im to czy tamto zgodnie z ich własnym gustem i zachcianką. Ale artyści w tym czasie byli ludźmi dumnymi i pewnymi siebie. Powiadają o pewnym dawnym malarzu, że kiedy do jego pracowni zaszedł król Filip II, władca Hiszpanii i wielu innych krajów, i obserwując pracę mistrza zaczął mu udzielać wskazówek, malarz nagle się zatrzymał i opuściwszy pędzel powiedział:

— Wydaje mi się, że gdyby wasza królewska wysokość był obecny przy stworzeniu świata przez Pana Boga, to by na pewno nie omieszkął udzielić Mu kilku pożytecznych rad?

I król przełknął tę pigułkę. Tak też było z twórcami gemm. Niezwykle wysoko cenili swoją sztukę grawerską i utrzymywali ją na niesłychanie wysokim poziomie. I trzeba powiedzieć, że ówczesni władcy Kościoła, jak i władcy świeccy, bardzo ich lubili, wyróżniali, nagradzali i rozpieszczali, nie mówiąc już o tym, że często im wybaczali łamanie wszystkich dziesięciorga przykazań.

Wśród podań zachowała się pewna niezwykle charakterystyczna opowieść o Benvenuto Cellinim, największym rzeźbiarzu we wszystkich metalach, minerałach i kamieniach, a zarazem największym na świecie łobuzie, i o Ojcu Świętym, nie przypominam sobie którym — Klemensie, Pawle, Sykstusie czy jakimś innym.

Zdarzyło się, że będąc w służbie u najsurowszego i najbardziej władczego z papieży Benvenuto Cellini wyjechał z Rzymu nie pytając o zgodę, bez pozwolenia i pozostawiając wszystkie zlecone mu prace niedokończone. Nie wiadomo było, po których z uroczych, włoskich miast pędziła go namiętność do przygód, umiłowanie życia, burzliwy temperament i szatańska zapalczywość, ale do Watykanu zdążyły już dojść niepokojące słuchy o jakimś znieważonym kapłanie, o porwanej dziewczynie, o rozprutym szpadą boku zazdrosnego a bezczelnego rywala. Lecz oto Cellini wrócił do Rzymu i z wielkim trudem uzyskał pozwolenie, by stanąć przed groźnym obliczem papieża. Z zamętem w duszy, ale ze zwykłą dumną miną wszedł do małej, sekretnej komnaty pałacu watykańskiego, gdzie siedział Ojciec Święty w otoczeniu kilku ulubionych kardynałów. W sercu Ojca Świętego od dawna już nagromadziło się wiele gniewu przeciw Celliniemu, toteż od razu zasypał artystę wyrzutami i wymysłami.

— Messir Cellini — powiedział — dawno już swym ohydnyim zachowaniem, nieuczciwością i niedbalstwem napiąłeś do ostateczności tę słabą nić cierpliwości, na której wisiła nasza przychylność dla ciebie, zmuszająca nas z ciężkim sercem przebaczać ci wiele

twoich nikczemnych przestępstw i twój haniebny tryb życia. W tej ręce — prawil potrzásajac zaciśniętą pięścią — nierzadko leżały: twój zaplamiony honor i twoje żalosne życie. Ale dziś — widzisz — otwieram dłoń i pozwalam ci stoczyć się w bezdenną przepaść. Ale przedtem — nalegam na to — musisz mi jasno i uczciwie zdać sprawę z tego, gdzie podziałeś dane ci przez nas złoto, srebro i drogocenne kamienie przeznaczone do wykonania naszych zamówień. I wreszcie, pod groźbą ciężkiej kary za kłmstwo, opowiedz nam, jakie przyczyny skłoniły cię do opuszczenia Rzymu i co robiłeś w czasie twojej długiej nieobecności?

Rozgniewany papież umilkł, ale tu na własne nieszczęście przypoehlebnie słodkim głosem wtrącił się zaufany kardynał zwierzchnika Kościoła, Strozzo del Pablo.

— Najświętszy nasz ojciec — powiedział — jakież dla nas bolesny — dla nas, twoich pokornych niewolników i wiernych sług — jest widok twego niezadowolenia i smutku, zasnuwających najjaśniejsze oblicze wielkiego Kapłana, władcy całego chrześcijańskiego świata! I któż stał się przyczyną tego słusznego gniewu? Nikczemny człowiek niskiego pochodzenia, drobny rzemieślnik, mianujący się artystą! Och, ci artyści, wieczni bywalcy szynków, przyjaciele rozpustnych dziewczek, hałaśliwi wichrzyciele, pismacy złośliwych epigram, wyrzutki społeczeństwa, poganie, a nie chrześcijanie.

W tym momencie Cellini, zdążywszy ochłonąć ze strachu, który w nim wzbudziła niełaska papieża, nagle porzucił swoje miejsce i wielkimi krokami skierował się wprost do stolca pierwszego kapłana. W rękach miał artystycznie wykonaną cyprysową szkatułkę ozdobioną na krawędziach i w rogach zdumiewającymi srebrnymi wzorami. O trzy kroki od podnóża tronu ukląkł i postawił szkatułkę u nóg papieża.

— Słowa jego eminencji signora kardynała — wyrzekł miłym, donośnym głosem — były podobne muchom na szybie: muchy brzęczą, tłuką się o nieprzenikliwą powierzchnię, mogą zabrudzić szkło, ale nic mu zrobić nie mogą. Jedna tylko wola jego święto- bliwości może mnie ukarać albo nagrodzić. Tu, w tej szkatułce, zamknięte jest moje oskarżenie i uniewinnienie zarazem. Sędzią zaś moim jest tylko jego świętobliwość, książę Kościoła, papież.

Wówczas papież dał znak dwom pacholećtom stojącym w białych strojach z brokatu po bokach jego tronu, a oni wzięli z rąk Celliniego szkatułkę, podnieśli wieczko i otwartą zbliżyli do oczu pierwszego kapłana. W sali zapadła cisza. Papież długo oglądał zawartość szkatułki i wszyscy obecni widzieli, jak stopniowo rozpo- gadzało się oblicze papieża i jak w końcu zajaśniało światłem boskiej radości. Bystre zaś oko Celliniego dostrzegło w oczach najwyższego kapłana ciepły blask hamowanej łzy.

— Popatrzcie — rzekł papież zwracając się do kardynałów. Popatrzcie na ten twór arcydoskonały, Oto macie przed sobą Wie
302

czerzę Pańską, której wizerunek z niezrównanym mistrzostwem wycięty został w barwnym karneolu. Spójrzcie, co za przedziwny, rozkład kolorów, plam i żyłkowań. Oto Pan nasz Jezus Chrystus w białej szacie, baranek czysty i niepokalany, który przyszedł, by umrzeć za grzeszną ludzkość. Na jego piersi spoczywa apostoł Jan, czuły i łagodny — o duszy dążącej ku niebiosom. Dlatego też strój ma niebieski. Dalej — apostoł Piotr. Ten jest namiętny, gorący, porywczy. Odciął ucho niewolnikowi Malchowi, zanim trzeci kur zapiał po trzykroć wyrzekł się Zbawiciela, onże dręczony wiecznymi wyrzutami sumienia żąda, by go ukrzyżowano z głową skierowaną ku miejscu, gdzie były na Golgocie nogi Zbawiciela, onże jest tą opoką, na której Pan nasz zbudował swój kościół, którego nie pokonają wrogie siły aż do końca świata. Dlatego Piotr jest w szacie czerwonej. Kolor czerwony to symbol władzy i płomiennego ducha. A oto Judasz. Ten jest w szacie ciemnobrązowej. Cóż za mrok! Albowiem nie będzie przebaczenia ani dla niego, ani dla szatana.

Lecz co nas zachwyca i rozczuła do łez naszą świadomość: być może miliony lat leżał ten kamień w ziemi na drogach, w kurzu, w opuszczeniu. I oto podniósł go kiedyś artysta, spojrział na niego i powiedział: ten dziki, nieobrobiony kamień został stworzony przez Boga dla wyniesienia pamięci o Jego Synu. Wtedy wziął swoje nieskomplikowane dłuto i po długiej, cierpliwej pracy stworzył zleconą mu z góry Ostatnią Wieczerzę Pańską. Po czym papież głośno rzekł:

— Zbliż się do nas synu nasz umiłowany, Benvenuto. Niech będzie błogosławione imię twoje i drogi twoje. Błędy twoje przebaczam ci władzą daną mi od Boga. I rachunków między nami już nie ma. Oby twój geniusz nadal służył wychwalaniu łaski Pańskiej. I pozwolił papież Celliniemu ucałować swoją świętą rękę, i wszyscy widzieli, jak papież z czułością położył dłoń swoją na głowie artysty.

A potem papież wstał z tronu i wyrzekł straszne słowa, skierowane do kardynała Strozziiego del Pablo:

— Ty nie jesteś łagodnym, wybaczącym sługą Kościoła. Jesteś kałem wielbłądzim, poganiaczem mułów, jesteś eunuchem. Nie chcę widzieć twego obmierzłego oblicza. Odejdź więc ode mnie

na długo, dopóki nie otrzymasz wieści. Zaś dzieło świetnego mistrza Benvenuto Celliniego jeszcze dziś będzie odesłane do katedry świętego Piotra i umieszczone w ołtarzu głównej kaplicy.

— Widzi pan — prawil dalej staro wiercą Konopatow — widzi pan, jak wielki prestiż mieli artyści czasów Odrodzenia i jak niezrównanym szacunkiem cieszyli się u osób dzierżących władzę. Toteż nie dziw, że z dumną pogardą, z urągliwą kpina przyjmowali rady profanów i szorstko odrzucali pretensje ciemnych, wątpliwych bogaczy. A i po co mieli oddawać swe arcydzieła w brudne, ignoranckie ręce plebejuszy, skóro papieże, cesarze, królowie i książęta Europy poczytywali sobie za wielkie szczęście nabywać ich gemmy, a pierwsze piękności Starego Świata uważały za najlepsze ozdoby swoich smukłych szyj i olśniewających ramion kamee, które wyszły spod dłuta któregoś z mistrzów włoskich!

No, a teraz o pańskiej gemmie, o pańskim kocie z ntaszkiem. Tak, jeszcze raz powtarzam: to jest prawdziwa gemma. Oczywiście nie z okresu rozkwitu Odrodzenia, a raczej z jego końca, lecz tym niemniej drobiazg zasługuje na uwagę. Spójrz pan, jak subtelnie, mądrze i przezornie wykorzystał mistrz wszystkie efekty kolorystyczne. Różowa żyłka w karneolu — i ma pan już piórko gila. Półotwarty dziób — ekstaza. Kot jest szary, a przy tym sprytny, spasiony, oczy ma ni to barwy bursztynowej, ni to barwy chryzo- litu, żółte, ale z prawie czarną obwódką, bo kocisko drapieżne, bezlitosne. Bagatelne, powie pan, intaglio, a ile w nim pomysłowości, starania i miłości! Mistrz był niewątpliwie Włochem, no a napis później wymyślił i wykonał ktoś z naszych, nowogródzki człę-? czyną, z Nowogrodu Wielkiego. Napis arcyzjadliwy i arcyintere- sujący. Prawdziwy jędrny rosyjski humor. A gdzie pan ją nabył?

— W Gdowie, u jakiegoś pokątnego handlarza starożytnościami. Za grosze kupiłem.

— Tak, tak. A więc rzecz kradziona.

~ Zapewne.

— Z całą pewnością. Ja przed laty, szło mi wtedy na trzydziesty trzeci rok — ileż to czasu upłynęło — widziałem tego ntaszka na własne oczy i dobrze zapamiętałem. A widziałem go w Pskowie, młodszym bracie Nowogrodu, w muzeum pałacu Pogankino Wskiego. Wtedy też zgrzybiały stróż opowiadał mi, że ta gemma słyne jako amulet: kto ją nosi przy sobie, ten może się nie bać nagłej, zgubnej miłości do osoby innej płci. A więc widzi pan — czarodziejska rzecz.

Wtedy Łosiew opowiedział starowiercy o swych niedawnych próbach sprzedania kota z ntaszkiem, ale Konopatow aż rękami zamachał.

— Przestań pan nawet myśleć o tym. Takiej ślicznej rzeczy nie można marnować. Muzeum w Luvrze też jej od pana nie kupi, zbyt rosyjski ten humor. Nie, skoro już ta gemma trafiła w pańskie ręce, proszę jej nie wypuszczać.

Pułkownik uścisnął rękę Konopatowa.

— Słusznie — powiedział. Po pańskim wspomniałym opowiadaniu przestałem myśleć o sprzedaży. Niech już pozostanie u mnie i chroni mnie przed fatalną nagłą miłością.

1932

Przełożyła Henryka Pikulska